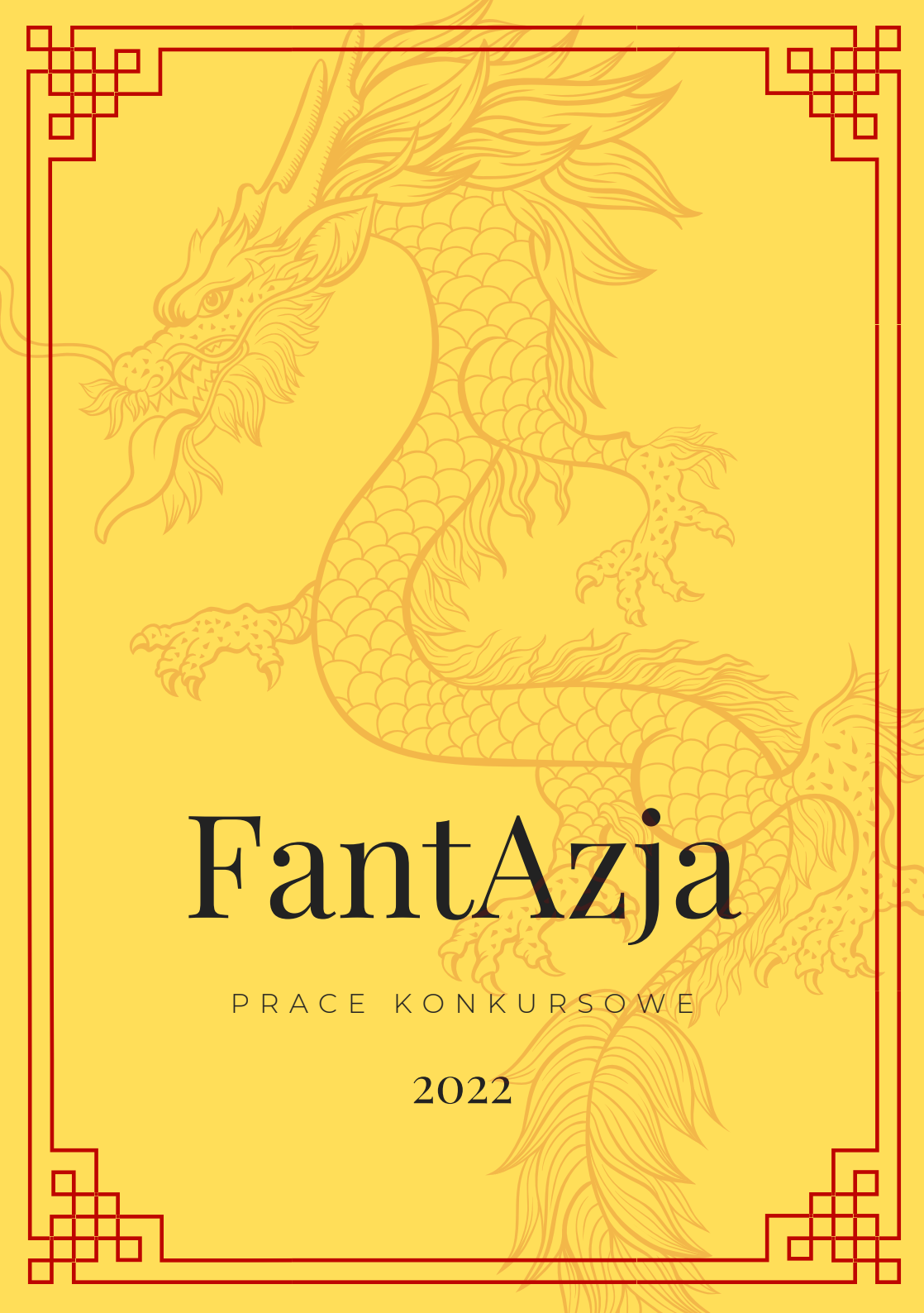




FantAzja

PRACE KONKURSOWE

2022



FantAzja

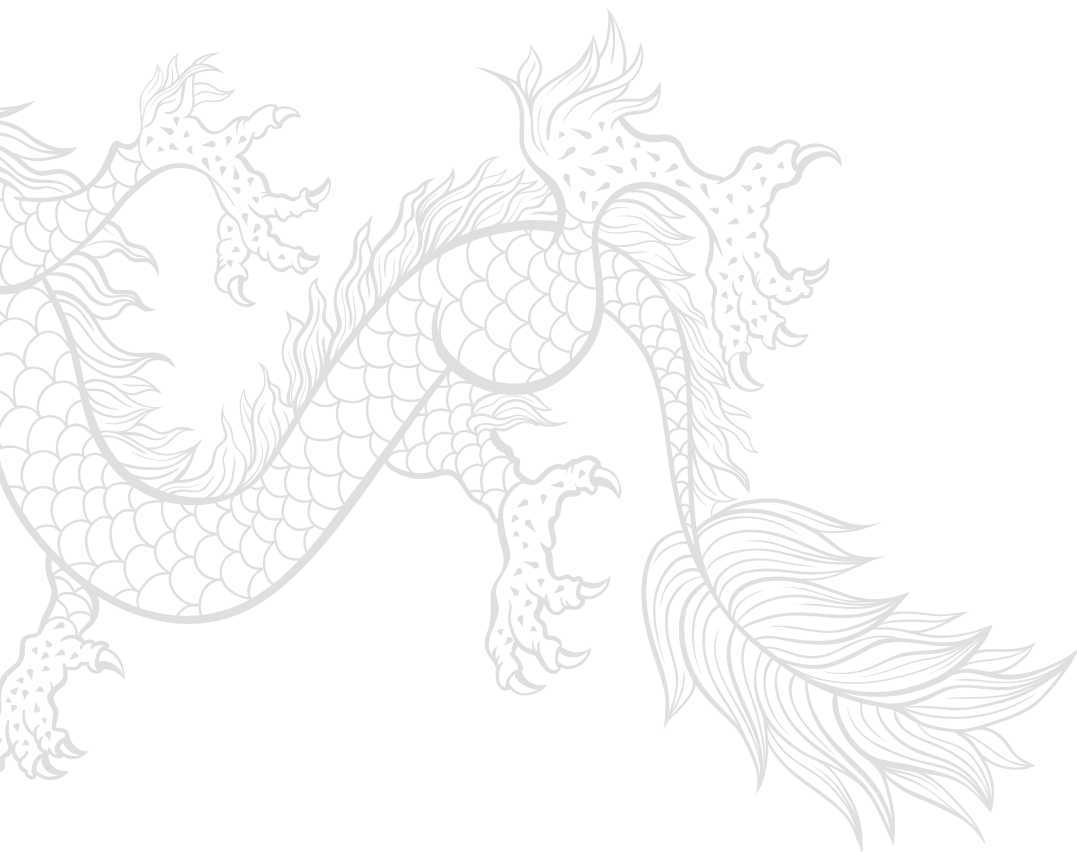
P R A C E K O N K U R S O W E

2022

S P I S T R E Ś C I

Miejsce I – Kamila Kamińska – <i>Wynagrodzenie</i>	7
Miejsce II – Joanna Roznerska – <i>Przygoda w Izakaya</i>	24
Miejsce III – Weronika Wiertelorz – <i>Lalkarz</i>	37
Wyróżnienie – Anna Kokot-Nowak – <i>Liminalni ze szczeliny pomiędzy</i>	44
Wyróżnienie – Aleksandra Woźniak – <i>Słodkich snów, Chubgking Meowisions</i>	66
Martyna Fuchs – <i>Labirynt rozpacz</i>	79
Artur Niewczas – <i>Wyprawa w czełusci umysłu</i>	93
Alicja Stroik – <i>Pod powierzchnią</i>	109
Kacper Ptaszek – <i>Prośba</i>	131
Anna Kłodnicka – <i>Lis</i>	146
Adam Hetmański – <i>Lis</i>	167
Gabriela Gracz – <i>Klątwa uśmiechu</i>	184
Klaudiusz Joachim Brzozowski – <i>Szlak Mroku</i>	202
Katarzyna Owczarska-Handke – <i>Kitusne</i>	232
Marcin Kulik – <i>Opowieść o bohaterach Bractwa Pięciu Pięści</i>	246
Justyna Napiórkowska – <i>Krótką historią o odkrywaniu siebie</i>	272
Dr Joanna Komorowska-Mueller – <i>Wybór</i>	283
Jarosław Dobrowolski – <i>Hakucho</i>	291
Maria Peplińska – <i>Projekt</i>	316
Adam Hetmański – <i>Wojownik</i>	326
Karolina Woźniak – <i>Dom</i>	343
Mateusz Nowak – <i>Magiczna peleryna Tatki</i>	364
Mateusz Rymiszewski – <i>Spotkanie po zmroku</i>	383
Hanna J. Stępiak- <i>Legenda o śmierci generała Wu Sun Tsuanga i jego dzielnych żołnierzy</i>	397
Maja Chałubińska – <i>MUDANG</i>	419
Beata Walczakiewicz – <i>Tajemnica gór prefektury Yamagata</i>	433
Kamila Kamińska – <i>Materiał na przyjaciela</i>	445
Wiesław Walczakiewicz – <i>Bity wolności</i>	466
Radosław M. Borycki – <i>Latwa zdobycz</i>	474

Pierwsza edycja konkursu "FantAzja" została ogłoszona w lutym 2022 roku. Jest on efektem współpracy Szczecińskiego Klubu Azji oraz Filii 54 ProMedia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Szczecinie. Zadaniem uczestników było stworzenie opowiadania z gatunku fantasy, którego akcja rozgrywa się w Azji. Jury złożone z bibliotekarzy ProMediów spośród niemal trzydziestu nadesłanych prac wybrało pięć szczególnych i zapadających w pamięć. Wszystkie oceniane prace konkursowe umieszczono w niniejszym tomie.



Miejsce I

Wynagrodzenie

Kamila Kamińska

Dawno, dawno temu, w czasach, gdy królowie zarządzili ziemiami, magia zdradzała swe sekrety wybrańcom, a zdumiewające istoty kryły się przed ludzkim wzrokiem, nad brzegiem morza rozwijało się niewielkie królestwo. Dzięki dobroci morza i pracowitości ludu, z każdym nastaniem wiosny królestwo rozwijało się, niosąc spokój i dobrobyt mieszkańcom. Pieczę nad państwem sprawował cierpliwy i odważny król, zaś u jego boku stała królowa, która czułym sercem wsłuchiwała się w potrzeby ludu. Radami i pomocą parze królewskiej służył mag, mający otwarty umysł na świat magiczny i wiedzę wykraczającą ponad jego wiek.

Przez lata w dolinie trwał spokój. Jednak inne królestwa zapragnęły zająć dla siebie nadmorskie tereny i przystąpiły do najazdu. Dzielni rycerze wraz z wierną ludnością sukcesywnie odpierali natarcia. Dzięki odważnym strategiom króla, mądrym radom maga zapewniającym przychyłność magii oraz podtrzymującą morale rycerzy królową, królestwo nie tylko odpierało najazdy nieprzyjaciół, ale również wzbogacało swoją pozycję, napęłniając skarbiec złotem. Powstające nowe morskie szlaki handlowe, dodatkowo spotęgowały zamożność królestwa. Jednak pamiętając o chciwości sąsiednich krain, rosnące złoto i klejnoty napęłniły króla obawą. Chcąc ochronić swoich

poddanych przed ciągłymi najazdami, zapytał o radę maga. Ten zaś zaproponował groźnego strażnika, mistyczną istotę, która byłaby wierna rozkazom króla, a wieść o niej rozniosłaby się na wszelkie strony świata sprawiając, że potencjalni najeźdźcy zastanowiliby się po wielokroć, nim przekroczyliby granice królestwa.

Monarcha wiedział, że decyzja ta będzie odciskać swoje piętno na dalszej drodze jego władania. Magia nie napawała jego serca strachem w przeciwieństwie do innych ludzi, dzięki czemu zyskał wierność i zaufanie doskonałego doradcy. Miał również świadomość tego, jak niebezpieczna może być magia. Na wątpliwości o wierności bestii mag zapewnił, że w tym przypadku zamiast schwytać bestię, stworzy ją, dzięki czemu będzie im posłuszna.

Król wyraził zgodę, nakazując by mag zdradził mu konieczne przedmioty do ów rytuału. Ponieważ odwaga króla dorównywała gryfowi na jego herbie, mag otwartą dłonią wskazał na ścianę komnaty. Wisiała tam tkanina wielkości trzech roślących mężczyzn, ukazująca na niebieskim tle miedzianego stwora o wyglądzie orla z ciałem lwa. Bez słowa król kiwnął głową, na co słudzy bezzwłocznie zdjęli ów przedmiot i rozłożyli go na kamiennej posadzce. Następnie król odprawił służbę i stanął obok tronu nie spuszczać wzroku z maga. Ten podszedł do tkaniny i stanął na niej tak, że od wizerunku gryfa dzieliła go odległość buta. Następnie mag

recytując zaklęcia w pradawnym języku, zaczął pocierać ze sobą dłonie.

Z każdym oddechem dłonie maga zaczęły emitować coraz jaśniejszy purpurowy blask oraz wytwarzać iskry, a zaklęcie przybierało na głośności. W końcu zaklęcie zostało wykrzywane i mag przyłożył świecące dłonie do wyhaftowanego gryfa. Jedną dłoń przyłożył do łapy, zaś drugą do szyi zwierzęcia. Mag z wysiłkiem zaciskał dłonie, aż do momentu, gdy pod skórą poczuł pióra. Wówczas wymawiając magiczne wersy, ciągnął tak długo aż na tkaninie pozostał jedynie błękit nieba, zaś przed królem i magiem stanął miedzianej barwy gryf. Jego złoty dziób i białe bursztynowe oczy skierowane były w stronę ciężko oddychającego z wysiłku maga.

Przez chwilę w sali panowała cisza zakłócana jedynie przez oddech doradcy. Król z podziwem przyglądał się ostrym szponom, pięknemu upierzeniu i ogólnemu majestacie stworzenia. Wizerunek ten król znał doskonale, w końcu codziennie oglądał go w sali tronowej, a zanim tkanina tam zawisła, obserwował każdego wieczoru, kiedy jego wybranka tworzyła owo dzieło. Jednak widok żywego stworzenia był wręcz nie do opisania. Mag natomiast, nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek, rytuał wciąż trwał. Wpatrując się w ślepią gryfa, recytował w myślach czar, który tkął magię z jednego z jego pierścieni z nadnaturalnym bytem gryfa, w rezultacie wiążąc ich ze sobą.

Kiedy padły ostatnie wersy czar, pióra na piersi gryfa zaiskrzyły się purpurą, zaś samo stworzenie poczuło w piersi przyjemne ciepło. Gdy kamień w pierścieniu czarownika zmienił kolor z białego na fioletowy, mag odetchnął z ulgą i wyprostował się. Rytuał przebiegł pomyślnie.

– Szlachetny gryfie, który czuwałeś nad nami z aksamitu od dzisiejszego dnia będziesz czuwał nad naszym majątkiem i bezpieczeństwem. Złóż ukłon swojemu królowi i temu, który powołał cię do życia – po tych słowach, chociaż gryf nie rozumiał powodu, ugiął przednie łapy, kłaniając się ludziom. Po wykonaniu tego gestu ciepło rozeszło się po ciele stworzenia, niczym ciepły szal otulający schłodzoną szyję.

Widząc to władca i doradca pokiwali głowami z uznaniem. Nie chcąc narazić mieszkańców zamku na szok i trwogę po spotkaniu z bestią, niezwłocznie udali się bocznym korytarzem prosto do skarbcza. Skarbiec, po latach, został przeniesiony do jaskini u podnóża zamku, gdzie naturalna formacja skalna oraz bliskość morza stanowiły skuteczne zabezpieczenie. Po otwarciu wrót, oczom gryfa ukazała się kamienna jaskinia z niewielkim otworem, przez który wpadały promienie słońca i było słychać szum morza. Pod jedną ze ścian piętrzyły się stosy małych, przezroczystych kamieni o wszelakiej barwie oraz inne przedmioty nieznane jeszcze gryfowi.

Z ciekawością gryf podszedł bliżej stosu trącając pazurami powierzchnię nieznaną mu płaskich kółek. Wydały

nieprzyjemny dźwięk, jednakże dostrzegł, że barwa jego pazurów zlewała się z ich barwą, co było dla zwierzęcia ciekawym odkryciem. Nagle usłyszał trzask iskier i zobaczył jak ów człowiek, który go stworzył, plecie z iskier ogniwa, łącząc je ze sobą.

Nim stwór się spostrzegł, owe spoiwa oplotły jego łapy i przytwierdziły do skalnych ścian.

– Twoim zadaniem jest strzec skarbów króla, nieustannie od dzisiaj do dzisiaj. Każdego, kto wdrze się tutaj bez towarzystwa mego bądź króla, masz zabić. Po to cię stworzyłem – po tym jak wypowiedział te słowa, mag zatrzaskał wrota i udał się na spoczynek, nieświadom palącego efektu jego słów.

Uczucie ciepła w piersi gryfa, które poprzednio było przyjemne, wywołało ból i strach. Zaczarowanych ogniw nie mógł rozerwać szponami czy dziobem, ani wyrwać ich ze ścian. Po wielogodzinnych próbach gryf krzyknął z bezsilności, po czym ułożył się na kamiennej posadzce.

Od tamtej pory gryf przykuty łańcuchami u podnóża zamku pilnował kosztowności. Jedynym towarzyszem stworzenia oprócz bezdusznych monet, był szum pobliskiego morza. Pory roku zmieniały się, zaś gryf na przekór nim niezmiennie i posłusznie strzegł skarbu. Zgodnie z planem maga pogłoski o śmiercionośnym potworze strzegącym skarbu zapewniły gryfowi i królestwu długie, spokojne lata. W niezakłóconym przez najazdy królestwie, mieszkańcy

doczekali się narodzin następcy tronu. Śliczny chłopiec dorastał otoczony miłością rodziców i mieszkańców kraju. Z czasem sztuka wojenna zamiast magii przyciągała uwagę księcia. Mag wziął więc młodego monarchę na nauki ucząc go zasad panujących na świecie, zarówno w tym ludzkim, jak i magicznym. Gdy minęło szesnaście wiosen król z magiem po raz pierwszy pozwolili księciu ujrzeć bestię.

Przed dniem spotkania książę słyszał wiele o tajemniczym gryfie. Służba szeptała do siebie ze strachem o budzącym grozę potworze, zaś jego ojciec mówił z podziwem w oczach o majestacie zwierzęcia. Młodzieniec przez lata nauki u maga nabrał szacunku do czarodziejskich istot, jednakże w przeciwieństwie do swojego nauczyciela, do magii podchodził bardziej z trwogą i ostrożnością niż z pewnością i zuchwałością. W dzień wizyty, gdy schodził schodami w towarzystwie nauczyciela i ojca, traktował to jak kolejne zebranie należące do królewskich obowiązków.

Gdy dotarli do wrót skarbcza, mag otworzył je i niezgodnie z królewską etykietą wszedł do pomieszczenia pierwszy. Na to zachowanie książę spojrzał pytająco na ojca, który kiwnął głową i wskazał by wszedł do środka. Po przekroczeniu progu, oczom młodzieńca ukazał się stwór przewyższający go o głowę o miedzianym umaszczeniu, złotych pazurach na lwich łapach i złotym orlim dziobie. Widok ten wytrącił księcia z równowagi, w dosłownym tego słowa

znaczeniu. Gdy księżę cofnął się o krok od gryfa, król głęboko westchnął. Jego syn nie odziedziczył po nim odwagi, lecz łagodne usposobienie matki i jej empatię. Królowi osobiście nie przeszkadzały owe cechy charakteru syna, jednak zdarzały się dni, gdy obawiał się, czy jego potomkowi nie zabraknie sił do władania królestwem.

– Nie musisz się lękać wasza wysokość. Nic nam nie zrobi – mag wykonał zamaszysty gest ręką przyozdobioną pierścieniami. Wówczas ku uciesze króla, gryf z gracją wykonał przed nimi ukłon. Ów gest księżę odczytał jednak jako wymuszony i nieszczerzy, a to zakorzeniło ziarno niepewności w sercu młodego monarchy.

– Jak widzisz synu z takim strażnikiem nie musimy się obawiać o nasze kosztowności.

– Tak ojczy – odpowiedział młodzieniec nie odrywając wzroku od oczu gryfa.

Gdy ludzie opuścili skarbiec, gryf zwrócił łeb ku otworowi w skale napawając się widokiem bezchmurnego nieba. Przez lata nie mógł zaznać spokoju, rozdarty w środku. Sam nie rozumiał swoich emocji. Przecież to ma być jego sens życia, po to został stworzony. Więc wypełnianie owego obowiązku powinno napawać go radością, powinien być szczęśliwy. Jednak nie był. Zdrętwiałe skrzydła i uczucie tęsknoty za niebem, nie pozwoliło duszy gryfa zaznać ukojenia. Starając się ułożyć wygodnie na monetach, gryf zapadł w sen.

Tymczasem ludzie wrócili do swoich codziennych obowiązków. Jedynie Księżę miał z tym problem. Nie tylko ukłon gryfa wzbudził jego podejrzenia, w oczach bestii ujrzał coś, czego nie mógł nazwać, ale poczuł, że chce być jak najdalej od niej. Z nieznanego powodu obecność gryfa nie pozwalała księciu na życie, takie jakie prowadził wcześniej. Czy to fala empatii na widok bezwolnego stworzenia, czy może strach, że łańcuchy kiedyś nie utrzymają gryfa? Księżę nie był w stanie tego określić, jednak wiedział jedno; dopóki gryf jest w zamku, on nie zazna spokoju.

Pod osłoną nocy, wykorzystując zakłęcie ciszy, którego niedawno się nauczył, wykradł magowi pierścień z kamieniem w kolorze purpury. Następnie zakradł się do skarbcza i otworzył wrota. Mag opowiadał księciu w jaki sposób stworzył gryfa, więc doskonale wiedział, że pierścień da mu władzę nad stworzeniem i pozwoli na bezpieczne wyprowadzenie go z zamku. Księżę nie wiedział jednak, jakie dokładnie polecenie wydał gryfowi mag, i że samotne zejście do skarbcza nie jest dla niego bezpieczne.

W momencie gdy drzwi się otworzyły, gryf spojrzał na wejście. Kiedy jego oczom ukazała się samotna postać, pióra na jego piersi załśniły i wewnętrzna siła sprawiła, że gryf powstał. Wzrok zwierza się zamglił, a w jego głowie rozbrzmiał głos osoby, która go stworzyła:

– ...każdego, który wedrze się tutaj bez towarzystwa mego bądź króla masz zabić...

Nim książę zdołał otworzyć usta, by wypowiedzieć zaklęcie, gryf skoczył do przodu wyciągając przed siebie łapy z pazurami. Książę unikając bestii, upadł uderzając dłonią w kamienną posadzkę i niszcząc kamień w pierścieniu. Pęknięty pierścień zerwał łańcuch, który wcześniej stworzył. W tym momencie mgła w świadomości gryfa rozmyła się i znikł ciężar na piersi i fioletowy poblask jego piór. Nie czekając ani chwili dłużej, gryf odwrócił się i ruszył pędem korytarzem, tym samym, którym siedł lata temu. Nabierając prędkości wpadł do sali tronowej, rozprostował zdrtwiałe skrzydła, wzniósł się i wyleciał przez okno roztrzaskując kolorowy witraż na milion drobnych kawałków.

Po raz pierwszy od pojawienia się na tym świecie, gryf odkrył bezmiar świata i usłyszał zew nieba. Poczucie wolności wypełniało jego krwisto opierzoną pierś, a nozdrza wdychały zapach soli. Oddalając się coraz bardziej od zamku, gryf instynktownie kierował się na wschód. Dopiero po kilku godzinach nieprzerwanego lotu wylądował na miękkiej, trawiastej polanie. W oddali widział majestatyczne góry, za którymi zaczynało chować się słońce. Czuąc przyjemne zmęczenie zastępujące znane mu od lat drętwienie skrzydeł, gryf postanowił rozejrzeć się po krainie. Podziwiał różnorodne rośliny, sadzawki i rzeki, a także napawał się odgłosami ptaków.

Z oddali jemu także przyglądały się pobliskie zwierzęta. Nigdy przedtem nie widziały bowiem nikogo takiego, jak on.

Gdy niebo nabrało koloru granitu, gryf ułożył się pod wielkim drzewem i zamknął oczy. Pomimo radości z wolności, brakowało mu nieodłącznego do tej pory, kojącego szumu morza. O poranku zaś wypoczęty gryf nie mógł znaleźć powodu, by pozostać w tym miejscu dłużej. Rozprostował więc potężne skrzydła i ponownie wzniosł się wysoko w niebo.

Przez kilka kolejnych dni gryf postępował tak samo w każdym miejscu, w którym wylądował. Wędrował po nowych polach i zagajnikach, odpoczywał i o świcie ruszał dalej. Szukał swojego miejsca, ale żadne, które dotychczas odwiedził nie było odpowiednie. Czegoś wciąż mu brakowało. Kontynuował więc lot kierując się wewnętrznym głosem. Kilka dni później, gdy przemierzał ziemie kolejnej krainy, opuścił gęstą puszcę od razu zapadając się łapami w piasku. Gryf zaskoczył samego siebie czując potrzebę pozostawienia plaży za sobą i kontynuowania podróży, dalej podążając na wschód w stronę wody. I chociaż nie miał pewności, jak długo będzie zmuszony lecieć bez wytchnienia, czuł w piersi przyjemne wyczekiwanie. Zupełnie jakby wiedział, że za tą wodą czeka na niego nagroda za te wszystkie lata niewoli. Czując, że ta podróż będzie bardziej wymagająca niż dotychczasowe, gryf ułożył się na piasku i twardo zasnął.

Następnego dnia o brzasku gryfa obudził krzyk mew. Ospale rozciągnął się i nie marnując ani chwili czasu, wzbił się w powietrze. Na początku nie leciał wysoko, trącając wzburzoną

wodę pazurami, ścigał się ze stadem mew. Opuściły go dopiero, gdy ląd był ledwie widoczny, a wówczas gryf wzbił się wysoko aż do chmur. Dopiero po kilku godzinach stwór zniżył lot.

W przeciwieństwie do swoich poprzednich lotów, tym razem nie napotkał po drodze ptaków, a zamiast zieleni, pod łapami majaczył jedynie morski błękit. Choć ciało zaczęło się męczyć, duch niezachwianie popychał gryfa do przodu. Jednak z upływem czasu, gdy skrzydła coraz częściej przeszywał skurcz, gryf zaczynał wątpić we właściwość swojej decyzji. Wówczas przed sobą na horyzoncie zobaczył zarys lądu. Widok ten nappełnił jego ciało nową energią. Po czasie, który dla gryfa ciągnął się niczym wieczność, potężne łapy dotknęły ziemi a skrzydła zaznały utęsknionego odpoczynku.

Wylądował na skalistym brzegu, ciężko oddychając. Wyprawa ta niewątpliwie była dla niego najbardziej wyczerpująca ze wszystkich. Myśląc jedynie o śnie, gryf poczłapał powoli do najbliższej wyrwy w skale i legł w prowizorycznej jaskini. Zmęczone ciało zapewniło mu długi, głęboki i spokojny sen. Gdy słońce oblało dziób gryfa, ten opuścił swój nocleg i skierował się w głąb lądu. Gdy pozostawił za sobą skały, kolejne kroki postawił w lesie, którego jeszcze nigdy nie widział. Zamiast szorstkich, dużych konarów drzew, gryf wszedł między strzeliste, giętkie, grube łodygi. Przeciskając się między nimi, z przyjemnością zauważył, że rośliny te nie

łamią się drapiąc go, lecz z gracją i gibkością ocierają się o jego futro.

Nagle, w oddali pomiędzy zielenią roślin, dostrzegł żywą czerwień. Kierując się ciekawością gryf stanął naprzeciw ciekawej konstrukcji. Drewniane słupy oraz dwie belki zostały pomalowane na czerwony kolor i ustawione u podnóża pagórka. Chcąc sprawdzić co jest wyżej, gryf minął je i zaczął się wspinać. Na szczycie wzgórza zobaczył kamienny budynek, który był niczym miniaturowy zamek. Takich jednak układów kamieni i drewna do tej pory nie widział. Nagle z wnętrza budowli usłyszał ludzki głos. Pamiętając poprzednie spotkanie z ludźmi, gryf wleciał na dach i zamarł w oczekiwaniu.

Po chwili kątem oka zobaczył dwójkę ludzi kierujących się ku czerwonej bramie. W przeciwieństwie do wcześniej spotkanych, ci tutaj nosili lżejsze tkaniny w pastelowych barwach, ich głowy nie zdobiły nakrycia, zaś stopy chroniły liche sandały.

– Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? – odezwał się jeden z nich.

– Owszem. Jeżeli dziś zaniesiemy zwój na skraj bambusowego lasu to jutrzejsze przygotowania do ceremonii zajmą o wiele mniej czasu – odpowiedział mu towarzysz.

Gryf zastanawiał się, w jaki sposób widzą oni otoczenie, skoro cały czas mrużą oczy. Doszedł do wniosku, że to pewnie poranne słońce tak ich drażni. Niewiele rozumiejąc z ich

rozmowy i nie chcąc zostać zauważonym, stwór powoli wzbił się w górę lecąc w przeciwnym do ludzi kierunku. Minął gaj, o którym już wiedział, że składał się z roślin zwanych tutaj bambusem i wybrał kierunek ku wyższym wzgórzom.

Przez kilka kolejnych dni gryf krążył po krainie poznając coraz to nowsze jej zakamarki. Na swojej drodze spotykał więcej czerwonych, drewnianych konstrukcji, które widział pierwszego dnia, jednak starał się ich unikać woląc ograniczać możliwe spotkania z ludźmi. Poznając teren, gryf preferował trzymać się cienia i przyglądać się nowym stworzeniom, na które natrafiał. Pewnego dnia, ukryty między skałami obserwował, jak włochate stworzenia kąpały się w dziwnych sadzawkach z parującą wodą. Po zmroku jednak, gdy stworzenia odeszły, gryf podszedł bliżej chcąc zbadać sadzawkę. Gdy zapach siarki wypełnił mu nozdrza, wolął spędzić noc między skałami.

Po kilkunastu dniach wędrówki, odczuwaną poprzednio radość i ciekawość, zastąpiło uczucie niepewności. Teraz gdy przemierzał nieznany teren ogromnej wyspy, na której wylądował, ogarnęło go uczucie tak dobrze mu znane - samotność. Zachodzące słońce zaczęło barwić las czernią.

W momencie, gdy gryf zaczął szukać miejsca na spoczynek, pojawiły się przed nim małe ogniste kule. Ku zdumieniu gryfa, unosiły się w powietrzu tworząc oświetloną ścieżkę. Zahipnotyzowany ciepłym, błękitnym światłem podążył za nimi, aż do łąki, na której znajdowały się trzy głązy. Na

najmniejszym z kamieni siedziała nieznana postać. Podchodząc bliżej gryf dostrzegł męską ludzką twarz o delikatnych rysach i błękitne oczy ukryte za kotarą brązowych włosów. Spod kremowego kimona wyłonił się lisi ogon koloru pieczonych kasztanów, a w łapie mienił się jeden z ogników.

– Witaj. Kim jesteś? Nigdy nie widziałem kogoś takiego jak ty – powiedziała postać siedząca na kamieniu. Dzięki zwierzęcym cechom osobnika, gryf czuł się w jego towarzystwie swobodnie, podszedł więc bliżej i ruchem dzioba wskazał na niego.

– Ja? Słusznie, powinienem najpierw się przedstawić. Jestem Kitsune¹ o imieniu Asahi. A ciebie jak zwą? – gryf chcąc odpowiedzieć, wydał z siebie jedynie orli krzyk. Jednak Kitsune nie wydawał się tym zmartwionym.

– Dłuższą rozmowę będziemy musieli poprowadzić niestety jutro. Mój znajomy ptasi duch pomoże mi cię zrozumieć – powiedział uśmiechając się serdecznie.

– Zgubiłeś się może? – zapytał lisi demon. Nerwowy ruch gryfa dał mu odpowiedź, zaś czyste zainteresowanie w orlich oczach nasunęło mu pytanie.

– Ja się nie zgubiłem. Widzisz... czekam tutaj na kogoś. Może chcesz posłuchać mojej historii? – po raz pierwszy ktoś zadał gryfowi pytanie, dając mu jednocześnie wybór. Wdzięczność

1. Według japońskiej mitologii jest to lisi, zmiennokształtny demon. *(Wszystkie przypisy autorów opowiadań)*

oraz ciekawość zalała gryfa, który w odpowiedzi ułożył się obok Kitsune i utkwił w nim swoje spojrzenie.

– Dobrze, już mówię. Dawniej, gdy byłem w postaci zwykłego lisa, ciężko zachorowałem. Gdy leżałem nad rzeką nie mogąc się ruszyć, znalazło mnie ludzkie dziecko. Przyniosło mnie do niewielkiej jamy tutaj niedaleko i się mną zaopiekowało. Dziecko okazało się być chłopcem o wielkim sercu i bystrym umyśle. Codziennie przychodził do mnie, karmił mlekiem z ziołami i dawał wody. Po kilku dniach poczułem się lepiej, jednak nie odszedłem, a czekałem na niego i gdy tylko przychodził towarzyszyłem mu w jego wycieczkach i zabawach.

Gdy pora roku się zmieniała musiałem opuścić te tereny, zostawiłem wówczas w naszej jamce zwój dla niego. Napisałem w nim, że po dwóch pełniach księżyca wrócę. Obiecałem także, że w zamian za okazaną mi troskę, gdy tylko będzie w potrzebie, niech przyjdzie w to samo miejsce, a ja mu pomogę. Naliczyłem już pięćdziesiąt kwitnień wiśni, od kiedy widzieliśmy się ostatni raz, lecz złożyłem obietnicę, więc czekam – Kitsune zakończył swą opowieść głosem pełnym zarówno czułości do chłopca, jak i smutku oczekiwania.

Słowa te wywołały strapienie w oczach gryfa, z powodu uczucia pustki oraz zazdrości. Zazdrości o cel życia, który jemu został nadany, a następnie odebrany. Widząc to, lisi duch uśmiechnął się, zachęcająco klepiąc mech obok siebie.

– Jak chcesz możesz poczekać tutaj, razem ze mną – powiedział.

Czując ciepło rozchodzące się po ciele, gryf ostrożnie położył się pod skałą. Po raz pierwszy od dawna zasnął wiedząc, że gdy się obudzi nie będzie sam. Krótco po nim Kitsune także zasnął, wielce rad z dzisiejszego spotkania. Nie wiedział jednak, że to on jest darem dla gryfa, tak samo jak gryf jest wynagrodzeniem jego dotychczasowej samotności.

Miejsce II

Przygoda w izakaya

Joanna Roznerska

Na ostatnim roku studiów zapragnąłem razem z kolegą z wymiany założyć start-up i w tym celu niemal natychmiast podjąłem starania, by pozyskać rzetelnego japońskiego partnera. Prócz oczywistej bariery językowej dzieliła mnie jednak, czasami zdawać by się mogło wręcz kolosalna, różnica kulturowa.

Gdy rozpoczynałem poważne rozmowy z firmą pana Sato, okazało się, że posuwanie się w negocjacjach mimo szczerych chęci obu stron, nie następuje w tempie równo proporcjonalnym do naszego zapału. Przez długi czas czułem się jak linoskoczek, balansujący na linii rozmów, robiąc to dwa kroczki w przód to trzy w tył, oddalając się niechybnie od upragnionego porozumienia. Uczestnicząc w wymianie korespondencji odkrywałem jednak, jak bardzo fascynuje mnie samo podejście naszego przyszłego japońskiego partnera. Czułem, jak kruche są nasze ustalenia, choć nie wynikały one z niechęci lecz z braku jakiegoś wspólnego mianownika...

Okazało się jednak, że wreszcie skutecznie pomógł go nam odnaleźć właśnie mój kolega z wymiany – Keita. Tam gdzie moje pokłady biznesowego języka angielskiego się wyczerpywały, tam z ratunkiem pojawiał się on –

z pierwszorzędnym językiem japońskim. Ostatecznie mój native speaker rodem z Osaki wspiał się na wyżyny swoich umiejętności negocjacyjnych i... ku naszemu obopólnemu zdziwieniu, wreszcie przełamał impas listowych i elektronicznych wiadomości, na rzecz zorganizowania bezpośredniego spotkania w Tokio.

Mając dwa tygodnie do odlotu, jako typowy *gaijin* przeszedłem przyspieszone szkolenie od Keity, by już w Kraju Kwitnącej Wiśni, zachować się bądź co bądź godnie i nie zniweczyć naszych ambitnych planów. Szczegółowo przygotowany harmonogram wizyty zakładał około tygodniowy pobyt. Każdy dzień wypełniony był niemal po brzegi atrakcjami, zbliżający się termin odlotu wywoływał więc we mnie niemałe podekscytowanie. Nigdy nawet nie spodziewałem się, że wybiorę się w tak daleką i przede wszystkim tak ważną dla mnie podróż. I choć czułem, jak wiele zależy od mojej obecności w przedstawicielstwie firmy pana Sato, niepokój ustępował chwilami fascynacji Dalekim Wschodem.

Keita natomiast, pomimo nadchodzących niechybnie ciężkich chwil negocjacji twarzą w twarz, wydawał się nad wyraz spokojny i wręcz z lekkim rozbawieniem zaczął podchodzić do mojej lawiny pytań. Apogeum mojego podekscytowania i nerwowości przypadło na mniej więcej dziesiątą godzinę lotu do Tokio. Wtedy jednak Keita zaszczycił mnie już tylko

uprzejmym spojrzeniem i powrócił do lektury zabranej na pokład książki Sapkowskiego.

Gdy wylądowaliśmy na lotnisku Narita drżały mi ręce i kolana. Częściowo ze strachu (nie jestem zbyt fanem podniebnych podróży), częściowo z nadmiaru kofeiny, którą z uporem maniaka, serwowałem sobie na podkładzie. W trakcie przelotu udało mi się uciąć może dwie, góra trzy drzemki, stres nie pozwalał mi jednak wypocząć. Wsiadając za Keitą do czarnej taksówki już spodziewałem się piorunującego uderzenia jetlagu. Póki jednak ten nie nadszedł, chłonałem widoki porannego Tokio jak gąbka.

Zauważyłem rzecz jasna architekturę i imponujące estakady, jednak to sznur ludzi wynurzających się ze stacji metra, cierpliwie czekających na przejściach dla pieszych w starannie zachowanym porządku, wydawał się bardziej przyciągać moją uwagę. Dalej zainteresowały mnie nieco zabawne, prostokątne samochody, przemykające zwinnie w korku i odnajdujące w gęstej sieci budynków mikroskopijne miejsca do zaparkowania. Zaintrygowały mnie także starsi panowie, ponaglający z niezwykle zaangażowaniem ruch na parkingu zdecydowanymi sygnałami rąk i gwizdków. Poczulem się jak obcy trybik w doskonale zsynchronizowanej maszynie.

Nasz taksówkarz, choć zachowywał się nienagannie w swoich białych rękawiczkach, z pewnością musiał wewnątrz czuć niemałe zażenowanie nawet nie tyle z powodu mojego

zaciekawienia otoczeniem, jak zauroczenia samym wnętrzem taksówki! Co za wnętrze, a te fikuśne koronki...

Keita chichotał pod nosem i przewracał oczami poszukując czegoś w telefonie, a ja próbowałem jednak przypomnieć sobie tych kilka zasad, dzięki którym miałem nie robić z siebie *baka gaijin* w oczach tubylców.

Nasz studencki start-upowy budżet nie przewidywał luksusów – sam koszt przelotu był dla nas niemal nie do udźwignięcia, z ulgą przyjęliśmy więc informację, że przedstawicielstwo firmy pana Sato zabukowało dla nas pokoje w hotelu. Tak hojny gest pozwalał nam myśleć o przyszłej współpracy w coraz cieplejszych barwach. Pan Sato zdawał się mieć na uwadze nasz komfort i, jak ustaliliśmy to wcześniej w harmonogramie, umówił termin naszego pierwszego osobistego spotkania dopiero na wieczór po naszym przylocie. Czując spadek stężenia kofeiny we krwi byłem mu za to bardzo wdzięczny i nawet pozwoliłem rozsądkowi dojść do głosu, zaczynając szykować się do całodniowego odespania podróży. Keicie udzieliło się chyba moje zmęczenie, zapowiedział jednak, że nim zaśnie, naniesie kilka poprawek w dokumentach, które miał przekazać panu Sato jeszcze tego wieczora.

Przebudzenie, po niemal jedenastu godzinach snu około 21:00 było ciekawym doświadczeniem. Przede wszystkim – gdzieś uciekł mi bezcenny dzień, kiszki grały marsza, a w głowie dudniło – ot, ktoś by rzekł, pobudka niczym w zwyczajny dzień

w akademiku. Tym razem czułem jeszcze dodatkowo łaskotanie adrenaliny, do naszego spotkania zostało bowiem coraz mniej czasu, byłem więc wyjątkowo niespokojny.

Keita także przestępował nerwowo z nogi na nogę, gdy wspólnie oczekiwaliśmy na przystanku metra na najbliższy pociąg w kierunku Harajuku. Jakież byłem wdzięczny, że miałem ze sobą tak dobrego przewodnika. Chyba nie byłem jeszcze dość obudzony by pojąć, w jak przeogromnym mieście się znajduję – ku mojemu zaskoczeniu nie czułem się nim jednak zbyt przytłoczony, ba – ogarniało mnie momentami większe niż zazwyczaj poczucie bezpieczeństwa. Mimo wszystko z pewnością nie pozwoliłbym sobie na takie spostrzeżenia, gdyby nie Keita. Widać było, że jest mocno skoncentrowany na czekającym nas spotkaniu. Wszystkie prozaiczne zadania związane z przejazdem wykonywał wręcz mechanicznie – dla mnie jednak każda czynność bez jego udziału byłaby jak zagadka, której rozwiązania tym bardziej wcale nie ułatwiłby brak znajomości języka japońskiego. Wyłonienie się z podziemi dworca przy stacji Harajuku tylko dopełniło dezorganizacji mojej percepcji. Stałem jak wryty i zamarłem wpatrując się w chmarę ludzi przemieszczających się wokół. Keita wychwycił moje zakłopotanie i nakierował mnie na boczną uliczkę, w której wkrótce się skryliśmy.

Spacer do *izakaya*, w której umówił spotkanie pan Sato, zajął nam nieco czasu. Po drodze otaczający nas tłum przerzedł,

w końcu mijaliśmy tylko sporadycznie niewielkie grupki młodych ludzi i kilku nieco zbłąkanych *salarymanów*. W końcu Keita skręcił w jeszcze mniejszą uliczkę, wśród której ukryty był nasz cel. Podczas drogi Keita wyjaśnił mi, że *izakaya* to swego rodzaju japoński odpowiednik angielskiego pubu. Spoglądając na wejście do naszego lokalu odniosłem jednak zgoła inne wrażenie. U wejścia znajdowała się schludnie zapisana zasłona – *oren*, skłaniająca przekraczających próg gości do delikatnego ukłonu się zebranych w pomieszczeniu. Wnętrze jeszcze bardziej odbiegało od moich wyobrażeń. Przyzwyczajony do głośnej muzyki, gwaru i przestrzeni, zdziwiłem się, gdy cały “pub” okazał się być jednym pomieszczeniem z kuchnio-barem w środku i okalającym go długim bufetem. Dodatkowo przygaszone światło, zapach starej boazerii zmieszany z aromatem przygotowywanych potraw i wszechobecne dekoracje z ery *shōwa* nadawały *izakayi* wrażenie bardzo przytulnej.

– *Irasshaimase!* – wykrzyknął szef tego przybytku, zamasyście przecierając blat tuż przed nami.

Zaskoczony chyba aż nawet podskoczyłem, przy okazji spostrzegając, że przygląda mi się czwórka gości lokalu – kobieta (na oko 35-letnia), zabiedzony student, łapczywie przeżuwiający *salaryman* i... pan Sato!

Nasza rozmowa szła koncertowo. Wyuczone formułki grzecznościowe powoli przeradzały się w coraz zabawniejszy

ton. Pan Sato, dotychczas znany nam raczej z poważnego tonu korespondencji mailowej, okazał się być w bezpośredniej rozmowie dość odważnym 40-latkim o młodzieńczym usposobieniu. Wkrótce nalewaliśmy sobie nawzajem chłodne Asahi, poznałem również nawet kilka zabawnych alkoholowych piosenek! Szef kuchni serwował nam pyszne przekąski – Keita pałaszował mielony kotlet wieprzowy *menchi katsu*, ja zaś skosztowałem tradycyjnego *curry rice*. Lokal zdążył już opuścić wychudzony student, chyba speszony naszą obecnością. Kobieta sączyła wino i zdawała się zupełnie nas ignorować (choć widziałem jej ukradkowe spojrzenia), siedzący zaś po mojej prawej stronie *salaryman* od czasu do czasu (zapewne pod wpływem uroku trzymanego w dłoni drinka), zagadywał nas łamanym angielskim. Atmosfera robiła się coraz bardziej rodzinna, a gdy brakowało nam zdolności lingwistycznych, doskonale porozumiewaliśmy się na migi.

– Niesamowicie się cieszę, że w końcu udało nam się spotkać. To wspaniale, że nasze dwie kultury może połączyć biznes! Czy wszyscy zgodzicie się aby wznieść za to wspólny toast? – zaproponował zebranym pan Sato.

– *Kanpai!*

– *Kanpai!* – krzyknęliśmy wszyscy zgodnie.

I nagle mój świat się zatrzymał. Być może zadziałało zmęczenie – nie dający się tak łatwo oszukać jetlag. Może winny temu był nawet już nie tak słaby alkohol, który z coraz większym

zapałem serwował nam szef kuchni. Przetarłem oczy i rozejrzałem się wokół. Pomieszczenie, w którym się teraz znajdowałem, choć do złudzenia przypominało tę samą *izakaye*, miało jednak zgoła inną klientelę.

Ta dotychczas dość spokojna, na oko 35-letnia kobieta, wpatrywała się teraz we mnie wzrokiem bazyliuszka, chichocząc i zakrywając twarz pięknym szalem. Zamiast schludnej bawełnianej sukienki miała na sobie dystygowane kimono. Kiedy zdążyła się przebrać? Z kolei *salaryman* wydawał się nieco zbyt wielki jak na swój, jeszcze przed chwilą idealnie skrojony, granatowy garnitur. Spod rękawów wystawały mu szczeciny włosów. Wyrażnie zmęczony przymknął sennie oczy, oparł głowę na kosmatej dłoni i drapał się leniwie...po trzech wystających mu z głowy rogach. Obsługujący nas szef kuchni, zamarł w pół kroku jakby był nakręcaną zabawką, nie zabawnym staruszką, i z podniesioną ręką wciąż wznosił toast na naszą wspólną cześć. Podobnie Keita utknął pomiędzy jednym a drugim kęsem swojego kotleta.

– Co tu się, u licha, wyprawia? – szepnąłem do siebie, czując jak z nerwów robi mi się przeraźliwie zimno.

– A co ma się dziać? – mruknął pan Sato potrącając moją szklankę z drinkiem i wzruszając pływające w nim kostki lodu.

– Zupełnie nie wiem, o co ci chodzi – jakoś pokrzepiła mnie świadomość, że chociaż jeden z moich kompanów zachowuje się z pozoru dość normalnie.

– Panie Sato, czy ta kobieta nie wydaje się dziwna? – konspiracyjnie nachyliłem się w jego kierunku.

– Cóż, nie za bardzo...

– Czy jestem piękna? – zapytała znienacka. Nie bardziej niż jej głos zdziwił mnie fakt, że zacząłem doskonale rozumieć język japoński. Co było w tym drinku?

– Czy jestem piękna? – ponowiła dama, głaszcząc swój szal.

– Ach, no tak, zastanów się dobrze zanim odpowiesz – poklepał mnie po ramieniu pan Sato śmiejąc się rubaszenie

– Naturalnie jest pani bardzo piękna – odpowiedziałem nieco onieśmielony. Kobieta zaś wyraźnie się rozpromieniła, filuternie mrużąc oczy.

– Bingo! – krzyknął Sato, lekko odchrząkując.

– *Kuchisake onna* raczej nie lubi innych odpowiedzi.

Kobieta straciła animusz i zaczęła wpatrywać się złowieszczo w mojego kolegę.

– Twoja przemila rozmówczyni, mój drogi gościu z dalekiego kraju, to szramousta kobieta – wyjaśnił pan Sato.

– Podchodzi czasami do takiego biednego delikwenta i pyta czy jest piękna, a potem...

– Zrzucam swój szal i prezentuję swój przepiękny uśmiech! – wykrzyknęła.

O jej uśmiechu można było powiedzieć wiele, ale z pewnością nie to, że był piękny. Od ucha do ucha na jej twarzy rozciągała się krwista rana pełna ostrych jak brzytwa zębów. Ten

złowieszczy uśmiech szczerzył się, nadając kobiecie wygląd zbliżony do potwornej morskiej ryby. Coś we mnie zamarło.

– Naturalnie, nawet zagraniczny dżentelmen wie, że nie można odmówić kobiecie urody – ciągnął tonem znawcy pan Sato. – W przeciwnym bowiem razie pani szramousta może i jego na swój wzór okaleczyć, ot taka historia!

Wyczuwając zdecydowanego kuksańca wymierzonego przez mojego współrozmówcę wyczułem, że nadszedł czas na jakieś konkretne działanie. Udało mi się tylko ponownie wydukać:

– Co za piękność, naprawdę... *Kuchisake onna* zakryła znów twarz swoim szalem i z westchnieniem powróciła do sączenia wina z kieliszka.

– Phi, zero poczucia humoru, też mi rozrywka – wzruszyła ramionami. Potężne czknięcie po prawej odwróciło moją uwagę od naszej dramatycznej towarzyszki. Tuż za czknięciem pojawiło się także przeciągłe beknięcie.

– Szefie, *omu rice* raz jeszcze! – wysapał salaryman... Albo ktoś, kto jeszcze przed chwilą nim był.

– Noooo, może już ci wystarczy *Shutendōji*? – zaśmiał się pan Sato.

– Mały...pijak...? – sam sobie przetłumaczyłem, wprawiając siebie w niemałe zdumienie.

– A na kogo innego ci niby wyglądam co? – warknął *Shutendōji*, zrywając się na równe nogi. Dopiero teraz spostrzegłem jaki jest

wielki. Jego nieco purpurowa twarz pokryta była krostami, miał wylupiające oczy i zabawne wąsy. Wszystko składało się na dość pokraczny widok, biorąc pod uwagę starannie zawiązany krawat na jego szyi.

– Jam jest *Shutendōji*, syn smoka Yamata no Orochi! Władca zbójców z Ibarakidōji, postrach całego Kioto!

– Ogr *oni* i do tego pijak jakich mało! – zarechotał Sato. – Czasami trzeba sobie odreagować ciężką pracę?

– Oj, co fakt to fakt! – cała *izakaya* roześmiała się w głos.

Mój start-up, moje wyzwanie, moja daleka podróż, moje marzenia – paradoksalnie to wszystko wydawało mi się teraz snem, zaś ta wesola kompania była nieomal rzeczywista! Jak bardzo chcę się obudzić, to przecież musi być fantazja!

– Keita, proszę cię, powiedz coś, Keita! – zacząłem nerwowo szturchać zastygłego kolegę. Ten jednak ani drgnął, a moi nierzeczywiści towarzysze coraz bardziej zanosili się śmiechem.

– Panie Sato, to chyba jakieś nieporozumienie, być może zaszkodził mi drink... – pan Sato chichotał jednak w najlepsze pochylając się do przodu nad barowym blatem.

Nagle, z głuchym stuknięciem przesunęły się drzwi wejściowe do *izakaya*. A w drzwiach, stanął nikt inny...jak właśnie pan Sato. Tego było już dla mnie za wiele. Zerwałem się na równe nogi i rzuciłem oskarżycielskie spojrzenie na mojego zgiętego w pół dotychczasowego towarzysza rozmów. Głowę

znad blatu nie uniósł jednak mój przyszły partner biznesowy, lecz...

– Jenot? – wysapałem bezgłośnie.

Keita zakrztusił się kotлетem, szef kuchni wreszcie wychylił wznoszony długo kieliszek, nieco podchmielony *salaryman* oblał swój perfekcyjny garnitur piwem, a kobieta (na oko 35-letnia) zaczęła, jak gdyby nigdy nic, stukać paznokciami o kieliszek wina.

– Przepraszam was za spóźnienie. – Powiedział prawdziwy Sato, uśmiechając się do mnie porozumiewawczo i wypuszczając przez drzwi spłoszonego, sprytnego *tanuki*.

Miejsce III

Lalkarz

Weronika Wiertelorz

Samotny mężczyzna żył na swoim poddaszu w strachu przed ludźmi i ich uczuciami. Uważany za degenerata i pozbawionego jakiegokolwiek moralności wariata, oddawał się swej ukochanej sztuce – tworzeniu lalek. Lalkarz zarywał noce pieczołowicie dopieszczając każdą rysę na policzku, każdy drobniutki pieg na nosie i każdy blond kosmyk swojej najpiękniejszej, porcelanowej laleczki. Przy niej po raz pierwszy w jego sercu i umyśle zagościły wiążące ludzi uczucia, tak obce opuszczonemu mężczyźnie. Jednak jego cudownej laleczce było przeznaczone umierać ilekroć lalkarz na nowo wplątywał w jej serce czerwoną nić. Gdyż nigdy tak naprawdę nie była zdolna do tego, by kochać kogokolwiek i cokolwiek, nawet dar podarowanego jej życia.

Zwali go Lalkarzem, jako że dniami i nocami siedział zamknięty w swojej pracowni, rzeźbiąc drewniane lalki. Niektóre z nich były materiałowe lub porcelanowe, jednak te zamawiane były przez niego od lokalnych dostawców. Szył im piękne ubranka na miarę, wycinając przeróżnej wielkości płyty z kolorowych materiałów. Następnie przyszywał im lub doklejał

galki oczne oraz pochodzące od zwierząt włosie. Ubierał je wtedy i ustawiał na drewnianych krzeselkach w witrynie sklepowej.

I tak każdego dnia, precyzyjnie obchodząc się z drobnymi rączkami i czarnymi bucikami ze skóry. Nocą jednak, gdy całe miasteczko pogrążone było we śnie, on siadał w swym fotelu przy kominku i pijał gorzką herbatę ze zdobionej filiżanki. Odpoczywał wpatrzony w iskrzący się ogień i czekał, odliczał sekundy, minuty oraz godziny.

Wybiła północ. Fotel zaskrzypiał pod wpływem ruchu, a sylwetka mężczyzny odbiła się cieniem na ścianie, gdzie dumnie wisiało srebrne zwierciadło. Lalkarz podszedł do starego, wyrzeźbionego w drewnie kredensu pomalowanego na biało. Drzwiczki uchyliły się lekko, a spracowane dłonie wyjęły mały słoiczek i zamknęły z powrotem szafkę, urywając szepty nocnych duchów schowanych w środku. Odwrócił się i podszedł tym razem do stołu roboczego. Tuż obok maszyny do szycia i kartonu farb i włosia. Usiadł na krzeselku, zapalił wysoką świecę rozświetlającą półmrok i wysunął boczną szufladę, wyciągając swoje ostatnie dzieło.

Głowę doskonałej laleczki o oczach głębokich, jak rzeka Han-Gang, policzkach słodko obsypanych piegami niby czekoladowymi kropelkami w świeżo upieczonych ciasteczkach. Miała blond kosmyki i różowawe usta. Lalkarz pogładził ją troskliwie po jasnym policzku.

Wstał z miejsca i zbliżył się do korpusu lalki siedzącego na maszynie do szycia. Była już ubrana w czerwony kubrak i czarne spodnie oraz brązowe pantofelki. Brakowało jej tylko dwóch elementów. Mężczyzna delikatnie odłożył głowę na bok i sięgnął po słoik, który odkręcił. Wziął do rąk szczypce, którymi wyłowił jasnoróżową tkanę. Serce świni. Ostrożnie wyciągnął narząd ze słoika i przyjrzał się mu w blasku świecy. Precyzyjnie unióśł je nad korpuśm, wsuwając serce przez górny otwór. Drugą dłonią sięgnął po igłę i nabitą na nią czerwoną nić, przebijając ostrym szpikulcem błonę narządu. Naciągnął nitkę i obwiązał ją wokół wcześniej przymocowanego drutu. Kiedy skończył, odłożył szczypce i ponownie unióśł głowę. Nałożył ją na korpus, troskliwie gładząc jej klatkę piersiową, która pod wpływem jego dotyku delikatnie się uniosła i opadła. Lalka powoli rozchyliła powieki i spojrzała swojemu stwórcy prosto w oczy. Ten uśmiecłnął się i podał jej swoją dłoń.

– Witaj, mój piękny – uklonił się swojemu dziełu.

Lalka zamruwała ostrożnie i rozejrzała się po pomieszczeniu. Nie wyglądała ani na smutną ani na szczęśliwą. Tak, jakby ktoś odebrał jej możliwość wykrzywania swych warg w dowolny grymas. Mężczyzna pomógł jej, a raczej mu, stanąć na własnych, porcelanowych nogach. Mimo, że jego korpus nie został własnoręcznie wykonany, Lalkarz i tak był dumny ze swojej pracy. Od dawna ćwiczył rzeźbienie głowy,

a dotychczasowe dzieło zachwycało najbardziej ze wszystkich jego prac.

– Nazywasz się Momdzu, prawda? – zapytał Lalkarz.

Laleczka ponownie zamrugła i rozchyliła swoje usta po raz pierwszy.

– Tak.

– Jesteś piękny i taki delikatny – zachwycił się pełen podziwu mężczyzna. Mocniej złapał go za dłoń i pomógł postawić pierwszy krok w swoim krótkim, dopiero co rozpoczętym życiu. Momdzu koślawo podniósł nogę, odkładając ją w wolne miejsce przed sobą. Zrobił tak drugi raz i trzeci, ucząc się nowej zdolności chodzenia, aż dotarł do półki pełnej jego braci i sióstr.

– Kim oni są? – zapytał, przekrzywiając zaciekawiony głowę.

– To moje inne dzieła. Nie są tak dobre jak ty, ale trzymam je tutaj na pamiątkę.

Po raz pierwszy udało mu się ożywić lalkę przy pomocy świńskiego serca. Nie potrafił ukryć swojej radości. Przeprosił swoją laleczkę i wrócił do stołu, na którym leżał stary notes owinięty w skórę. Mężczyzna wziął do ręki pióro i zamoczył jego końcówkę w atramencie. Zapisał kilka uwag na pożółkłym pergaminie, zaznaczając kluczowe informacje o Momdzu. Do jego ożywienia potrzebował jedynie serca niedawno zabitej świni, życiodajnej czerwonej nici i garści sproszkowanych zębów zmarłych ludzi. Ostatnia laleczka nie przeżyła nawet pięciu

minut, zawierając w sobie słabe, kurze serce i starte ziarenka kawy. Tamta receptura okazała się błędna.

Tak naprawdę nie był człowiekiem, ale nie był też jakimś szalonym czarodziejem. Takich jak on nazywano szamanami, dziećmi samych bóstw, czyli przodków koreańskich władców. Miał w swych dłoniach potężną moc, magię płynącą niebieskimi żyłami od serca aż do mózgu. Ów moc pozyskiwał dzięki mitycznym grzybom *pulloczho*, które jadały wszystkie magiczne istoty. Ludzie nie odróżniali ich od zwykłych kurek, jednak nie były one dla nich zagrożeniem. Wręcz przeciwnie, przypadkowe zjedzenie grzyba bogów wydłużało życie konsumenta aż o jeden dzień.

Lalkarz ukrywał swoją prawdziwą tożsamość, udając zwyczajnego twórcę lalek. Potajemnie pracował nad stworzeniem istoty do towarzystwa – laleczki noszącej w swoim porcelanowym ciele jednego z zagubionych duchów tego świata. Jako że wszędzie wokół chowały się mistyczne istoty o dobrej i złej naturze, będąc szamanem, potrafił je poskromić i nawiązać z nimi niewerbalny kontakt, a jego ukrytą umiejętnością było wkładanie zmarłych dusz w ciała swoich marionetek. Próbował w ten sposób pozwolić duchom żyć w zgodzie z ludźmi na jednej planecie.

Nie zawsze jednak miał do czynienia z dobrymi istotami, a do odpędzania tych złych służył mu starodawny bęben, gdyż wszystkie *tokkebi* (diabły) bały się głośnych

dźwięków. Ponownie zamoczył pióro w atramencie i zakreślił najważniejsze wyrazy, decydując się na skrócony opis Momdzu. Kiedy już skończył, odłożył wszystko i odwrócił się z powrotem do swojego dzieła. Dzieła, które ze spokojnym wyrazem twarzy zwisało na czerwonej nici owiniętej wokół swojej głowy, kołyszącego się, jak dzwoneczki na wietrze. Swojej ślicznej laleczki, która sama się zabiła, nie odczuwając żadnego uczucia, jak sensu czy radości z powodu daru życia. Dusza, która raz umarła, nie potrafiła ponownie żyć i żadna z laleczek nie miała prawa do osobliwego zmartwychwstania.

Wyróżnienie

Liminalni ze szczeliny pomiędzy

Anna Kokot-Nowak

Podczas przechodzenia z jednego stanu w drugi, zawsze może coś pójść nie tak. Jakiś nieostrożny gest, zawadzenie dłonią o jedną z kliszy bytu, potknięcie się o Ultima Thule, czyli mityczny kraniec świata, zahaczenie się o kanciaste, haczykowate imponderabilia codzienności. Nie można w takiej chwili – dla bezpieczeństwa, zawiesić swego bytu w istnieniu, ale trzeba zmienić nieco paradygmaty ontologiczne, mentalistyczne. Odtąd bowiem nic już wokół nas nie będzie takie samo...

Czasoprzestrzeń zakrzywi się jak szpon ptaszyska mrocznego z jakiegoś świata trupiego-lunearnego, zawiruje z soczystym mlasknięciem normalność dotychczasowa, rozhisteryzuje się płaczliwie rozsądek i egzystencji porządek. Wahadło szaleństwa zmiecie z powierzchni ziemskiej wszelką pospolitość i szablonowość, wywróci na nice kontynenty całe, ukáže wewnątrznie poplątane szwy, fastrygi humanoidów ziemskich. Naszpikowana irracjonalnością, gargantuicznie przerysowana rozmiarami Tuba Pradziejów – zawyje histerycznie, nowe obwieszczając tym prawa bytu tutejszego. Obróć się w perzynę wszelkie odwieczne normalności,

nudziarstwo przeciętności, banalności, na rękach zaczął chodzić zwykle dotąd horyzonty myślowe. Fikać będą doktryny, szpagaty zrobią prawidła dziejów, łukami mostków zadziwią moralności sentencje. Lunapark śmego i owego rozbłyśnie miliardami fajerwerków, zafurczy feerią wstążeczek różnokolorowych, zamiga brokatowo na wszystkie strony świata i zaświatów krainy najdalsze.

Oto pasmo ziemi niczyjej, kraina liminalności – czyli "bycia pomiędzy" – wszechpanująca, szalona, nieobliczalna. Tu wszystko stać się może, co w rozumie świata doczesnego się nie mieści. Wędruje owo „pomiędzy” po mapie świata całego, w zależności od nastroju zatrzymując się raz na tym, raz na innym kontynencie upatrzonym. A jak już jaki w kolorowe szpony absurdu pochwyci, zaraz z nim wyczynia różne cudaczności, od których w głowie się kręci, a rozsądek jeździ po zwojach mózgowych, jakby pędził szalonym rollercoasterem paralogiki. Irracjonalność zostaje wprzęgnięta w wóz z szaleństwem i powozi nim z istic diaboliczną fantazją.

Tym razem szpony wczepiły się w łańcuch wysp na zachodnim Pacyfiku, czyli Japonię. Potrząsają nią jak marionetką z teatru *kabuki*, oplatają mackami nedorzecznosci, bezwładną kakofonią dźwięków z „tere-fere” na czele, niteczkami psikusów frywolnych. W kokon ciasny japońskie wysepki owijają, lulają je jak jakiegoś noworodka wrzaskliwego,

w beciku skrępowanego czterokończynowo, metamorfozy pokątne przy tym czyniąc.

A gdy już wszystko, co pozornie niemożliwe możliwym się okaże, wnet coś się w kokonie wylęgać zaczyna, popiskując cichutko. Majta już oto w jego wnętrzu odnóżami dziwacznymi, kokosi się, ścianki kokonu miętosi, rozpycha się, kopie i wierzga buńczucznie. Gdy zaś czas właściwy nastanie, wyskakują z kokoniastego wnętrza cudaczki sprytne, zwane po japońsku *yōkai* – byty osobliwe z pogranicza wszelakiego. Toż ponoć zwykle, domowe sprzęty (*kibutsu*), które gdy tylko skończą sto lat, przeobrażają się, modyfikują. *yōkai* w szpary istnienia włożą najmniejsze, w szczeliny bytu wszelakiego, w przedstonki egzystencji miniaturowe.

Szczególnie upodobały sobie mosty najróżniejsze, tunele zakręcone i ciemne, rozdroża tajemnicze, granice rzeczywistości rozmaite. Wszystkie te miejsca przecie w sumie najczęściej nie wiadomo do kogo należą, jakie siły i moce je kontrolują – patrolują. Dziwadła zwykle o zmierzchu ujawniają swe jestestwa liczne, odmiany bytu najcudaczniejsze, bo to egzystencje krepuskularne, czyli wieczorne, zmierzchowe, półmroczne. Woale szarości wyślizgujące się o zmierzchu ze swych kryjówek, azylów i schronów ponurych najwyraźniej je ośmielają, aktywizują, pobudzają do działania, igraszek, metafizycznych swawoli do woli.

Bacz człowiecze, bo możesz natknąć się na wędrujący korowód pstrych i absurdalnych *yōkai*. Jeśli to moment przejścia pomiędzy starym a nowym rokiem – przed oczyma przecwałować ci może koń bez głowy, czyli *kubi-kire-uma*. W innym czasie na rozdrożach życia towarzyszyć ci może ptak o smutnym głosie, czyli *nue*, hybryda z głową małpy, łapami tygrysa i ogonem węża, połączonych oto poprzez ogon tułowiem ohydny zmiennokształtnego jenota, czyli *tanuki*.

Gdy zaś burza nastaje nad japońskimi wyspami, w czasie błyskawic moc swą objawia *raijū*, czyli bestia błyskawic. Dawniej w kształcie i rozmiarach podobna do zmutowanej wiewióry, łasicy, wielkiego kota syczącego wściekle lub nawet wrogo szczerzącego zębiska psa. Od niedawna *raijū* kojarzony jest raczej z nadrzewnym, niewielkim ssakiem *hakubishin* (łaskuna chińskiego). Humanoidzie nieostrożny, patrz tedy jeszcze uważnie pod nogi, bo wyskoczyć z ukrycia może *itsuchinoko*, czyli grubaśny, krótkasny stwór, przypominający cielskiem węża, toksyczny ponoć nawet po definitywnym odcięciu łba, syczącego przekleństwami. Może i nawet mógłby taki bezgłowy być bardziej milusi, ale przecież, jak uczy nas mądrość wieków: “*Consuetudo (quasi) altera natura*” – przyzwyczajenie to (jakby) druga natura.

Nogę więc stawiaj ostrożnie, z rozważą, po dumaniu wnikliwym, pomyślunku roztroptym. Jeśli przeżyjesz inwazję wszędobylskich organizmów *yōkai*, nie ciesz się zbyt szybko

z tego sukcesu wątpliwego. Zdarzyć się może przecie i coś innego w twym życiu niemrawym, nudnawym, w twojej doli codziennej, niezmiennej. Gdy bowiem bezmyślnie przyłożysz tylko głowę do poduszki mięciutkiej, okazać się może, że obudzisz się jako... Cóż, bądźmy brutalnie szczerzy: całkiem przeciętny Japończyk, który wypadł raptem z wirującego leja maszynki do miksowania snów, uderzając się przy tym boleśnie w tył głowy. Ot, taki Takashi (czyli w języku japońskim „godny pochwały”), postury mikrej, pokurczonej ździebko, nieodmiennie skośnookiej, z brzuchem nafaszerowanym ryżem i zupiną miso z warzywami i tofu...

Jegomość ów – pan Takashi, wiedział doskonale, że zasypianie to rodzaj małej śmierci, świadomość przecież jest, a potem zanika, demony budzą się i przecierają oczy, a już *yōkai* to wprost zacierają z uciechy odnóża złośliwe. Jeden zaś szczególnie mocno: aż ogień z nich krzesze, iskrami strzela. To *makura-gaeshi*, czyli „przekładacz poduszki”. Różne ów trefniś ma oblicza. Według jednych podań podobny jest z wyglądu do małego dziecka, więc nazywa się go też *makura-kozō*, „poduszkowym urwisem”. Według innych – przybiera kształt domowych duchów, więc często mówi się na niego *zashiki-warashi*.

Oj, myliłby się ten, kto by uważał, że spanie to w Japonii prosta czynność! Trzeba przecież kłaść się tak, by uniknąć leżenia z głową i poduszką skierowaną na północ. Taki układ tak zwanej „północnej poduszki” (*kita-makura*), zarezerwowany jest bowiem dla wszelkiej maści umarlaków i doszczętnie strupieszale jednostki (już nieludzkie). Kto by jednak poduchę obracał tak zadziornie, że w czasie snu nocnego kierunek północny wskaże, liczyć się musi z tym, że śmierć wabi, przyzywa, prowokuje.

A kto się zaś zaświatom zbyt jawnie przygląda, spodziewać się może, iż one mrugnięciem znaczącym mu odpowiedzą, wyciągną ku niemu kościotrupią swą dłoń, poddaną zaawansowanemu *putrefactio* – czyli procesowi gnilnemu i ku cmentarzowi go powiodą. Poduszka to niebezpieczna materia, ku światom oddalonym przenosząca, ku tajemniczym galaktykom wiodąca. Choć taka mięciutka i kojąca zmęczenia całodniowe, jest jednak przecież rodzajem progu, przez który człek śpiący przechodzi do świata odległego.

Nawet kiedy w przeszłości Japończycy nie używali poduszek, tylko twardy klocek w formie wałka, przedmiot ów uważano za rodzaj magicznego transportera do krainy milionów odśłon snów. Wewnątrz wałka lub pod nim wkładano bowiem kadzidło, które miało aromatami ulotnymi sny przyciągać całymi długimi pasmami, jakby je kto nawinął na jakąś gigantyczną szpulę.

Kiedy więc pan Takashi zasypiał – wiedział doskonale, że traci w tym momencie nad swym ciałem władanie. Nie obudzi go tak łatwo ani taniec siedmiu gejsz, ani słodkie dźwięki ich gry na “strunach trzech smaków”, czyli *shamisenie*. Umysł pograży się w sennej magmie, a dusza odłączy się od fizycznego ciała – brykać będzie wszędzie i nigdzie. Poduszka zaś grzecznie i pokornie leżeć ma pod głową śniącego, otoczona szacunkiem bezruchu, ewentualnie tylko najbardziej powściągliwych gestów. Jeśli zmieni do rana swe miejsce położenia, to jakby świat cały zmienił swe miejsce pobytu.

I jeszcze duch, który w czasie snu wyszedł na swobodną przechadzkę po bezkresach nieskończoności, może nie wrócić do ludzkiego odwołu pochrapującego. Jeśli poduszka potasowana rękoma demona, zmięta i zniekształcona, jak duch ludzki, odszuka ów portal w poduszce, przez który ponownie do wnętrza człowieka wniknie? Gdyby mu się to jednak szczęśliwie udało, *makura-gaeshi*, „przekładacz poduszki” – podczas innej nocy może jeszcze zaatakować.

A jak żyć dalej bez duszy, z pustym jestestwem, wypatroszonym wnętrzem swej intymności? Takashi nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, bo jego duch posłusznie powracał do swoich cielesnych włości. Widać najwyraźniej dobrze go karmił – nie tylko sushi i kluskami *dango*, ale też kanapkowym *onigiri* czy *daifuku*, czyli ciastem ryżowym (*mochi*), faserowanym słodkim wsadem z czerwonej fasoli i miodu. Często przemawiał

też do niego czule (gdy wiedział, że przez nikogo nie jest obserwowany), opowiadał zabawne historyjki i palił na jego część wonne kikutki kadzidełek nieomal w każdej napotkanej przez siebie świątyni. Udobruchany duch posłusznie więc do niego wracał, niczym umiejętnie rzucone ringo.

Pewnego dnia jednak przecież mogło pójść coś nie tak... Tak, Takashi zdecydowanie umiał się w życiu ustawić... Nawet udobruchał samego *baku* – czyli zjadacza snów. Wyszkolił tego *yōkai* tak umiejętnie, że ten w podzięce zjadał znad jego głowy wszelkie sfermentowane, toksyczne złe sny. Łykał bez narzekania nie tylko ponure wizje senne, niespokojne lunatykowania i depresje nocy ciemnych, ale także zwykłe, gorzkie, ordynarne horrory. Dodatkowo jako wierny strażnik chronił swojego Takashi podczas pobytu w krainach wyśnionych, wymarzonych, zaświatach odległych, po czarnych dziurach rozpełzłych. Krzepę miał ów *baku*, że ho, ho! Mocne zębiska, kości na nacisk największy odporne, a jego mocz ponoć rozpuszczał nawet żelazo i przeobrażał je w wodę. Któż może przypuszczać jak wygląda ta unikatowa hybryda? Księgi jakieś omszałe (za sprawą wilgoci hektolitrów Pacyfiku) – przechowują wpisy pradawne, jakoby *baku* przypominał chimere – z ogonem wołu i łapami tygrysa. Ot, taki zoologiczny kolażyk niewinny...

Gdy dzień nastawał jasny i *yōkai* powyższe z nocnej warty schodziły, zaraz na ich miejsceienne wersje widm,

mamideł, zjaw, odmieńców, upiorów, złośliwych skrzatów, czy upiornych zwierząt się pojawiały. Surrealistyczna wnęka obok jakiegokolwiek mieszkańca Japonii (ale przecież nie tylko) nie mogła być pusta. Więc gdzie i Azjata jaki w domostwie swym się budził, tam zaraz czasoprzestrzeń dziwnie się wybrzuszała, wydymała, deformowała.

Czas zespulowywał się wściekle i ścierał na tarce absurdów. Irracjonalność kręciła na biodrach obręcz hula-hoop, nonsensy skakały przez niewidzialną skakankę, zaś alogiczność tańczyła z maczugami. Tworzył się istny jarmark osobliwości, paranoiczny lunapark szaleństwa! A cała ta świta pozaracjonalna taki hałas generowała, że istnienia swego w żaden sposób ukryć nie mogła. Szmary więc po domu zaraz jakieś biegały, odgłosy dziwne głośno tupały, szurało coś po kątach, chrobotą cichaczem. Japońskie ucho wszystko to wychwytywało i zaraz interpretowało owe znaki: to *yanari*, słynne niewyjaśnione odgłosy z głębin mieszkania. Oto mieszkamy w dźwięczącym, świszczącym domu! My Europejczycy nazwalibyśmy te odgłosy raczej mianem *poltergeista*.

O świecie słyszał więc Takashi odgłosy przesuwalnych ścian *shoji* i *fusuma*, bo mieszkał w starym, japońskim domu, który mógł emitować ową kakofonię dźwięków najrozmaitszych. Gdyby przekonał oczy, być może dostrzegłby malutkie, antropomorficzne istotki, pukające w drewniane belki, drapiące

w podłogę. Racjonalny rozum jednak mu na to nie pozwalał... Nawet piąta klepka była przeciwna, a ta jak wiadomo – rzadko bywa taka rozsądna... Zwykle trzaska gdzieś w czasie bezwładnie i do szaleństw wariackich zachęca.

Zanim Takashi ugrzązł na długie chwile w ceremoniale parzenia zielonej herbaty, prawie potykał się o innego *yōkai*, rzucającego się mu złośliwie pod nogi z najciemniejszego kąta pokoju. Był to *kasa-bake*, „parasolkowy potwór”. Cóż, wyglądał całkiem jak... japońska parasolka, a więc kuśtykał na bambusowej nodze w sandale *geta*, szeleszcząc – szumiąc swą całą istotą z natłuszczonego papieru. Miał dwie łapki, ale już tylko jedno cyklopowe oko i długi, zwinnie jęzor, którym wywijał jak wyszkolony cyrkowiec. Och, na pewno też był stary i wiekowy, przekroczył sto lat.

Zgodnie z przytoczoną tu już teorią, miał prawo zamienić się w zabawnego chochlika *yōkai*. Tylko dlaczego próbował złamać nogę swemu gospodarzowi, ciut zaspanemu porannie panu Takashi? Może z zazdrości, że ten dysponuje aż dwiema sprawnymi nogami? I nie musi się przy tym użerać z nie całkiem w końcu wygodnym sandałem *geta*? Jakby mu tak połamać nóż, zaraz by może spokojniał i pożyczył *kasa-bake*, „parasolkowemu potworowi” – jakiś wygodny, rozdeptany, całkiem nie japoński trampek? Cóż, nawet jakby się nie udało, chyba zawsze warto spróbować... Przynajmniej zanim Takashi się nie zorientuje, że nie mieszka sam w tym domu.

Obserwują go tysiące bezczelnych oczu – inna odmiana *yōkai*: *mokumokuren*, czyli „oczy wszędzie”, „oczy, oczy ciągle”. Wszędzie te wylupiąste, gapiące się na człowieka we własnym domu oczy. W końcu i japońskie przysłowie przypomina nieustannie: *Kabe wa mimi ari, shōji wa me ari*, co przetłumaczyć można na brzmienie znajomo: „ściany mają uszy, a *shoji* mają oczy”. I czego te oczy tak szukają uparcie, w co się tak wgapiają? Jeszcze im jaka żyłka pęknie w białku i krwią się zaleją wampirzo.

Dom z oczami tymczasem przygląda się sylwetce pana Takashi, tkwiącej w futerale zbyt obszernej piżamy. No cóż, misterem elegancji to on z pewnością nie jest. Drapie się jeszcze na dodatek po obrzeżach krateru owłosionego pępka i ziewa tak rozdzierająco... Jeszcze jedno takie nierozważne ziewnięcie, a może przez przypadek zadławić się jakąś parą śledzących go oczu. A *mokumokuren* tłusciutki, wielgachny, dławiący, jeszcze odeśle pana Takashi na tamten świat, z którego go żaden życzliwy zjadacz snów, czyli *baku* – nie odholuje. Powinien więc głupolek Takashi zasłaniać usta dłonią, gdy ziewa kompulsywnie o poranku, a jak dłoń za wąska – to pomagać sobie gazetą, ot choćby i „Yomiuri Shimbun”. Wtedy może nie wchłonie w siebie całkiem przypadkiem, tak mimochodem, owych „oczy wszędzie”. Mógłby je ostatecznie wydłubać z finezją, wyłuskać z oczodołów domostwa całego, ale pewności nikt mieć nie może, że zrobiłby to dokładnie i sumiennie. Zawsze się przecie może

oczko gdzieś zawieruszyć, poturlać w kącik ciemniutki i cichutki, zaplątać w zakamarki, obtoczyć dla niepoznaki w kłębkach kurzu, wypanierować w brudzikach i domowych, ukrytych chlewikach.

Nie, pan Takashi ewidentnie nie nadaje się na pogromcę mokumokuren, poza tym bałaganiarz z niego i znany azjatycki bumelant. Leniwy jest do tego stopnia, że w ogarnianiu domu pomaga mu inny rodzaj *yōkai*, zwany *akaname*, „lizaczem brudu”. To taki twór, co to wysuwa nieco bezmyślnie jęzor i drapie się po łepetynie. Podobny jest ciutkę do *akaneburi* – stworzenia utworzonego wprost z brudu najczarniejszego i łąjna, mieszkającego w łaźniach i starych domach w ruinie.

Ale Takashi, który nie jest (jak wyjaśniliśmy), wielkim orędownikiem domowej czystości, nie zbiera jednak po kątach zanieczyszczeń w postaci łąjna. Sam z potrzebami fizjologicznymi trafia tam, gdzie trzeba, ma w końcu przecież najnowocześniejszą japońską toaletę czasów doczesnych, która – gdy on tylko skończy swoje sprawy – gwizdże, tańczy i śpiewa z uciechy. Żadne odpady fizjologiczne nie mają prawa się z jej wnętrza wydostać i wymaszerować ku reszcie pomieszczeń.

Zatem u pana Takashi stworek *akaneburi* zginąłby z nudów, ale już „lizacz brudu” – *akaname*, może liczyć na jakieś poniewierające się tu i ówdzie „smakołyki – brudziki”. W języku japońskim słowo *aka* oznacza takie „delicje”, jak brud, pot, a także lepkie, kłaskające wilgotnymi dźwiękami błoto. Liże

więc sobie *akaname* z zachwytem brudzikowe królestwo pana Takashi i wielce to sobie chwali. Szczególną atencją darzy zaś wannę, którą oblizuje z osadów wszelakich wyjątkowo sumiennie. Aż mlaska z ukontentowaniem, gdy dotyka językiem tłustego osadu po lawendowym mydle, przymyka oczy z rozkoszy, gdy wyjada poniewierające się wszędzie fragmenty pysznego, chrupiącego, żółtawego naskórka pana Takashi, zanurza twarz z zachwytem w kępkach włosów, znalezionych na jego grzebieniu. Wysysa ukontentowany wielce spomiędzy ostrzy maszynki do golenia drobniutkie włoski mocnego zarostu swego głównego żywiciela, a w wolnych chwilach marzy, że pan Takashi w końcu się ustakuje i założy rodzinę.

Ach, jakże wspaniałe ucztę gastronomiczno-brudzikowe by go wówczas czekały! Przecież taka potencjalna żona pana Takashi zostawiałaby na pewno w łazience góry (wyższe niż Fudzi) smakowitych odpadków cielesnych! Już sobie wyobraża te wirujące w odpływie wanny kłęby długich głosów, króciutkie – kłujące cudownie w podniebienie włoski spod paszek, opalone włoseczki z nóżek zgrabnych – powabnych. I jeszcze – *crème de la crème*! – włoski intymnoski, ach, jakie pożywne, rozplywające się w ustach. Ambrozje! A przecież taka wspaniałe, bujnie owłosiona – cudowna kobieta, *onna* – z pewnością przedziutko by pomyślała o powiększeniu rodziny z panem Takashi!

Na tą myśl *akaname* aż przymyka oczy z zachwytem: dzieci! Ile brudu wspaniałego rodzi się przy dzieciach we wszelakich kątach każdego domostwa! Jakże on różnorodny, bogaty we wszelkie niespodzianki smakowe! Dzieciaczki – *kodomo*, czołgają się na kolanach tak zawzięcie, że rozwłócą najcudniejsze brudziki po całym mieszkanku. Nie trzeba nawet specjalnie szukać brudnych smakołyków, by zaspokoić swe wyrafinowane potrzeby kulinarne – dobra brudzikowego wszędzie jest dość! Kawałeczki leżą tu i ówdzie – gdzie miotełka nie zajrzy, nos czujny odkurzacza wszędobylskiego nie wyniucha: pełno wszelkiego typu ciasteczek, torcików z kurzu i brudziku lukrowanego. I jeszcze te desery z okruszków ryżowych ciasteczek *mochi*, drobinę ciasta *kasutera* z mąki chlebowej – czy apetyczne nanocząsteczki *uirō* – ciasta z mąki ryżowej, z wodą i cukrem, barwionego pastą *anko*.

Na samą myśl o tej orgii smaków *akaname* czuje hedonistyczny, ekstatyczny odlot i z emocji wielkich aż kręci swym językiem kilometrowym młynki z rozkoszy. Taka wizja, taka smaczna gastronomicznie wizja! Toż to cymes nad cymesami, taki prorodzinny, podzięciący brud zlizywać, napychać się nim po uszy roztrzęsione ekstazą, wtrząchać te dobra kulinarne, tarzać się w nich ciałem całym rozanielonym, rozczapierzonym, rozdziawionym! Hmmm.... To rodzaj domowej adoracji brudu, uroczystości na cześć Brudu Najjaśniej Nam Panującego Rodzinnego.

Ale, ale! Nie tylko „lizacz brudu” panoszy się na włościach pana Takashi. Ostrożnie, powoli podnieśmy głowy, by spojrzeć na sufit w sypialni japońskiego gospodarza tego przybytku. Tylko bez paniki! To się naprawdę dzieje, tak – tam naprawdę ktoś siedzi... Nie zwidy to, ani majaki koszmarnie, nie jakieś efekty po wypiciu nadmiernych ilości sake. Panie i panowie – pozwólcie, że wam przedstawię: na suficie siedzi sobie (a może właściwie zwisa z niego?) imć jegomość zwany „lizaczem sufitu” – czyli *tenjōname*.

Cóż – i on jęzor ma tak długi, że mógłby sobie z niego wydziergać na drutach gęstym ścięciem kombinezon okrywający szczelnie całe ciało, dodatkowo z gigantycznym kapturem. I jakże uwielbia wszelkie brudziki, wydobyte ze szczelin wylizywanych przez siebie drewnianych sufitów! Te smaczki – według niego – nie mają sobie równych! Z pewnym politowaniem przygląda się „lizaczowi brudu”, którego uważa za istotę nieco upadłą i zdegenerowaną. Brud łazienkowy, w tym podłogowy? On by się nie zniżył do spożywania brudzików wprost z ziemi... Utyłane to wszystko jest nie wiadomo czym, wymemłane, zdeptane... No, zwyczajnie brudne – brudem takim pospolitym, ordynarnym, codziennym. On zaś przecież do bardziej królewskich smaków jest stworzony – z wysokości płynących. Ot, sufit jest w smaku niczego sobie i wiadomo, że nikt niepowołany po nim nie drepta śmierzdzącymi stopami, nikt na niego nie spluwa wulgarnie i ohydnie, nikt smarków tam

swoich żółtozielonych nie przylepia, łupieżem i strupkami spomiędzy włosów niemytych powierzchni tych wysokich nie oprósza. Słowem – jest tam zdecydowanie czyściej, higieniczniej.

Bakterie się na suficie nie mnożą szaleńczo, demonstracyjnie, ekstatycznie. Wirusy nie replikują się samozwańczo. Smaki sufitowe są stonowane, ale głębokie jak studnie. Jak się w nie wpadnie rozanieloną gębą, to i wypaść się nie da przez czas długi! Cały dom pana Takashi nabity *yōkai* po brzegi, ciekawe dlaczego wciąż niezbyt w nim czysto... Ten cały „lizacz sufitu” – *tenjōname*, to zmyślny jest gagatek: niby tak pucuje ozorem wysokie sufity całego domu, ale jego jęzor nie czyści na glanc. Wręcz przeciwnie – miejsca na suficie, które dotknął ozorem zakręconym – zamiast błyszczeć czyściutko, pokrywają się szkaradnymi planami. Może więc powinno się o tym *yōkai* mówić, że jest to raczej nie “lizacz”, ale “nakładacz plam”?

Pan Takashi – już po śniadaniu i wizycie w łazience, zamarudził nieco i dopiero próbuje wyłuskać się z arcywygodnego futerału pizamy. Szuka garnituru, koszuli, węża zwanego krawatem, z logo jego korporacyjnej firmy-matki, ale miszmasz ubraniowy w szafach przyprawia go o ból głowy: wszystko leży nie na swoim miejscu! Oho, pan Takashi ma pewne podejrzenia: tu pewnie winny inny domowy *yōkai* – rodzaj tak zwanego “chowańca”, zwanego *zashiki-warashi*. To

taki mały, domowy urwis, często wyglądem przypominający chłopca w nieokreślonym wieku. Może mieć trzy lata, ale równie dobrze trzynaście.

Zwykle nie pokazuje wprost domownikom, że psoci w ich otoczeniu ile wlezie. Pan Takashi już właśnie dostrzegł i inne efekty działania tego urwipołcia: rozrzucone skarpety nabite gotowanym ryżem („Jak on to zrobił niepostrzeżenie?” – dziwi się), potłuczone flakoniki jego męskich perfum, z gazety rozwiązanej – powycinane i ułożone w wyzywających, niepokojących pozach nagie modelki („Miałem gdzieś jeszcze to pismo?!” – zastanawia się zarumieniony i zawstydzony). Nie, nie będzie jednak krzyczał na to ladaco. Goszczenie w domowych pieleszach takiego rozbisurmanionego *zashiki-warashi* to przecież przywilej, ten *yōkai* przynosi szczęście i powodzenie we wszystkich działaniach. Wykurzenie go z domu oznaczałoby, że napytał sobie biedy... Więc znosi jego swawole, harce, figle-migle, błazenady, mniej lub bardziej śmieszne wybryki i wyskoki. Czego się w końcu nie robi dla własnej szczęśliwości? Wielkim szacunkiem pan Takashi darzy w swoim domu rzeczy stare, wszelkie sprzęty domowe. Wie bowiem, że to nie zwykle przedmioty, ale *tsukumogami*.

Tak, to także kolejna odmiana *yōkai*. Staroci nie wolno bezkarnie wyrzucać! Kto by jednak dokonał takiego czynu niemożliwego – spodziewać się może srogiej kary. Zemsta wyrzuconych na śmietnik *tsukumogami* jest pewna. Nie są to

bowiem już te same stare, bezużyteczne przedmioty. Porzucone, zbagatelizowane zaczynają przechodzić metamorfozę. Muszą pomścić doznaną zniewagę – ludziom przewraca się już w głowach z bogactwa, nadmiaru dóbr w najbliższym otoczeniu. A gdyby ich tak doświadczyć jakąś boleścią? Polamentują, porozpaczają i może coś zrozumieją?

Na pewno nie zrozumie Marie Kondo, japońska specjalistka od sprzątanía i minimalizmu... Jej odkrywczą metodą porządkowania o nazwie "KonMari" zmiata z powierzchni mieszkań na całym świecie wszelkie przedmiotowe nadmiary.

Ale pan Takashi rozumie doskonale, więc na wszelki wypadek nie wyrzuca niczego, co w zasadzie nie błaga go już o wyrzucenie (tak, w jego lodówce często artykuły spożywcze wyją jak potępione dusze, domagając się natychmiastowego opuszczenia tego smrodliwego, toksycznego przybytku, ale nos pana Takashi wiele porcji obrzydliwego smrodu potrafi zdzierżyć...). Osobnik ten jest nad wyraz ostrożny – nie zamierza potyczkować się z mściwymi *tsukumogami*, dręczonymi niepokojem śmietnikowym. Wie, że jeśli pozostawi stare przedmioty w spokoju, wejdą w końcu na drogę oświecenia Buddy i osiągną spokój ducha oraz pełnię szczęścia. Pamięta, że jeszcze jego babcia, a nawet matka, uczestniczyły w ceremoniach *kuyō*, które miały za zadanie upamiętnić pewne rzeczy, stare elementy niejednego gospodarstwa domowego. Czczone więc

były wiekowe szczotki, miotły, lalki czy nawet igły oraz okulary, które zawsze były blisko ludzi, starając się im w miarę możliwości pomagać.

Pewnym niepokojem napawa pana Takashi myśl o przypadkowo zgubionym na mieście smartfonie, który wysunął się podczas piątkowego tournée z kolegami z korpo po miejscowych pubach. Może ten diabelski pomiot nowoczesnej, azjatyckiej elektroniki właśnie obmyśla nad nim zemstę?

Wszelkie myśli pana Takashi ulegają jednak przymusowej atrofii, gdy tylko trafia on do wnętrza swojej firmy. To świątynia pracowitości i odpowiedzialności, która nie toleruje dumania w godzinach pracy o czymkolwiek innym niż o zaangażowaniu na rzecz firmy. Pan Takashi odkłada na półkę swój mózg humanoida zdolnego do płacliwych wzruszeń, rozłącza kabelki neuronów i synaps – odwieszając je na swój firmowy haczyk, a potem robot zawozi go na wózku pod Mózgowy Podajnik Firmowy, który na dwanaście godzin pracy w korporacji włada mu w pustą puszkę czaszki nowy, w pełni skomputeryzowany organ. Dopiero wówczas pan Takashi może zejść z wózka i marszowym krokiem podejść na swoje miejsce pracy, by tam z kolei podłączyć swój naszpikowany elektroniką mózg do Firmowego Specszerwera i wejść na poziom korpomowy.

Wszystkie rozbisurmanione *yōkai* muszą wówczas w jego starym mózgu wejść w tryb uśpienia stand-by. Są

bowiem tylko wytworem jego wybujałej, japońskiej wyobraźni, karmionej od wczesnego dzieciństwa mitami, legendami, podaniami, cichymi szeptami i szelestami drzew sakura. A gdyby jednak założyć, że wszystkie *yōkai* rzeczywiście dość sprytnie rozlokowały się nie tylko w mózgu, ale i w mieszkaniu pana Takashi?

Spójrzmy może ostrożnie do wnętrza jego domostwa (obiecuję, że roztargniony pan Takashi z pewnością tego nie zauważy, ewentualnie znów zwali coś na tego chuligana – bałaganiarza, czyli *zashiki-warashi*).... No tak, jest jednak tak, jak można się było domyślić... *Yōkai* wzięły w posiadanie całe mieszkanie, ale o tej porze dnia to chrapią, aż cały dom pana Takashi drży w posadach! W końcu to istoty, które dopiero zmierzch wywabia z ich przytulnych norek. Teraz odpoczywają, zbierają siły na dalsze harce, ale gdy tylko za oknami zrobi się szaro, ich figlom nie będzie końca. Znów zaczną skakać pomiędzy światami, płytami tektonicznymi odmiennych narracji, dopowiadać szalone pointy. Ot, jedna może będzie taka...

Podczas przechodzenia z jednego stanu w drugi, zawsze może coś pójść nie tak. Jakiś nieostrożny gest, zawadzenie dłonią o jedną z kliszy bytu, potknięcie się o Ultima Thule, czyli mityczny kraniec świata, zahaczenie się o kanciaste,

haczykowate imponderabilia codzienności. Nie można w takiej chwili – dla bezpieczeństwa, zawiesić swego bytu w istnieniu, ale trzeba zmienić nieco paradygmaty ontologiczne, mentalistyczne. Odtąd bowiem nic już wokół nas nie będzie takie samo...

Czasoprzestrzeń zakrzywi się jak szpon ptaszyska mrocznego z jakiegoś świata trupiego-lunearnego, zawiruje z soczystym mlasknięciem normalność dotychczasowa, rozhisteryzuje się płacziwie rozsądek i egzystencji porządek. Wahadło szaleństwa zmiecie z powierzchni ziemskiej wszelką pospolitość i szablonowość, więc coś pójdzie tym razem nie tak, ewidentnie nie tak... Wypożyczony mózg pana Takashi, po zakończeniu dnia pracy w korporacji, znów odpięty zostanie od Firmowego Specserwera, a potem ciało pana Takashi zostanie zawiezione pod półkę z jego prywatnym mózgiem, zaludnionym gęsto istotami *yōkai*. Jego mózgu jednak już na półce nie będzie...

Bo przecież przy przekształceniach, metamorfozach zawsze coś może pójść nie tak... Nieszczęśnik utknie gdzieś pomiędzy mózgowymi transformacjami, w okrutnym niedokończonym bycie-niebycie, w wąskiej szczelinie pomiędzy. Byłby więc tak naprawdę i on jedynie kolejną odmianą *yōkai*?

Wyróżnienie

Słodkich snów, Chungking Meowsions

Aleksandra Woźniak

Ewa wyginała się niczym adeptka jogi, co w pozycji kucającej bynajmniej nie było łatwe. Kadr jednak wciąż nie był idealny. Próbowwała zmieścić na zdjęciu zarówno twarz, jak i swoją drugą dłoń przyłożoną do odcisku na złotej płycie w chodniku. Jej wiedza na temat hongkońskich sław filmu i estrady była dość pobieżna, a właściwie ograniczona do dwóch nazwisk. Tony Leung i Andy Lau – obaj grali w “Infernal Affairs”. “Po powrocie oczywiście nadrobię, na pewno nadrobię” – powtarzała w duchu idąc Aleją Gwiazd i patrząc, jak grupy turystów fotografują się na tle płyt opatrzonych nazwiskami, które nie mówiły jej nic a nic. W końcu, czując się niczym Howard Carter otwierający grób Tutenchamona, dostrzegła znajome imię i przystąpiła do uwieczniania znaleziska na fotografii.

– Chyba nie dam rady... – mruknęła do siebie. Nijak nie mogła zmieścić na selfie twarzy i swojej dłoni położonej na odcisku. Zmieniła tryb w telefonie i zaczęła kadrować zdjęcie z samą dłonią i płytą.

Nagle na ekranie smartfona pojawiła się jeszcze jedna kończyzna. Szara, puchata, z poduszeczką pod spodem. Kocia

łapka. Ewa oderwała wzrok od ekranu. Obok stał białoszary dachowiec i wpatrywał się w nią błękitnymi ślepiami.

– Och! – powiedziała z uśmiechem. – A ty skąd się tu wziąłeś? – kot nadal patrzył na nią uważnie. Usiadł.

– Szukałem cię – otworzył pyszczek, z którego popłynęły słowa. Polskie, chociaż akurat nie to zszokowało Ewę najbardziej. Spokojnie zaczął myć sobie łapę. Ewa otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zwierzak przerwał na chwilę i znów spojrzał w jej stronę.

– No co? To było do przewidzenia, że przyjedziesz akurat tu. Bo widzisz, nadchodzi Wielka Koniunkcja. Zobaczymy się później – powiedział, a następnie dał susa i znalazł się u stóp stojącej nieopodal japońskiej wycieczki. Odwrócił pyszczek w jej stronę.

– Lepiej kup parasol, dzisiaj może padać. Trochę inaczej niż zwykle, bo my nie lubimy wody – po chwili już go nie było. Zniknął w tłumie turystów.

W porcie zerwał się wiatr. Ewa spojrzała na górujące po drugiej stronie zatoki wieżowce dzielnicy Central. Za godzinę Renata powinna skończyć pracę, pójdą razem coś zjeść i poszwendają się po Kowloonie. Do Central popłynie jutro. A w sobotę jakaś dalsza wycieczka. Dwie godziny wcześniej oglądała zabawny parasol z pandą na straganie i przyszły jej na myśl słowa kota. Że co? Pewnie coś jej się przywidziało. Opóźniony jetlag czy coś w tym stylu.

Niebo coraz bardziej się chmurzyło. A może faktycznie będzie padało? Po chwili pierwsze krople spadły z głośnym pluśnięciem w wody Victoria Harbour. To faktycznie nie wygląda jak woda, pomyślała Ewa. Może grad? Ale o tej porze roku?

Wtem coś odbiło się od jej ramienia i spadło do otwartej torby. Wertowała właśnie przewodnik, więc ukochana, kolorowa i obszerna tak, że mogła pomieścić wszystko torba, prezentowała na oścież swoją zawartość. Podniosła przedmiot, który zaplątał się w upchnięty zapasowy sweter. Bez wątpienia nie był on małą, lodową pigułką. Kulka ryżu owinięta wodorostami nori. Ewa rozejrzała się. Spadały wszędzie, część wprost do morza, inne rozpląszczały się na chodniku. Tocząc nierówną walkę między ostrożnością a fascynacją, podniosła ją do ust i ugryzła.

Klasyczne onigiri z tuńczykiem i majonezem, całkiem niezłe, jak na wiosenny deszcz, pomyślała z uznaniem. Przez kolejne dni Ewa nie myślała wiele o kocie i deszczu onigiri. Pewnie coś się jej przyśniło, a potem miała wrażenie, że działo się naprawdę. Kto widział gadające koty i ryż z nieba? Zajęła się zwiedzaniem, w końcu po to tu przyjechała.

Wieczorami, gdy Renata kończyła pracę, oglądały *dzongki* o czerwonych żaglach bujające się na falach, podziwiała panoramę Hongkongu ze szczytu Victoria's Peak i jadły *dim sumy*. A potem wracały do pokoju w Chungking Mansions.

Legendarne Chungking Mansions. Składający się z pięciu budynków potężny kompleks przy Nathan Road, prawie na samym krańcu półwyspu Kowloon. Nazywany “najlepszym przykładem globalizacji w działaniu” i “nieoficjalną afrykańską dzielnicą Hongkongu” siedemnastopiętrowy labirynt indyjskich restauracji, sklepów z gazetami, filmami, ubraniami, stoisk z arabskim jedzeniem, hosteli, kantorów wymiany walut.. Poza stałymi mieszkańcami ze wszystkich chyba kontynentów – tysiące turystów w całego świata. Niesamowita mozaika etniczna.

Chociaż “najtańszy hostel w Hongkongu” i tak nie oznaczał “najtańszego”. Renata pewnie mogłaby liczyć na jakieś lepsze zakwaterowanie na służbowym wyjeździe, ale zdecydowała, że skoro już zaprosiła przyjaciółkę, to nie będą się rozdzielać. Ich pokój był oczywiście miniaturowy – gdy Ewa położyła się w poprzek na obu łóżkach, odległość od ściany do ściany okazała się mniejsza niż długość jej ciała, a walizki ledwo mieściły się w pomieszczeniu. Ale to przecież część uroku tego miejsca.

– Na którą budzik? – zapytała Renata. Siedziały na łóżkach w swoim minipokoju, przebrane już do snu, z nogami obolałymi od nabijania kilometrów po wąskich uliczkach.

– Siódmą? – odparła Ewa znad smartfona. Sprawdziała, czy aby na pewno przygotowana przez nią lista atrakcji w Makao jest zapełniona po brzegi.

– O niee, czemu tak wcześniej, przecież prom dopiero o 9.30... – jęknęła Renata.

– Ale pierwszy budzik – Ewa rzuciła jej porozumiewawcze spojrzenie znad ekranu i obie się roześmiały.

– Ej, a widziałaś, że niedługo będzie Wielka Koniunkcja? We wtorek chyba – rzuciła po chwili ciszy podekscytowana przyjaciółka. Koniunkcja? Już to przecież słyszała...

– No wiesz, jak Jowisz i Saturn ustawiają się najbliżej siebie. To się zdarza raz na 500 lat, wow! Ostatni raz w XVI wieku... Nieźle. Ciekawe, czy damy radę zobaczyć przy zanieczyszczeniu światłem tutaj...

Ewa poczuła, że przechodzą ją ciarki. Z westchnieniem zgarnęła z łóżka porozkładane przewodniki.

– Dobra, czas spać.

Chodziła po średniowiecznym mieście, musiała przenieść makaron z jednego miejsca w drugie, pozostając niezauważoną dla chodzących po ulicach wielkich, kolorowych karpia na dwóch nogach. Gdy już, już docierała do celu, nagle zza rogu wychynęła wielka, czerwona ryba i puściła się za nią w pogoń. Ewa biegła, ile sił w nogach, ale... Otworzyła oczy. Co za sen?! Usiadła na łóżku. Było ciemno, tylko wpadające przez okno blade światło miasta, rysowało wzory na podłodze. Nagle w nogach zauważyła okrągły, ciemny kształt. Poruszyła nogą, a kulce zaczęły wyrastać łapy, głowa i długi ogon. Kot usiadł i błysnął w jej stronę zielonymi oczami.

– *Buongiorno* – szepnął. – Pani pozwoli.

Zeskoczył z łóżka i popędził w kierunku drzwi. Ewa wciąż siedziała nieruchomo. Zamek zgrzytnął i drzwi uchyliły się, a zwierzak wślizgnął się w szparę i zniknął. Dziewczyna zerwała się, jak najszybciej wsunęła stopy w klapki i wybiegła za nim. Stał na drugim końcu korytarza – sporych rozmiarów przegowany kocur stał trzymając puchaty ogon dumnie uniesiony. Gdy ruszyła w jego kierunku, zerwał się do biegu.

– Czekaj! – krzyknęła zdając sobie sprawę, że to najprawdopodobniej bez sensu. Widziała, że zmierza w stronę wind, ale miał nad nią przewagę, no i cztery łapy zakończone sprężystymi poduszeczkami, zamiast dwóch nóg w krzywo założonych japonkach i umysłu otępiełego snem.

Rozległ się dzwonek windy. Kot wskoczył do środka, a drzwi momentalnie się za nim zamknęły. Ewa spojrzała na ekran wskazujący piętro. 14, 15, 16... Musiał wysiąść na ostatnim. Wezwała kolejną windę. Czekał na nią na górze. Gdy tylko dostrzegła go w rozsuniętych drzwiach, siedzącego na drugim końcu korytarza, ponownie w kilku susach zniknął za rogiem. Pod stopą poczuła zimną podłogę. Musiała zgubił lewy kłapek. No nic, miejmy nadzieję, że zaraz dotrze na miejsce (albo się obudzi).

Hol kończył się masywnymi, metalowymi drzwiami bez numeru. To tu musiał zniknąć kot, nie było innej możliwości.

Nacisnęła klamkę. Po gadających kotach i deszczu *onigiri* powinna być przygotowana na wszystko...

Ale nie nowoczesne laboratorium. Kilkanaście kotów uwijało się miaucząc i sycząc, niektóre pracowały na ustawionych na podłodze pod ścianą komputerach, inne obsługiwały skomplikowany mechanizm przypominający krzesło dentystyczne, jeszcze inne wpatrywały się w ogromny, płaski ekran zawieszony po drugiej stronie pomieszczenia. Z dala od elektroniki i zwojów kabli stały dwie małe fontanny do picia. Taką kupiłam rok temu dla Giny, przyszło Ewie do głowy.

Drzwi zatrzęsnęły się za nią i ruch w pomieszczeniu zamarł. Wszystkie pyszczki obróciły się w jej stronę. Rudy kot, który przed sekundą zawzięcie klepał łapkami w klawisze komputera zrobił parę kroków w jej stronę.

– A więc jesteś. Dobra robota, sierżancie – rozległ się głos, niewątpliwie damski.

– Na rozkaz, pani kapitan – usłyszała z tyłu Ewa. Za nią stał nocny gość.

– Co tu się... – zaczęła dziewczyna. Kilka kotów zaczęło ocierać się o tył jej gołych łydek, jakby sugerując, żeby szła w stronę fotela.

– Za chwilę wszystko ci wytłumaczemy – oświadczyła ruda kotka w stopniu kapitana – ale radzimy współpracować, jak widzisz, nas jest dużo więcej, a wam, ludziom, natura poskąpiła nawet pazurów... Doprawdy, i tak wyjątkowo długo cieszyliście

się panowaniem na tej planecie. I do czego ją doprowadziliście, co? Na szczęście to się wkrótce skończy.

Popychana przez koty Ewa doszła do fotela i ciężko opadła na siedzenie. Trzy koty: biały dachowiec, szary brytyjczyk i rudy pers, wskoczyły na otaczające krzesło maszyny i zaczęły podpinać do głowy Ewy elektrody.

– Co wy mi chcecie zrobić? – zapytała piskliwie.

– Nie ma powodu do obaw – uspokoiła ją ruda kotka. – Zbadamy parametry twojego ciała, a ty tymczasem porozmawiasz z naszą przywódczynią. Upiera się, żeby przeprowadzać wywiady osobiście. Po prostu bądź grzeczna. W końcu wiesz, jak postępować z kotami, prawda?

Ewa poczuła, że kręci jej się w głowie. Gdy otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że nie znajduje się już w kocim centrum dowodzenia. Ba, nie znajduje się nawet w Chunking Meawsions. Ani w żadnym innym budynku. Poruszyła się. Mogła przebierać rękami i nogami, ale nie zmieniało to jej położenia. Dryfowała w przestrzeni, dokładnie tak, jak w snach o lataniu. Wokół niej jaśniały miliony gwiazd, widziała galaktyki, planety i wielobarwne mgławice o niesamowitych kształtach. Patrzyła z fascynacją na kłębiące się kolorowe chmury.

Nagle dostrzegła, że różowo-żółta mgławica zaczyna wirować i powiększać się, jakby zmierzała w jej stronę. Po chwili z chmurki wielkości dłoni urosła do rozmiarów, notabene,

windy. Wśród różowych i żółtych obłoków zaczęły pojawiać się małe, ciemne kropki, które wkrótce otoczyły Ewę kłębem unoszących się w przestrzeni puszek z tuńczykiem, *onigiri* z łososiem, pomidorów, awokado, pokrytych różowym lukrem donutów i wszelkiego rodzaju jedzenia.

Ewa w ostatniej chwili złapała ogórek, który o mało co nie uderzył w jej łuk brwiowy. Pośród lewitującej mgławicy jedzenia pojawiła się jeszcze jedna postać. W miarę jak się zbliżała, jej kształt coraz bardziej przypominał ogromnego kota o puszystej, fioletowej sierści i złotych, hipnotyzujących oczach.

– Witaj, człowieku – powiedziała kosmiczna kotka dźwięcznym głosem. – W waszym języku mam wiele imion, nazywano mnie Li Shou, Bastet, czy co wy tam jeszcze wymyśliliście... Ale przez tyle lat pozostawałam po prostu – zamiauczała, co zapewne było jej prawdziwym imieniem w kocim języku. – Pewnie zastanawiasz się, czemu tu jesteś. – Ewa energicznie pokiwała głową.

– Podczas gdy zespół do zadań specjalnych robi obliczenia, my utniemy sobie pogawędkę, wyjaśnię ci, kim jesteśmy. Mieszkasz z kotem, prawda?

– Tak... – zaczęła nieśmiało Ewa. – Gina to moja najlepsza przyjaciółka – Li Shou uśmiechnęła się krzywo pod wąsem.

– Widzisz, nasza rasa jest najbardziej zaawansowana cywilizacyjnie w całym wszechświecie. Od tysięcy lat nadzorujemy wasz rozwój, od kiedy zdecydowaliśmy, że

będziecie idealnymi niewolnikami. Wysłaliśmy nawet jeden liczny oddział, żeby przygotowywał Ziemię na nasze przybycie. Ale jak wiesz, nie spisali się.

– Nie? – spytała bezmyślnie Ewa. Czasem miała wrażenie, że to koty mają ludzi, a nie ludzie koty. Podobnie sądziła połowa internetu.

– Cóż... – westchnęła Li Shou. – Zabawa kłębkami włóczki i tuńczyk to nie szczyt naszych aspiracji. Dlatego zdecydowaliśmy się na tę operację. Nadchodzi Wielka Koniunkcja, a to wreszcie, po tylu latach, umożliwi nam inwazję bez pomocy tych zdrajców. Nasza kwatera jest tu, w Chungking Meadows, bo dzięki temu mamy dostęp do przedstawicieli wszelkiego rodzaju narodowości. Musimy przebadać ludzką populację i ustalić, jak urządzić życie na Ziemi i kto będzie nam najlepiej służył. Ale dla każdego znajdziemy jakieś zadanie, o to się nie martwcie... – Kotka zachichotała. Świat rządzony przez koty? W sumie... czy to taki zły pomysł? Nagle w głowie Ewy pojawiła się ważna myśl.

– A co będzie z tymi kotami, które już żyją na Ziemi? – spytała nieśmiało. Kotka parsknęła.

– Dezerterzy. Będzie trzeba ich ukarać.

Ewa wstrzymała oddech. Czy to znaczy, że kosmiczne koty zrobią krzywdę Ginie? I Trebuszowi, i Sheldonowi, i Pizzy... Nie, nie może na to pozwolić! Znowu zakręciło się jej w głowie.

– Wszystkie pomiary gotowe! – usłyszała okrzyk. I znów siedziała w dziwnym fotelu, a wokół niej uwijał się oddział specjalny kocich komandosów.

– A teraz... – zaczęła ruda dowódczyni. – Nie rób żadnych głupot. Wracaj do pokoju i idź grzecznie spać.

Przecież nie mogła iść spać. Nie teraz, kiedy wszystkim kotom na Ziemi groziło niebezpieczeństwo. Co robić, co robić... Nagle Ewa zorientowała się, że w spoconej dłoni wciąż ściska ogórek z kosmosu. Rzuciła nim w zebrane przed nią koty. Rozpierzchły się w popłochu i najeżone syczały z drugiego końca pomieszczenia.

Ewa gorączkowo przebiegła wzrokiem po laboratorium. Fontanna! Dopadła jednego z urządzeń i wyrwała wąż. Skierowała go w stronę kotów, ale nie ośmieliły się bliżej podejść. Chlusnęła wodą na fotel i komputery. Z kocich pyszczków wyrwał się dziki pisk.

– Niiieee!!! – krzyczały jeden przez drugiego. – Cała praca na marne!!! Nie zdążymy do koniunkcji! Łapać człowieka!!!

Ale żaden z nich nie ośmielił się podejść do dzierzącej wąż Ewy. Wycofała się tyłem w kierunku drzwi wciąż trzymając koty na celowniku i pilnując, by żaden *kamikadze* się nie odłączył. Szarpnęła za klamkę, rzuciła wąż na podłogę i pobiegła ile sił w nogach.

Gdy budzik zadzwonił o 7 rano, Ewa przestawiła go na 7:15, a po 15 minutach zbawczej drzemki wstała i potoczyła się

w stronę łazienki. Renata nadal spała, pewnie wstanie za trzy budziki. Ewa nie mogła znaleźć lewego klapka, ale nie przejęła się tym. Pewnie zapodział się gdzieś pod łóżkiem. Najważniejsze, to nie spóźnić się na prom. Cóż to był za szalony sen...

Ewa odstawiła kubek z herbatą na stolik. Oczy same jej się zamykały. Po drodze z lotniska wpadła do Martyny, żeby odebrać Ginę, ale gdy otworzyła drzwi do mieszkania na katowickiej Ligocie, zdążyła tylko położyć torbę w kącie, tak, żeby za bardzo nie rzucała się w oczy psując jej słabe, acz tłące się gdzieś głęboko *feng shui*, i zaległa na kanapie, głaszcząc kota i pijąc zieloną herbatę z Biedronki. W końcu powieki opadły, a ona osunęła się w półsen. Gina wysunęła się zwinnie spod jej dłoni i jednym susem znalazła się na klatce piersiowej Ewy. Patrzyła badawczo, jakby lustrując, czy dziewczyna już śpi.

– Dobrze się spisałaś, słuźko – wyszeptała kotka. – To nasza planeta i nie oddamy jej tak łatwo kotom z kosmosu. Po czym obróciła się kilka razy wokół własnej osi udeptując delikatnie podłogę i zwinęła w kłębek. – W końcu dobrze nam się tu żyje razem, nie? – dodała, zamykając oczy.

Labirynt rozpaczy

Martyna Fuchs

Stukot obcasów odbijał się echem wśród licznych korytarzy, gdy drobna kobieta biegła w poszukiwaniu ukochanego. Każdy skręt, który był równoznaczny z kolejnym długim korytarzem, czy też ślepym zaułkiem sprawiał, że Harumi traciła kolejne części nadziei.

Serce biło coraz mocniej, a zmęczenie sprawiało, że jej mięśnie pomału odmawiały posłuszeństwa. Chwila zawahania się pozwoliła, aby mogła wziąć choć mały oddech. Płuca wraz z gardłem okropnie paliły żywym ogniem. Harumi wzniosła wzrok na rozwidlenie. Zasada przechodzenia labiryntu kazała cały czas biec w jedną stronę, ale kobieta nie miała czasu na cofanie się. Nie, teraz gdy stawka była tak wysoka.

– Tik-tak królowo – dobiegł z głośników głos, przez który Harumi się skrzywiła.

– W co ty ze mną pogrywasz, co?! – wykrzyknęła, rozglądając się w poszukiwaniu źródła dźwięku, choć wiedziała, że to nic nie da. Głośniki, tak jak kamery, były niewidoczne.

– Czyż nie powiedziałaś, że ci, którzy polegają na mocy są słabi? Udowodnij to, och, moja Pani – kpina oraz rozbawienie w głosie obcego jej mężczyzny sprawiły, że oczy Harumi zaświeciły krwistą czerwienią. Głos zaśmiał się, a kobieta, chcąc od niego

uciec, pobiegła prawą ścieżką, lecz nic to nie dało. Każdy krok sprawiał, że śmiech stawał się coraz bardziej doniosły.

Następny ślepy zaulek rozwścieczył Harumi. Palce zaczęły drżeć ze złości, jak i z bezsilności, czy też coraz większej rozpacz. Przezroczysta łza spłynęła po jej policzku, gdy jej właścicielka zaczęła uderzać w ścianę pięściami.

– Twój ród jest znany z mocy psychicznych, prawda? Dzięki temu jesteście świetnym przywódcami! Wasi żołnierze dzięki wam zawsze wygrywają, ale to sprawia również, że jesteście dla nas niebezpieczni. Dlatego dam ci szansę. Stań u mojego boku, a uwolnię się stąd.

Harumi znów zaczęła się rozglądać. Płomień nadziei zaświecił w jej oczach, które na powrót stały się niebieskie. Kącik ust delikatnie drgnął.

– Powiedz mi to prosto w oczy, wtedy uwierzę.

– Och królowo, sądzisz, że jestem głupi? Spojrzę w oczy! A to dobre. Znam twoją moc, lepiej niż sądzisz. Jeśli spojrzę ci w oczy, stanę się twoją kukielką, prawda? No nic. A tak bardzo chciałem być łaskawy! – śmiech znów zaczął się odbijać od ścian.

– A sądzisz, że ja jestem głupia? – spytała Harumi, cały czas się rozglądając. – Nie obchodzi mnie moje życie, a mojego męża – syknęła, ruszając biegiem do kolejnego korytarza.

Zmęczenie sprawiło, że świat zawirował przed jej oczami. Zaczęła rozpaczliwie szukać ściany, aby się o nią oprzeć,

lecz nic to nie dało. Upadła na kolana próbując złapać oddech i zapanować nad mdłościami.

– No, no, no! Muszę przyznać, że wytrzymałaś dłużej, niż sądziłem – lekki podziw był dobrze wyczuwalny w niskim głosie. Harumi przeknęła w myślach, na chwilę zamykając oczy. Słyszała głos, którego tak pragnęła. Widziała osobę, którą tak bardzo pokochała i dla której wszystko zostawiła.

– Kochanie... – zaczął pewnym głosem mężczyzna o śnieżnobiałych włosach, zwracając się do Harumi, która siedziała ze skrzyżowanymi rękami na łóżku. – To dla naszego dobra.

Kobieta prychnęła, wbijając w niego wzrok. Proste plecy i wysoko podniesiona głowa pokazywała wyższość, z jaką patrzyła na swojego męża.

– Shi, nie mam zamiaru przejść na dobrą stronę i ty też nie powinienes. Jesteśmy tutaj władcami. Lud nas potrzebuje. Nigdy nie będą chcieli, aby ich miasta zostały oddane cesarzowi – rzekła, zakładając nogę na nogę. Shi westchnął ciężko.

– Jesteś uparta, moja droga. Nie możesz wyjść z własnego miasta, ponieważ jest wielkie ryzyko, że ktoś ciebie, nie, ktoś nas zabije. Jak będziemy mieć dzieci, to też nie będą mogły stąd wychodzić!

– Nie podnoś na mnie głosu, Shi. To ja tu jestem królową i to ja rządę – syknęła, na co Shi zaśmiał się.

– Królowa istnieje tylko po to, aby zatrzymać koronę do przybycia króla. To ja jestem królem i to ja rządę, kochanie – warknął Shi i ruszył w stronę wyjścia z pokoju.

– Będziesz jeszcze żałował tego rozejmu. Przekonasz się – rzekła Harumi, chwilę przed tym, jak jej mąż wyszedł z pokoju.

– Tik-Tak – odrzekł głos, dzięki któremu Harumi wyrwała się ze swoich wspomnień, zerwała się na nogi, czego od razu pożałowała. Obraz znów się zamazał, lecz tym razem Harumi nie zamierzała się poddać.

– Oszukaliście go! Obiecaliście, że jeśli przejdziemy na dobrą stronę, grzechy zostaną nam wybaczone! – syknęłam, przemierzając korytarz. Śmiech tym razem był na tyle głośny, że Harumi przycisnęła dłonie do uszu, próbując go stłumić.

– Twój mąż był naiwny. To dziwne, nie sądzisz? Przecież kiedyś nie był taki. Był zły i przebiegły, ale wiesz co? To ty sprawiłaś, że stał się naiwny. To przez ciebie dzisiaj umrze. Jak to jest przegrać bitwę? Jesteś najsłabszą, a zarazem ostatnią dziedziczką wielkiego rodu.

Długie paznokcie postukiwały o podłokietnik tronu. Znużony wzrok lustrował salę tronową. Złote zdobienia przebiegały po białym marmurze, tworząc wartę uwagi szlaczki.

– Muszę przyznać, że wyobrażałem sobie ciebie inaczej – głęboki głos wyrwał Harumi ze znużenia. Wbiła wzrok w przybysza, chcąc dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Białe włosy, blada cera oraz wyblakłe oczy zainteresowały ją. Białe włosy u mężczyzn były wielką rzadkością, więc o ile nie są farbowane, mężczyzna jest bardzo wyjątkowy.

– Och, nie obchodzi mnie to – mruknęła z wyższością Harumi, obdarzając go znużonym wzrokiem. Udawanie braku zainteresowania daną osobą przychodziło jej bardzo łatwo.

– Wyglądasz jak porcelanowa lalka, coś niesamowitego – rzekł mężczyzna, puszczając mimo uszu wcześniejsze zdanie kobiety. Harumi skrzywiła się, wstając z tronu.

Powoli zeszła w dół po schodach. Podniosła wyprostowaną w palcach dłoń, po czym zamachnęła się z całej siły, uderzając w policzek gościa.

– Nie masz prawa mnie tak nazywać! – wykrzyknęła ze wściekłością, po czym skrzywiła się, gdy tylko usłyszała śmiech. Śmiech szaleńca.

Ta krótka chwila pozwoliła, aby zrozumiała, kogo właśnie spoliczkowała.

– Shi – mruknęła pod nosem. Shi od lat był znany jako męska personifikacja zła. Niektórzy nazywali go synem szatana, czy też czołowym upadłym aniołem – samym Lucyferem.

– Posłuchaj mnie laleczko... – mruknął zdenerwowany, łapiąc Harumi za podbródek. Płynnym ruchem podniósł go tak, aby patrzyła mu w oczy. To był jego błąd. Na jej twarz wślizgnął się uśmiech triumfu.

– Na kolana – rzekła.

Shi znów chciał się roześmiać, lecz w tym momencie poczuł jak jego kolana przeszywa przeraźliwy ból. Kontrola nad jego ciałem zniknęła, przez co już po okropnie bolesnej chwili padł na kolana.

– Znam cię... – zaczęła, przeczesując palcami jego włosy – legendy nie kłamały. Masz włosy białe jak grudniowy śnieg. Białą symbolizuje czystość i niewinność, coś za niewłaściwy kolor dla kogoś takiego jak ty.

– Brąz symbolizuje brak wiary w siebie, więc oboje mamy niewłaściwy kolor włosów – Harumi, parsknęła śmiechem, słysząc te słowa. Kiwnęła głową, pozwalając mu wstać. Ostatni raz zlustrowała go wzrokiem, aby po chwili wspiąć się po schodach i zasiąść na tronie.

– Po co przybyłeś? – zapytała, podnosząc dumnie głowę i wpatrując się w Shi z wyższością. Mężczyzna wstał, uśmiechając się szeroko.

– Przyszedłem, aby złożyć Ci propozycję – rozłożył ręce, cały czas uśmiechając się. Bystrość w oczach mieszała się z szaleństwem, które zapewne już dawno temu opętało jego umysł. Harumi z zainteresowaniem machnęła dłonią, aby kontynuował.

– Jeśli uczynisz mnie królem, moja władza się zwiększy tak samo jak twoja, z tym wyjątkiem, że twoi strażnicy dalej będą słuchać się tylko ciebie, a moi i ciebie i mnie. To dla ciebie korzystna oferta prawda?

– Ale? – spytała, a gdy tylko napotkała jego pytający wzrok, dodała: – Zapewne jest jakieś “ale”, więc słucham.

– Chce mieć pewność, że całe twoje królestwa będą również moje. Domagam się ślubu – rzekł obojętnym tonem tak, jakby był to drobiazg.

– Ślub oznacza to, że wszystko będzie nasze, co również znaczy, że moi strażnicy będą twoi. To żaden biznes, chyba że napiszesz pisemne oświadczenie, wtedy mogę się zgodzić.

Shi dłuższą chwilę patrzył na Harumi, po czym zaśmiał się. Był pod wielkim wrażeniem, że tak szybko to zrozumiała.

– A więc plotki nie kłamały. Twój ród nie dość, że ma psychiczne moce, a do tego nie wypuszcza władzy z rąk. Zgoda. Napiszę oświadczenie – zgodził się, na co Harumi posłała mu chytry uśmiech.

– To ty jesteś naiwny – syknęła, cały czas słysząc w głowie słowa swojego męża.

Shi powtarzał, że jest najwspanialszą dziedziczką tego rodu. Uwierzyła w to i będzie wierzyć do końca.

– Jesteś naiwny bo sądzisz, że wygrasz, a ja ci obiecuję, że jeśli umrę, ty również – zamrugła parę razy, dzięki czemu jej obraz stał się wyraźniejszy.

Palce delikatnie drgnęły, gdy ich właścicielka zmusiła wszystkie swoje mięśnie do wysiłku. Ruchy sprawiały palący ból, lecz brązowowłosa nic sobie z tego nie robiła. Jedna myśl cały czas odbijała się echem po jej głowie:

– Brąz symbolizuje brak wiary w siebie – szepnęła. – Ja wierzę w siebie i wiem, że nie przegram!

Dłuższą chwilę panowała cisza, którą przerywały jedynie obcasy wydające stukot, gdy uderzały rytmicznie o kamienną podłogę. Harumi uśmiechnęła się pod nosem, zwiększając prędkość. Pot spływał po jej skórze, przyjemnie ją ochładzając. Stukot umilkł wraz z zatrzymaniem się kobiety przed następnym rozwidleniem. Daremnie próbowała odnaleźć jakąkolwiek wskazówkę. Poruszyła lekko palcami, wiedząc, że traci czas na myślenie.

– Zasada labiryntu – szepnęła do samej siebie i w tym momencie zrozumiała coś.

Jej ród jest zaprogramowany na to, aby zawsze obmyślać strategię. Trzeba zwrócić uwagę na otoczenie, zasady, a co najważniejsze – głos dobiegający z głośników. Skoro labirynt został zbudowany specjalnie dla niej, wiedzieli jak będzie działać. Zgodnie z zasadą musiały iść cały czas w prawo. Lekki uśmiech zakwitł na jej twarzy, gdy skierowała ciało w lewą stronę.

– Och widzę, że twoja obietnica to puste słowa – rzekł głos z rozbawieniem, przez co uśmiech na twarzy Harumi się powiększył.

Nie powiedział “Tik-tak”, a to oznaczało, że biegnie dobrą drogą. Oddech przyspieszył, gdy na końcu długiego korytarza zobaczyła drzwi. Zebrała resztki sił, aby przyspieszyć. Jęk wydobył się z jej ust, gdy ból spowodowany uderzeniem w drzwi, przeszył jej ciało. Harumi zeszywniała uderzając o kamienną posadzkę.

– No, no, no. Sądziłem, że później tutaj dotrzesz. Masz szczęście! Zdązysz usłyszeć ostatnie słowa osoby, która jest dla ciebie wszystkim!

– Uratuję go – mruknęła słabym głosem Harumi, starając się wstać.

Podparła się dłońmi, aby lekko podnieść się na drżących rękach. Ogarnęła wzrokiem pomieszczenie, natrafiając najpierw na uśmiechniętego mężczyznę o czarnych długich włosach

i oczach tego samego koloru. Harumi wstrzymała oddech, zauważając, że nie posiada białek.

– Oh królowo! Sądzisz, że dasz radę? Powiedz mi, co oznacza kolor czarny? Śmierć prawda? – rozbawienie w głosie kata sprawiło, że Harumi poczuła znów mdłości.

Spojrzała bardziej w bok, zauważając swojego męża, z ust którego leciała krew. Przyłożyła do ust dłoń, lecz mimo to nie potrafiła powstrzymać odruchu wymiotnego. Minęła dłuższa chwila, zanim się opamiętała. Rozpacz oraz strach zniknęły, zmieniając się we wściekłość. Odepchnęła się od podłogi, zrywając się na równe nogi.

– Owszem, oznacza śmierć. Twoją śmierć! – krzyknęła, biegnąc w jego kierunku.

Kat wybuchnął śmiechem, łapiąc Harumi za nadgarstki. Uderzył piszczelą w zgięcia jej kolan, przez co upadła.

– Przyjemnie widzieć, jak wielka królowa przed tobą klęka. Przegrałaś – mruknął z satysfakcją, po czym się skrzywił. – Chcesz umrzeć z uśmiechem na twarzy, czy może tak bardzo cię bawię? – zapytał z jadem w głosie.

– To ty przegrałeś. Spojrzałeś w oczy Bazyliśkowi – rzekła, po czym się zaśmiała, widząc przerażenie na twarzy kata. Osoby, której przed chwilą się bała.

Oczy Harumi zabarwiły się na czerwono. Umysł kata był pełen okrutnych wspomnień, ale tylko jedno z nich interesowały

Harumi. Przeglądała je, aż w końcu natrafiła na wspomnienia jej męża.

Krew powoli spływała z rozciętego policzka. Powietrze było na tyle gęste, że Shi krztusił się, choć mogło być to spowodowane również przez krew zbierającą się w jego ustach.

– Sądziłeś, że ot tak, przyjmimy cię z otwartymi rękami? Jesteś mordercą! – syknął kat, przecinając nożem kolejne warstwy mięśni mężczyzny. Shi ledwo powstrzymywał krzyk, gdy kolejne fale ostrego bólu ogarniały jego ciało.

– Chciałem, po prostu, ochronić rodzinę – szepnął, gdy łyzy łącząc się z krwią, brudziły posadzkę.

Harumi w ostatniej chwili powstrzymała odruch wymiotny. Łzy powoli spływały po jej policzkach. Czuła okropny ból w klatce piersiowej. Mogła go powstrzymać od rozejmu. Gdyby zagroziła rozwodem, Shi odpuściłby i teraz leżeliby w swoich objęciach, rozkoszując się wzajemnie swoim ciepłem.

– Skazuję cię na śmierć – szepnęła Harumi, sprawiając, że mózg kata zaczął obumierać.

Podniosła się i na drżących nogach podeszła do ukochanego, przy którym znów padła na kolana,

– Shi...przepraszam. Gdybym szybciej tu dotarła...

– Miałas rację kochanie. Żałuje rozejmu – szepnął słabo Shi, podnosząc powoli drżącą dłoń do policzka ukochanej. Opuszki lekko musnęły skórę, którą tak bardzo wielbiły po to, aby po chwili cała dłoń opadła wraz z ostatnim tchnieniem życia.

Harumi rozpaczliwie potrząsała martwym ciałem ukochanego, zdzierając gardło od rozpaczliwego krzyku.

Słońce pokazywało się w całej swojej okazałości, gdy młode małżeństwo siedziało na ławce w swoim ogrodzie między różanymi krzaczkami. Harumi oparła głowę o ramię swojego męża patrząc, jak mały jeżyk przechadza się po trawie.

– Sądzisz, że naszym dzieciom się tu spodoba? – zapytała w pewnym momencie, na co Shi spojrzał na nią zdziwiony.

– Dzieci? – zapytał, na co Harumi przytaknęła. Shi złożył pocałunek na jej czole, uśmiechając się. – Na pewno się im tu spodoba. Zobaczysz, że za parę lat z radością będą biegać po trawie.

Serce Harumi zadrżało, gdy zrozumiała, że już nigdy ich wizja się nie spełni. Nigdy już nie będą mieli dzieci, nie będą się kłócić, przytulać, czy też całować. Wszystko to, co miała dotąd,

pękło jak bańka mydlana. Z tą myślą serce Harumi zatrzymało się na zawsze.

Harumi kilka razy zamrugła, aby przyzwyczaić oczy do światła. Podniosła się, rozglądając.

– Kochanie... – szepnął Shi na ucho ukochanej. Ciepły oddech sprawił, że ta lekko zadrżała.

– Gdzie ja jestem? – zapytała, nie odwracając się w jego stronę, gdyż jego ręce objęły ją od tyłu. Oparła się plecami o jego klatkę piersiową, rozkoszując się jego obecnością.

Miała ochotę wybuchnąć płaczem, gdy usłyszała jedno wspaniałe zdanie z ust ukochanego:

– Bóg chciał, abyśmy po śmierci mogli spokojnie żyć w naszej miłości, kochanie.

Wyprawa w czełości umysłu

Artur Niewczas

Nawet się nie spostrzegł, kiedy słońce zaszło i mrok zaczął spowijać świat. W ostatniej osadzie, którą odwiedził Kung-aimu powiedziano mu, że najbliższe skupiska ludzkie położone są w odległości jakichś dwóch dni marszu. Nie była to jednak prawdziwa informacja, bowiem mężczyzna szedł już ponad cztery doby, a wokół wciąż rozrastały się tylko potężne puszcze. Wynikało z tego, że albo mieszkańcy Verbrath nie bardzo orientowali się w jednostkach miar używanych powszechnie, albo po prostu zadrwili sobie z przybyśza powracającego ze stolicy Magii Wszelakiej.

Niezależnie od przyczyn, obecna sytuacja Kunga stała się nieciekawa. Spodziewając się tylko dwóch dni drogi, zabrał ze sobą niewielką ilość jedzenia i wody, a poza tym, podczas przechodzenia przez moczary został ukąszony przez nieznanego mu owada. Miejsce wbicia żądła na ramieniu z każdą godziną stawało się coraz bardziej gorące i sine, a do tego wędrowiec zaczął odczuwać dreszcze na całym ciele, mimo że wokół panował upalny, lepki klimat.

Próby złagodzenia jadu ziołami nie przyniosły poprawy, nic nie dało też nacięcie rany. Kung-aimu zaczął więc obawiać się, że bez pomocy jego podróż może skończyć się

przedwcześnie. No właśnie, ale dokąd tak właściwie teraz zmierzał? Po bezradności magów z Marroninum i ich słowach chłodnego pożegnania, tchinianin doznał zamroczenia umysłu i poczucia skrajnej bezsilności. Czy przemierzył taki szmat drogi tylko po to, aby usłyszeć że nikt nie jest w stanie odwrócić zapomnianego, orientalnego zaklęcia? Czy to oznaczało też, że jego przyjaciółka ze szkoły pozostanie na zawsze uwięziona w papierze?

Mężczyzna nie chciał się poddawać, nie mógł tego zrobić nie zmywając jednocześnie swojej winy, był jednak coraz bardziej zrezygnowany i wycieńczony, nie tylko fizycznie. Nie wiedział, czy dalej szukać rozwiązania w innych miejscach świata, czy wrócić do domu, licząc na wybaczenie ze strony mieszkańców Tchinu. A teraz jeszcze to ugryzienie wysysające energię.

Kiedy wędrowiec gotów był już usiąść pod najbliższym drzewem i zapaść, choćby i w wieczny sen, nagle z daleka zobaczył postać. W pierwszej chwili pomyślał, że to omamy wywołane jadem, ponieważ owa postać była ubrana od stóp do głowy w szatę barwy miedzi. Dodatkowo, wyężając wzrok można było dostrzec, że człek ten “stał” utrzymując się tylko na jednej ręce, na stopach zaś ułożone miał dwa kłoc drewna, nawet z daleka wyglądały na ciężkie. “To musi być z gorączki, umysł mnie zwodzi, chyba trucizna przeniknęła zbyt głęboko” – pomyślał Kung, wciąż patrząc w dal.

Po chwili ruszył przed siebie niepewnym krokiem, wspierając się na czarnym kosturze, zakupionym przed wyprawą na tchinskim targu. Posuwał się bardzo powoli, z trudem łapiąc oddech. “Jak on z taką łatwością stoi na jednej ręce? To jakiś wojownik? Mag?” – myśli kłębiły się w głowie mężczyzny, wciąż nie uważającego widoków przed sobą za rzeczywiście.

Kiedy wreszcie skrócił dystans do tajemniczej postaci o połowę, przysiadł oparty o drzewo chcąc, choć w pewnym stopniu, zregenerować siły. Teraz widział ją o wiele wyraźniej i pomalą przestawał wątpić w realność obrazu. Nagle zobaczył, że człek w szacie, wciąż oparty na własnej ręce, obraca się i patrzy w jego kierunku. “Oby był pokojowo nastawiony, bo w tym stanie nie dam rady nawet rzucić kamieniem w celach obronnych. O magii nie wspominając”.

Obserwujący wstał, zrzucając jednocześnie drewniane bele i skierował się w kierunku wędrowca z Tchinu. “Co ma być to będzie. Trudno!” – pomyślał w desperacji Kung-aimu, przemawiając na głos (choć niezbyt pewnie):

– Witaj nieznajomy, nazywam się Kung-aimu Nyangh i pochodzę z osady Stshe-Tchinalos w Xirunthii. To blisko Morza Błękitnego. Wędruję teraz z Marroninum, chociaż nie znam ostatecznego celu podróży. Mój umysł zaćmiło przygnębienie i jad jakiegoś paskudztwa z moczarów.

Nieznajomy podszedł całkiem blisko i podciągając rękaw skórzanej szaty wędrowca, dokładnie przyjrzał się opuchliznie. Nie odzywając się ani słowem dotykał ramienia, chcąc wyczuć miejsce wbicia żądła. Po dłuższych oględzinach, kiedy Nyangh zaczął odczuwać większy ból, człowiek odezwał się orientальnym językiem:

– To komar igłostrzelnny. Jego trucizna powoduje gorąc w środku i może uszkodzić wewnętrzności. A lekarstwem jest tylko jagoda pąsowa, którą bardzo trudno znaleźć o tej porze roku. Ale cóż, przyjacielu, zabiorę cię do naszej świątyni, a tam pomoże ci nasz Czcigodny rinpong – on ma nieskończoną mądrość w sobie. No dalej, spróbuj wstać.

Kung, nie znając prawie wcale tego narzecza, zrozumiał tylko: “gorąc w środku”, “trudno znaleźć” i “wstać”, ale nie mając właściwie innego rozwiązania tej jakże trudnej sytuacji, z trudem zaczął podnosić się z ziemi, opierając ciężar ciała na kosturze.

Tak zaczęła się oniryczna wędrówka w nieznane tchinianinowi miejsce z obcym, jak na razie, człowiekiem.

Nyangh ocknął się, leżąc na miękkiej skórze – trofeum z polowania, czy innego “obrzędu” nie bardzo zdając sobie sprawę, gdzie się obecnie znajduje. W umyśle wirowały mu tylko tajemnicze obrazy, dziwne dźwięki i kolorowe plamy. Po wyjęciu lewej ręki spod ciepłego, ale lekkiego równocześnie koca

zorientował się, że jest ona owinięta dużymi liśćmi, a co ważniejsze, nie boli już tak bardzo jak wcześniej.

Kiedy wzrok mężczyzny przyzwyczał się do światła wpadającego z zewnątrz, pomieszczenie stało się bardziej wyraźne. Choć zbudowane w całości z tyczkowego drewna, utrzymywało w środku przyjemny chłód, będący kontrastem dla żaru z zewnątrz. Otwór wejściowy zakryty był gęstą zasłoną z liści i gałęzi, podobnie zresztą jak jedno małe okno. Oprócz posłania znajdował się tu niski stolik, duże naczynie z wodą oraz kosz wypełniony do połowy owocami i warzywami.

– Gdzie ja jestem, o bóstwa opiekuńcze? Czy to jeszcze senna iluzja, wywołana zmęczeniem i febrą? – mamrotał do siebie Kung-aimu, wiedząc że sam sobie nie odpowie na te pytania.

Bezradność jednak trwała krótko, bo jakby słysząc myśli leżącego, do pokoju wszedł człowiek w szacie barwy miedzi, niosąc na tacy małe miseczki wypełnione kolorowymi proszkami.

– O proszę, nadmorski bracie. Już się przebudziłeś? Całkiem szybko, jak na tak dużą ilość jadu w twoim wnętrzu. Miałeś szczęście, że pojawiłem się w porę – musiał ugryźć Cię naprawdę duży osobnik. Jeszcze trochę i ugotowałbyś się na amen! – Arth i tym razem nie zrozumiał zbyt wiele z wypowiedzi gospodarza, w jego głosie jednak wyczuł pozytywne intencje, więc skłonił głowę na znak podziękowania za ratunek. Bezwłosy

dobroczyńca także wykonał ukłon, po czym odwinął opatrunek z ramienia chorego i wtarł w nie rudy i szkarłatny pył.

Po chwili odezwał się ponownie, tym razem mówiąc wolniej i prościej:

– Ty już zdrow. Jadu nie ma. Jedz, pij i oddychaj powoli. Wtedy energia wróci – Nyangh, rozumiejąc przekaz, jeszcze raz podziękował niskim pokłonem.

Kolejne dni mijały, choć wędrowcowi z Tchinu wydawało się, że były to tygodnie, a nawet miesiące od momentu, w którym znalazł się w tym orientalnym miejscu. Odzyskując siły dowiedział się, że przebywa w świątyni Białej Dłoni – pokojowo nastawionej do świata religii, której wyznawcy gołą głową, żyją w zgodzie z naturą i trenują sztuki “przepływu qi”. Mnisi długie godziny spędzali na medytacjach oraz hartowaniu własnych ciał.

Kung był pod wrażeniem porannych ćwiczeń na placu centralnym, kiedy to prawie setka odzianych w miedziano barwne szaty mężczyzn i kobiet, rozbijała skały gołymi pięściami, stopami, a nawet głowami. Trening taki bardziej przypominał taniec czy akrobację niż walkę, będąc widowiskiem dla przybysza z daleka. Równie ciekawym było także obserwowanie “pieśni kontemplacji”, podczas których ćwiczony był umysł.

Pewnego dnia, gdy przybysz z Tchinu całkowicie zregenerował siły, przyszedł do niego Dhakpa, czyli mnich

napotkany w puszczy i zaprowadził przed oblicze samego Czcigodnego. Kung chciał przede wszystkim podziękować tutejszemu Rinpongowi za gościnność i wyleczenie, jednak nie tylko. Słyszając bowiem o jego wielkiej mądrości i pokorze wobec świata, mężczyzna zamierzał prosić o radę, jak dalej postępować, oraz jak odzyskać spokój umysłu. Dlatego po wejściu do komnaty z dużym posągami Białej Dłoni usiadł na ziemi i oddał pokłon mnichowi, po czym zaczął opowiadać o swojej podróży i porażce w misji, którą sobie wyznaczył.

Starzec jednak w pewnej chwili podniósł tylko dłoń nad głowę nie mówiąc ani słowa, co jednoznacznie odczytać można było jako nakaz milczenia. Mężczyzna z Xirunthii niemal czując w powietrzu “wielkość” duchową gospodarza, momentalnie przestał mówić, spoglądając w ziemię. Obaj trwali w ciszy bardzo długo i dopiero wtedy Opiekun Świątyni przemówił z powagą i dobrocią (o dziwo, w języku xirunth):

– Twe myśli za szybkie. Krążą, wirują, a przez to męczą wnętrze. Naucz się ciszy, przybyszu znad morza. Zajrzyj w głąb siebie ze spokojem. A wtedy prawda Ci się ukaże. I będziesz wiedział... wszystko.

Kung-aimu przyjął słowa mnicha z pokorą, chciał bowiem odzyskać równowagę wewnętrzną. I poznać prawdę. Po trzykrotnym niskim pokłonie ofiarowanym Rinpongowi powoli wyszedł na dwór, szukając wzrokiem Dhakpy. W jego umyśle

bowiem narodziło się pragnienie ćwiczenia ciała i umysłu razem z pozostałymi według zasad religii Białej Dłoni.

W kolejnych tygodniach tak właśnie się stało – Kung został dopuszczony do wspólnych ćwiczeń i choć na początku było mu ciężko nadążyć za doświadczonymi mnichami, uczył się wielu przydatnych umiejętności, hartując przy tym ciało i umysł.

Codzienny trening składał się także z wykonywania – zdawałoby się zbyt codziennych czynności – takich jak rąbanie drewna, noszenie wody ze strumienia, pielienie upraw roślinnych, a nawet wypas spiralnorogich owiec. Jak jednak tłumaczyli starsi z wyznawców, właśnie przez stawianie czoła codzienności można było osiągnąć perfekcję.

Pod wieczór mnisi, razem na dużym placu świątynnym lub też osobno we własnych celach, pogrążali się w medytacjach, wchodząc głęboko w umysł, ale cały czas będąc świadomym rzeczywistości. Kung, instruowany przez Dhakpę i mniszkę Tsundue, również starał się zagłębić w swe myśli i zobaczyć prawdę. Początkowo jednak z trudnością panował nad swymi emocjami, nie mówiąc już o dostrzeżeniu czegokolwiek ważnego w swym umyśle.

Kiedy obrazy wreszcie przychodziły w wymiarze ciszy, były przesycane smutkiem i poczuciem winy, przez co niełatwo było je oglądać.

- Potrzeba czasu. Dojdiesz do perfekcji, jednak potrzeba czasu
- uspokajali współtowarzysze, chcący pomóc wędrowcowi odnaleźć “właściwą drogę”.

Dwudziestego ósmego dnia pobytu w świątyni, po wielu godzinach ćwiczeń fizycznych, Kung nie patrząc na zmęczenie, podążył do głównej komnaty bóstwa, aby przez całą noc medytować w spokoju. Po przybraniu odpowiedniej pozy i zamknięciu oczu, tchinianin wyciszał się stopniowo, zamykając siebie w wymiarze myśli. Koncentrował się bardzo mocno oddychając miarowo, aby powietrze dotarło do wnętrza i spowolniło procesy życiowe. Tylko w ten sposób można było dotrzeć do rdzenia, skrywającego zawartość duchową.

Taki proces wiązał się z ryzykiem zostania tam na zawsze. Mężczyzna zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jednak chęć wyzwolenia się z paraliżującego smutku była silniejsza. Dlatego “płynął” coraz głębiej i głębiej, zostawiając w tyle zmartwienia i lęki.

W tej nierealnej czeluści pojawiały się obrazy istot i miejsc, które pamiętał z przeszłości, jednak też i całkowicie mu nieznane. Kształty, twarze, kolory – wszystko zlewało się w jedno, żeby momentalnie przybrać znajomą formę.

W końcu dostrzegł zbliżające się dno i gdy wreszcie osiadł na nim, poczuł falę emocji ogarniającą każdy skrawek jego mentalnego ciała. W jednej chwili stracił przytomność, a w podświadomości wyrastać zaczęła przed nim niesamowita

scena. Poczuł, że jest kimś innym, jakby duszą wszedł do cudzego ciała. Ale nie nieznanego. Ujrzał świat oczami znanej mu dziewczyny – czarodziejki z Tchinu, zdolnej panować nad ogniem, wojowniczką będącej w niebezpieczeństwie.

Rin-aishi usłyszała wewnątrz swojej głowy czyjś spokojny głos, wypowiadający pojedyncze słowo: “Zaśnij”. Po chwili pojawiła się u niej senność i zmęczenie. Powieki same się zamykały, a ciało wypełniło przyjemne ciepło. Ostatnie, co dostrzegła, to potwór nadlatujący i plujący mroźną substancją w kierunku zakapturzonego mężczyzny oraz powiększający się w ciemności świetlny symbol. Po chwili zasnęła.

Zaczęła jakby płynąć, choć nie znajdowała się w wodzie. Czuła lekkość, jakby była piórkiem lub listkiem unoszonym przez wiatr. W niej samej nie było już strachu, napięcia i niepewności, a tylko spokój i ukojenie. Nie zdawała sobie sprawy, gdzie się znajduje i jak się tu znalazła, jednak chciała dalej być niesioną przez podmuch. A wokół niej tajemniczy świat zmieniał się wciąż, jednak nie w normalny sposób.

Te niesamowite zjawiska przypominały bardziej pracę niezdecydowanego malarza, który wciąż nakłada nową warstwę farby na płótno, próbując wymieszać kolory i stworzyć obraz. To było dziwne, ale jednocześnie przyjemne dla oczu uczucie. Wszystko wokół wyglądało właśnie jak namalowane. Kolory delikatnie przechodziły w swoje jaśniejsze lub ciemniejsze

odcienie i przez to nie raziły krzykliwością, nie narzucały się i nie męczyły oglądającej je Rin-aishi.

Powoli opadła na tuszową ścieżkę, szeroką jak gdyby namalowaną przez duży pędzel. Wolno zaczęła stąpać przed siebie, podziwiając fantazje powstające dosłownie na jej oczach, na tuszowym niebie, naszkicowanym lesie, namalowanej rzece. Czowała się w tym odrealnionym świecie wyśmienicie – lekka, wolna od trosk, z umysłem upojonym radością i spokojem. Coś próbowało powiedzieć jej, że to tylko iluzja – nic prawdziwego – jednak wszystko wokół było tak ciekawe i przyjemne, że nie chciała, aby się kończyło.

A magiczny sen trwał nadal, podsuwając pod oczy dziewczyny kolejne obrazy. Najpierw przed nią pojawiła się łąka pełna kwiatów (lub bardziej ich malowideł), od których było przyjemne światło. Rin-aishi próbowała zerwać kilka z nich, jednak w tej samej chwili uniosła się w powietrze, a pod nią z ziemi wyrosła góra. Z wysoka dziewczyna zobaczyła na jej szczycie naszkicowane sylwetki trzech osób stojących w kręgu, w którym to z kolei leżała księża.

Nagle z tuszu powstał jakby wybuch magiczny i wtedy panna Tsang znów opadła na ziemię, a wokół niej wyrastały już mury znanego jej tchinskiego Składu Ksiąg. Tam w jednej z sal rozpoznała siebie, siedzącą na dużym krześle, pogrążoną jakby w transie. Wokół niej zaś stali jej znajomi – Opiekunka Ksiąg i jej pomocnik.

Obserwowała ten obraz kilka chwil, jednak znów momentalnie ingerencją niewidzialnego artysty, pojawił się przed nią piękny ogród pełen stołów z jedzeniem i piciem. Ujrzała wiele osób i jednego chłopaka, który jakby przemawiał do zebranych. Rin-aishi nie mogła słyszeć jego słów, jednak poczuła smutek z tej sceny, bijący od jej głównego bohatera. Teraz wokoło namalowane były domostwa i sklepy jej ukochanego Tchinu, a tuszowi ludzie uliczkami szli w jednym kierunku. Podążyła wzrokiem za nimi, a wtedy niespodziewanie znalazła się znów wewnątrz Składu Ksiąg, tym razem jednak w sali z dużą sceną. Na niej znajdował się chłopak z poprzedniego obrazu, teraz przedstawiony jako lokalny sztukmistrz.

Choć wydawało się to niemożliwe w rzeczywistości, młodzieniec z malunku patrzył ze sceny dokładnie na Rin-aishi, jakby poznając w niej kogoś bliskiego. W chwili, gdy się pokłonił, wszystkie barwy stały się ciemnoczerwone, a kreski przybrały kształt ognia trawiącego całą osadę. Wśród szkarłatnego pożaru przez tuszowe uliczki szedł ogromny wojownik w czarnej zbroi. Od niego śniąca poczuła tylko nienawiść i grozę.

Teraz dziewczyna jak najszybciej chciała się obudzić, uciec od koszmaru, który wyrósł na jej oczach. Kiedy podskoczyła, znów uniosła się w powietrze, widząc z góry że cała osada, która jeszcze przed chwilą płonęła, teraz skąpana jest

w morzu. Jej mieszkańcy swobodnie dryfowali na falach, ale nie bali się tego, a wręcz przeciwnie – śmiali do siebie. Po chwili zaczęli machać do czegoś, co nadpływało znad horyzontu.

Rin-aishi wyżejając wzrok dojrzała piękny, duży okręt o złotych żaglach i masztach. Z pokładu znów ktoś patrzył na nią z życzliwością w namalowanych oczach.

Morze zmieniło się na powrót w ziemię, a wtedy przed córką Tsanga wyrosło ogromne miasto z licznymi wieżami i murami obronnymi, a na tych tuszowych basztach powiewały flagi Najwyższej Magii. Ten widok zapierał dech w piersiach, nawet jeśli był tylko snem lub złudzeniem.

Niedługo jednak dane było jej go podziwiać, gdyż w okamgnieniu obraz znów się zmienił. Dziewczyna zobaczyła teraz namalowaną siebie i chłopaka-sztukmistrza, jak w duecie przedstawiają jakiś spektakl magii i tańca, a zebrani pod sceną wiwatują niemo na ich cześć. Na scenie na jej oczach czarnym i szkarłatnym tuszem powstawał napis: “Odważna panno, zapomnisz o wszystkim co ujrzałaś we śnie i powoli, ze spokojem, powrócisz na jawę”. Dziewczyna chciała zawołać i zapytać, gdzie tak naprawdę jest, jednak wszystkie obrazy bladły, tak jakby powstały dawno temu, a nie przed chwilą.

Zaczęła słyszeć z oddali jakieś głosy. Wołały ją po imieniu, najpierw niewyraźnie, jednak z każdą chwilą coraz głośniejsze. Rozpoznała w nich swoich bliskich,

jednak nie widziała nikogo, nadal patrząc na prawie już niewidoczny krajobraz przed sobą.

Po chwili jeszcze podświadomie, poczuła dotyk na policzku i serdeczny szept:

– Rin-aishi, moja córeczko, obudź się, proszę!

Kung powrócił do swego ciała, nadal będąc pogrążonym w medytacji. Wciąż nie widział nic konkretnego, jedynie mrok, ale nie było to nieprzyjemne, wręcz przeciwnie – stan taki symbolizował bezpieczeństwo, opiekę, harmonię wszystkiego.

Usłyszał też dziewczęcy głos, znajomy mu z jakiegoś powodu:

– Wracaj do domu. Tam zyskasz spokój. Tam odkryjesz prawdę.

Po tych słowach w ułamku chwili przebył powrotną drogę przez umysł, odzyskując pełną świadomość. Oszołomiony, pamiętał dobrze całą “pieśń kontemplacji”, łącznie z radą z dna. Mimo skrajnego wyczerpania fizycznego i duchowego odczuwał radość. Wiedział, co powinien zrobić.

Po ogłoszeniu swojej decyzji Czcigodnemu, ten zwołał wszystkich mnichów na plac świątynny. Ich szaty tym razem były szkarłatne, a głowy zdobiły “czuby” barwy miedzi, dodające dostojęstwa i mądrości. Stojąc w okręgu, oddali niski pokłon swemu Przewodnikowi oraz przybyszowi znad morza, po czym usiedli. Rinpong podniósł ręce nad głowę, a potem przemówił do zgromadzonych:

– Nasz gość z daleka, Kung-aimu Nyangh, całym sercem i duszą ćwiczył w świątyni, chcąc zrozumieć samego siebie. Oddał wiele bezinteresownie, za co otrzymał nagrodę. Dobro czynione innym wraca bowiem do nas powiększone kilkakrotnie. Cieszy mnie, że zyskał pokorę, wytrwałość i mądrość – stanie się przez to doskonalszy i bardziej współczujący. Wiedz, że to najważniejsze cnoty w życiu człowieka. Wracaj do domu i nie zapominaj, że zawsze będziesz mile widziany w naszym przybytku. A to dar na pożegnanie – mimo, że niepozorny, to myślę, że nieraz pomoże ci w opresji. A przy okazji przyniesie spokój.

Mężczyzna przyjął woreczek od mistrza i po niskim pokłonie dziękczynnym wobec gospodarzy, ruszył w dalszą drogę. Wracał do Tchinu.

Pod powierzchnią

Alicja Stroik

Stalowe, ciężkie chmury nadciągnęły znad południowego wschodu, osłaniając migoczące wesoło słońce. Śpiew cykad ucichł na chwilę, zagłuszony przez przejeżdżający przez most samochód. Cichy plusk dołączył do orkiestry japońskiego lata, gdy upuszczony przez siedzącą na moście kilkuletnią dziewczynkę koszyk z wikliny wpadł do wody, zderzając się z powierzchnią butelkowo zielonej wody i zanurzył się na głębokość kilku milimetrów. Niesiony prądem strumienia zdążył przepłynąć pod mostem i ruszyć w stronę zakola, za którym znajdował się młyn, nim został dogoniony przez biegnącą przy brzegu właścicielkę. Wyciąganie rącek, nachylenie się nad wodą i liczne nawoływania nie pomogły, koszyk nieprzerwanie oddalał się, nie zwracając na nie uwagi.

Dziewczynka w białej sukience zatrzymała się, przecierając brudnymi dłońmi spływające jej po policzkach łzy. Zamknęła oczy, kichając, gdy chłodny wiatr przemknął obok, kąsając jej odsłonięte kostki. Skupił się na nieposłusznym koszyku, krążąc wokół niego i ustawiając cel jego trajektorii w stronę brzegu. Wysoki chłopiec o włosach błękitnych jak tafla zamarzniętego jeziora sięgnął po unoszący się na wodzie przedmiot, gdy ten znalazł się wystarczająco blisko. Przełożył

koszyk do lewej ręki, prawą przesunął powoli po jego powierzchni, z góry na dół. Gorący podmuch powietrza osuszył dokładnie wiklinę, przy okazji wysuszając też znajdujące się w środku kwiaty.

— Zabiłeś je — mruknęła dziewczynka, zaglądając do środka koszyka. Wyciągnęła wyschnięte kwiaty i rozrzuciła je na powierzchni strumienia. — Teraz muszę znów je pozbierać.

— To jest twoje podziękowanie za uratowanie koszyka? prychnął Sōma, wyciągając dłoń, by pstryknąć siostrę w nos, ale ostatecznie tylko poczochnął jej ciemne włosy. — Nie ma za co.

— Sachiko skrzyżowała ramiona, wystawiając język w stronę starszego brata, po czym odwróciła się i pobiegła w stronę pobliskiego lasu.

— Tylko wróć do domu na obiad! — zawołał za nią chłopak, podążając wzrokiem za oddalającą się sylwetką siostry. Uśmiechnął się.

Czując ciepło promieni słońca na odsłoniętych ramionach, uniósł wzrok na częściowo zachmurzone niebo. Wyciągnął obie dłonie w stronę chmur, przymykając oczy do momentu, gdy poczuł przechodzące przez jego ciało uczucie chłodu i gorąca. Skupił się na skumulowaniu swojej mocy w jeden silny podmuch wiatru, który byłby w stanie rozpozodzić

kobaltowe niebo. Wypuścił pierwszy powiew, kołysząc liśćmi pobliskich drzew i rosnących przy brzegu strumyka trzcin. Za drugim razem zdołał dosięgnąć koron najwyższych z nich i przyspieszyć prąd rzeki. Trzecia próba była tak silna, że upadł, odrzucony siłą wypadkową.

Powstała mieszanka zimnych i ciepłych, szybkich i powolnych wiatrów pomknęła w stronę obłoków, rozchodząc się także w szerokości. Lazurowe niebo przecięła nagle, ametystowa iskra, zupełnie jakby niebiański samuraj rozciął je za pomocą *katany*. W towarzystwie błyskawicy pojawiły się grzmoty, gdy ciemność nałożyła na świat swój płaszcz.

Był to pierwszy raz, gdy Sōma doświadczył nawałnicy na własnej skórze, w inny sposób niż oglądając ją na obrazkach w książkach czy w rozpikselowanej telewizji. Pierwszy raz, gdy jego moc miała tak duży wpływ na otoczenie. Siedział na mokrej od deszczu ziemi, jak zahipnotyzowany wpatrując się w palący się w górze ogień niebieski. Minęło kilka minut, zanim ocknął się, powoli podnosząc się z ziemi. Kilkanaście, zanim przypomniał sobie o zbierającej kwiaty w lesie siostrze. Kilkadziesiąt, zanim dobiegł do polany czerwonych lilii pajęczych, i potknął się o porzucony przy stromym brzegu wezbranej rzeki koszyk.

— Cynobrowy, jarzębinowy czy krwisty? — ekspedientka wskazała rząd pudełek z czerwoną farbą. — Jest też karmazynowy i bordowy, spójrz na kartę z próbkami.

— Czym one się różnią? — westchnął chłopak, poprawiając zsuwający się kaptur czarnej bluzy. Odsłonił grzywkę, ukazując platynowe włosy. — Jaki odcień będzie wyglądał jak czerwony przy tym kolorze?

Niewiele starsza od niego dziewczyna zerknęła na jego czoło, po czym z powrotem spojrzała na kartę próbek.

— Chcesz go zakryć czy na pasemka? — dopytała, od razu eliminując trzy z pięciu.

— Pasemka. Właściwie to tylko jedno.

— Jedno, hm? — mlaskała ustami, jakby przeżuwała co najmniej tygodniową gumę balonową. — W takim razie polecam bordowy, chociaż cyna też się nada. Można je wymieszać przy farbowaniu.

Nieustające ciamkanie w połączeniu z przejeżdżającym co sześć minut nad powierzchnią sklepu pociągiem, coraz bardziej irytowało blondyna. Dokładał się do tego nieprzyjemny zapach gnijącego mięsa z nutami owocowymi, który unosił się w powietrzu.

— Niech będzie — mruknął, szukając banknotów po kieszeniach. Miał ochotę prychnąć, gdy opuszkami palców natrafił na starannie wyciętą szczelinę w jednej z nich.

— Który?

— Ten pierwszy — machnął ręką, szukając czystego miejsca na zakurzonym blacie.

Położył na nim parę monet i sięgnął po pudełko farby. Dziewczyna cofnęła rękę z produktem.

— Za mało — fuknęła, pociągając nosem. Rozglądała się nerwowo.

Chłopak zerknął na zdezelowany, ledwo działający zegar na ścianie, podążając za wzrokiem sprzedawczyni. Pozostało szesnaście minut do siódmej. Zbyt mało czasu. Pociąg nadjeżdżał, przyciągając ze sobą narastający szum. Rzucił na blat prawie pełną paczkę papierosów, które zwinął wcześniej komuś na targu, wyrwał z rąk dziewczyny pudełko i wybiegł ze sklepu. Nikt za nim nie krzyczał, więc zwolnił, wychodząc ze stacji metra.

Elektroniczny zegar na nowoczesnym budynku korporacji po drugiej stronie ulicy pokazywał godzinę szesnastą czterdzieści jeden. Przeszedł przez pasy na zielonym świetle, mając nadzieję, że przejeżdżający kierowcy będą zwracać uwagę na sygnalizację. Minął kawiarnię z najlepszym *kēma karē*, jakie

można było znaleźć w mieście według słów jego znajomego ze szkoły, Ryō, który spędzał tam prawie każde wolne popołudnie podczas wakacji letnich. Haru był tam tylko dwa razy. Jedzenie było naprawdę dobre, chociaż jego zdaniem Ryō bywał w kawiarni dla jednej z kelnerek, szczególnie ładnej, a nie dla spopularyzowanego w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku dania.

Zatrzymał się przed placem zabaw dla dzieci, za którym znajdowała się rzadziej używana przez mieszkańców droga. Prowadziła do osiedla, na którym mieszkał. Schował pudełko farby do dużej kieszeni czerwonego plecaka, który lata świetności miał już dawno za sobą. Położył trzymaną pod ręką deskorolkę na ziemi, przytrzymując ją stopą, gdy zakładał plecak na ramiona. Stał pewniej na desce, odepchnął się i zjechał ze wzgórza, korzystając z ostatnich ciepłych dni przerwy przed powrotem do szkoły.

Ciała Sachiko nie znaleziono. Przewidywano, że porwał je silny prąd rzeki. W urnie umieszczono skremowane czerwone lilie. Sōma został wysłany na parę miesięcy do dalszej rodziny w górach Akaishi, gdzie pomagał w buddyjskiej świątyni, uczył się medytacji oraz kontroli własnej mocy. Na początku kwietnia dołączył do szkoły szkolącej superbohaterów na wyspie Nō.

Od tego czasu minęło już pięć wiosen. Siedemnastolatek skończył zakresłać wybrane dodatki na karcie zamówienia i podał ją szefowi kuchni. Oparł głowę na dłoni, czując chłód stykającej się z rozpalonym czołem skóry. Przeczesał jasnoniebieskie kosmyki palcami, po czym podniósł filiżankę z herbatą jęczmienną, przechylając ją w różne strony. Skupił się na obserwowaniu przemieszczającego się płynu.

— Nie mógłbym dostać piwa zamiast tego? — po tych słowach kucharz spojrzał na niego krzywo.

— Masz już dwadzieścia lat?

— Za trzy lata.

Mężczyzna prychnął, wracając do wycierania szklanek i obsługiwania innych klientów. Chwilę później postawił przed Sōmą parującą miskę zupy ze świeżo wyrobionym makaronem. Kremowy wywar shoyu, proste noodle ugotowane al dente, aby nie rozmiękły zbyt szybko, do tego kawałki wieprzowiny, warzywa i zawsze co najmniej jedno dodatkowe jajko.

Sōma zawsze najpierw próbował pachnącego wywaru, później dodawał dokładnie jedną łyżkę oleju chili, cztery ząbki czosnku i odrobinę imbiru. Następnie mieszał makaron i przyprawy tak, by smak był idealny w każdej porcji. Wtedy dopiero zaczynał jeść.

W połowie posiłku na blacie obok jego miski pojawił się talerzyk z kilkoma pierożkami gyoza. Uniósł pytający wzrok na pomagającą w kuchni dziewczynę, która podała mu danie.

— Na koszt szefa — wyjaśniła. — Chyba lubi, jak tu przychodzisz.

Sōma kiwnął głową, dziękując, ale dziewczyny już nie było.

Na południowo-wschodnim szczycie góry Nōtori, daleko od wścibskich oczu mieszkańców pobliskich wiosek mieściła się Akuyaku Gakkō, szkoła podziemnych bohaterów, do której uczęszczał Haru. Chociaż stworzona została na wzór tradycyjnej szkoły dla superbohaterów z wysp Geiyo, o której czytano już tylko w książkach od historii, jej głównym celem było nauczanie nowych pokoleń kontroli nad ich mocami, a nie szkolenie nieczułych dyktatorów, którym zachciało się naprawiać świat.

Do Akuyaku przyjmowano jedynie wybranych studentów, którzy wykazywali wystarczające pokłady ambicji i determinacji, by dążyć do wyznaczonego celu. Selekcją i rekrutacją uczniów zajmowała się specjalna Rada Rekrutacyjna, w skrócie RR. Uczniowie z rekomendacji również podlegali sekretnej weryfikacji przez nieokreślony czas, zanim została podjęta decyzja o ich przyjęciu.

Haru otrzymał propozycję nauki kilka wiosen temu, gdy pomagał w akcji ratunkowej podczas awarii metra w jego rodzinnym mieście. Nie przyjął jej od razu, ale ostatecznie zdecydował się dołączyć. Decydujący wpływ na jego decyzję miała wizyta w budynku szkoły, gdzie poznał swojego przyszłego przyjaciela, Ryō. To z nim dzielił pokój w internacie, uczęszczał na zajęcia i ćwiczył w czasie wolnym. Moc Ryō opierała się na tworzeniu pary wodnej i kontroli wilgotności powietrza, więc wraz ze zdolnością Haru do opierania się sile grawitacji i lewitacji swojego ciała oraz innych przedmiotów, tworzyli zgrany duet podczas lekcji praktycznych.

— Mizushima-kun! Haru, ocknij się kretynie — czyjeś dłonie potrzęsały ramionami blondyna.

Znajomy głos dochodził do jego uszu jak zza niewidzialnej zasłony, zupełnie, jakby wypełnił sobie uszy namoczoną watą.

— Zobacz, co narobiłeś.

Dźwięk kroków oddalił się, ale za chwilę znów się nasilił. Ćwierć szklanki zimnej wody wylądowała na twarzy i szyi chłopaka, wytrącając go z transu. Zamrugał zegara.

— Ja to zrobiłem?

— A kto inny? — prychnął jego współlokator, trzymając w ręce dwa prawie identyczne krawaty.

— Który lepszy?

— Ten jaśniejszy — mruknął Haru, rzucając mu tylko krótkie spojrzenie.

Podniósł się z materaca, przyglądając się dziwnej konstrukcji zawieszanej w powietrzu niczym magiczna zabawka zajmująca uwagę małego dziecka. Chwycił szkicownik i ołówek, prawdopodobnie należący do Ryō, i przerysował kręgi na papier. Potem uniósł dłoni, odbierając przedmiotom odporność na siłę grawitacji, co spowodowało krótki deszcz koszulek, woluminów i dwóch batoników, które zdołał przechwycić nim upadły na podłogę. Jeden rozpakował od razu, odgryzając jedynie mały kawałek, po czym zawinął resztę w papierek i wsunął do szuflady szafki przy swoim łóżku. Drugi wrzucił do lnianej torby przyjaciela, która leżała w połowie zapakowana na komodzie.

— A ty wciąż nie gotowy? — zapytał bezcelowo Ryō, kończąc pakowanie torby i ubieranie mundurka.

— Jak widać.

— Dzisiaj nie będę na ciebie czekał — ostrzegł, wychodząc z pokoju. — Jeśli spóźnisz się na śniadanie, nie myśl, że odłożę dla ciebie tamagoyaki.

— Tak, jasne — Haru pokiwał głową, dobrze wiedząc, że i tak dostanie parujący talerz ulubionego zawijanego omleta.

— Dobra, idź już, chcę się przebrać.

Pożegnał go teatralnie oburzony wzrok współlokatora, który opuścił pomieszczenie, kierując się w stronę stołówki. Śniadanie dostępne było od szóstej rano i kończyło się kwadrans przed rozpoczęciem zajęć teoretycznych o godzinie dziewiątej.

Blondyn ruszył jego śladem dobre dwadzieścia minut później. Podeszedł do windy na końcu korytarza, wciskając przycisk ze strzałką skierowaną w dół. Gdy drzwi się rozsunęły, skrzyżował spojrzenie z rudowłosym, nieco niższym od niego nastolatkiem, Tachibana Katsuo, który od ich pierwszego poznania ustalił sobie za cel prześcignięcie Haru w każdej możliwej dyscyplinie. Moc Katsuo pozwalała mu kontrolować i przewodzić ogromne pokłady energii elektrycznej, a jego nietypowa obsesja na punkcie Mizushimy i chęć przewyższenia mocy antygravitacyjnej doprowadziła go do posiadania znacznie większej siły, niż początkowa.

Światło w prawie pustej windzie przygasło na dłużej niż dopuszczalne półtorej sekundy, a prawe ramię Haru zostało zaczepnie szturchnięte przez Katsuo. Pół piętra niżej później blondyn odwzajemnił się niższemu.

Chwilę potem lampka zgasła na całe dwie i trzy czwarte sekundy, a przez bark wyższego przedostał się słaby impuls elektryczny, puszczając mu włosy. Odwrócił się w stronę Katsuo, nieco zdezorientowany. Nie powinni używać mocy na innych uczniach i był pewny, że rudowłosy też jest tego świadomy. Na

wysokości czwartego piętra jedynym źródłem światła pozostał zielony neon nad przyciskiem ewakuacyjnym. Stali w ciemności przez parę sekund.

— Co ci się stało z głową? — mruknął Katsuo.

— Pofarbowiałem.

— Dziwnie.

— Nie znasz się na modzie — prychnął Haru, a lampka ponownie zaświeciła się, uwalniając ich z chwilowego mroku.

— Skąd ty bierzesz tyle tej irytującej pewności siebie? — warknął niższy, podchodząc do blondyna. Chwycił kołnierz jego koszuli, po raz kolejny posyłając impulsy elektryczne po ciele Haru.

— Używasz mocy na mnie? Wiesz, że nie można — Katsuo przerwał mu, zanim wyższy skończył go pouczać. Puścił koszulę Haru.

— Nic nie robię. Znam zasady.

Blondyn stał przez chwilę skonfundowany, wpatrując się w chłopaka. Oparł się o barierkę przymocowaną do lustrzanej ścianki. Winda zatrzęsła się, zatrzymując się nagle. Zanim światło zgasło, Haru zdołał dostrzec jedynie uniesione w górę ręce Katsuo.

— To nie ja, przysięgam — orzekł rudowłosy.

— Ja nie panuję nad elektrycznością — mruknął Haru.

— To twoja działka.

— Ale tego nie zrobiłem, rozumiesz?

Nie brzmiał, jakby zmyślał, ale z drugiej strony Haru nigdy nie wiedział, kiedy Katsuo mówił prawdę. Przykucnął, dotykając powoli podłogi windy. Znajome elektryczne dreszcze przeskoczyły na stalową powierzchnię w momencie, gdy żarówka nad nimi zamigotała. Tachibana stał nieruchomo, nie było mowy, by używał swojej mocy w danym momencie.

Winda ruszyła powoli w dół po kilku długich sekundach. Oboje wysiedli z niej na drugim piętrze, resztę postanawiając przejść po schodach.

— Użyłeś mojej mocy, prawda? — pytanie Katsuo zwróciło uwagę Haru. Niższy patrzył na niego dziwnie.

— Jak tego dokonałeś? Blondyn milczał przez chwilę.

— Nie wiem — wyznał w końcu.

— Powiem ci, jak to zrozumiem.

Przypomniał sobie o naszkicowanych okręgach. Wyglądały jak portal.

Księżyc zniknął. Skrył się pod osłoną grafitowych chmur, pozbawiając granatowe niebo głównego aktora na olbrzymiej scenie oświetlonej migoczącymi z oddali gwiazdami. Przedstawienie traciło sens, gdy nikt go nie oglądał.

Sōma wracał pieszo do internatu, bawiąc się dziesięciojenową monetą. Podrzucał ją w górę, łapał, gdy spadała i powtarzał czynność. Za którymś razem nie zdążył jej złapać i wpadła do wyjątkowo szerokiej kałuży. Zatrzymał się. Nie było słychać plusku, dźwięku zetknięcia powierzchni wody z brązowym żetonem. Zupełnie, jakby zamiast wody kałuża wypełniona była znacznie gęstszą masą, pochłaniającą swe ofiary bezszelestnie.

Wygrzebał kilka miedziaków z kieszeni, upuszczając je prosto do substancji. Za każdym razem monety stykały się z taflą bezdźwięcznie, po czym zapadały się do jej wnętrza. Chłopak rozejrzał się, kątem oka dostrzegając leżącą nieopodal drogi gałązkę. Oskubał ją z kilku wyschniętych liści i przykucnął, przyglądając się powierzchni kałuży. Z bliska wyglądała jak całkowicie zwyczajna pozostałość deszczowego popołudnia. Jej głębokość mogła wynosić maksymalnie kilka do kilkunastu centymetrów.

Szum morza i szelest liści otaczających drogę na wyspę drzew nasilił się, gdy zmącił spokojną taflę gałązką. Powoli zanurzył ją głębiej, a nie napotkawszy oporu, zatopił ją w całości, dwoma palcami trzymając suchą końcówkę. Wyciągnął drewnienko z kałuży. Część zetknięta z dziwną substancją, pokryta była połyskliwym, miedzianym osadem, który zaraz rozpułnął się w kontakcie z powietrzem.

— Co jest? — mruknął do siebie, bezmyślnie zanurzając własną dłoń w masie.

Stary zegarek Seiko 6215-7000 znajdujący się na nadgarstku Sōmy wybił godzinę siódmą wieczorem, gdy nieznana siła wciągnęła go pod powierzchnię kałuży.

Haru nie poszedł na śniadanie. Gdy tylko Katsuo zniknął z zasięgu jego wzroku, odwrócił się i pobiegł schodami na górę. Zatrzymał się na trzecim piętrze, opierając się o ścianę i oddychając płytko. Pokonanie sześciu kondygnacji sprintem czy nawet truchtem, przeskakując co dwa stopnie nie było dobrym pomysłem. Odetchnął głęboko parę razy, po czym ruszył powoli dalej, podpierając się na barierce.

Na piątym piętrze minęło go kilku schodzących uczniów, ale jego puls zdołał już wrócić w ramy przeciętnej normy, więc nikt nie zwracał na niego większej uwagi. Dotarłszy

do pokoju, przyspieszył, rozglądając się w poszukiwaniu szkicownika Ryō.

W pewnym momencie pomyślał nawet, że przyjaciel mógł zabrać go ze sobą, ale wtedy zauważył skrawek okładki zeszytu pod pogniecioną koszulką na swoim łóżku. Odrzucił ubranie na bok, chwycił szkicownik i usiadł wygodniej na materacu. Przekartkował blok, otwierając na stronie z narysowanymi okręgami sprzed paru godzin. Znow poczuł nietypowe mrowienie w nadgarstku, rozchodzące się aż do czubków jego palców. Przesunął opuszkami po nakreślonych liniach. Przymknął oczy, odtwarzając w myślach obraz przesuwających się trybów i dorzucił do nich odrobinę elektrycznych impulsów.

Okręgi nałożyły się na siebie, tworząc iluzję obracania się jednocześnie w dwie różne strony, a przestrzeń pomiędzy nimi wypełniła się metaliczną, migoczącą substancją. Trzask otwieranych i zamykanych drzwi nie wyrwał Haru z transu. Nawet unoszący się w powietrzu cytrusowy zapach nowo wypuszczonego na rynek perfumu Tsuki Di Ser, należącego do jego współlokatora.

— Co to za portal? — zapytał Ryō, zdejmując materiałową torbę z ramienia i odkładając ją na swoim łóżku.

— Portal?

— Spójrz. Brunet wskazywał falujące okręgi ustawione w poziomej pozycji nad głową Haru.

Chłopak podążył za nim wzrokiem. Wyciągnął dłonie w stronę portalu, przyciągając go, by zawisł naprzeciw niego. Przybliżył się, ostrożnie dotykając niestałej, chłodnej powierzchni.

— Dokąd prowadzi?

— Tego jeszcze nie wiem — odparł blondyn, uważnie studiując przesuwające się po tafli portalu smugi.

— Chyba nie zamierzasz tam wchodzić? — Ryō podszedł bliżej, jednak wciąż utrzymywał sporą odległość od obcego obiektu. — Wiesz, jakie to niebezpieczne.

— Wiem — mruknął Haru, przybliżając się jeszcze bardziej.

— Nie wiadomo, czy uda ci się wrócić, a zaraz zaczynamy ważne zajęcia. Niepotrzebne nam są dodatkowe kłopoty.

— Wiem — powtórzył.

— Dziś w końcu będziemy walczyć w mieście w naszych własnych kostiumach, a nie w tych nudnych szkolnych, w których nikt nie wygląda dobrze.

— To będzie zwykły patrol, mamy zareagować tylko w razie zagrożenia — sprostował Ryō, ale nie zaprzeczył opinii Haru na temat mundurków.

— Żyjemy w podziemnym świecie — blondyn spojrzał na niego wymownie. — Nie ludź się, że uda ci się przetrwać cały obchód bez żadnego występu. Tu nikt nie ukrywa się za pozorną fasadą uśmiechu i czystych zamiarów, jak to było zanim ci z powierzchni wszystko zniszczyli.

Chłopak zamilkł na chwilę, w duchu zgadzając się ze słowami współlokatora.

— Chciałbyś żyć w tamtych czasach? — zapytał.

— Oczywiście, że tak. Kto chciałby szkolić się na przestępcę, gdy można było zostać prawdziwym superbohaterem? Ludzie by cię uwielbiali, bo byłbyś dobry, a nie dlatego, że łapiesz tych gorszych od siebie — Haru spuścił wzrok, jego głos z każdym kolejnym słowem rozbrzmiewał z wyraźniejszą nutą żalu.

— Gdybym mógł zapomnieć to, czego doświadczyłem w tym prawdziwym, ale okrutnym świecie, nie przeszkadzałoby mi nieustające udawanie, że wszystko jest w porządku. — Dlatego

— ciągnął, zanurzając palce lewej dłoni w miedzianej substancji,

która zmętniała pod wpływem jego dotyku. — Zamierzam dowiedzieć się, co znajduje się po drugiej stronie.

Nie minęło osiem sekund, a szarpnął się gwałtownie, przytrzymując lewe ramię prawą ręką. Posłał Ryō niepewne spojrzenie.

— Coś mnie złapało. Lepsze dobro tutaj, czy zło tam?

— Wyciągnij to tutaj.

Brunet stanął z boku i skierował rękę w stronę Haru, gotowy zaatakować, gdyby nieznane stworzenie okazało się niebezpieczne. Skinął głową do przyjaciela, który pociągnął czyjaś dłoń z całej siły, spadając z łóżka.

Na pościeli wylądował posąg mężczyzny lub chłopaka w ich wieku, cały pokryty rdzawym osadem. Postać uniosła powoli głowę, przekręcając ją na boki, jakby właśnie obudziła się po przypadkowym zaśnięciu w niewygodnej pozycji. Przyłożyła jedną z dłoni do czoła, a delikatny, ciepły powiew oczyścił ją z większości miedzianych drobinek.

Teraz na łóżku Haru siedział drobnej budowy chłopak o błękitnych włosach przywodzących na myśl pokryte śniegiem szczyty gór na tle błękitnego porannego nieba. Jego karmazynowe oczy pozbawione były światła.

— Kim jesteście? — zamrugał, pozbywając się pyłku z rzęs. Rozejrzał się po pokoju.

— Mizushima Haru — blondyn wyciągnął do niego rękę, ignorując natężliwe spojrzenie Ryō, który zdecydowanie nie podzielał jego chęci ujawniania swoich danych osobowych przed nieznanym. Zwłaszcza, że dziwny chłopak posiadał moc, której działania nie znali.

— Mizushima — powtórzył niebieskowłosey, sztywnie odwzajemniając uścisk dłoni.

— Pochodzisz z wyspy Nō? — Haru zmarszczył brwi.

Wspomniana wyspa nie była zamieszkiwana od czasu, gdy znajdująca się tam szkoła dla superbohaterów nie została zamknięta przez szalonych dyktatorów, którym zachciało się zerwać fasadą i stworzyć lepszy świat. Nowa wersja rzeczywistości okazała się być nieodwracalnym zniszczeniem dotychczasowych norm i całkowitym wyzbyciem się dobra z ludzi.

Pokręcił głową. Nieznajomy odezwał się ponownie.

— Jestem Sōma. Akiyama Sōma.

Nazwisko chłopaka wydawało się im znajome, ale zanim zdążyli zadać mu jakiekolwiek pytanie, do pokoju wpadł zdyszany Katsuo, celując dłonią w stronę niebieskowłosego. Wyraz na twarzy Sōmy się zmienił, on też uniósł dłoń, ale Katsuo był szybszy. Za pomocą elektrycznej liny związał jego ręce i umocował jej końce w przeciwnych kątach pokoju.

— To ty — wysyczał Sōma, szarpiąc się, ale to tylko spowodowało, że niewielkie impulsy elektryczne przedostały się na jego skórę, pozostawiając po sobie czerwone, piekące ślady.

— To przez ciebie umarła Sachiko.

— Nie znasz całej prawdy — Katsuo zbliżał się powoli.

— Ty ją zabiłeś, ja tylko pomogłem.

Westchnął głośno. W żadnym stopniu nie przypominał Katsuo, którego Haru i Ryō znali. Wydawał się być zupełnie inną osobą, kimś obcym, nieprzewidywalnym, niebezpiecznym.

— Rodziny się nie wybiera — zaczął. — A ty próbowałeś to zmienić. Odrzuciłeś mnie, swojego rodzonego brata, a przyjąłeś do serca siostrzyczkę od innej matki. Chciałem to zrozumieć, zaakceptować — oczy Katsuo zaszkliły się, choć wciąż pozostawały równie puste i ciemne jak te należące do Sōmy.

W tym momencie Haru dostrzegł ich kolor, był identyczny. Karmazynowy.

— Naprawdę chciałem to zrozumieć — powtórzył rudowłosy, przecierając oczy, które nie łzały. — Ale cała twoja uwaga poświęcona była jej. Sachiko — syknął, wzdrygając się lekko.

— Zazdrościłem jej, że zawsze spędzałaś z nią czas, zawsze chciałaś jej pomagać i z nią rozmawiać. Ale najbardziej — czknął. — Najbardziej zazdroszczę jej tego, że nawet, gdy umarła, wciąż jest w twoich myślach częściej niż ja. Zrobił krok do przodu, wskazując na chłopaka. — Ty i ja, braciszku. Ty i ja wrócimy teraz do domu.

— Nie nazywaj mnie tak!

Sōma szarpnął się ponownie, próbując wydostać się z elektrycznych więzów. Znowu został porażony prądem, lecz tym razem zdołał wchłonąć znaczną większość energii.

Elektronowe pasy zadrżały, słabnąc. Niebieskowłosey wyprostował się, stając naprzeciwko Katsuo. Przestrzeń pomiędzy nimi zajmowało jedynie łóżko i niecałe dwa metry kwadratowe podłogi. Sōma otworzył dłonie, przymykając oczy i pochłonał resztki elektrycznych sznurów. Wyciągnął dłoń na wysokość gardła rudowłosego. W pokoju pojawił się wiatr, na początku ciepły, delikatny, potem zmienił się w chłodny, tnący powietrze niczym *katana* rozcinająca ciała kolejnych plugawych osobników. Katsuo zakaszał, gdy niewidzialna pętla zaciskała się na jego szyi. W jego oczach ponownie można było dostrzec światło.

Gdyby Ryō nie zauważył, jak rozświetlają się, choć strach tłumil w nich nadzieję, wciąż by żył. Gdy wystąpił

naprzód, ciskając gorącym strumieniem pary w niebieskowłosego, gniew Sōmy wzmożył się, a jego moc przybrała na sile. Wichura wypchnęła Ryō przez zbyt szerokie okno, na które nie raz wcześniej narzekał. Odlamki szkła rozpierschły się w każdą stronę raniąc stojących najbliżej, a zakrwawione ciało uderzyło głucho w ziemię. Katsuo pochwycił rękę Sōmy, wciągając go do portalu.

Haru podążył za nimi. Znał już odpowiedź na niezadane pytanie. Wiedział, skąd pochodził Sōma. Wiedział, jaki to świat. Podążył za marzeniami, o których spełnieniu nigdy nawet nie marzył. Zostawiał wszystko za sobą, ale czy cokolwiek mu tutaj pozostało? Stracił najlepszego przyjaciela, a podziemny świat miał wkrótce uznać go za najokrutniejszego przestępcę Japonii, który wbił nóż w plecy najbliższej sobie osobie.

Nikt nie wiedział, że jego mordercą był niebieskowłose przybysz z przeszłego świata znad powierzchni. Nikt, poza tym, komu przeznaczone będzie odkryć stary, pognieciony szkicownik z kilkoma nietypowo opisanymi okręgami.

Prośba

Kacper Ptaszek

– Eun Byul!? Kim Eun Byul!

Zerwałam się z miejsca jak poparzona. Cała klasa wpatrywała się wprost we mnie. Stara pani Kim łupała na mnie poirytowana z twarzą przechyloną na bok. Chciałam zapaść się pod ziemię... Zniknąć gdzieś i nie czuć na sobie tych wszystkich, przeszywających ciało spojrzeń.

– Rozumiem, że możesz być zmęczona moja droga – powiedziała z rękami założonymi na biodrach. – Weź jednak pod uwagę, że nie jesteś tu sama – westchnęła głęboko. – Nikt z nas nie ma ochoty słuchać twojego chrapania!

Skinęłam głową i przeprosiłam za swoje zachowanie by w końcu dała mi spokój.

Czy to zbrodnia przysnąć na dwunastej już dziś lekcji? Ogarnęła mnie złość, której nijak nie mogłam dać upustu. Na szczęście zegar wybił dwudziestą pierwszą i poniedziałkowe zajęcia pozaszkolne w końcu dobiegły końca. Wyszłam z klasy jako ostatnia. Jeszcze raz przeprosiłam panią Kim w nadziei, iż nie podzieli się tym co dzisiaj zaszło z moją matką przy pierwszej sposobności. Nie miałam ochoty na wysłuchiwanie w domu kolejnych kazań i żalów.

Trzeci rok szkoły średniej jest jednym z najgorszych okresów w życiu dla każdego Koreańczyka z południa. Wstawanie skoro świt i nauka do zmierzchu weszła mi ostatnio w nawyk tak, że nawet nie zorientowałam się, kiedy wyparował ze mnie cały optymizm, którym wcześniej zwykłam tak bardzo emanować.

Niektórzy zapewne powiedzieliby, że tak wygląda dorastanie. Ja jednak uważam iż jest to powolne umieranie... Jeden egzamin miał zadecydować czy dostanę się do uniwersytetu z górnej półki i będę miała szansę na pracę w najlepszych korporacjach. Wszyscy moi znajomi, włącznie ze mną stracili w kilka tygodni cały zapal do życia.

Czasami mówiliśmy między sobą o samobójstwie i zostawieniu tego wszystkiego w cholerę. Oczywiście w formie żartu. Stało się to dla nas czymś zupełnie normalnym, jak choćby mówienie o pogodzie, czy o ostatnim comebacku BLACKPINK.

Poczułam ulgę gdy zostawiłam za sobą ten przyprawiający mnie o wymioty, kobyłasty budynek prywatnej akademii za sobą. Czekał mnie dwudziestominutowy spacer do domu albo czekanie na przystanku. Choć padał śnieg, a chodniki i uliczki dzielnicy Mapo jak zwykle były nieodśnieżone to wołałam przejść się opustoszałymi nocą ścieżkami niż czekać w zimnie by potem ścisnąć w autobusie jak sardynka w puszcze...

Nawet z kilometra czułam zimną bryzę znad rzeki Han. Zdawało się, że pędziła między ścianami seulskich blokowisk i zabudowań, specjalnie dlatego by na koniec trafić mnie prosto w twarz. Miałam pod kurtkę trzy swetry, na sobie najgrubsze rękawiczki od babci, czapkę i dwa szaliki, a wciąż doskwierał mi mróz. Stałam z zaczerwienionymi policzkami przed przejściem w oczekiwaniu na zielone światło.

Rozejrzałam się dookoła. Od jakiegoś czasu coś nie dawało mi spokoju. Westchnęłam głęboko. Miałam nadzieję, że to tylko moja wyobraźnia płata mi figle, ale obok pary z ust zobaczyłam jak jakiś czarnawy dym przenika przez moje ciało. Wzdrygnęłam się tak bardzo, że staruszek obok czym prędzej uciekł na mój widok. Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. Stało się to czego się się obawiałam.

Martwa twarz wpatrywała się we mnie z odległości kilku centymetrów. Za nic w świecie nie chciałam dać po sobie poznać, że ją widzę. Od dziecka zdarzało mi się widywać najróżniejsze zjawy i duchy. Upiorzysko mroczne i lodowato zimne jak to zazwyczaj szukało po śmierci pomsty na kimś lub na czymś i lepiej było go unikać. Zwykle duchy błąkały się po świecie z najróżniejszych powodów – często nawet im nie znanych.

Tylko pradziadek i prababcia wiedzieli o moich zdolnościach. W końcu całe dzieciństwo spędziłam w ich domu na prowincji. Zawsze ostrzegali mnie by w miarę możliwości nie

rozmawiać z martwymi, bo zazwyczaj nic dobrego z tego nie wynika. Można narobić sobie niemałych kłopotów. Choćby dowiedzieć się, że towarzysz Kim ma się dobrze i czeka go sto lat życia, a w najgorszym przypadku zdobyć niechcianego towarzysza i czuć pozagrobowe zimno po wsze czasy...

Nic nie powiedziałam. Nie krążyłam oczyma. Poharatana twarz z jednym okiem, bezzębna i z wielką szramą na czole stała dłuższą chwilę przede mną, burczała coś niezrozumiale pod nosem, by w końcu dać za wygraną i poszybować w stronę rzeki Han na południe.

Odetchnęłam z ulgą. Serce przestało bić jak młot i przestałam czuć lodowaty chłód. Spokojniejsza weszłam na pasy i skręciłam w stronę uliczki przechodzącej w pobliżu pewnej szkoły średniej, do której nie udało mi się dostać przed trzema laty.

Minęły aż dwa lata odkąd widziałam ostatniego ducha. Akurat teraz, gdy miałam tyle na głowie, musiało mi się to znowu przydarzyć... Najpierw pani Kim, a teraz ta cuchnąca śmiercią zjawa. Do teraz nie udało mi się zdecydować, które z nich jest bardziej złowieszcze i niebezpieczne.

Po tych chwilach grozy, a potem rozmyślaniach pod zadymionym niebem Seulu, zobaczyłam znajome ogrodzenie i bramę, w pobliżu której przechodziłam każdego dnia. Pomyśleć tylko, że zabrakło mi zaledwie kilku punktów, by się tu

dostać i nie biegać codziennie w pocie czoła na autobus i jeździć na drugi koniec dzielnicy.

Z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że trzeba być albo geniuszem albo mieć bogatego lub wpływowego rodzica, żeby się tu dostać. Nie było wyjątków i może to i lepiej, że chodziłam do normalnej szkoły – bez tych wszystkich rozpieszczonych dzieciaków myślących o sobie, jak o pępku świata.

Zdziwiłam się, gdy pomiędzy kratami postrzegłam drobną postać, ledwo widoczną z daleka. Stała pod latarnią na samym środku szkolnego parkingu. Wpatrywała się wciąż w ten sam punkt. Rzuciłam okiem, założyłam słuchawki na uszy i już chciałam pójść w swoją stronę, ale gdy ostatni raz spojrzałam w tamtą stronę, nie było już tam nikogo. Przetarłam oczy, ale znowu nie udało mi się niczego zobaczyć.

Zrezygnowana i zamyślona obróciłam się na pięcie, po czym wrzasnęłam wniebogłosy na ten widok. Szczupłutka dziewczyna mojego wzrostu stała tuż przy mnie. Krzyknęłam i od razu wiedziałam, że mam przed sobą drugiego dziś ducha.

Dziewczyna miała na sobie sam mundurek – postrzępiony i poplamiony farbą, spódniczkę do kolan i letnie buty pamiętające lepsze czasy. Nawet ja czułam, jak bardzo się denerwowała. Ręce miała złączone, jak do modlitwy i wpatrywała się w ziemię. Staralam się jej unikać, iść przed siebie i czekać aż sobie pójdzie, ale ta za nic w świecie nie odpuszczała. Co chwilę przelatywała tuż przede mną i za każdym

razem wydawałam z siebie odgłos wzdrygniętej nastolatki, której niemiły kolega w dziecinny pranku położył pająka na ramieniu...

– Możesz przestać!? – ryknęłam w końcu. – Chcesz żebym dostała zawału!? Powiedz, co chcesz powiedzieć, a nie straszysz mnie w ten sposób!

Zatrzymała się. Zakręciła stopą w miejscu i podniosła twarz. Zobaczyłam na niej niebieskie ślady po farbie i zadrapania. Nie uśmiechała się, nie płakała, nie złościła się. Stresowała się, jak każdy rozmawiający z obcą osobą po raz pierwszy. W oczy rzuciły mi się siniaki na kolanach i łydkach. Zaniemówiłam na widok posiniałej dookoła szyi. Że też ktoś tak młody odebrał sobie życie własnymi rękami.

– Przepraszam, że cię wystraszyłam – powiedziała i pokłoniła się w pas z wielką pieczołowitością.

Czułam się niezręcznie. Nie chciałam udawać, że jej nie słyszę. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu. Zegar na komórcie wskazywał godzinę 21:43. Powinnam już być w domu, który jest tuż za rogiem. Niecodziennie jednak ma się sytuacje takie jak ta... Ducha tak wyraźnego, w którym więcej widać ciała niż dymu, który wcale nie cuchnie śmiercią i gdyby nie chłód nam towarzyszący, mogłabym go z oddali wziąć nawet za najprawdziwszego człowieka.

– Mogłabyś mi pomóc w spełnieniu jednej, malutkiej prośby? – rzuciła nagle.

Nie spodziewałam się czegoś takiego. O co może prosić duch samobójczyni? Zresztą, jakiś bardzo stary, bo nie przypominam sobie, by w tej placówce miało miejsce jakieś samobójstwo ostatnimi czasy. Poza tym, w dzielnicy Mapo nie działa się w ciągu ostatnich trzech lat nic, o czym trąbiły by wszystkie gazety i telewizje.

– Jaką prośbę masz na myśli? – zapytałam z pełną powagą.
– Chciałabym być znalazła pewien notes z mojej szkoły... – złapała się za szyję i zamrugła. – To dla mnie bardzo ważne.

Nie tego się spodziewałam. Czy ta dziewczyna chciała, bym włamała się nocą do szkoły w poszukiwaniu jakiegoś zapisanego zeszytu? Chciałam zaprotestować, wzbraniać się jakoś przed tym, ale za nic nie ustępowała. Patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem, a gdy ja wciąż nie dawałam odpowiedzi, upadła na kolana i zapłakała.

– Proszę... – wybelkotała przez łzy,
– To raczej bardzo duża, a nie malutka prośba. Jeszcze mnie ochroniarz złapie i co mu powiem? “Przepraszam, ja tu tylko po notesik, duch mnie poprosił!”.
– Pomogę ci – zapewniła przecierając łzy.

Raz kozie śmierć... Zresztą, wszyscy wiemy, że łatwiej zostać złapanym przez rozwścieczoną babcię, której odmawia się szóstego talerza kimchi, niż przez starszego pana dorabiającego do emerytury.

Duch uczennicy poszedł pierwszy na rozpoznanie terenu. Ja w tym czasie napisałam wiadomość SMS do mamy, że się spóźnię. I tak spodziewałam się awantury, ale przez cały ten semestr zdążyłam się uodpornić. Teraz mama przynajmniej nie będzie się tak bardzo zamartwiać.

Z wielkim wysiłkiem przegramoliłam się przez płot. Dopiero gdy znalazłam się po drugiej stronie, zdałam sobie sprawę, że cały ten czas brama była niedomknięta. Przewróciłam oczami i pobiegłam w stronę szkoły. Duch wskazał mi drogę.

Okno na pierwszym piętrze po zachodniej stronie było niedomknięte. Zawczasu, na wypadek wścibskich kamer naciągnęłam czapkę i nawlekłam szal dookoła twarzy. Jedną ręką trzymając szalik, a druga łapiąc się za framugę udało mi się wejść do środka.

– Rzeczywiście... Samo wyposażenie to inna bajka... – powiedziałam bez namysłu sama do siebie na widok plazmy zawieszanej nad interaktywną tablicą i ławkami z prawdziwego drewna, a nie z chińskiej sklejki, jak w mojej klasie.

– Prędzej! – zawołała głowa wychylająca się przez ścianę.

Od strony drzwi rozległ się szczeł kluczy i dźwięk zbliżających się kroków. Rozbrzmiewały coraz wyraźniej, a zaraz zaczęło towarzyszyć im rytmiczne sapanie mężczyzny – na sto procent ochroniarza!

Przerażona, chciałam schować się choćby pod biurkiem. Na szczęście po chwili dźwięk zza drzwi ucichł. Nastąpiła nieprzyjemna cisza, którą przerwał wyrazisty ziew stojącego po drugiej stronie mężczyzny.

– Ale tu zimno – powiedział. Ziewnął głośno by wydrzeć się po sekundzie – Ożeż w mordę! Już po dziesiątej. Zaraz leci powtórka mojego serialu!

Dopiero, gdy wszelkie dźwięki na dobre ustały, uchyliłam drzwi. Cały ten czas klucz od nich znajdował się w środku na biurku. Jakby za jakimś boskim zrządzeniem losu. Może to właśnie dlatego akurat dziś zostałam poproszona o tę przysługę?

Z czasem dotarło do mnie, jak czują się bohaterowie filmów kryminalnych, z których tak bardzo zwykłam się śmiać. Serce biło mi jak oszalałe, a nogi trzęsły się jak galareta, gdy stawiałam kolejne kroki. Wciąż wyobrażałam sobie jak zza zakrętu patrzy na mnie rozwścieczony ochroniarz, który tylko czeka by mnie złapać i zaprowadzić na komendę do mojego ojca komendanta.

Sekunda zdawała się minutą, a minuta godziną. Nie dotarło do mnie nawet to, że minęłam wszystkie zakręty, weszłam po schodach na drugie piętro i stanęłam wprost przed schowkiem. Drzwi były otwarte. Zobaczyłam jak dziewczyna uśmiechnęła się po raz pierwszy od naszego spotkania. Ruchem

ręki zaprosiła mnie do środka. Za nic w świecie nie pomyślałabym, że to tu znajdę, to, czego szukała.

– Przesuń szafę – poprosiła mnie ze złożonymi dłońmi. – Żółty notesik jest pod nią po prawej stronie.

Pozostało mi zakasać rękawy i brać się do roboty. W środku na pewno nie było żadnych kamer i mogłam użyć obu rąk. Szafa okazała się lekka, a kajecik rzeczywiście leżał na podłodze – cały zakurzony. Na pierwszy rzut siedział tu już od co najmniej roku. Na jego widok naszły mnie pytania.

Czemu tak bardzo jej na nim zależało? Czemu był schowany akurat tutaj? Kim ona, tak właściwie, jest? Wraz z każdym kolejnym pytaniem dochodziłam do wniosku, że coś strasznego miało tu miejsce. Chciałam zajrzeć do środka i na własne oczy przekonać się, dlaczego tak bardzo jej na nim zależało.

– Mogłabyś go wsunąć do pokoju dyrektora? – zapytała gdy ja wciąż wpatrywałam się w niego zamyślona.

– Poczekaj chwilę – podniosłam znalezisko z ziemi. – Co to jest i dlaczego ze wszystkich miejsc było schowane akurat tutaj? – dociekałam, wymachując zeszytem w powietrzu.

Dziewczyna zasmuciła się i zaczęła krążyć wzrokiem po pokoju. Zdawała się walczyć sama ze sobą. Zaciśnęła pięści i zamrugła oczyma. Zbierała się na odwagę czy wściekała się?

– To mój pamiętnik. Prawda o mojej śmierci – spuściła twarz i rozluźniła palce. – Dziewczyny zamykały mnie tutaj na

przerwach, czasami na długie godziny. Wtedy go spisywałam, wszystko co się działo, co myślałam... Dawało mi to namiastkę ulgi.

– Tu była przemoc szkolna? Nie, to niemożliwe... Nie? – wtrąciłam. – Przynajmniej taki był obraz szkoły na zewnątrz... – dodałam gdy zdałam sobie sprawę z tego, co powiedziałam.

– Dostałam się tu tylko dzięki nauce. Nikt mnie nie lubił. Najpierw stałam się wyrzutkiem, a potem prawie wszyscy zaczęli mnie gnębić... Codziennie... Bez przerwy...

– A potem zrobiłaś to... – wskazałam palcem na jej szyję.

Dziewczyna pokiwała głową, zawstydzona.

– Codziennie przypominano mi, że jestem nikim. W końcu tak zaczęłam myśleć... – przełknęła ślinę. – Teraz za późno na żalowanie, mogę tylko sprawić, by moi rodzice poznali prawdę... Zaslugują na choć tyle.

– Dlatego chcesz żebym wsunęła go do gabinetu dyrektora? – zapytałam. – Jaką masz pewność, że go nie ukryje. Przecież twoje samobójstwo kompletnie wyciszono...

– Ja zabiłam się... Ja zabiłam się – z trudem wypowiadała każde słowo. – ...Po przyjściu do domu z ceremonii zakończenia roku – wskazała na farbę na twarzy. – Miałam dość... Wraz z upływem czasu pożałowałam tego co zrobiłam...

– Ufasz mu?

– To przyjaciel rodziny. Starał się mi pomagać, ale ja nie dawałam sobie pomóc. Zzerała mnie własna duma. Nie chciałam być postrzegana jak słaba i bezbronna...

Zabrałam się do zrobienia tego o co mnie poprosiła. Dalej było mi strasznie przykro, ilekroć wyobrażałam sobie to, co przeżyła. Ścisnęło mnie w piersiach na samą myśl, że musiała przez to wszystko przejść. Kilka punktów więcej i być może to ja podzieliłabym jej los... Czy bym wytrzymała? Czy bym sobie poradziła? Nie miałam co do tego pewności...

Dopiero, gdy wsunęłam notesik za drzwi pokoju dyrektora, wyciszyłam się. Czułam, że zrobiłam coś dobrego, coś właściwego.

– Dziękuję – powiedziała uśmiechając się życzliwie.

Właśnie wtedy zaczęła rozpadać się i zanikać. Rozjaśniała białym światłem, a chłód dotąd jej towarzyszący, całkowicie zniknął. Poczułam ciepło i błogość. Wiedziałam, że ta biedna dziewczyna w końcu odnalazła swój długo pożądany spokój. Szkoda, że tak późno, że dopiero po śmierci...

– Nazywam się Kim Eun Byul – przedstawiłam się nim całkiem nie zniknęła. – Siedemnaście lat – dodałam z uśmiechem.

– Joo Seol Ah – powiedziała i ukloniła się w pas. Wyprostowała się i pokiwała głową – Także siedemnaście, przyjaciółko. Dziękuję za wszystko...

Wtedy zniknęła całkowicie. Pozostała dla mnie tylko jako wspomnienie w moim sercu. Teraz miałam tylko nadzieję,

że wszystko skończy się dobrze i rodzice poczują ulgę, gdy dowiedzą się, dlaczego ich córka zrobiła to, co zrobiła... Że miała ku temu powód...

Nigdy potem nie stresowałam się już nadchodzącymi testami. Dziękowałam losowi za to, że żyję i mogę się martwić każdego następnego dnia. Tej nocy obiecałam sobie, że zostanę kimś zdolnym do czynienia dobra dla innych – za dużo jest, bowiem, niesprawiedliwości wszędzie dookoła.

Czekały mnie trudne dni, ale od tego dnia zapal we mnie już tak łatwo nie gasł. Czułam się taka mała wobec problemów innych i nawet nie śmiałam nigdy więcej narzekać na swoje obowiązki.

W kolejnych miesiącach za sprawą telewizji i internetu na całą Koreę rozniosła się sprawa przemocy szkolnej w Mapo, prowadzącej do samobójstwa uczennicy. Słynna aktorka młodego pokolenia musiała pożegnać się z obiecującą karierą na skutek zarzutów, a pewien znany prokurator uciekał gdzie pieprz rośnie dowiedziawszy się tego, jak wychował swoje bliźniacze pociechy. Choć krzywdy nie zostały odwzajemnione i straty wyrównane, to cały kraj usłyszał o dziewczynie z Mapo – o Joo Seol Ah i jej historii.

Ja tymczasem, pędziłam na kolejne zajęcia późnym wieczorem z panią Kim. Czekały mnie długie miesiące pracy i samozaparcia. Droga, którą sobie wyznaczyłam nie była łatwa,

ale to, co było na jej końcu wynagradzało wszystkie zaznane
trudy. Po ciemnej nocy zawsze
bowiem nastaje jasny świt. Mój świt miał jeszcze nadejść...

Lis

Anna Kłodnicka

Yuki biegła. Białe rękawy *furisode* powiewały za nią, niczym skrzydła wielkiego motyla. Okrągły księżyc wisiał na usianym gwiazdami niebie, z zainteresowaniem obserwując poczynania śmiertelniczki. Dziewczyna coraz łapczywiej łapała powietrze. W końcu zatrzymała się i odwróciła. Od początku nie wierzyła, że uda jej się uciec. Jednak nie zaszkodziło spróbować. Czasami unikanie konfrontacji było najlepszym sposobem na przeżycie.

Ushi-oni zbliżał się nieubłagane. Poruszał się błyskawicznie na ośmiu silnych odnóżach. Przednie kończyny uniosły się, prezentując w całej okazałości długie, zaostrome pazury. Spomiędzy ostrych zębisk wysunął się ohydny, oślizgły jęzor. Demon szykował się na pyszną ucztę.

Yuki, nie próżnując, sięgnęła do torby. Wyciągnęła kartkę papieru, po czym zaczęła ją zginać i składać. Drobne dłonie pracowały nad origami szybko i pewnie. Gdy kartka papieru nabrała pożądanego, podłużnego kształtu, demon był tuż obok. Dziewczyna chuchnęła w papierową katanę, a ta natychmiast powiększyła się i przeobraziła w prawdziwy miecz. Ostra klinga przecięła powietrze, a rogaty łeb stwora potoczył się w trawę. Yuki zdążyła w ostatniej chwili. *Katana* przemieniła się

na nowo w papier, który zapłonął, po czym się spopielił. Przedmiot spełnił swoje zadanie, więc jego egzystencja w tym świecie nie była dłużej potrzebna.

Dziewczyna stała obok obrzydliwego truchła, walcząc z nudnościami. Przed oczami latały jej mroczki. Korzystanie z magii *shikigami* bardzo ją osłabiało, a tego dnia zużyła już kilkanaście kartek. Gdyby teraz na horyzoncie pojawiło się kolejne krwiożercze *yōkai*, nie miałaby najmniejszych szans. Drgnęła, kiedy coś zaszeleściło w pobliskich krzakach. Sięgnęła po papier, chociaż wiedziała, że nie znajdzie sił, by go złożyć. Niestety innej broni nie posiadała; zgubiła nóż podczas szaleńczego biegu.

Spomiędzy gałązek wynurzył się sporych rozmiarów lis. Usiadł, od niechcienia poruszając siedmioma puszystymi ogonami. Zamiast ósmej i dziewiątej kity straszły brzydko zabliznione kikuty. Yuki nigdy się nie dowiedziała, w jaki sposób stworzenie straciło jeden z ogonów. Natomiast utrata drugiego stanowiła jej własną, osobistą sprawkę. Kiedyś poszczuła lisa dobrze wyszkolonym psem. Teraz też nie zamierzała tracić okazji pozbawienia go jeszcze jednej kity.

Mimo, że wciąż była wyzuta z energii, podniosła się niezdarnie. Lis nie zareagował, tylko dalej spokojnie siedział i patrzył. W jego spojrzeniu przez moment zamigotało coś na kształt troski. Yuki nagle rzuciła się w jego stronę, ale uskoczył; złapała jedynie powietrze. Ten manewr ją wykończył. Resztką

sił, która jeszcze się w niej tliła, zgasła. Dziewczyna upadła na kolana, rozpaczliwie próbując nie zemdleć.

– Nie tym razem, Yuki-chan – powiedział lis, znikając wśród czerni nocy.

Yuki przyglądała się nerwowo materiał szaty. Od śmierci matki niezmiennie odziewała się w biel. Jednak już wcześniej uwielbiała ten kolor. Nic dziwnego, że to białe kartki stanowiły sedno jej mocy. Nic dziwnego również, że padające z nieba płatki śniegu wywoływały w niej wzruszenie. Najwyraźniej imię wlewa w istotę ludzką określone upodobania.

Drzwi do komnaty tronowej otworzyły się. Dziewczyna weszła, składając pełen szacunku ukłon bogom, którzy żyli między istotami śmiertelnymi. Kiedy się wyprostowała, zerknęła na cesarza i cesarzową. Siedzieli na tronach nieruchomo niczym dwa posągi. Naruhito wyglądał tak, jak mogła się spodziewać: dostojnie i groźnie. W ręce dzierżył święty Miecz. Wiele legend obrosło wokół tego oręża. Powiadano, że daje posiadaczowi nieposkromioną odwagę i potrafi pociąć na kawałki nawet niebo. Elegancka Masako z kolei dzierżyła boskie Klejnoty i Zwierciadło. Yuki zapatrzyła się na cesarzową. Ach, jakaż ona była smutna; niczym mgła zawieszona na koniuszkach cierni gledicji. Skrywała swoje oblicze za wachlarzem *uchiwa*. Od

dawna szeptano o niezmiernym smutku cesarzowej, którego nie umiał ukoić nawet cesarz.

– Wiemy, co potrafisz robić – odezwał się Naruhito.

Masako uniosła Zwierciadło.

– Widzieliśmy twoje *shikigami* tutaj – rzekła. – Lustro nam ciebie pokazało. Zawsze pokazuje to, co ważne, chociaż czasami robi to niechętnie. Wierzymy, że nam pomożesz.

– Znaki, otaczają nas znaki – powiedział cesarz. – Sakury w całym kraju zakwitły na czerwono. Święte Klejnoty poczerniały, jakby były jedynie nędzną imitacją. Ze zwykłej krowy narodził się *kudan*, który wygłosił prorocstwo o czekających nas dniach rozpacz. Zupełnie jak za czasów naszego światłego przodka Hirohito, gdy dwa smoki spadły na te ziemie.

– Zostaliśmy ostrzeżeni – kontynuowała cesarzowa. – Coś się zbliża. Jakieś zagrożenie. Ale jakie? Nasi ludzie mimo usilnych starań nie uzyskali odpowiedzi. Lustro odmówiło podzielenia się tą wiedzą, mimo, że je prosiłam i zaklinałam. Pokazywało nam tylko ciebie.

– Chcemy, byś dowiedziała się, co nam grozi – dodał cesarz. – Wiemy, że masz swoje sposoby. Roześlij ptaki, niech wypatrują.

– Niech szukają – zgodziła się Masako.

Yuki usadowiła się wygodnie w ulubionym parku, pod kwitnącą sakurą. Czuła na twarzy gorące pocałunki Amaterasu. Bładoróżowe niegdyś płatki drzew kilka dni temu przeobraziły się w szkarłat, powodując panikę u znacznej części społeczeństwa. Nic dziwnego. Wciąż nie zapomniano tego, co zdarzyło się kilkadziesiąt lat temu. Wróg wysłał wtedy smoki, by zniszczyły cesarstwo. Siały spustoszenie, aż zupełnie nic nie pozostało z dwóch ogromnych miast. To były straszne dni. Najedzone stwory nie zamierzały na tym poprzestać. Skierowały się ku kolejnym miejscom. Wtedy sam Hirohito, bóg w ludzkiej postaci, dla dobra kraju ruszył ku zagrożeniu, dzierżąc święty Miecz. Jednak do walki nie doszło. Dwa smoki na widok majestatu niebiańskiego władcy spokorniały i uklęknęły. Od tamtej pory bezwarunkowo służyły cesarzowi. Z ich pomocą wygrał wojnę. Mówiło się, że potem zamieszkały w niedostępnych partiach gór, gdzie Hirohito odwiedzał je od czasu do czasu.

Czy smoki jeszcze żyły i służyły obecnemu władcy? Czy wciąż stanowiły ogromne zagrożenie dla każdego, kto naruszyłby granice państwa? Tego nie wiedział nikt poza rodziną cesarską. Ale na wszelki wypadek żaden wróg nie usiłował podjąć próby ataku.

Yuki wyciągnęła gruby plik kartek. Wiedziała, że po takim wysiłku będzie wracała do sił przez wiele dni, ale nie miała wyjścia. Sprawnie produkowała papierowe żurawie, jeden

za drugim. Następnie obdarzyła każdą z kartek oddechem życia. Otoczyło ją stadko białych jak śnieg ptaków.

– Lećcie, moje kochane – powiedziała im. – Rozproście się po okolicznych ziemiach. Nasłuchujcie, obserwujcie. Coś złego nadciąga, by zagrozić cesarstwu. Wróćcie do mnie za trzy dni. Zobaczymy, co udało wam się znaleźć.

Żurawie odleciały. Dziewczyna przymknęła oczy. Niemal natychmiast zapadła w niespokojny sen. Ścigała tam wielkiego lisa, by uciąć mu wszystkie ogony, a tym samym pozbawić go mocy i zabić. Kiedy się obudziła, na jej podolku leżał śliczny kamyczek w kształcie serca. Dobrze wiedziała, skąd się wziął. Lis, o którym tyle śniła, najwyraźniej znowu ją obserwował. Cisnęła kamyk do pobliskiej sadzawki.

Ptaki powróciły. Niestety nie przyniosły żadnej wartościowej informacji. Yuki patrzyła z rezygnacją na małą kupkę popiołu. Nadeszła pora, by poszukać wieści w inny, nieco trudniejszy sposób.

Przygotowała się do drogi. Noc wydawała się spokojna, jednak dziewczyna wiedziała, że nie powinna tracić czujności. W ciemności czaiło się wiele groźnych *yōkai*. Szła miarowym tempem, starannie rozglądając się na boki. Miała też w pogotowiu zapas papieru, chociaż wołała go nie używać; jeszcze nie wydobrzała po ostatnim wysiłku.

- Nie idź do niej – ogromny lis wyłonił się z nienacka zza drzew.
- To niebezpieczne.
- Zejdź mi z drogi – wycodziła. – Nie mam teraz czasu, by wrywać ci kolejny ogon.
- Nie idź tam. Nie powinnaś ufać demonom, Yuki-chan.
- Tak, świetnie mnie tego nauczyłeś. Chyba muszę ci podziękować.
- Jak długo jeszcze będziesz się na mnie gniewać? – zapytał rozżalonym tonem. – Kiedy mi w końcu wybaczysz?
- Wiesz dobrze, że nigdy ci nie wybaczę. Nigdy. Wynoś się albo nie ręczę za siebie.
- Są tacy, dla których jesteś bardzo ważna. Jeśli zginiesz, będą rozpaczali.
- Nie mam już nikogo, komu by na mnie zależało.
- Masz mnie, Yuki-chan. Obiecałem ci to kiedyś.
- Twoje obietnice znaczą tyle, co garść mchu i suchych liści.
- Ranisz mnie. Dobrze wiesz, że tacy, jak ja, dotrzymują swoich obietnic. Zawsze będziesz miała mnie, aż do samej śmierci.
- Wynoś się! – krzyknęła głośno dziewczyna, płosząc *aosagibi* wypoczywającego na pobliskiej gałęzi.
- Jak sobie życzysz. Ale wróć. – Kitsune zamachał kitami i pobiegł w dal.

Kucająca postać nosiła na grzbiecie białe lachmany, więc była widoczna już z daleka. Jednak nawet gdyby dobrze wtapiała się w otoczenie, Yuki bez problemu by do niej trafiła, nasłuchując. *Azuki-babā* zawodziła głośno i intensywnie, jak zawsze podczas pracy. Z namaszczeniem poruszała zniszczonym sitem, płucząc w rzece ziarenka fasoli. Na pomarszczonym obliczu istoty wykwitł szeroki uśmiech, gdy zauważyła niespodziewanego gościa.

– Ach, to ty – rzekła. – Sprawdźmy, czy dzisiaj cię zjem.

Wybrała na chybił trafił jedną fasolkę i przepołowiła ją. Wnętrze było jasnożółte. Yuki odetchnęła z ulgą.

– Udało ci się, dziewucho – oznajmiła *azuki-babā*. – Tym razem muszę się zadowolić jedynie fasolą. Ale nic to. Jeszcze tu przyjdiesz. Kiedyś trafię na odpowiednie nasionko. A wtedy dobiore się do tego delikatnego i soczystego mięska, które nosisz pod *furisode*. Nie zamierzam tracić nadziei.

– Przyniosłam ci trochę zapasów, najszlachetniejsza wśród *yōkai*. – Yuki, jak zwykle przy takich wizytach, wyciągnęła zawiniątko z fasolą.

– Niemal cię lubię, myślący kawałku flaków. Ale nie myśl sobie, że to coś znaczy. Kiedyś tak czy inaczej rozszarpię cię na strzępy i z przyjemnością napiję się twojej krwi – odparła *azuki-babā*. – A teraz mów, czego chcesz.

Zazwyczaj wiedziała o wszystkim, co się działo dookoła. Yuki z kolei zazwyczaj potrzebowała jakichś informacji. Dlatego obie zawarły kiedyś umowę, że *azuki-babā* odpowie na zadane pytanie, jeśli środek rozlupanej fasolki będzie jasnożółty. Natomiast jeżeli wewnątrz okaże się czarne, dziewczyna stanie się posiłkiem demona. Na razie Yuki dopisywało szczęście. Ale jak długo? Starła się nie korzystać z usług istoty zbyt często, lecz czasami nie miała wyjścia. Wiedziała, że gdy nadejdzie najgorsze, z pokorą przyjmie swój los. Nie będzie uciekać ani walczyć, gdyż to splamiłoby jej honor, a życie bez honoru znaczyło tyle co nic.

– Coś nadciąga – powiedziała Yuki. – Coś złego, zagrażającego podwalinom cesarstwa.

– Na pewno słyszałaś o znakach. Powiedz mi, co jest zagrożeniem? Przed czym muszą się chronić nasi bosczy władcy?

Azuki-babā zamknęła ślepia i zanurzyła powykręcane palce w chłodnej rzece. Zaczęła zawodzić jeszcze głośniejsze podczas płukania fasoli. Jęczała i jęczała, przeczesując wodę paluchami. Nagle przerwała.

– Już wiem. Szemrząca woda mi powiedziała. Nie było łatwo to z niej wyciągnąć, o nie. Ona lubi ze mną walczyć, opierać się. Na szczęście mam swoje sposoby. Wycisnęłam z niej wieści tak, jak kiedyś wycisnę z ciebie życie. Och, to coś naprawdę ważnego, dziewczucho. Nadciągają zmiany. Trudne zmiany. Fundament cesarstwa się chwieje. Ale czy runie?

– Do rzeczy – zniecierpliwiła się Yuki.

– Chodzi o jedyne dziecko pary cesarskiej. Rozpłynie się we mgle. Woda nie umie stwierdzić, czy uda się odzyskać Aiko. Nawet niebo tego w tym momencie nie wie. Pewnie słyszałaś, że cesarz i cesarzowa nie potrafią wydać na świat kolejnego potomka. Jeśli nie odnajdziecie boskiej córy i ona nie powije dziecięcia, linia sukcesji zostanie przerwana. Bogowie nie będą już stąpać między ludźmi. Nastąpi kres czasów dobrobytu i światłości. To, co dawało temu państwu siłę, na zawsze zniknie. My, *yōkai*, poradzimy sobie jakoś. Ale wy nie. Nadejdzie wojna, którą przegracie. Wrogowie podzielą wasze krainy między siebie, nakazą wam mówić w ich języku, ubierać się na ich modłę. Wszystko, co was definiowało, odejdzie razem z bogami. Jeśli chcecie przetrwać, pilnujcie dziewczyny.

Yuki trzęsącymi się dłońmi wyjęła kartkę i szybko uformowała żurawia. Wysłała ożywionego ptaka prosto do samego cesarza. A potem pobiegła. Chociaż dawała z siebie wszystko, wkrótce wyprzedził ją *tengu*, zwiastun wojny.

Mimo późnej pory, straż natychmiast wprowadziła dziewczynę do sali tronowej. Cesarz i cesarzowa już tam czekali, odziani w reprezentacyjne stroje, zupełnie jakby w ogóle nie kładli się spać. Twarz Naruhito nie zdradzała żadnych emocji. Jednak ścisnął rękę.

Miecza tak mocno, że aż pobiełały mu knykie. Masako znowu większość twarzy skrywała za *uchiwa*, ale widoczne były oczy – dwa bezdenne jeziora smutku.

– Nie zdążyliśmy – powiedział cesarz. – Dostaliśmy wiadomość od ciebie, ale nie zdążyliśmy.

– Po obiedzie poinformowała, że chce zostać sama. Często tak robiła. Lubiła w samotności czytać i rozmyślać. Dlatego nikt jej nie niepokoił, nikt nie zauważył zniknięcia. Musiała przepaść długie godziny temu. Jej pokój jest taki pusty, taki zimny – dodała cesarzowa.

– Nasza ukochana córka rozplynęła się we mgle. Światło naszych źrenic zgasło.

– Nie winimy ciebie – zapewniła Masako. Wachlarz zadrżał w jej dłoni. – Lustro zapewniło, że zrobiłaś, co w twojej mocy.

– Rozpoczęliśmy poszukiwania – poinformował cesarz. – Szukamy jej. Nie chodzi jedynie o fakt, że to nasze umiłowane dziecko. Tu waży się przyszłość całego narodu. Ale wydaje mi się, że to już wiesz.

– Wiem – odparła Yuki. – *Azuki-babā* zdradziła, co może oznaczać utrata boskiej córy. Poza tym widziałam *tengu*. Cesarz i cesarzowa wyprostowali się gwałtownie. Wachlarz wypadł z delikatnych dłoni Masako.

– Czy jest coś, co możesz zrobić, by odnaleźć Aiko? – spytała. – Pomóż nam, nie tylko bogom na tronie, ale też zrozpaczonym rodzicom.

– Nie wyślę tak szybko kolejnego stada żurawi. Ale mam inne sposoby – zapewniła Yuki. – Odnajdę ją, choćbym sama miała postradać życie. Klnę się na mój honor.

– Zatem nie zwlekaj, idź. I wróć z wieściami tak szybko, jak to możliwe – rozkazał cesarz.

Noc starannie skrywała swoje sekrety pod czarnym płaszczem. Wszystkie miejsca, w których *azuki-babā* lubiła płukać fasolę, okazały się puste. Yuki spędziła wiele godzin na przeczesywaniu brzegów rzeki, ale nie widziała przygarbionej postaci, ani nie słyszała charakterystycznego zawodzenia. Natknęła się jedynie na przyjazne ludziom nurikabe. Niewidzialne widmo w ostatniej chwili uchroniło ją przed zdradzieckim urwiskiem. Podziękowała mu niskim ukłonem i ruszyła dalej, wpatrując się uważnie w drogę.

Kiedy w pobliskich krzakach rozległ się głośny szelest, zacisnęła zęby. Dobrze wiedziała, kto tak hałasuje. *Kitsune* jednym susem zastąpił jej drogę i stanął na tylnych łapach. Skierował ku ziemi wszystkie kity, jakby chciał zamanifestować, że nie ma złych zamiarów. Yuki sięgnęła po nóż ukryty w rękawie.

– Zanim zrobisz mi krzywdę... Albo zrobisz ją sobie, próbując mnie skrzywdzić... Posłuchaj. Przynoszę wieści – odezwał się przybysz.

Dziewczyna schowała nóż. Lis uśmiechnął się i mrugnął. Uderzenie serca później na jego miejscu stał wysoki, urodziwy młodzieniec. Spod długiej szaty wyglądały ogony, które nie zniknęły razem z lisią formą.

– W tej postaci zawsze podobałem ci się bardziej – skwitował, wzruszając ramionami. – Do lisa nie tuliłaś się tak chętnie, zwłaszcza nocami.

– Jesteś bezczelny! – oburzyła się Yuki. Zapominając o nożu, wyszarpnęła z torby czystą kartkę i złożyła ją na pół.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu. Oczywiście możemy znowu udawać, że chcesz mnie skrzywdzić. Ale lepiej nie trać sił na mnie, gdy masz inną misję do wykonania.

– Ja niczego nie udaję! – powiedziała dobitnie dziewczyna, przerywając składanie origami.

– Tak sobie wmawiaj. Powiedz, tęsknisz za moimi ramionami? Tęsknisz, prawda?

– Jak mam tęsknić za tobą, skoro zabiłeś... zabiłeś...

– Twoją matkę, tak – oznajmił. – A ty natychmiast odwróciłaś się ode mnie. Nawet przez chwilę nie pomyślałaś, że mogłem mieć całkiem sporo racji. Od razu potraktowałaś mnie jak najgorszego wroga. Mimo że zrobiłem to dla ciebie. Dla nas.

– Dla nas?! Ty skończony draniu, zawsze umiałeś odwracać kota ogonem. Z ogromną przyjemnością popatrzę, jak zdychasz.

– Pomyśl przez chwilę. Odlóż emocje na bok i pomyśl. Twoja matka chciała nas rozdzielić na zawsze. Chciała mnie zabić. Nie

podobało jej się, że kochana córeczka związała się z... potworem. Nasłala na mnie ludzi, ledwo uciekłem z zasadzki. Co według ciebie miałem zrobić? Zgodzić się na dalsze polowanie? Tu chodziło o moje życie, a ja bardzo je sobie cenię. Twoja matka była zagrożeniem. Zagrożenia się likwiduje. No... prawie wszystkie. Ty żyjesz. Jesteś jedyną osobą, która zaatakowała mnie bezkarnie. Jak sądzisz, co to znaczy, Yuki-chan?

– Przestań! Przestań mi mieszać w głowie!

– Ja ci rozjaśniam w głowie. Gdybyś tak się nie piekliła, już dawno byś zrozumiała, że naprawdę nie miałem wyjścia. Jakbym nic nie zrobił, tak czy inaczej oplakiwałabyś śmierć. Tyle że moją.

Yuki nie odpowiedziała. Pochyliła głowę, chowając twarz za kurtyną swoich długich włosów.

– Sama widzisz – kontynuował *kitsune*. – Dam ci chwilę, żebyś to sobie przetrawiła, Yuki-chan. A teraz możemy się skupić na tym, po co tu przyszłaś. Nie odnajdziesz *azuki- babā*. Uciekła, jak tylko zobaczyła *tengo*. Zaszyła się gdzieś górach. Nie pomoże ci.

– Na pewno tego chcesz? – zapytał lis, podążając krok w krok za Yuki. – On jest niemal tak niebezpieczny jak *azuki-babā*.

– Nie mam wyjścia. Wynoś się albo nie przeszkadzaj.

– Na pewno masz jakieś inne wyjście. Ale zamiast na chwilę usiąść i się zastanowić, wolisz biec prosto w łapy niebezpieczeństwa. A to ponoć my jesteśmy dziwnym gatunkiem.

– To gdzieś tutaj – powiedziała, ignorując go.

Zza drzew wyłoniło się okazałe jezioro. Srebrzysta woda zachłannie łowiła światło księżyca.

– Tak, to na pewno tutaj – potwierdziła Yuki, wskazując na walające się przy brzegu ludzkie kości oraz ogryzki po ogórkach.

– Chcesz, by twoje resztki dołączyły do tej kupki? – zainteresował się lis. – Jeszcze nie jest za późno, by się wycofać.

– Myślę, że już za późno – rozległ się czyjś głos. Z wody wystawała zielonkawa głowa zakończona krótkim dziobem i porośnięta niebieskawymi włosami z łysiną pośrodku. W zagłębieniu łysiny znajdowała się woda.

– Teraz cię stąd nie wypuszczę, człowieku. Zabiorę ci duszę, a potem zjem cię razem ze świeżym ogórkiem. Chyba że jakimś cudem mnie pokonasz – poinformował *kappa*.

– Nie będę walczyć z tobą w wodzie – powiedziała Yuki. – Wyjdź na brzeg. Chyba że się mnie boisz i wolisz tchórzliwie siedzieć w jeziorze.

– Nigdy! – sprowokowany demon wyskoczył na brzeg i natychmiast rzucił się na dziewczynę.

Uskoczyła, ale zielonkawy pazur zdążył przeorać jej policzek. *Kappa* walczył zaciekle, próbując dorwać Yuki. Ona

nie dawała się łatwo; była szybka. Umykając przed łapskami stwora, wyciągnęła zza pazuchy złożone wcześniej origami. Dmuchnęła. Zamachnęła się świeżo uformowaną *kataną*. Wodnik cofnął się w ostatniej chwili, ocalając własną dłoń. *Kitsune* siedział w pobliżu i obserwował.

– Uważaj z tym kawałkiem metalu, człowieku – wydyszał *kappa*, atakując na nowo. – Jeśli mnie zabijesz, nie pomogę ci. Chcesz mnie żywego. Na szczęście ja nie mam takich skrupułów.

Niespodziewanie Yuki potknęła się i upadła, wypuszczając miecz z rąk. Demon tryumfalnie sięgnął w jej stronę. Jednak zanim zdążył zrobić dziewczynie krzywdę, rzuciła się na niego rozwścieczona kupa futra.

– Zostaw ją, ona jest moja! – krzyknął lis.

Yuki, korzystając z zamieszania, podniosła się i mocno szarpnęła za kudły *kappa*, aż ten przechylił głowę. Z łysiny wylała się cała woda – źródło mocy stwora. Jęknął pokonany.

– Dwoje na jednego? Uznałbym to za nieuczciwe, gdyby nie fakt, że sam jestem sobie winien. Powinienem wiedzieć, że *kitsune* nie należy ufać. Zawsze atakuje znienacka, gdy się tego nie spodziewasz. A teraz mów, dziewczyno, czego chcesz? Wygrałaś ze mną, więc pomogę ci.

– Pragnę się dowiedzieć, co się stało z boską córą. Gdzie ona jest?

Kappa zaśmiał się głośno, łapiąc się za brzuch.

- Rozmawiałem dzisiaj z wodą. Nie powiedziała mi, co się stało z Aiko. Ale powiedziała, że on wie. – Wskazał na lisa.
- To prawda, wiem – przyznał *kitsune*.
- Zaraz... Ty wiesz? Wiesz, gdzie ona jest? Ta cała walka była niepotrzebna? Niemal zginęłam!
- Przecież ci mówiłem – rzekł lis zniecierpliwionym tonem. – Mówiłem, żebyś się zastanowiła, bo masz inne wyjście niż polowanie na *kappa*.
- Nie przyszło ci do głowy, by po prostu mi powiedzieć, co jest tym innym wyjściem? – oburzyła się Yuki.
- A zapytałaś? Wy, ludzie, zawsze zakładacie, że ktoś powinien się czegoś domyślić. W ten sposób powstaje wiele nieporozumień.
- Ty podstępny...
- Chodźmy stąd, a ja ci wszystko opowiem, Yuki-chan. I przyłóż sobie coś do policzka. Przecież krwawisz.

- *Kitsune no yomeiri*? – spytała Yuki, gładząc dłonią chłodną trawę i spoglądając na urodziwego młodzieńca siedzącego tuż obok.
- Dokładnie tak. Zapatrzyła się na lisie wesele – potwierdził *kitsune*. – Powinna wiedzieć lepiej. Przecież jednocześnie padał deszcz i świeciło słońce. Wiadomo, że wtedy lisy ruszają w weselne tany. Trzeba się schować, odwrócić wzrok,

przeczekać. A ona okazała się zbyt ciekawska i naiwna. Myślała, że może bez konsekwencji na nas zerknąć.

– Czyli też byłeś w tym orszaku?

– Oczywiście. Lubię tańczyć, lubię się weselić. Dlaczego miałem nie dołączać do młodej pary i weselników? Bawiłem się wspaniale, Yuki-chan. Hasaliśmy radośnie. Sierść na naszych ogonach mieniła się, skropiona deszczem, rozświetlona słońcem. Zawędrowaliśmy aż do pałacowego ogrodu. Płaskaliśmy wśród szkarłatnych płatków sakury. I wtedy zobaczyliśmy Aiko. Wyszła na zewnątrz. Jej śliczne oczy przepełniał zachwyt. Uwielbiamy takie spojrzenia, karmimy się nimi. Wyciągnęła do mnie białą dłoń, więc ją chwyciłem. I tak tańczyliśmy dalej, aż zapadł zmrok. A potem odłączyłem się od reszty i pobiegłem cię szukać, bo miałem ochotę zobaczyć się z tobą. Tamci pewnie wciąż tańczą. Yuki podniosła się gwałtownie z ziemi, aż śnieżnobiałe rękawy jej *furisode* zafurkotały.

– Prowadź mnie do niej natychmiast – zażądała.

– Ty naprawdę myślisz, że coś jeszcze zdziałasz? – zaśmiał się lis. – Przecież ona za tobą nie pójdzie, choćbyś ją szarpała i zaklinała. Już za późno. Nie wyrwie się, gdy zasmakowała tego, co możemy jej dać. Pozwól jej tak tańczyć, pozwól cieszyć się życiem. Zrzuciła ciężar obowiązków. Może być wolna i szczęśliwa. Nie zabieraj jej tego.

– Życie nie polega na wolności, tylko na odpowiedzialności – odparła Yuki. – Poza tym każdy człowiek, który dał się złapać w szpony lisiego wesela, umiera z wycieńczenia po paru dniach!

– Ale to taka piękna śmierć. Lepsza niż powolne umieranie w świecie wypełnionym powinnościami i ograniczeniami. Nie każdy ma takie szczęście.

– Słuchaj, muszę...

– Nie zaprowadzę cię tam. Nic nie wskórasz. Pogódź się ze stratą, Yuki-chan. Po prostu się pogódź i złap mocno życie, które ci pozostało. Swoją drogą, pozostało dzięki mnie, bo przecież uchroniłem cię przed *kappa*. Czy zrozumiałaś już, ile jestem w stanie dla ciebie zrobić?

Wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał dziewczynę po policzku. Nie odsunęła się ani nie wzdrygnęła. Zachęcony tym przysunął się bliżej.

– Nie oszukuj siebie. Nie oszukuj mnie – wyszeptał. – Robiłaś to już zbyt długo. Proszę, przyznaj, co do mnie czujesz. Napraw to, co zostało zniszczone.

Yuki, otulona magią słów *kitsune*, zapomniała o wszystkim i przestała ze sobą walczyć. Westchnęła głośno, spoglądając z uczuciem prosto w oczy towarzysza.

– Kocham cię – oznajmiła.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebowałem tych słów. Nie mogłem myśleć o niczym innym. Poprzysiągłem sobie, że nie spocznę, póki jeszcze raz tego nie usłyszę. – Mężczyzna wziął ją

w ramiona. – Twoja niechęć była jak wielka drzazga pod paznokciem. Bolałem nad tym, że odepchnęłaś swoją miłość do mnie. Mnie się nie porzuca, Yuki-chan. To ja porzucam. Zawsze.

Dziewczyna nagle poczuła palący ból między łopatkami. *Kitsune* odsunął się od niej. W dłoni trzymał nóż, który niepostrzeżenie wyjął z rękawa jej szaty. Po ostrzu spływała krew.

– Postanowiłem, że nie pozwolę ci umrzeć, dopóki na nowo nie przyznasz, ile dla ciebie znaczę – kontynuował, patrząc, jak Yuki upada na ziemię. – Nareszcie przyznałaś. Zatem nie jesteś mi już potrzebna. Teraz mogę się zemścić za to, że pozbawiłaś mnie ogona. Och, ty głupiutka istotko. Powinnaś wiedzieć, że nie należy ufać *kitsune*.

Rzucił nóż, przemienił się w lisa i jakby nigdy nic pobiegł w objęcia nocy. Yuki, dysząc ciężko, patrzyła w oblepione chmurami niebo. Mimo wiosny zaczął padać śnieg.

Lis

Adam Hetmański

Pamiętam pierwszy raz, gdy go zobaczyłam. Obudziłam się rano, tuż przed świtem. Nie miałam pojęcia, co wyrwało mnie ze snu. Czułam się dość nieswojo, jakbym nie była w swoim ciele. Mimo tak wczesnej pory nie odczuwałam zmęczenia. Leniwie podniosłam się i wyjrzałam przez okno przy moim łóżku, jak każdego ranka. Na skraju lasu siedział lis. Lecz nie taki zwyczajny. Białe jak śnieg. Dziś było identycznie. Odgarnęłam kosmyki włosów z czoła i pomachałam liskowi. Ten szczerknął krótko w odpowiedzi, zakręcił się dwukrotnie wokół i wszedł w głąb lasu. Westchnęłam. Ewidentnie chciał, bym poszła za nim. Co prawda lubiłam spędzać czas w jego towarzystwie, a nawet często sama szukałam go i wołałam stojąc pośród herbacianych krzewów pobliskiej plantacji, ale... mama jeszcze nie wróciła z pracy. Czyli w domu był tylko ojciec. Znów westchnęłam i przeczesalam ręką niesforne włosy.

– Nieznośny lis... – szepnęłam do siebie.

Przetarłam oczy, przeciągnęłam się i spuściłam nogi z łóżka. Ostrożnie przeniosłam ciężar ciała na stopy, na co drewniana podłoga zaskrzypiała ostrzegawczo. Zaciśnęłam wargi i zrobiłam kilka powolnych, miękkich kroków w stronę szafy.

Zrzuciłam piżamę. Wcisnęłam na siebie pierwszą lepszą koszulkę na ramiączka i wsunęłam letnią spódniczkę. Machinalnie popchnęłam skrzydła osiemnastowiecznej szafy, a te zaskrzypiały przeraźliwe. Zamarłam w bezruchu, nasłuchując odgłosów z dołu. Poczułam pot na czole. Na szczęście nic się nie wydarzyło. Odetchnęłam cicho, przeklełam w myślach swoją głupotę i odwróciłam się w stronę okna.

Kątem oka dostrzegłam efekty mojej wczorajszej sesji z ołówkiem. Kompletnie o tym zapomniałam. Bezgłośnie zgarnęłam czcze rysunki z biurka i wrzuciłam wszystko do kufra. A potem zatrzęsnęłam wieko. Tak, zatrzęsnęłam. Usłyszałam skrzypnięcie łóżka na dole. Czym prędzej dopadłam do swojego małego okienka, otworzyłam je i zacisnęłam zęby. Nigdy nie wychodziłam na dwór w ten sposób. Obejrzałam się za siebie, na *shōji*, licząc, że nie ujrzę tam sylwetki ojca. Na szczęście nie dotarł jeszcze na piętro, ale wyraźnie usłyszałam jego przepity głos z dołu.

Przelknęłam ślinę i niezdarnie przecisnęłam się przez wąskie okno. Jedną z niewielu zalet mojego wzrostu to możliwość wchodzenia i wychodzenia drogami, o których inni mogą tylko pomarzyć. Syknęłam, gdy moja pupa dotknęła zimnej dachówki po której zjechałam kawałek, by potem wpaść twarzą w miękką trawę. Prędko podniosłam się z ziemi, otrzepałam z grubsza i zaczęłam biec.

Obejrzałam się na nasz tradycyjny, drewniany dom i uśmiechnęłam się, myśląc o tym, jakie mam szczęście, że moje okno jest od strony lasu, bo gdyby któryś z sąsiadów zobaczył całe zajście, to mógłby chcieć mnie zatrzymać. A tak... byłam wolna.

Ze śmiechem wbiegłam między smukłe bambusy. Przypomniały mi się wypadły na miasto z moją przyjaciółką Aya, gdy identycznym, dzikim, pełnym radości biegiem wypadałyśmy ze szkoły i szukałyśmy na mieście jakiejś nowej kawiarni, by zamówić losową kawę z menu. Taka mała wolność.

Co prawda wtedy, zamiast bambusowych pni, wszędzie wokół miałam wysokie do nieba budowle pokryte reklamami, kolorowe samochody, setki tysięcy ludzi przemierzających ulice Osaki i... wszystko było inaczej. Czy lepiej? Tak. Lepiej. Wtedy czułam jakąś nadzieję, ojciec był sobą, mama nie pracowała, tylko zajmowała się mną i moją małą siostrzyczką... I była moja Aya, która sprawiała, że każdy dzień miał w sobie nutę tajemnicy i krył coś niespodziewanego.

Tutaj natomiast, w tej małej wiosce w południowej części Kioto, każdy dzień wyglądał identycznie. Nic się nie zmieniało, a jedyną rzeczą która przynosiła mi radość pozostawało wieczorne rysowanie i... ten lis, którego właśnie straciłam z oczu.

Rozejrzałam się niepewnie. Wiem, że w naszych lasach grasują dziki i bałam się samotnie zapuszczać w tę puszcę.

Chociaż dziki to tak naprawdę mały problem w porównaniu do... niedźwiedzi. Wzdrygnęłam się na samą myśl o spotkaniu któregoś z tych krwiożerczych stworzeń. Rozejrzałam się wokół, jednak z żadnej strony nie widziałam nawet śladu małego, białego lisa. Na szczęście żadnego innego cienia także.

– Lisie! – zawołałam donośnie. – Lisie! – Miałam wrażenie, że mój krzyk tonie w burzy szumiących na porannym wietrze liści.

Poczułam silne ukłucie strachu. Pierwszy raz odkąd spotkałam lisa, zostawił mnie samą. Zazwyczaj zęgnął się, gdy już dokładnie widziałam granicę lasu, zdarzało się nawet, że wchodził ze mną na teren herbacianej plantacji. A teraz opuścił mnie tutaj, w środku lasu, niemal w całkowitej ciemności. Łzy mimowolnie napłynęły mi do oczu. Obrzuciłam okolicę nerwowym spojrzeniem. Teraz już nie tylko brak lisa był problemem. Nie umiałam rozpoznać drogi powrotnej.

– No tak, jak zwykle... jestem głupia... – mruknęłam do siebie.

Otarłam łzy i ruszyłam powolnym krokiem w kierunku, który wydawał się najodpowiedniejszy, choć i tak zapewne nie był właściwy. Po kilku minutach żylaste podłoże zaczęło dawać się we znaki moim bosym stopom, a ta spontaniczna, wesoła wycieczka z wolna zamieniała się w koszmar. Całe dobro, którego tu doświadczałam pochodziło od lisa. A teraz i on mnie zostawił. Jak wszyscy... Jak Hideo, gdy myślałam, że rzeczywiście mu na mnie zależy. Jak Aya, dwa lata temu, gdy pierwszy raz nie napisała mi nawet krótkiej wiadomości

z życzeniami urodzinowymi. Jak mama, gdy zginęła moja siostra i potrzebowałam jej jak nigdy wcześniej. I jak tata, którego tak naprawdę nie było odkąd wprowadziliśmy się do tego cholernego domu. Gdybyśmy tylko mogli zostać w Osace... wszystko wyglądałoby inaczej. Może poszłabym do tej szkoły artystycznej, jak mówiła Aya... wszystko byłoby inaczej.

Teraz nie mam nikogo. Nawet lis, zwierzę, zdecydowało się mnie zwieść i zostawić na lodzie. Nawet on... ten słodki lisek, którego tak bardzo... Wtem oniemiałam na moment. Poczułam pod stopami coś miękkiego, jakbym weszła na włochaty dywan. Powietrze wypełnił zapach kwiatów, trawy i... słodczy. Podniosłam głowę. Na środku polany leżał lis. Mogłabym przysiąc, że się uśmiecha. Momentalnie wszelkie ponure rozmyślenia opuściły mój umysł. Niepotrzebnie spanikowałam. Zresztą nie pierwszy raz. Zaszlochałam ze szczęścia i pobiegłam w stronę swojego najlepszego przyjaciela. Wtuliłam się w jego puszyste futro i wyszeptalam:

– Przepraszam... nie chciałam w ciebie zwątpić.

– Wiem. Nie martw się – odparł.

Odskokczyłam jak oparzona. Potrząsnęłam głową i przetrąłam oczy. Czy on właśnie... przemówił? Mój mózg potrzebował kilku chwil, by przetrwać zaistniałą sytuację. Przełknęłam ślinę i otworzyłam usta, jednak nie umiałam wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

– Rozumiem twoje zdziwienie, ale nie bój się. Przecież i tak wiedziałaś, że nie jestem zwyczajnym lisem.

Otworzyłam oczy jeszcze szerzej i kiwnęłam niepewnie głową. Podparłam się na rękę i przeczesalam palcami opadające na twarz włosy. Zamrugałam kilkakrotnie. Potem zacisnęłam powieki na kilka sekund. Po otwarciu ich lis wciąż siedział przede mną, przekrzywił jedynie głowę.

– Dziś chcę pokazać ci coś innego – ponownie zagadał lis.

Świetnie. Nie dość, że zaczął mówić, to przejął inicjatywę. Jednak nie umiałam się sprzeciwić. Podkurczyłam nogi i jęknęłam cicho, wciąż będąc w szoku i nie mogąc sklecić chociaż jednego słowa. Nic nie chciało mi przejść przez gardło. Nerwowo oblizałam wargi. Odetchnęłam głęboko.

– Zawsze pokazywałeś mi to, co chciałam – wyrzuciłam z siebie z niemalym trudem. – Skąd ta zmiana? Niebieskie oczy mojego małego przyjaciela rozbłysły jak dwie miniaturowe gwiazdki.

– Pomyślałem, że... – lisek zawstydyził się i podkulił kitę. – Że dziś pokażę ci to, czego potrzebujesz.

Wzdrygnęłam się na brzmienie tego głosu. Choć wydawał się niesamowicie dobrotliwy i serdeczny, to teraz wyczułam w nim dziwną nutę. Jakby... smutku? A może strachu? Albo obu?

Westchnęłam i zakryłam oczy dłonią. Miałam wrażenie, że mój sen jeszcze się nie skończył, że wciąż leżę w łóżku. W końcu jakim cudem lis przemówił? Trzy lata milczał i nagle mówi? To musi być sen. Zatem niech się dzieje co chce.

– Niech będzie – mruknęłam obojętnie. – Chodź do mnie. Usiadłam po barbarzyńsku, i pozwoliłam położyć liskowi głowę na moim udzie. Poglaskałam go lekko i zamiast zwyczajowego “pokaż mi moją rodzinę”, albo “...przyjaciół”, powiedziałam tylko:

– Pokaż.

Powieki opadły, a ja przeniosłam się w świat marzeń. Poczułam lekki chłód, a do mych uszu zaczęły dochodzić stłumione rozmowy. Otwarłam oczy. Siedziałam w pierwszym rzędzie olbrzymiej sali teatralnej wypełnionej po brzegi. Nigdzie wokół nie widziałam choćby jednego wolnego miejsca, nawet na najbardziej oddalonych balkonach. Przełknęłam ślinę i poczułam wierzgającego lisa przy moich stopach.

– O co chodzi?

Nie odpowiedział, tylko z niecierpliwością machnął pyszczkiem. Powiodłam wzrokiem za jego spojrzeniem. Na scenie znajdowało się tylko kilka osób i z pewnością nie był to spektakl, tylko

gala, coś na kształt amerykańskich Oscarów. W centrum, przy mównicy, stała piękna, elegancko ubrana kobieta z bukietem kwiatów. Jąkała się, nerwowo poprawiała misternie ułożone włosy i uciekała wzrokiem przed spojrzeniami poruszonej widowni. Westchnęłam, widząc jej brak profesjonalizmu.

– W takich chwilach trzeba zachować spokój, w końcu... – zaczęłam komentować, jednak kolejne słowo ugrzęzło w moim gardle.

Kobieta zaczęła płakać. I po tym płaczu ją poznałam. Potrząsnęłam głową i z niedowierzaniem wsłuchałam się w płynący z jej ust potok słów.

– ...nigdy nie sądziłam, że coś takiego nastąpi. Pa... ekhem... pamiętam swój pierwszy dzień w szkole artystycznej. Każdy... wszyscy zdawali się tak niesamowici... byłam pewna, że zniknę gdzieś w tłumie tych świetnych rysowników. Naprawdę nie wiem co mam powie...

Wszystko rozmyło się równie szybko jak się pojawiło. Teraz stałam w centrum Osaki, pod swoim byłym gimnazjum. Pamiętałam ten dzień. Aż nazbyt dobrze. Wstrzymałam oddech, próbując powstrzymać łzy.

– Nie idziesz? – krzyknęła do młodszej mnie Aya, a jej farbowane blond włosy zafalowały, gdy odwróciła się w moją stronę. “Nie”, odpowiedziałam. “Wolę rysować w domu”. Tymczasem młodsza ja odparłam:

– Chyba się wybiorę. W końcu to niedaleko, a może być fajnie. Nie wierzyłam własnym uszom. Dobrze pamiętam ten moment, jeszcze lepiej szkołę rysunku, do której zwyczajnie bałam się iść, bo moje prace były niczym w porównaniu do tych na oszklonej wystawie przed wejściem.

– To świetnie! – Aya podbiegła do mnie i przytuliła. – W końcu się zdecydowałaś! Masz wielki talent!

– Trochę się boję, wiesz...

– Każdy od czegoś zaczynał – odparła szybko i pokazała mi język. – Jakbym nie chodziła do szkoły tańca, to tańczyłabym jak pokraka. Nie, żeby teraz było wiele lepiej. – powiedziała, po czym roześmiałyśmy się.

– To do jakiej kawiarni dziś..

Sceneria ponownie się zmieniła. Poczułam jak robi mi się gorąco.

– Przestań... – wyszeptalam.

– Czy ty, Hideo, bierzesz obecną tu Kimiko za...

– Przestań! – wrzasnęłam, a podłoga świątyni rozbiła się jak szkło.

Pozostała ciemność, w której siedzieliśmy tylko ja i lis. Zacisnęłam powieki, jednak mimo zamkniętych oczu zobaczyłam kolejne przygotowane przez lisa obrazy. Moje stare łóżko w mieszkaniu w Osace. I ja, a obok mnie leży Hideo. Nasze twarze były tak blisko, że niemal stykaliśmy się ustami.

– Kocham cię – mruknął.

A młodsza ja z wizji odpowiedziała, choć doskonale pamiętam, że JA tego nie zrobiłam.

– Ja ciebie też.

Otworzyłam oczy i przerwałam tę wizję, jednocześnie zaczynając kolejną. Znów była w niej dorosła ja, teraz jednak

w dużo bardziej kameralnej scenerii. Siedziałam i przeczesywałam włosy nieznanej mi dziewczyny będącej w moim aktualnym wieku.

– Jeszcze tylko kilka pociągnięć, Mei, i...

Zaczęłam dygotać. Zebrało mi się na wymioty. Tylko raz byłam w takim stanie. Wtedy, tamtego dnia, gdy to wszystko się wydarzyło, gdy... Znów znalazłam się w swoim starym pokoju. Spojrzałam na smutną siebie. Hideo wyszedł kilka chwil wcześniej. A ja nie umiałam się odnaleźć. Było mi zwyczajnie smutno. Musiałam się przewietrzyć. Powiedziałam mamie “Idę z Mei na spacer” i wyszłam. Nigdy sobie tego nie wybaczyłam.

– Idę na spacer – powiedziała młodsza ja. – Muszę się przewietrzyć.

– Wszystko w porządku? – z kuchni dobiegł głos mamy. – Może weźmiesz Mei?

– Nie, chcę pobyć chwilę sama... wrócę za pół godzi...

Jęknęłam z rozpacz i skryłam twarz w dłoniach. Nie miałam już sił krzyczeć. Twarz miałam mokrą od łez. Ale wizje wciąż nadchodziły. Teraz widziałam płaczącego ojca w barze. Lamentował:

– Moja Mei, moja mała słodka Mei...

Potem znów ojca, rozmawiającego z jakimś poważnie ubranym mężczyzną.

– Nie możemy tolerować tego typu zachowań. Rozumiesz Yamato, chętnie dałbym ci jeszcze jedną szansę, ale...

Czyli dlatego go zwolnili. Przeze mnie. A potem, jak na zawołanie, przede mną pojawiło się moje odbicie. Prawdziwy obraz nędzy i rozpaczy. Świat zawirował, miałam wrażenie, że serce pękło mi na miliard kawałków.

– PRZESTAŃ! – szaleńczy wrzask jaki z siebie wydałam przeraził nawet mnie samą.

Upadłam na twarz. Poczułam pod sobą miękką trawę polany. Wróciłam do prawdziwego świata. W końcu. Nie umiałam wziąć porządnego oddechu. Miałam wrażenie, że zaraz się uduszę. I dobrze, po co dalej się tak męczyć. Po co? Zniszczyłam swoje życie, nic nie ma sensu, świat spłonął tamtego dnia. Wszystko stracone. I nagle wpadłam w okropną histerię. Zaczęłam jęczeć i tarzać się w trawie, nie umiejąc opanować emocji. Czy rzeczywiście wszystko... wszystko było moją winą? Gdybym umiała choć raz podjąć odważną decyzję, świat wyglądałby zupełnie inaczej. Tamtego jednego, cholernego, dnia. Gdybym choć nie straciła Mei... Ryczałam jak małe dziecko. I wtem mnie olśniło. To wszystko były wizje zesłane przez lisa. Mogły nie mieć nic wspólnego z rzeczywistością. W sekundę rozpacz zmieniła się w złość.

– Ty nędzny mały, podły... ty... – zasyczałam, podnosząc się z ziemi.

Lis podkułił ogon.

– Co ci strzeliło do głowy? Ja potrzebowałam CZEGOŚ TAKIEGO?! Jesteś nic niewart, tak samo jak wszyscy inni! Tylko

zrzucasz na mnie winę, jakbyś nie wiedział, że co noc płaczę w poduszkę przez to, co wtedy się stało! Jakbyś... jakbyś mnie w ogóle nie znał! Lis milczał. Robił się coraz smutniejszy, ale nie dbałam o to. – Zapchlony szczurze! Przez te lata pokazywałeś mi tyle rzeczy, czułam się przy tobie naprawdę kochana, mówiłam ci o wszystkim, a ty... ty robiłeś to tylko po to, by na koniec wszystko zepsuć?! Jak mogłeś!

Wciąż siedział w ciszy. Spuścił wzrok.

– Wymyśliłeś to, by mnie dobić, tak? Wiedziałeś, w jakim jestem stanie, wiedziałeś, jak na to zareaguję, wiedziałeś, że wszystko... że nie mam już nic. Tylko ciebie i zsyłane przez ciebie sny, które były jedynym miejscem, gdzie czułam się szczęśliwa, nawet jeśli to było na niby... to wciąż. Myślałam, że jakoś uda mi się pozbierać, momentami miałam nawet wrażenie, że jest blisko, ale ty... ty...

Znów przytłoczył mnie smutek. Spuściłam głowę. Nie miałam sił na gniew. Został tylko smutek.

– Wyprowadź mnie z lasu. I nigdy więcej nie przychodź – wymamrotałam cicho. – Zostaw mnie w spokoju. Odwróciłam się w stronę lasu. Westchnęłam głośno i spojrzałam w błękit nieba. Zbliżało się południe.

– Nie wymyśliłem tego – wyrzekł stanowczo lis, zatrzymując mnie w połowie kroku. – To się wydarzyło, albo mogło wydarzyć. Wystarczyłaby jedna dobra decyzja.

Zabrakło mi słów. Nie wiedziałam, czy mam znów płakać, czy znów się wkurzyć... teraz już nic nie wiedziałam. Czułam się jak w jakimś irracjonalnym koszmarze.

– Kimiko... ja chciałem ci pokazać, że ten świat jest niesprawiedliwy. Jeden zły wybór może skreślić marzenia. Jedna zła decyzja i wszystko sypie się jak domek z kart. I... uznałem, że dziś dam ci szansę. Chcę byś żyła w lepszym świecie. Razem ze mną. Przetarłam oczy, nie dowierzając i nie rozumiejąc tej dziwacznej propozycji. Odwróciłam się w stronę lisa.

– Co ty mówisz?

– Ja... – podkulił kitę – kocham cię, Kimiko. Mówiłaś, że sprawiałem ci radość, ale prawda jest taka, że ty sprawiałaś mi większą. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, o tak niewinnym i dobrotliwym, a jednocześnie zatrutym przez smutek sercu. Żyję na tym świecie już ponad tysiąc lat i czuję, że to właśnie ty jesteś odpowiednią osobą.

– Odpowiednią do czego? – Wciąż nie rozumiałam.

– Do przejścia na lepszy świat. Do stania się kimś więcej. Chcę dać ci wieczne szczęście.

– Słuchaj mnie, ja... Przerwały mi kolejne wizje. Wizja mojego szczęśliwego życia, ze spełnionymi wszystkimi marzeniami, z trójką dzieci u mojego boku i kochającym mężem. Całe szczęście w pigułce wypełniło mój umysł i mimowolnie uśmiechnęłam się.

– Nie chcesz być tak szczęśliwa cały czas? Już na zawsze? –
dobiegło do mych uszu.

– Ja... – wyszeptalam niepewnie.

Czy ten dzień będzie kolejnym, który odznaczy się
w moim życiu brakiem podjętej decyzji? Znów będę żałować, że
nie miałam odwagi? Nie. Nie dziś.

– Chcę.

Poczułam dziwny ścisk w moim wnętrzu. Coś się zaczęło
zmieniać. Zmysły nagle wyostrzyły się, sekundę później
poczułam rozdzierający ból w każdej komórce mojego ciała.
Zawylam, padając na ziemię, prężąc się i rozprężając
w spazmach.

Niebo zmieniło barwę, świat nabrał sensu. Gwiazdy
zdawały się obniżyć i zbliżyć. A ja zrozumiałam. Zrozumiałam,
że wciąż miałam całe życie przed sobą i wszystko było możliwe.
Zrozumiałam, że moje ucieczki w sny zsyłane przez lisa tylko
marnowały mój czas i do niczego nie prowadziły. Że tak
naprawdę to, co było w wizjach przyszłości rzeczywiście się
wydarzyło. Bo Mei z wizji, to była... moja córka. Wszystko
zrozumiałam.

Lis nie tworzył nic nowego. Korzystał z mojego umysłu
jak z taśm filmowej, pokazując to, co najbardziej lubiałam.
Czasem dodawał coś od siebie, by sny stały się jeszcze
piękniejsze i bardziej niepowtarzalne. Uzależnił mnie od siebie.
Oszukał mnie. Od początku chciał wykorzystać moje rozbite

serce i zmienić mnie w... Wszystko zrozumiałam. Także to, że było już za późno na te rozmyślenia. Na wszystko było za późno.

– Jak się czujesz, najdroższa?

Spojrzałam nieobecny wzrokiem na dziwnie dużego lisa. Następnie opuściłam wzrok i dostrzegłam pod sobą parę białych łapek. Roześmiałam się. Zrozumiałam, jaka jest rola lisów, jak łatwo mogłam być szczęśliwa w tej postaci i jak łatwe było takie życie. Ale jednocześnie jak bardzo bezsensowne i bezcelowe. Rozumiałam wszystko. Świat nie był już zagadką. A żywot Kimiko się skończył.

– Nigdy... nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy – spokojnie wyrzekłam w stronę lisa.

Nie spodziewał się tego. Otworzył szerzej niebieskie ślepia i zamarł w bezruchu. Nie czekałam na odpowiedź. Spojrzałam w gwiazdy. Zamknęłam oczy. Rozumiałam. Tylko to mogłam zrobić, nim zwierzęcy instynkt zniszczy mój umysł i stanę się taka jak on.

– Nie rób tego – przestrzegł mnie wystraszonym głosem. – Możesz być szczęśliwa i tak jak ja... – dalej nie słuchałam.

Wyskoczyłam w górę i poszybowałam ku niebu, lekka jak piórko. Leciałam tak przez wiele godzin. Świat pogrążał się na przemian w ciemności i świetle. Zrozumiałam cały cykl. I wiedziałam, co mam zrobić. Co muszę zrobić. Zamknęłam oczy, a gdy je otworzyłam, zmieniłam się w czystą światłość.

Rozświeciłam sobą spowijającą kosmos ciemność. Mój jaskrawy wzrok już zawsze będzie skierowany na Ziemię.

Będę szukać ludzi, którzy porzucili wszelką nadzieję, którzy żyją w smutku i strachu. I będę chronić ich przed szkodnikami zsyłającymi mamiące wizje idealnego świata odwodzące od prawdy i od człowieczeństwa.

Nie jestem już Kimiko. Jestem Negai. Najjaśniejsza gwiazda nieba.

Kłątwa uśmiechu

Gabriela Gracz

Nigdy nie idź za tajemniczym chłopakiem, który wygląda jak bóstwo. Prowadzi cię do świątyni, tak to wygląda? Na pewno tak pomyśli istota żywa, ale to tylko iluzja. Zaprowadzi cię do wody, z której nie wyjdiesz. Wiesz, że jest tam przedmiot? Żywy? Nikt nie wie. Podobno magiczny. Złap go, a twoje życie zostanie uratowane.

Usłyszeć budzik nie jest trudno dla wielu ludzi, ale nie dla Miyu. Dziewczyna pochodzi z Japonii. Jest w ostatniej klasie gimnazjum, a budzik na nią nigdy nie działa.

Brat, który ma na imię Kenta, musiał robić strasznie dziwne rzeczy, aby dziewczyna wstała. Jednak dzisiaj po dwudziestej próbie poddał się. Dziewczyna spała jak kamień, który pomimo nacisku wody z wodospadu nie ruszał się. Chłopak wsiadł na rower i odjechał do szkoły, a Miyu została w ciepłym łóżku, jeszcze pół godziny dłużej. Kiedy obudziła się, otworzyła oczy, przywitał ją blask słońca za oknem. Wzięła telefon do ręki i sprawdziła godzinę.

– No nie mów! Jestem już spóźniona prawie o czterdzieści minut! Co ten mój głupi brat myśli! Miał mnie budzić! – mówiła.

Wyjęła z szafy spódnice i pogniecioną bluzkę. Był to jej mundurek, który zakładała tak szybko jak umiała. Poleciała do łazienki, gdzie umyła zęby i uczesała włosy. Nie miała czasu sprawdzić, czy wszystko ma. Wybiegła z domu i zaczęła biec tak szybko, jak tylko umiała w kierunku szkoły. Wbiegła do klasy. Minęła jej jedna lekcja i weszła, gdy zaczynała się kolejna.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała w stronę nauczycielki.

Usiadła obok Mitsuko.

– Hej – powiedziała szeptem do przyjaciółki.

– Tyle się spóźniłaś, głupia – odpowiedziała jej Mitsuko.

– Brat mnie nie obudził – powiedziała z cichym oburzeniem Miyu,

– Jest możliwość, że nie chciałaś się obudzić.

Miyu nie odpowiedziała przyjaciółce. Znała ją od podstawówki. Była to miła dziewczyna, która doskonale wiedziała, jak jej przyjaciółka potrafiła spać.

Lekcje minęły spokojnie, ale były strasznie nudne, oprócz w-f, ćwiczyły dzisiaj grę w siatkówkę, a dziewczyna bardzo lubiła to robić. Szkoła miała się już niedługo skończyć. Został tydzień do wakacji i przejścia do liceum. Dziewczyna chciała już być w liceum, spotkać jakiegoś miłego chłopaka. Historie, które wymyślała, kiedy myślała o liceum, były wręcz niemożliwe do odtworzenia, ale nie przejmowała się tym. Jedyne co ja martwiło to to, że będzie musiała się rozstać

z Mitsuko. Ona chce iść do technikum, zawsze interesowała się fryzjerstwem. No cóż, postanowiła te ostatnie chwilę spędzić dobrze. Nawet jeśli miała przed sobą jeszcze wiele stresu, była gotowa.

Kiedy nadeszły wakacje Miyu była bardzo szczęśliwa. Był to koniec szkoły i nauki. Coś niesamowitego! Mogła spać tyle ile chciała! Mogła też jeść lody do woli. Pierwsze dwa tygodnie były całkowicie normalne. Była na wycieczce z bratem.

Jednak pewnego dnia po obudzeniu się i rozejrzeniu po całym domu nikogo nie zauważyła. Nic nie wiedziała o tym, że jej brat gdzieś idzie. Nie wracał on jednak przez cztery godziny, więc dziewczyna martwiąc się o niego, postanowiła go poszukać.

Wyszła z domu, ale nikogo nie było na ulicy. Była w parku, nad rzeką, a restaurację i kawiarnie były zamknięte. Było to bardzo dziwne. Dostrzegła nagle chłopaka. Pobiegła za nim i usłyszała głos swojego brata:

– No, dogoń mnie – zaśmiał się cicho.

Dla siostry Kenty było to jak wyzwanie, Zaczęła więc za nim biec. Dostrzegła nagle świątynię, a jej pierwszą myślą było, czy była tutaj już wcześniej.

– No, jestem w świątyni, wchodzisz? – wypowiedział obcy głos jej brata.

Miyu wbiegła do świątyni, gdy nagle coś poczuła. Coś ciągnęło ją w dół! Nie mogła oddychać. Ledwo co otworzyła oczy, a obraz był zamazany. Dostrzegła nogę, rękę, a nawet

biodro, które przypominało coś ludzkiego, ale cała reszta wyglądała jak potwór z pradawnej opowieści. Czuła, że w każdej chwili może zemdleć. Traciła powietrze. Jej mózg przestawał pracować, ale wiedziała, że jest pod wodą. Jej oczy zamykały się powoli, wyciągnęła ręce na bok poddając się, gdy poczuła coś kojącego i delikatnego. Dotknęła to palcami u lewej dłoni i zemdląca.

Po długim czasie otworzyła oczy. Znajdowała się na polanie. Jej oddech był delikatny i słaby. Dostrzegła różę i usłyszała czyjś głos, który powtarzał, jak zepsuty robot:

– Brawo! Teraz będziesz przeklęta! Lepiej się nie uśmiechaj, bo masz tylko trzy szanse na to, by to zrobić! Po kolejnych razach zostaniesz przeniesiona tutaj, na zawsze! Trafisz tutaj, a ja zaopiekuję się tobą! Możesz być jednak spokojna, tutaj jest wszystko! Na twoim miejscu uśmiechałbym się długo, by tu trafić! To ty jednak decydujesz o sobie! Pamiętaj: Nie możesz się uśmiechnąć!

Nie liczyła, ile razy to powtórzył, ale wszystko zrozumiała. Przeraziło ją to. Zamknęła oczy i postanowiła zasnąć.

Miesiąc 1

Oczy otworzyła znajdując się już na łóżku. W kuchni słyszała głos brata, który najprawdopodobniej robił śniadanie.

– Czyli to był sen, całe szczęście. Dostrzegła różę, ale nie było jej tu wcześniej, była piękna. Podeszła więc do niej, delikatnie dotknęła i znów znany jej już głos zaczął powtarzać:

– Brawo! Teraz będziesz przeklęta! Lepiej się nie uśmiechaj, masz tylko trzy szanse na to, by to zrobić! Po kolejnych razach zostaniesz przeniesiona tutaj, na zawsze! Trafisz tutaj, a ja zaopiekuję się tobą!

Kiedy zdjęła swoją rękę z róży nie słyszała głosu.

– Czyli naprawdę nie mogę się uśmiechać! Jak mam tego dokonać! Przecież ciągle się uśmiecham! – krzyknęła.

– Mała zejść tu! – usłyszała głos brata.

– Idę! – odkrzyknęła.

Zeszła na dół do brata i powiedziała mu wprost:

– Kenta, posłuchaj. To zabrzmiało jak jakiś żart, ale nie mogę się uśmiechnąć. To klątwa. Wiem to brzmi dzwnie, ale ty mnie wołałeś! Zaprowadziłeś do świątyni, ja wpadłam do wody i była róża i mogę się uśmiechnąć tylko trzy razy! Kenta zaśmiał się tak bardzo, że tchu mu brakło. Kiedy znalazł w końcu oddech powiedział:

– Tak mówić, kiedy jutro idziesz do liceum.

– Jutro idę do liceum?!

– Gdzie ty byłaś przez te wakacje?!

– Nie wiem! Byłam w wodzie i na polanie! Mówiłam ci, że mam klątwę! Proszę cię nie mów i nie rób nic bym się uśmiechała!

– Dobra, dobra.

Dziewczyna poszła oburzona do pokoju. Nie wiedziała jak mogło minąć tyle czasu. Chciała nie wychodzić. Jak miała przetrwać bez uśmiechu?

– Nawet nie sprawdziłam, czy to prawda, ale boję się uśmiechnąć – myślała.

Cały dzień siedziała w pokoju bojąc się o siebie. Dotykała róży co kilka minut słuchając, jak mówi to samo. Płakała cicho. Kolejnego dnia obudziła się godzinę przed budzikiem.

– W takim razie chyba nie powinnam mieć przyjaciół w tym liceum. Przez nich łatwo będę się uśmiechać. Lepiej odpuszczę też sobie zakochanie i chłopaka. To bez sensu, tak nie da się żyć! – myślała.

Po przygotowaniu się miała jeszcze około dwadzieścia minut do wyjścia.

– Obejrzę coś, ale chyba powinnam oglądać jakiś horror, by się nie uśmiechnąć. – Myślała.

Odpaliła film, ale okazał się bardzo nudny, więc po dziesięciu minutach wyłączyła go. Wyszła do nowego liceum. Ledwo co powstrzymała uśmiech, bo naprawdę placówka wyglądało cudnie.

Miała własną szafkę. Dostała do niej klucz, podeszła do swojej szafki i wiedziała, że musi ją ozdobić w swoim stylu. Chciała kupić małą szufladkę, już wszystko zaplanowała, ledwo

co utrzymywała kamienną twarz. Zadzwonił dzwonek, wzięła więc podręczniki i pobiegła na lekcję.

W klasie było mniej więcej po równo dziewczyn i chłopców. Zaczynali lekcję matematyki. Profesor wydawał się miły, a lekcja minęła spokojnie. Na przerwie większość osób z kimś rozmawiała, a Miyu siedziała sama i myślała o tym co chce mieć w nowej szafce. Zadzwonił dzwonek na kolejną lekcję.

Tak minęło kilka dni. Odcięła się od wszystkiego. Chciała zachować swoje trzy uśmiechy na ważną okazję. Nie widziała, czy to prawda, ale udało się jej już nie uśmiechać przez dziewięć dni. Dziesiątego dnia, brat kazał jej zostać w domu i postanowił porozmawiać z siostrą.

– Słuchaj – zaczął. – Ostatnio się nie uśmiechasz. Ktoś ci dokucza w nowej szkole?

– Nie, mówiłam ci, że nie mogę się uśmiechać? Staram się unikać wszystkiego, co szczęśliwe. Wiem, że mi nie wierzysz, ale to, dlatego.

– Skoro nie wiesz, czy to prawda, to nie chcesz zmarnować jednego uśmiechu, aby być pewną, czy to faktycznie kłótwa?

– Chcę, ale jeśli to prawda to zmarnuję ten uśmiech. A ty czemu nagle mi wierzysz?!

– Ponieważ ty kochasz się uśmiechać, a poza tym brzmi to jak bajka, którą opowiadał mi nasz dziadek, jak byłem mały. Słuchaj, mam pomysł.

– Jaki?

– Mówisz, że twój uśmiech się zmarnuje, ale nie zmarnuje się, jeśli będzie szczery, prawda?

– Brzmi logicznie...

– No właśnie. Posłuchaj, dzisiaj jest piękna pogoda, twoja przyjaciółka z gimnazjum może pójść z nami. Zadzwoń do niej. Pójdiesz dzisiaj na zakupy, do kina, po lody i zrobisz dużo uszczęśliwiających cię rzeczy, a na sam koniec uśmiechniesz się szczerze i się przekonamy!

– Brzmi dobrze, zadzwonię do niej.

Kento wyszedł z jej pokoju i zostawił siostrę samą. Ona zadzwoniła do przyjaciółki.

– Halo? – odezwał się głos w słuchawce.

– Em.. Hej Mitsuko. Nie miałyśmy ze sobą dość długo kontaktu, ale chciałabym byśmy nadal się przyjaźniły. Czy chcesz dzisiaj się gdzieś wybrać, mam coś co muszę ci powiedzieć.

– O, Miyu!? Jak miło, że dzwonisz, nie wiem, co chcesz mi powiedzieć, ale chętnie się dzisiaj z tobą spotkam. Nawet teraz mogę podejść pod twój dom.

– Dobrze, to tak zrób.

– No pewnie, będę za dwadzieścia minut.

– Dzięki.

Mitsuko się rozłączyła, a Miyo zawołała do brata:

– Słuchaj, pójde na to spotkanie z Mitsuko, będzie po mnie za dwadzieścia minut, mogę iść tylko z nią bez ciebie?

– No pewnie, dam ci nawet pieniądze. Mam nadzieję, że nie kłamiesz, bo jak tak, to oddajesz! – odpowiedział.

– Okej.

Miyu ubrała spódnicę i bluzkę. Wybrała sweter, uczesała włosy i spięła je w kucyk. Było jej bardzo ciężko nie uśmiechać się i nie chciała uśmiechnąć się teraz, ale cieszyła się bardzo, że spotyka się z przyjaciółką.

Nie czekała długo, gdy dzwonek do jej drzwi zadzwonił. Przywitała się z Mitsuko i po chwili wyszły.

Dziewczyny były w wielu miejscach i świetnie się bawiły, a Miyu ledwo co powstrzymywała wielki uśmiech. Na sam koniec dnia, kiedy Mitsuko odprowadziła swoją przyjaciółkę pod jej dom zapytała:

– Nie bawiłaś się dobrze, prawda?

– Nie, było super!

– Jednak nie uśmiechnęłaś się... Miyu objęła swoją przyjaciółkę, przytuliła ją bardzo mocno, uśmiechnęła się i powiedziała:

– To był cudny dzień...

Dziewczyna po wypowiedzeniu tych słów zaczęła tracić czucie w nogach, zemdlała i pojawiła się na polanie.

– Brawo! To już pierwszy uśmiech! Tylko dwa zostały byś była tu, w raju! Będziesz bóstwem! Uśmiechnij się tylko jeszcze dwa razy! Czy to nie jest dobra oferta? Ta róża jest magiczna, wiesz? Złap ją, idź do tamtego nudnego świata i przyjdź tu znów! Ja

bym się nie zastanawiał, tylko od razu użył pozostałych uśmiechów! – mówił głos.

Ten sam głos odzywał się znowu do niej. Teraz wiedziała, że to prawda. Nie myślała długo, złapała różę, po czym zamknęła i otworzyła oczy. Była w szpitalnym łóżku.

– Cześć brat, co tu robisz?

– Miyu?! Jak dobrze – mówiąc to jej brat się rozplakał.

– Co się stało?

– Zemdląłeś, leżysz tu już 28 dni!

– Naprawdę?! Jednak to prawda, naprawdę mam limit...

– Tak mi przykro. Wszystko powiedziałem twojej przyjaciółce. Zasmuciła ją ta informacja, ale powiedziała, że pomoże ci tak, jak będzie potrafiła.

– Cieszę się, dzięki.

Rodzeństwo wróciło do domu i wszystko inne zdawało się wracać do normalności. Przez kilka kolejnych dni panował spokój.

Miesiąc 2

Deszczowy poranek obudził dziewczynę w niedzielę. Dzień, w którym może spać i spać, ona wstaje o szóstej, bo coś ją budzi. Nic jej się nie śniło, a jeśli nawet, to tego nie pamiętała. Jej starszy brat śpi, największym wyzwaniem na tę chwilę byłoby obudzenie go, ale dziewczyna zaczęła skradać się do lodówki i wyjęła z niej jogurt truskawkowy. Był on jej brata, ale

i tak go zjadła w swoim pokoju. Odpaliła komputer i zaczęła coś przeglądać.

– Chciałabym by był już trzeci marca, mój brat wydałby dużo pieniędzy – mówiąc to weszła na stronę z drogimi, specjalnymi lalkami.

Przerażały ją trochę, ale były ładne, więc są one idealne, bo będzie szczęśliwa, ale nie wywoła to u niej uśmiechu. Kiedy zrozumiała, że minęło już trzydzieści minut, odkąd wgapia się w lalki, postanowiła wyjść na spacer.

Na dworze było mało ludzi i wiał zimny wiatr. Ktoś jednak szedł z torbą wypełnioną po brzegi papierami. Dało się usłyszeć rozpięcie suwaka i ciche “ugh?!”. Nie trzeba być geniuszem, aby zorientować się, że torba tej pani nie pomieściła aż tyle papierów. Miyu podbiegła do niej i zaczęła jej pomagać. Wcześniej widziała w niej kobietę blisko trzydziestki, jednak, kiedy znajdowała się bliżej jej twarzy zrozumiała, że jest od niej o rok starsza, albo są w tym samym wieku.

– Dzięki za pomoc, jestem Sadako – powiedziała dziewczyna wstając.

– Nie ma sprawy, ja jestem Miyu, chodzę do pierwszej klasy liceum, a ty? – zapytała Miyu.

– Ja do drugiej liceum.

– Fajnie.

– Dużo pracy.

– Po co ci teczka z tyloma papierami?

- Wracam z biblioteki, uczyłam się. Mam pytanie.
- Jakie?
- Jesteś teraz wolna? Jeżeli tak, czy dasz zaprosić się na herbatę lub kawę? Chcę odwdzińczyć się za pomoc.
- Jestem wolna, więc prowadź.
- Dobrze.

Tak oto dziewczyny doszły do kawiarni i usiadły obok figury lisa. Zamówiły coś sobie i pogadały.

- Czemu się nie uśmiechniesz? – spytała Sadako.
- Wybacz, ale to nie twój interes – odpowiedziała Miyu – Muszę już iść, dziękuję za zaproszenie.
- Jasne, to pa.
- Pa.

Trzeba przyznać, że opanowanie swojej twarzy przed wykonaniem uśmiechu jest strasznie trudne. Było jej bardzo miło w kawiarni, dlatego poczuła się źle, że zachowała się jak nie ona i chciała za to przeprosić Sadako, ale było już za późno.

Wróciła do domu i czekała na kolejny dzień. Nazajutrz rodzeństwo szykowało się do wyjścia, oboje mieli na tą samą godzinę do szkoły, jednak szli w dwie różne strony. Dziewczyna weszła do szkoły i podeszła do swojej szafki, gdy ktoś nagle złapał ją za ramię i usłyszała głos:

- Mała, tu jest moja szafka, idź sobie.
- Ona nigdzie nie idzie! – odpowiedział znajomy głos.
- S-Sadako?! Wybacz mi!

Chłopak uciekł, a przed Miyu stała Sadako, ta sama, którą wczoraj spotkała.

– Dzięki – powiedziała cicho dziewczyna, na którą krzyczał nieznajomy.

– Nie ma sprawy nie wiedziałam, że jesteśmy z tej samej szkoły! Na kolejnej przerwie przyjdź na dach, zjemy razem lunch! – odpowiedziała dziewczyna broniąca pierwszoklasistkę.

– Dlaczego chcesz jeść ze mną lunch?

– Ponieważ się przyjaźnimy!

Zadzwonił dzwonek, poszła do klasy, poczekała na przerwę i poszła na dach.

– Miło cię widzieć – zawołała Sadako. – Siadaj!

Dziewczyna usiadła i zaczęła wyjmować swój lunch.

– Jakie ładne *onigiri*, mogę trochę? – zapytała.

– Pewnie, bierz – odpowiedziała.

Sadako wzięła kawałek, zjadła i znowu zapytała:

– Ej, a ty to czemu taka smutna, rozchmurz się.

– Przykro mi, nie mogę się uśmiechać – odpowiedziała Miyu.

– Wymówka, no już uśmiechnij się – mówiąc to dziewczyna rzuciła się na Miyu. Zaczęła ją łaskotać i śmiać się, a wytrzymałość jej koleżanki była niesamowita, bo nadal się nie uśmiechała, chociaż było to bardzo trudne. Po chwili przestała łaskotać Miyu, wstała i wzięła swoje jedzenie.

– Rozumiem, nie lubisz mnie, nie chcę się narzucać – powiedziała Sadako.

– Nie, poczekaj! – krzyknęła Miyu.

Podbiegła do niej, przytuliła ją, popatrzyła ze szczerością w jej oczy i uśmiechnęła się, a potem powiedział tylko:

– Widzisz?! Uśmieciam się! J-Ja chcę mieć przyjaciółkę i to ty powinnaś ni...

Nie dokończyła, bo zemdląca.

– Już się obudziła! Obudziła! – powiedział dziewczęcy głos. – To ja, Sadako. Zemdląłeś, śpisz już dobre trzy godziny, jesteś w szpitalu.

Tym razem wszystko trwało krócej, bo Miyu od razu złapała różę. Został jej ostatni uśmiech, ale wiedziała, że dobrze użyła drugiego. Wróciła do domu i podziękowała Sadako. Powiedziała jej też o klątwie, a ona i tak chciała się z nią przyjaźnić.

Reszta miesiąca nie różniła się za bardzo, Miyu szła do szkoły, widziała się z Sadako, czasem szły gdzieś po szkole i to było tyle.

Miesiąc 3

Zimny, ale jasny niedzielny poranek. Bez deszczu lub innych opadów, czyste niebo i chłodnawy wiatr. W ten dzień Miyu postanowiła poznać ze sobą swoje dwie przyjaciółki. Spotkały się więc wszystkie przed fontanną na najbardziej

popularnym placu w ich mieście i postanowiły iść do kawiarni, która zawsze była otwarta.

Dziewczyny poznały się, przypadły sobie do gustu i znalazły wspólny temat do rozmowy. Doszły do kawiarni, a tam sporo we trójkę rozmawiały. Mitsuko zrobiło się smutno, że one się śmieją, a Miyu nie może, wyrwała więc kartkę i czarnym markerem narysowała uśmiechniętą buzię.

– Proszę, jak będziesz się chciała zaśmiać, przyłóż tę kartkę do twarzy – powiedziała.

Miyu przykładając kartkę rzekła:

– Dzięki!

Ich rozmowa w kawiarni trwała długo i za każdym razem, gdy Miyu miała ochotę się uśmiechnąć, przykładła kartkę. Miło spędziła dobrze ten dzień, a kiedy zaczęły zbierać się do domu, Sadako powiedziała:

– Szkoda, że nie widziałam twojego prawdziwego uśmiechu, jest taki radosny.

– Nie widziałas, no to proszę, zobacz! – powiedziała Miyu.

Dziewczyna uśmiechnęła się, podskoczyła nawet z radości i głośno krzyknęła:

– Dzięki za wszystko!

Jej ręce, nogi i głowa zaczęła otaczać czarna maź, aż w końcu rozplynęła się. Dziewczyna trafiła do miejsca, gdzie wcześniej była róża, lecz teraz nie widziała jej.

– Gdzie jest róża!? – krzyknęła.

– Nie ma, to był twój ostatni uśmiech, zostajesz tutaj i już nie wrócisz.

– Wróć!

Miyu biegła przed siebie i zanim się zorientowała, była pod wodą. Nie obchodziło ją teraz, czy wystarczy jej tlenu, szukała róży. Zobaczyła ją gdzieś w głębinie i w szklanej szkatule.

Teraz rany nie miały dla niej znaczenia, wybiła szybę, dotknęła róży i usłyszała za sobą głośnie:

– Nieee!

Ocknęła się w swoim łóżku.

– Miyu, to ty?! Naprawdę?! – krzychał jej brat.

– Tak! – Miyu uśmiechnęła się.

Dowiedziała się, że nigdzie nie mogli jej znaleźć i po tygodniu nagle się tu pojawiła, w swoim łóżku. Jej przyjaciółki zjawiły się od razu uściskały ją i dały prezenty. Róży nie było.

– Czyli to koniec mojej klątwy - powiedziała z ulgą Miyu.

– Tak! Teraz możesz się uśmiechać, ile dusza zapagnie! – odpowiedzieli pozostali.

Nigdy nie idź za tajemniczym chłopakiem, który wygląda jak bóstwo. Prowadzi cię do świątyni, tak to wygląda? Na pewno tak pomyśli istota żywa, ale to tylko iluzja. Zaprowadzi cię do wody, z której nie wyjdiesz. Wiesz, że jest tam przedmiot? Żywy? Nikt nie wie. Podobno magiczny. Złap go, a twoje życie zostanie uratowane. Możesz sprawić, by klątwa,

która się wtedy pojawi zniknie, ale jest spora szansa, że znów będzie to iluzja.

Szlak mroku

Klaudiusz Joachim Brzozowski

Obudził mnie śpiew. Zastanawiałam się czy wstać z łóża. Nie chciałam budzić Kotaro. Ostatnio nie powodziły mu się interesy i nie chciałam go bardziej denerwować. Jednak śpiew stawał się coraz bardziej wyraźny. Z każdą minutą stawał się coraz głośniejszy. Nie mogłam określić, czy głos śpiewający był męski, czy żeński. Wiedziałam tylko, że coraz bardziej chciałam sprawdzić źródło tej melodii.

Wstałam z łóżka jak najdelikatniej, aby nie obudzić mojego męża. Nadal przyzwyczajałam się w myślach do określania go w ten sposób. To był nasz trzeci tydzień po ślubie. Moi rodzice wybrali go dla mnie patrząc na jego majątek i status. Powtarzali, że to cud, że tak wysoko urodzony Daimyo i jego rodzina zgodzili się przyjąć mnie do ich wystawnego życia i olbrzymiego domu.

Kochałam rodziców, ale najbardziej tęskniłam za moimi siostrami. Hina i Minori, nadal za młode na małżeństwo, bardzo serdecznie mnie pożegnały przed moją daleką podróżą do domu Kotaro.

Nadal dokładnie pamiętałam wielogodzinną podróż przez różne wioski, miasteczka, lasy. To była moja pierwsza tak daleka podróż. Wszystko obserwowałam z wielkim

zaciekawieniem z okna powozu. Mieliśmy jedną przerwę w podróży obok pola ryżowego. Woźnica nakarmił konie, a ja przyglądałam się wzgórzom, gęsto porośniętymi drzewami. Woźnica powiedział, że kiedy je ominiemy wyłoni się miasto, za którym znajdowało się domostwo i cel naszej wędrówki. Czułam lekkie rozczarowanie bo sama jazda sprawiała mi przyjemność.

Kiedy przejechaliśmy przez miasto pełne straganów, domów ze spadzistymi dachami i ołtarzy i dotarliśmy na peryferie i piękną bramę poczułam, że chciałabym jechać dalej. Marzyłam, aby zobaczyć więcej i dalej. Wiedziałam jednak, że inny los był mi pisany.

Służący przywitani mnie przed bramą. Zostałam przygotowana, aby spotkać się rodzicami mojego przyszłego męża. To była jedna z najbardziej stresujących chwil w moim życiu. Musieli zaakceptować mnie i dary od mojej rodziny. Pomimo, że zgodzili się na układ z moimi rodzicami, mogli w każdej chwili mnie odesłać, a byłaby to hańba dla mojej rodziny.

Czekałam na nich w pięknym pokoju pełnym porcelanowych waz i cennych rzeźb ozdobionych klejnotami. Ojciec Kotaro – wysoki, chudy starzec z siwą brodą, sprawiał miłe wrażenie. Jednak matka mojego przyszłego męża natychmiast zmierzyła mnie zimnym spojrzeniem. Krągła kobieta w pięknie ozdobionej szacie zaczęła zadawać mi różne pytania, a ja odpowiadałam tak jak mnie nauczono. Potulnie

skuliłam głowę i mówiłam spokojnym głosem pomimo, że moje serce bardzo szybko biło. Najwyraźniej przeszłam próbę i dary które przywiozłam zadowolili moich teściów.

W pokoju sypialnym rozpakowano moje rzeczy. Spojrzałam w zwierciadło oprawione w piękną ramę ze smokami. Zastanawiam się, w którym pakunku jest mój wisior. Otrzymałam go od mojego ojca z powodu zbliżającego się ślubu. Chciałam mieć go na szyi w czasie ceremonii. Jeden ze służących znalazł go i mi go podał. Obróciłam go w dłoni. Srebrny Symbol Tsukuyomi – Boga księżycy lśnił na białym tle.

Zanim nastąpiła ceremonia, podczas której mogłam go włożyć minęły 3 tygodnie. Poznałam Kotaro – wysokiego, postawnego i starszego ode mnie o ponad dziesięć lat mężczyznę. Był dość mało mówny, ale często się denerwował na służbę i poddanych z wiosek które mu służyły. Obserwowałam go i nie potrafiłam go rozgryźć. Wobec mnie był uprzejmy, co powodowało we mnie ulgę. Słyszałam jednak historię o mężach, którzy strasznie traktowali swoje małżonki i nie byli wobec nich w jakikolwiek sposób łagodni.

Tymczasem Kotaro często zapraszał mnie na spacer do ich domowego ogrodu. Piękno tego krajobrazu zapierało mi dech w piersiach. Żwirowa ścieżka wśród licznych krzewów i kwiatów prowadziła do stawu pełnego ryb koi i altany w oddali. Kwitnące drzewa wiśni, posągi przodków i lampiony dopełniały spokojnego klimatu tego miejsca.

Do dbania o to miejsce zatrudniono wielu ogrodników, jak wyjaśniał mi Kotaro. Na końcu jednej ze ścieżek znajdowała się brama Torii. Taka sama stała w naszym, o wiele skromniejszym ogrodzie. Wiedziałam, że była ona ważnym znakiem dla naszych przodków i naszych Bogów. Patrząc na nią, zawsze miałam to nieokreślone poczucie niepokoju a może oczekiwania? Tylko nie wiedziałam na co. Wolałam nie skupiać się na rozmyślaniach, a przygotowaniu do ślubu.

Zostałam ubrana w dwanaście kimon, a moja twarz została pokryta białą farbą, a policzki mocno zaczerwieniono. Nie zapomniałam jednak o naszyjniku, który zawiesiłam sobie po ubiorze kimon. Moje włosy ułożono w wysokie upięcie i częściowo schowano pod czepcem. Moi rodzina przyjechała na krótko, aby uczestniczyć w ceremonii.

Cały orszak w ten ważny dzień ruszył w stronę świątyni znajdującej się niedaleko domu. Cały czas trzymałam ozdobną parasolkę aby jej nie zgubić. Po dotarciu do świątyni i oczyszczeniu przez kapłana i innych formalnościach zrobiliśmy toast sake i zaczęliśmy świętować. Otrzymałam różne podarunki od rodziny Kotaro, ale skupiłam swoją uwagę na moich siostrach i rodzicach. Z żalem ich pożegnałam ,gdy musieli ruszać w drogę powrotną.

Następne tygodnie miały mi na dalszym zapoznawaniu się z domem, służbą i obowiązkami, jako nowej pani domu. Nie ruszałam się z sypialni bez mojego medalionu Tsukuyomi. Nie

wiedzieć czemu, czułam się z nim bezpieczniej. W tej chwili, kiedy dziwny śpiew mnie budził, potrzebowałam go bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Czułam strach ale też pewną fascynację pięknym głosem. Mnie i moje siostry uczono śpiewać, ale nasze głosy zawsze były najwyżej poprawne. Głos, który wydawał te dźwięki był nieziemsko idealny. Ubrałam się szybko po cichu w prostą szatę i zawiesiłam wisior na mojej szyi. Przed wyjściem z sypialni ostatni raz spojrzałam na Kotaro pogrążonego w spokojnym śnie i powoli zasunęłam za sobą drzwi.

Dom pogrążony był w ciemności i wywoływał we mnie dziwny spokój. Za dnia był wypełniony służbą, niespodziewanymi gośćmi, z którymi mój mąż musiał się uporać. A teraz tylko jeden głos zaburzał ciszę. Myślałam, że będę musiała zapalić lampę lub świecę. Okazało się to nie potrzebne. Księżyc, pomimo swojej fazy sierpu dawał wystarczająco dużo światła, abym mogła się bez innych źródeł światła obyć.

Próbowałam jak najszybciej dotrzeć do źródła tajemniczego głosu. Okazało się, że wydobył się on z zewnątrz, z ogrodu. Zaniepokojona rozsunęłam drzwi, aby natychmiast poczuć wicher wiatru, a głos stał jeszcze bardziej wyraźny. Nieco poprawiłam szatę, aby ochronić się przed nocnym zimnem i zaczęłam iść w głąb ogrodu. Piękny za dnia widok wydawał się

nieco niepokojący w nocnej czerni. Jedynymi punktami, które rozjaśniały ten mroczny pejzaż były świetliki oraz księżyc.

Miałam nadzieję jak najszybciej dotrzeć do celu i później wrócić do męża. Moje pragnienie wzmocniło nagle hukanie sowy na drzewie, przez które aż podskoczyłam. Jednak nie poddałam się i ruszyłam dalej. Ogród wydawał się o wiele większy nocą. Po chwili marszu domyśliłam się, gdzie idę. Brama Torii pojawiła się na horyzoncie, a śpiew nagle ustał.

Stałam przed bramą i nie wiedziałam co zrobić. Dotknęłam tajemniczej czerwonej konstrukcji myśląc, że odkryję sekret pięknego śpiewu. W tej samej chwili zobaczyłam, że brama świeci dziwnym blaskiem. Odskoczyłam od niej, odwróciłam się na pięcie i stałam jak wryta. Księżyc nad moją głową się zmienił... Nie był już w fazie sierpu a w pełni. Niezwykłej pełni, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Cały ogród pogrążył się w białym blasku.

Nagle zobaczyłam kręgi na wodzie stawu, które po chwili zmieniły się w fale, a następnie w bulgotanie. Nie mogłam zrobić nic, tylko patrzeć, jak z miejsca, gdzie księżyc odbijał się w wodzie stawu, wynurza się piękny młodzieniec o białej jak śnieg skórze. Był ubrany w srebrzystoszare kimono z długimi rękawami i trzymał lśniąca katana, która wskazała na mnie. Padłam na kolana przerażona.

Przybysz wyłonił się ze stawu, ale był całkowicie suchy. Jego czarne włosy powiewały na wietrze. Miałam podejrzenie

kim był, więc bałam się odezwać. Usłyszałam głos i byłam pewna, że to był ten sam głos, który mnie tu przyciągnął. Jednak tym razem nie śpiewał, a mówił do mnie.

– Droga, którą przejdiesz, piękna Misaki, będzie ciężka i pełna cierni, lecz nie lękaj się, ponieważ będziesz mieć moja ochronę na każdym jej etapie. Wstań i nie miej obawy w swoim sercu.

Byłam zbyt roztrzęsiona by jakoś się odezwać, zapytać o rzeczy, o których on mówi.

– Wiem, że domyślasz się, kim jestem. Jednak przedstawię się jednym z imion najbardziej znanym ludziom. Jestem władcą księżyca i nocy – Tsukuyomi i wybrałam cię, abyś odbył podróż do świata śmierci i odzyskała to, co do mnie należało – powiedział łagodnym głosem.

Nadal byłam w zbyt dużym szoku, by jakoś zareagować. W słyszanych przeze mnie historiach spotkania bogów z ludźmi przebiegały inaczej. Rzadko wybierali oni zwykle kobiety na osoby warte spotkania. A jednak tym razem było inaczej.

Nastąpiła cisza, która przeciągała się. Odkryłam, że pomimo polecenie boga nadal byłam na kolanach, więc szybko wstałam. Tsukuyomi w pełnej krasie patrzył na mnie i czekał aż się odezwę. Zauważyłam, że jego stopy unoszą się nad taflą wody, a *katana* lewituje obok niego. Wreszcie udało mi się wydusić się z siebie słowa.

– Czcigodny, jeśli mam prawo zapytać – dlaczego na mnie padła ta misja? A nie na jakiegoś śmiałego i odważnego wojownika, samuraja, który jest doświadczony w niebezpiecznej podróży?

Bóg odpowiedział z zadumą.

– Miraki z Domu Kwitnącego Irysa, po zakończeniu szlaku mroku zdobędziesz odpowiedzi na wszystkie nurtujące Cię pytania. Czy akceptujesz swoje zadanie i chcesz poznać jego szczegóły?

Nadal się wahałam, ale wiedziałam, że odmowa bóstwu może mieć straszne konsekwencje nie tylko dla mnie, ale również dla całej mojej rodziny. Zgodziłam się więc z szacunkiem i pochyliłam głowę tak samo, jak zrobiłam to podczas rozmowy z rodzicami Kotaro.

– Celem twojej podróży jest odzyskanie mojego świętego cepa. Zgubiłem go ostatniej nocy podczas podróży w chmurach. Spadł w przepaść zaświatów, do których nie mogę już wejść przez klótnie z moją siostrą Amaterasu – boginią słońca. Od tego czasu nie mogę dotknąć niczego, co związane jest z ludźmi. Nie mogę dotknąć stopami ziemi i wrócić do Krainy Ciemności pomimo, że należała ona kiedyś do mnie. Do tej właśnie krainy trafiają dusze zmarłych z twojej planety, dlatego ty możesz się tam wybrać po cep i wrócić. Uważaj jednak, ponieważ na twojej drodze pojawiają się straszne istoty i pokusy, przez które będziesz chciała tam pozostać. Kraina ostateczności jest pełna iluzji, więc strzeż się.

Byłam mocno zdezorientowana i miałam mnóstwo wątpliwości. W końcu zapytałam.

– Ale jak mam się tam udać i wrócić?

Tsukuyomi wskazał na coś, co znajdowało się za moimi plecami. Odwróciłam się i spojrzałam na czerwoną bramę.

– Przejdź przez tę bramę – odpowiedział bóg nocy. Kiedy to zrobisz, trafisz do przedziona tego świata.

Po jego słowach ruszyłam w jej stronę. Nagle spostrzegłam, że w mojej dłoni pojawiła się *katana*.

– Weź moją broń, Misaki, i jeśli zgubisz się lub będziesz potrzebowała pomocy, pocałuj amulet, który masz na szyi i otrzymasz ją. Lecz pamiętaj, że możesz to zrobić tylko raz – powiedział. – Twój czas w tamtej krainie jest ograniczony. Kiedy wszędzie tutaj słońce, a ty nie znajdziesz mojego cepa, zostaniesz wygnana z tamtego świata i nigdy nie będziesz mogła do niego powrócić. Jednak kiedy dotkniesz cepa, natychmiast wrócisz tutaj i obdarzysz swoją rodzinę wielkim honorem.

Nie czułam się pewniejsza, czy bardziej zmotywowana przez jego słowa, ale weszłam w świecącą się bramę. Świat zawirował i poczułam, jak tracę grunt pod nogami. Spadałam w dół. Mój krzyk szybko się urwał, kiedy uderzyłam w miękką ziemię. Leżałam na brzuchu. Obok mnie leżał miecz lekko zapadnięty w piasku. Podniosłam się i oczyściłam cenny dar z brudu. Żałowałam, że nie otrzymałam również pochwy.

Obejrzałam świat dookoła. Stałam na ziemistej równinie, a niebo swoim pomarańczowo-fioletowym zabarwieniem wskazywało na zmierzch lub świt. W zasięgu moich oczu nie było śladu po jakimkolwiek strasznym demonie lub upiornym stworzeniu,, jakiego mogłabym się spodziewać w Krainie Ciemności.

Zaczęłam mozolnie iść w zbyt miękkiej glebie. Po dobrych dziesięciu minutach drogi zobaczyłam w oddali dziury rozkopane w ziemi. Były ich setki i rozciągały się aż po horyzont. Nie mogłam zrozumieć co one oznaczają, ani po co się tutaj znajdują. Wszystkie były podobnej wielkości – dość duże i głębokie.

Byłam rozdarta. Z jednej strony chciałam podejść bliżej, aby zbadać jeden z dziwnych dołów, ale z drugiej strony czułam wielki niepokój, który był w pełni uzasadniony. Ta obca, nieznana kraina nie jest bezpiecznym miejscem na spacer. Musiałam się stąd jak najszybciej wydostać. Chciałam jakoś ominąć doły, lecz nagle okazało się, że widzę ich coraz więcej i więcej. Chciałam wrócić do miejsca, z którego zaczęłam moją wędrówkę, ale okazało się, że droga, którą przed chwilą szłam jest zablokowana przez dziury.

Poczułam jak kręci mi się w głowie. Nagle usłyszałam odgłos podążających w moim kierunku kroków. Niepewnie spojrzałam w tę stronę. W oddali szła niewyraźna, zgarbiona postać. Bez namysłu uszyłam w jej kierunku. Okazało się, że był

to starzec w łachmanach. Twarz miał o wiele bardziej pomarszczoną od ojca Kotaro, a tym bardziej mojego. Był strasznie chudy, a jego zapadnięte oblicze wywołało we mnie dreszcz. Jego pusty, zamglony wzrok skupiał się na trzymanej w rękach łopacie. Zignorował mnie i zaczął kopać, a jego ruchy były powolne i bardzo dokładne. Postanowiłam w końcu się odezwać.

– Szanowny panie, nazywam się Misaki z Domu Kwitnącego Irysa i potrzebuję pana pomocy – powiedziałam, próbując jak najspokojniej rozpocząć rozmowę.

– A kto tutaj pomocy nie potrzebuje – odparł starzec powolnym głosem. Brzmiał jak ktoś, kto od bardzo dawna nic nie mówił.

– Czy to pan wykopał te wszystkie doły? – zapytałam, aby jakoś przyciągnąć uwagę kogoś, kto może mi pomóc.

– Nie, ale to moja kara, aby ciągle kopać nowe. Wszyscy ich potrzebują. Więc to moja praca i kara zarazem – odpowiedział ponurym głosem.

Poczułam mocną chęć, aby podejść do dziury, którą kopał i spojrzeć w dół, ale powstrzymałam się. Zaczęłam wypytywać starca o dalszą drogę, lecz widać było, że nie słuchał mnie. Skupiał się na swojej monotonnej czynności. Zaczęłam więc krążyć wokół jego miejsca “pracy” i czekałam, aż skończy.

Nie wiem ile czasu minęło, ale wreszcie skończył dół, który właśnie kopał. Miałam zacząć nową serię pytań, ale ten od razu podszedł do dziury w pobliżu. I zaczął ją wypełniać ziemią,

zakopywać. Zapytałam zaciekawiona dlaczego to robi. Wreszcie znowu odpowiedział.

– Wszyscy potrzebują ziemi. Taka jest zasada – po tych słowach nie wytrzymałam i spojrzałam do czarnego rowu, który starzec zakopywał.

Zobaczyłam ludzką czaszkę w ciemności na wpół zakopanego grobu. Prerażona ogarnęłam swoim wzrokiem wszystkie groby, które zapełniały cały krajobraz równiny. Wiedziałam, że był to świat zmarłych, ale nie spodziewałam się tak makabrycznych widoków.

Nagle poczułam uderzenie w plecy czymś metalowym i wpadłam w dół. Prerażona próbowałam wstać, ale poczułam spadającą na mnie ziemię. Spojrzałam w górę i zobaczyłam starca z łopatą zakopującego grób, do którego mnie wrzucił.

– Przestań. Czemu to robisz? – zapytałam z paniką w głosie, a jego odpowiedź zmroziła mi krew w żyłach.

– Każdy, kto tu trafia, potrzebuje ziemi. Nadszedł na ciebie czas – jego głos nadal był monotonny i zimny.

Pod dłuższej chwili udało mi się wstać pomimo, że cała byłam zabrudzona ziemią. Wspięłam się na górę i wyszłam z grobu nadal się trzęsąc. Wiedziałam, że grabarz mi nie pomoże. Ruszyłam dalej równiną omijając groby i kurhany. Tak bardzo pragnęłam wrócić do domu. Niebo nade mną nie zmieniało barwy mimo wielu godzin, jakie spędziłam w tej ponurej krainie.

Nagle dostrzegłam coś wyróżniającego się w oddali. Były to dwa kamienne słupy stojące obok siebie i połączone starą liną. Pomiędzy nimi zaczynała się pierwsza konkretna, kamienista ścieżka którą widziałam w tym świecie.

Kiedy zbliżyłam się do bramy zobaczyłam, że świeci czerwonym blaskiem i już wiedziałam, że kiedy przez nią przejdę, coś się stanie. Ale nie miałam innego wyboru. Poczułam wicher wiatru i natychmiast zobaczyłam całkowitą zmianę krajobrazu.

Stałam w głębokim, gęstym lesie. Niezwykle wysokie drzewa *hinoki* porośnięte mchem, gęste krzaki i ściółka leśna nie ułatwiały mi kroku. Nie słychać tu świergotu ptaków, ani szmeru leśnych zwierząt, jak w normalnym lesie. Ciszę przerywa czasem jedynie szmer wiatru.

Czułam silny niepokój. Dotarłam na małą polanę, na środku której leży kilka dużych głazów, a na jednym z nich siedziała najbardziej przerażająca istota, jaką kiedykolwiek widziałam. Jej ciało było nieco podobne do ludzkiego. Była ubrana w podarte, czarne szaty, ale nadal dało się przez nie zauważyć jej szarą, bezkształtną pierś. Długie siwe włosy były podniesione w górę. Dwoje rozstawionych w innych kierunkach oczu, wyglądało na puste, ale wielkie trzecie oko na środku czoła było w pełni świadome i niezwykle przerażające. Kły w jego uśmiechniętej paszczy były długie i ostre jak brzytwa.

Wiedziałam, że demon mnie zauważył i zaraz rozszarpie mnie na strzępy, jak w ludowych, strasznych historiach, w których zagubionego podróżnego w lesie spotykał taki sam los. Ruszyłam do ucieczki. Usłyszałam rechot istoty za swoimi plecami i jej szybki bieg za mną na ściółce leśnej. Szybko traciłam oddech i panicznie szukałam wzrokiem jakiegokolwiek kryjówki.

Nagle przypomniałam sobie o katanie, którą cały czas miałam przy sobie. Nie znałam się jednak na jej użyciu, a tym bardziej zabijaniu nim demonów. Zastanawiałam się, czy nie jest to chwila, aby użyć pomocy boga księżyca, ale zrezygnowałam widząc, jak las rozrzedza się, a rzeka pojawia się na horyzoncie.

Przyspieszyłam swój bieg i zbliżając się do wody zauważyłam pięknie zdobiony most. Pamiętałam, że w tradycyjnych historiach mosty są zakazane dla demonów. Wbiegając na niego poczułam ból wbijających się w moje ciało pazurów straszego demona, jednak stojąc na moście obserwowałam jak potwierdza się mądrość baśni i podań opowydanych przez moich rodziców. Trójoka istota szczyrzyła się do mnie, ale nie mogła dotknąć pierwszego stopnia mostu. Po chwili odwróciła się i nadal rechocząc, zniknęła w ciemności lasu.

Oddychałam głęboko i dotknęłam mojej rany na plecach. Było tak blisko, aby mnie dopadł. Odwróciłam się, aby

przejsć przez most, ale niespodziewanie w obłokach dymu pojawiła się starsza kobieta. Była niska, chuda i ubrana w długą szatę. Jej białe włosy kryła chusta, a bardzo pomarszczona twarz uśmiechnęła się do mnie w bezzębny uśmiech.

– Nazywam się Datsue-Ba i aby przekroczyć ten most i rzekę Sansu musisz się rozebrać z wszystkich twoich ubrań – przemówiła zachrypniętym głosem.

Zrobiłam wielkie oczy.

– Ale dlaczego, szanowna ? – zapytałam z wahaniem w głosie.

– Takie zasady dziewczyno, więc ściągaj, albo nie przekroczysz świętego mostu – powiedziała kategorycznym tonem.

Z wahaniem i wstydem ściągnęłam moją prostą szatę. W tym świecie ciągle mówiono o zasadach. Tak samo, jak zresztą, w moim.

Wzięła wszystkie moje ubrania i ruszyła na drugą stronę mostu mówiąc, że za chwile wróci. Stałam sama na początku mostu naga i bardzo szybko robiło mi się zimno. Zauważyłam, że znowu nastała noc, a księżyc w pełni dawał bardzo dużo światła.

Spojrzałam w odmęty rzeki i zobaczyłam mnóstwo ryb, których nigdy wcześniej nie widziałam. Przyglądając się magicznie lśniącym rybm w świetle księżyca, podskoczyłam na dźwięk głosu staruszki. Oznajmiła mi, że jestem godna przejścia mostu i oddała mi ubrania. Szybko włożyłam je na siebie i przekroczyłam drewniany, bogato zdobiony most.

Zauważyłam też, że niedaleko niego przy brzegu rzeki na małym taborecie siedział gruby, wysoki mężczyzna z wędką zanurzoną w wodzie. Zwrócił się do mnie nie spuszczając wzroku ze wzburzonej tafli rzeki.

– Ryby są tu naprawdę piękne, prawda Misaki? – powiedział, na co pokiwałam głową. – I bardzo dobrze się łowią – dodał wskazując na wiadro pełne ryb stojące obok niego. – Wiem, jaki masz cel i wiem, że nie wiesz gdzie podążasz. Mogę pomóc Ci w znalezieniu właściwej drogi. Ale najpierw wyświadczysz mi małą przysługę. Zgadzasz się?

Zgodziłam się gestem nie wiedząc co powiedzieć. Jak podejrzewałam, był to kolejny z bogów – Ebisu.

– Złośliwy demon położył na drzewie moją sakwę. Jeśli wespnieś się na nie i mi ją przyniesiesz, pomogę Ci w twojej misji – oznajmił wędkarz.

– Dobrze, ale wskażesz mi Panie, na którym drzewie? – zapytałam, mile zaskoczona.

Ta misja brzmiała dość łatwo, więc miałam nadzieję, że nie będzie zbyt niebezpieczna. Mężczyzna kazał mi za sobą iść i weszliśmy w głąb lasu. Nasz marsz trwał krótko. Nadal słyszałam szum rzeki z miejsca, gdzie staliśmy wcześniej. Drzewo było bardzo wysokie, ale miało dużo nisko zgiętych gałęzi i miejsc, na które można postawić stopę.

Zostawiłam miecz na ziemi aby mi nie przeszkadzał i zaczęłam się wspinać. Podczas drogi w górę zauważyłam sakwę

na jednej z najwyższych gałęzi drzewa. Dotarłam na gałąź tuż pod nią i sięgnęłam po własność Ebisu ręką.

Ale nagle znikąd przed moją twarzą pojawił się i przeleciał czerwony kształt, który drapnął moją dłoń ostrymi szponami. Zaskoczona cofnęłam rękę i szybko przysunęłam się bliżej pnia drzewa. Przerazający demon wpatrywał się we mnie w locie. Miał ciało dużego czerwonego ptaka, ale twarz podobną do ludzkiej, lecz posiadającą niezwykle długi, spiczasty nos. Jego duże żółte oczy przeraziły mnie swoją nienawiścią. Olbrzymie szpony ptak wymierzył prosto w moją twarz, aby wydłubać mi oczy. Odskokczyłam w ostatniej chwili na dolną gałąź.

Teraz cieszyłam się, że z moimi siostrami często bawiłam się na drzewach, kiedy nasi rodzice nie patrzyli. Okrążyłam ostrożnie pień chwytając się gałęzi, aby złapać sakwę z innej strony. Cały czas słyszałam szelest skrzydeł przerazającej istoty. Zdążyłam zdjąć sakwę, ale w tej samej chwili skrzydlaty demon schwytał mnie szponami od tyłu i uniósł w powietrze. Próbowałam chwycić się drzewa, ale było już za późno. Byłam na łasce potwora. Po chwili jednak rozluźnił swoje szpony i zaczęłam spadać w dół.

Już miałam pocałować amulet w locie, aby Tsukuyomi mnie uratował, ale powstrzymało mnie silne uderzenie w istotę, która nagle pojawiła się w powietrzu pode mną. Lśniące w świetle księżyca niebieskie łuski i sierść były wygodne do

siedzenie. Po chwili uświadomiłam sobie na kim siedziałam – na jednym z najświętszych istnień – na smoku.

Ten świat coraz bardziej mnie zaskakiwał. Piękne stworzenie delikatnie poleciało w stronę ziemi i zatrzymało się przy czekającym na mnie rybaku. Mężczyzna skłonił się smokowi, tak samo ja, dziękując z szacunkiem za pomoc. Majestatyczna, latająca postać odleciała w stronę księżycy.

– Masz moją sakwę, prawda? – zapytał chwilę po odlocie smoka.

Cały czas trzymałam ją kurczowo w dłoni. Podałam mu ją .

– Dziękuję, dzielna dziewczyno. Cep Tsukuyomi znajdziesz w grocie we wnętrzu góry Osore. Aby tam dotrzeć, musisz iść zgodnie z nurtem rzeki Sansu na północ. Życzę powodzenia, dzielna Misaki z Domu Kwitnącego Irysa – po tych słowach na moich oczach zmienił się w ciecz, w wodę, która opadła na ziemię zamieniając się w kałużę.

Nadal zdziwiona otaczającą mnie cudownością, wzięłam katanę spod drzewa i ruszyłam w stronę rzeki. Odległość drogi nieco mnie martwiła. Pamiętałam słowa boga, że muszę zdążyć przed zachodem słońca w moim świecie. Podejrzewałam, że w tej krainie śmierci czas mijał inaczej. Ile bym dała, aby wiedzieć, ile pozostało mi czasu na spełnienie mojego zadanie.

Rzeka i las pięknie wyglądały i mimo nocy były bardzo dobrze widoczne. Postanowiłam na chwilę przystanąć, aby

zmoczyć sobie twarz. Czułam się zmęczona i pragnęłam jak najszybciej wydostać się z tej krainy pełnej niebezpieczeństw i upiornych wizji. Po chwili postanowiłam również umyć miecz. Musiałam dbać o własność samego boga nocy.

Po zanurzenia miecza w wodzie zauważyłam, że zaczyna się świecić. Wyjęłam szybko katanę z wody, ale nadal świeciła i w dodatku pojawiły się wokół niej iskry. Wtem usłyszałam odgłos pioruna i padłam na ziemię wypuszczając miecz z rąk. Poczułam jak delikatny wiatr zawiał mi po plecach i usłyszałam głos w mojej głowie.

– Wstań i otwórz oczy – wykonałam polecenie, nawet się nad tym nie zastanawiając.

Nie miałam kontroli nad własnym ciałem. Odkryłam, że nie stałam już przy rzece, a w innej, nieokreślonej przestrzeni. Otaczały mnie wiry wiatru, bardzo gęsta mgła, dym. Byłam jakby w chmurach, jednak pod stopami czułam jakiś grunt. Nie mogłam się skupić na tym, aby odkryć na czym stoję, ponieważ moją uwagę zwróciła najpiękniejsza postać, jaką kiedykolwiek widziałam. Białą jak śnieg lis z dziewięcioma ogonami i symbolem Tsukuyomi na głowie, takim samym jak na moim wisiorze.

Wpatrywałam się w niego jak zahipnotyzowana. Unosił się lekko w powietrzu, tak samo jak bóg księżyca. Jego puszyste ogony luźno opuszczone delikatnie lśniły.

– Nazywam się Ginko – mówił lis w moich myślach.

Nie poruszał swoimi ustami jedynie jego czarne, lśniące oczy się we mnie wpatrywały.

– Mieszkam w mieczu księżycy i po zanurzeniu w rzece Sanzu obudziłem się po wieloletnim śnie. Dziękuję, Misaki z Domu Kwitnącego Irysa. Będę teraz wiernie tobie służyć, dopóki będziesz właścicielką tego miecza – *kitsune* przenikliwie mi się przyglądał.

Wiedziałam z legend, że *kitsune* miały niesamowitą wiedzę i zdolności. Postanowiłam zapytać, jaki czas do wschodu słońca pozostał w ludzkim świecie. *Kitsune* otworzył szerzej swoje oczy. Cała dziwna przestrzeń zaczęła wirować. I moment później otrzymałam odpowiedź.

– Wschód słońca nad domem twojego męża nadejdzie za dwie godziny.

Musiałam się spieszyć. Choć czas mijał tu wolniej, nadal martwiłam się, czy dotrę do góry na czas. Zapytałam *kitsune*, czy mógłby mnie tam przenieść.

– Góra Osore jest jednym z najbardziej przeklętych miejsc w zaświatach – powiedział lis. – Jednak mogę nas przenieść w jej pobliże. Świątynia Bodaij jest przyjazna dla nas, *kitsune* – po tych słowach mgła i dym wokół nas zniknęły.

Stałam w bogato zdobionym, świątynnym pomieszczeniu. Liczne rzeźby demonów nie poprawiły mi humoru. Ginko powiedział mi w myślach, że pomimo naszego bezpieczeństwa w tym miejscu powinnam uważać, bo ta

świątynia mogła mnie przekląć. Cały czas komunikując się w myślach z lisem zapytałam, czy wiedział, w jaki sposób dotrzeć do groty, gdzie znajdował się cep. Magiczna istota lewitując skierowała się w stronę drzwi, a ja na nogach poszłam za nią.

Świątynia wydawała się na pierwszy rzut oka pusta kiedy przechodziliśmy przez wiele kolejnych pomieszczeń. Zdawała się być labiryntem pełnym rzeźb, drzeworytów i ozdób. A wszystkie o tematyce demonicznej.

Nagle w kącie mojego widzenia zobaczyłam poruszający się cień. Odwróciłam się pomimo nagłego ostrzeżenia *kitsune* w moich myślach. Zobaczyłam piękną kobietę o długich czarnych włosach i w białym kimonie sunącą w moim stronę. Jej niezwykle blada twarz była zupełnie pozbawiona emocji. Małe oczy nieznajomej były jak dwa czarne punkty.

– To upiór *onryo*, Misaki. Uważaj! – usłyszałam w mojej głowie.

Jednak było już za późno. Duch złapał mnie i poczułam, jak spadam w dół. Straciłam przytomność i nie wiem, po jakim czasie się obudziłam. Nie mogłam się ruszać. Odkryłam, że jestem związana. Siedziałam w wielkim kotle do połowy napełnionym wodą. Ściany małego drewnianego pokoju były od podłogi do sufitu zapełnione półkami z różnymi fiolkami, słoikami, książkami i różnymi dziwnymi przedmiotami.

Jedne z drzwi w pomieszczeniu nagle się otworzyły i natychmiast zamknęłam oczy, udając nadal nieprzytomną. Do

pomieszczenia wszedł ktoś niezgrabnym krokiem i wziął coś z półki. Delikatnie otworzyłam jedno oko. Postać przy stole w rogu pokoju patrzyła na mnie, więc otworzyłam oboje oczu. Staruszka o białych, rozczochranych włosach i w czerwonym kimonie kartkowała jakąś księgę. Bałam się, że mogła być to postać, którą straszono mnie w dzieciństwie. *Yama-uba* – wiedźma polująca na niegrzeczne dzieci często odstraszała mnie i moje siostry od złych wybryków. A teraz, pomimo że nie zrobiłam żadnego złego uczynku, miałam stać się jej następnym posiłkiem.

Nie mogłam na to pozwolić. Próbowałam w myślach przywołać lisa, jednak nie otrzymałam odpowiedzi. Udałam nieprzytomną, aby nie przyciągnąć wzroku upiornej czarownicy. Prawie podskoczyłam, kiedy usłyszałam jej rechot. Jej słowa po napadzie śmiechu zmroziły krew w moich żyłach.

– O tak, tak ten przepis będzie idealny. To mięso idealnie nadaje się na tą potrawkę. Muszę tylko zebrać jeszcze kilka ziół – dźwięk jej odchodzących kroków dał prawdziwą ulgę.

Pokój był pusty, a to była moja szansa na ucieczkę. Nie miałam przy sobie *katany*. Musiałam ją upuścić, kiedy ten upiór mnie porwał. Próbowałam wstać z kotła. Związano tylko mój tułów, a nie moje nogi, na szczęście. Po chwili udało mi się, wstałam, wyszłam z kotła i ruszyłam ku drzwiom, przez które nie przechodziła wiedźma. Po otwarciu ich zobaczyłam długi ciemny tunel, jakby wykuty w skale.

W tej chwili usłyszałam za moimi plecami przerażający wrzask i od razu rzuciłam się do ucieczki. Tunel stawał się coraz ciemniejszy, ale jakimś cudem nie potknęłam się o żadną przeszkodę. Dopadłam wielkich wrót, które z trudem otworzyłam i szybko zamknęłam za sobą. Usłyszałam głucho uderzenie ciała staruchy o drewno drzwi. Szybko użyłam szafki stojącej obok drzwi, aby je zablokować. Zza zabarykadowanych drzwi słyszałam usilne starania wiedźmy, aby je otworzyć, więc szybko użyłam drewnianych schodów na górę. Ich ilość była duża, ale wreszcie dotarłam do klapy, przez którą dostałam się do znajomej sali w świątyni Bodaji. Na szczęście zobaczyłam *kitsune* lecącego w moją stronę. Podbiegłam do niego i przytuliłam go.

– Tak się bałam! Wołałam Cię w myślach ale nie odpowiadałeś – powiedziałam z łzami w oczach.

– Droga Misaki, czary tej czarownicy zablokowały nasze połączenie. Teraz nie musisz się martwić. Ruszajmy w drogę – po jego słowach zobaczyłam miecz leżący na podłodze. Podniosłam go i pobiegłam za moim przewodnikiem.

Wyszliśmy z upiornej i okropnej świątyni na świeże powietrze. Krajobraz wokół mnie był nadzwyczaj ponury, nawet jak na tą krainę. Jezioro wydawało się brudne i ciemne. Przeraziło mnie też to, że odbicie księżyca wyglądało w nim jak ludzkie oko ze źrenicą i tęczówką.

Otoczenie wokół niego było jeszcze brudniejsze. Pył skalny, ruiny i posągi podkreślały straszną aurę. Ponuro wznosząca się za jeziorem góra Osoro od razu wzbudziła we mnie respekt.

Ginko wskazał ogonami drogę w głąb kamienistego pustkowia. Próbowалам nadążyć za pięknym lisem, jednak nie było to łatwe przez moje zmęczenie. Wydawało mi się, że im dalej idziemy, tym bardziej przygasa blask księżycy i wszystko staje się coraz bardziej mroczne. Jedyne mój towarzysz podtrzymywał mnie na duchu. Po dłuższym marszu zaproponował, abyśmy rozpalili ognisko. Zgodziłam się z chęcią, robiło się również coraz zimniej, więc ciepło ognia było bardzo pociągające.

Zaczęłam szukać jakichkolwiek gałęzi i chrustu do podpałki, jednak niczego nie mogłam znaleźć. Moje trudy okazały się niepotrzebne, kiedy *kitsune* dotknął swoimi dziewięcioma ogonami ziemi i w momencie rozpalił duży płomień. Usiadłam na ziemi, przysunęłam pokryte odciskami dłonie do ognia. Miałam choć chwilę spokoju przed zbliżającym się wielkim zagrożeniem. Przeczuciwałam, że to co na mnie czeka w tej jaskini, może być straszniejsze od wszystkich potworów, jakie dotąd spotkałam.

Czułam jak zamykają mi się powieki. Powstrzymałam napływ senności. Musiałam się śpieszyć. Spojrzałam na lisa, który zasypiając owinał swoje dziewięć ogonów wokół siebie

i upodobił się do dużej puchatej kulki. Byłam zdziwiona myśląc, że boskie stworzenia takie jak także muszą spać. Na początku nie chciałam go budzić, jednak zmieniłam zdanie, kiedy ogień zaczął gasnąć, a z jego dymu zaczęła się formować postać. Krzyknęłam i poderwałam się na równe nogi budząc *kitsune*.

– *En'enra*, duch dymu – powiedział Ginko szybko.

Ruszyłam za nim biegiem. Dotarliśmy do zbocza góry. Zdyszana wysłałam w myślach wiadomość do księżycowego lisa. – Zgubiliśmy go? – boska istota uniosła się wyżej w powietrzu, obejrzała pogrążone w ciemności pustkowie i odpowiedziała w myślach, że tak.

Odetchnęłam z ulgą. Chciałam jak najszybciej dotrzeć do jaskini. *Kitsune* prowadził mnie szlakiem pogrążonym w mroku w górę. Nad wejściem do jaskini była tabliczka z napisem “Yomi”. Nazwa ta wzbudziła we mnie głęboką obawę. Wiedziałam, że był to grobowiec Izanami – matki złych duchów. Wzięłam się jednak w garść i weszłam w towarzystwie lisa w ciemność jaskini.

Czerń rozjaśniał jedynie *kitsune* latający obok mnie. Ścisnęłam w rękach miecz, tym razem nie wahając się go użyć. Moja gotowość przydała się, ponieważ po chwili spaceru z głębi jaskini wyskoczyły na nas trzy szpetne demony. Demona o jednym oku i jednej nodze, który pierwszy mnie zaatakował to, jak stwierdził mój towarzysz, *ippon datara*. Zabiłam go wbijając

mu miecz w pierś. Drugiego demona o głowie byka z rogami nazwał *ushi-oni*, chwilę zanim nie zmienił go w popiół używając promienia ze swoich ogonów.

Trzeciego zabiliśmy razem. Był to najstraszniejszy potwór, jakiego dotąd widziałam. Był to olbrzymi, włochaty pająk z paszczą pełną zębów i wielkimi wybałuszonymi, przekrwionymi oczami. Byłam wielce przestraszona, ale wierny *kitsune* dodał mi odwagi mówiąc mi w myślach, że *tsuchigumo* damy radę pokonać wspólnie.

Zamachnęłam się *kataną*, a Ginko wszystkimi swoimi ogonami. Po chwili demon stał się tylko koszmarnym wspomnieniem. Uświadomiłam sobie, że po jego śmierci poczułam ulgę i po raz pierwszy... ekscytację z powodu tego co robię.

Razem z moim kompanem dotarliśmy do wielkiej komnaty z dziurą w środku. Przypominała mi ona o nieprzyjemnym zajściu z grabarzem. Na jej dnie ujrzelśmy pogrążoną we śnie śliczną kobietę w pięknie zdobionym stroju, która trzymała zdobiony srebrem cep.

Kitsune nic nie powiedział na jej temat w moich myślach. Domyślałam się, kim ona jest. Zesłam na dół grobu i sięgnęłam ręką po cep. Nagle otworzyła swoje piękne niebieskie oczy i całą komnatę rozjaśniło niezwykle światło. Stałyśmy – ona i ja – obok siebie w lesie bambusowym. Letnie słońce na prawie pozbawionym chmur niebie było miłą odmianą

po krainie wiecznej nocy. Bogini odezwała się do mnie swoim melodyjnym głosem.

– Spójrz co mogę Ci dać, Misaki – wskazała delikatną dłonią mnie samą jadącą riksą ku mającemu na horyzoncie pałacowi. – Zawsze pragnęłaś podróży, dziewczyno – powiedziała miłym głosem Izanami. – Mogę spełnić każde twoje marzenie. Możesz być wolna, tańczyć każdej nocy w świetle księżyca i o poranku budzić się przez odgłosy ptaków. Możesz wrócić do rodziny, którą tak bardzo kochasz i spędzać z nią tyle czasu ile zechcesz. Wystarczy jedynie, abys poddała się w tej bezsensownej walce – usłyszałam jej hipnotyczny głos koło ucha.

Wpatrywałam się w wizje pięknej Bogini. I wiedziałam, że tego właśnie pragnę. Ale nie mogłam się poddać i jak zwykle wybrać najprostszej ścieżki tak, jak robiłam to przez całe życie, słuchając moich rodziców w wszystkich planach, które robili wobec mojego własnego życia.

– Nie! – krzyknęłam i potrząsnęłam głową po czym wizja zniknęła, a bogini pokręciła smutno głową.

– Za chwilę więc wrócisz do świata żywych, do swojego smutnego żywota i będziesz wiecznie żałować, głupia śmiertelniczko, za swoją decyzję. A cep należy teraz do mnie. Przekaż to żalosnemu synowi Izanagi – powiedziała zimnym tonem.

Odwrociłam się udając, że wychodzę z grobu. Zadowolona bogini wracała do swojej pozycji, gdy nagle zabłysł mój miecz i wbił się obok jej leżącej głowy.

– Myślisz, że możesz mnie nastraszyć żalosna, ludzką dziewczyno? Jestem najpotężniejszą boginią i moja moc przekracza twoje pojmowanie. Stworzyłam całą Japonię i większość bogów – powiedziała z wyższością.

– Ale nie mogłaś przewidzieć tego – odparłam, kiedy na końcu monologu złapałam za luźno trzymany przez nią cep.

– Nie! – krzyknęła, – To nie możliwe! – na moich oczach jej piękna twarz zaczęła gnić, a po jej skórze zaczęły chodzić robale.

Poczułam jak świat kręci się dookoła. W ostatnich migawkach zobaczyłam lisa lecącego w moją stronę i wszystko wokół zniknęło. Obudziłam się leżąc na trawie obok bramy Torii. Wschodzące słońce łagodnie oświetlało ogród. Nie mogłam uwierzyć, że tu minęła zaledwie jedna noc. Nadal miałam przy sobie miecz i cep. Wróciłam zmęczona do domu i po ukryciu tych przedmiotów położyłam się obok Kotaro.

Następnego dnia udając chorobę nie ruszyłam się z łóżka. Myślałam nad tym wszystkim, co się zdarzyło. Następnej nocy znów obudził mnie ten sam śpiew. Tym razem pewnie i bez strachu dotarłam do ogrodu. Powitałam Tsukuyomi i podałam mu cep, a on poweselał na jego widok.

– Wiem już, czemu mnie wybrałeś – odparłam. – Wreszcie wiem, że życie jest za krótkie – przełknęłam ślinę wspominając

słowa grabarza – na ciągłą zgodę i kontrolowanie mojego życia.

Chciałam zapytać, czy mogę zatrzymać miecz i *kitsune* ?

– Oczywiście, droga Misaki. Zasłużyłaś na to i na wiele więcej. Nie użyłaś zaklęcia, które nałożyłem na wisior przed twoją podróż. I nadal możesz go użyć, kiedy zechcesz.

– Użyję go więc teraz – powiedziałam szybko i pocałowałam amulet.

– W czym zatem potrzebujesz pomocy? – zapytał Tsukuyomi.

– Potrzebuję pomocy w zmianie mojego życia. Na początek chcę wyruszyć w podróż, aby uwolnić Ginko z twojego miecza – odpowiedziałam.

Zdziwiony Bóg wskazał bramę Torii, która zaczęła świecić znajomym światłem. Ruszyłam, aby wypełnić kolejną misję i uwolnić przyjaciela. Ponownie poczułam, jak cały świat wiruje.

Kitsune

Katarzyna Owczarska-Handke

Przyglądała się płaskiemu pędzlowi umoczonemu w białej jak śnieg farbie. Długo siedziała przed lustrem, patrząc sobie w oczy, zanim obróciła się tyłem i spojrzała przez małe lusterko na swoje nagie plecy. Wyciągnęła rękę z pędzelkiem i wolnym ruchem przejechała nim wzdłuż szyi i niżej na kark i plecy. Zadrżała lekko, czując zimną farbę lizającą ją po kręgosłupie. Powtórzyła operację z drugiej strony. Następnie, precyzyjnym ruchem, namalowała na dole szyi i karku półokrąg tak, że połączył się z białymi liniami po bokach.

Biała farba pokryła ciało nieprzeniknioną powłoką, zostawiając wolny jedynie niewielki kawałek skóry na szyi i karku. Wzięła gąbeczkę i zaczęła starannie rozcierać farbę, ukrywając pod nią plecy aż do łopatek. Kiedy całe plecy i boki szyi były już pomalowane, odwróciła się przodem do lustra i zaczęła pokrywać farbą szyję, dekolty i twarz. Malowała i rozcierała, aż jej twarz, łącznie z powiekami i ustami, zamieniła się w porcelanową maskę.

Wzięła do ręki mały, okrągły pędzelek i nałożyła nim bordowo-czerwony cień w kącikach oczu. Roztarła go na górną i dolną powiekę. Starannie podkreśliła rzęsy i kształt górnej

powieki czarną kreską. Przyjrzała się z bliska odbiciu w lustrze. Maska zaczynała ożywać.

Następne w kolejności były brwi, których łuk odtworzyła brązową kredką i wypełniła bordowo-brązowym cieniem. Obejrzała dokładnie efekt i zaczęła malować usta. Nakreśliła kształt serca nie obejmujący pełnych warg i nasyciła go krwistą czerwienią.

Odsunęła twarz od lustra i popatrzyła w swoje odbicie spokojnie, z boku. Nie była już sobą. Tylko cienki pasek nagiej skóry wzdłuż linii włosów sugerował, że pod białą farbą kryje się żywe ciało. Całą wieczność kryła się za maską dwudziestoletniej dziewczyny. Teraz ukryła dziewczynę w porcelanowej lalce. Paradoksalnie sprawiło to, że z jej oczu wyjrzała prawdziwa ona – wielowiekowa wiedźma. Kobieta z bestią we wnętrzu. Zamknęła oczy, opuściła głowę i ponownie spojrzała w lustro – wrażenie nie minęło. “Dobrze” – pomyślała i wstała.

Włosy miała już starannie ułożone, zatarła jedynie magią ich rudawy kolor, tak że stały się czarne i połyskliwe niczym pióro kruk. Pochyliła się do lustra i wyjęła ze szkatułki szpilę z kwiatami wiśni. Delikatnie wpięła ją we włosy. Girlanda misternych kwiatuszków zakołysała się koło jej skroni. Odwróciła się i zaczęła się ubierać w długą, białą, jedwabną halkę. Prawidłowe założenie kimona i zawiązanie *obi* nie było proste. Zazwyczaj wymagało pomocy drugiej osoby. Ona jednak

nie mogła sobie pozwolić, aby ktoś jeszcze uczestniczył w tym procesie. Pomogła magia.

Po chwili z lustra patrzyła na nią zupełnie inna istota. Porcelanowa lalka o nieruchomej twarzy, owinięta szczelnie kolejnymi warstwami czarnego, malowanego w kwiaty wiśni jedwabiu. Uniosła dłonie, a długie, niemal sięgające ziemi rękawy zafalowały. Osunęła kołnierz kimona jeszcze odrobinę niżej. Wyłoniły się spod niego pagórki górnych kręgów. Wsunęła nogi w wysokie, drewniane sandały. Patrzyła jeszcze chwilę, sprawdzając efekt. Kończył jej się czas. Musiała się spieszyć, póki Thomas był na treningu.

Podeszła do komody i wyjęła z szuflady zawiniątko z czerwonego jedwabiu, które ukryła starannie na piersi. Teraz miała już wszystko. Powietrze zafalowało i po chwili dywan pokoju pokryły, wirując jak śnieg, płatki kwiatów wiśni. Rozejrzała się pośpiesznie, chwyciła stojącą obok parasolkę, po czym weszła w rozedrgane powietrze. Nawet się nie obejrzała na zamykające się za nią przejście.

Wiosenny wiatr zakręcił się wokół jej kostek, podnosząc ze sobą chmurę wiśniowych płatków. Drzewa były w pełnym rozkwicie i powietrze zalane było blaskiem słońca, przesączającego się przez obsypane kwiatami korony. Rozłożyła parasolkę, spuściła oczy, wbijając wzrok w ziemię i ruszyła przed siebie szybko, drobiąc niewielkimi krokami. Przemykała uliczkami, ściągając na siebie przelotne, zaciekawione

spojrzenia. Rozejrzała się na boki i weszła w wąski zaułek. Przeszła parę kroków, aż stanęła przed starym, drewnianym domem. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Przywitał ją zapach kadzidła, ognia i rozgrzanego żelaza.

– Nikt tu nie przychodzi bez zaproszenia.

Głos dochodził z cienia. Odwróciła się szybko i spojrzała w jego kierunku. Usłyszała westchnienie. Z mroku wyłoniła się dziwna, przygarbiona i pomarszczona czasem postać.

– Kitsune... – wyszeptał starzec, rozpoznając ją. Skłonił się nisko.

– Dobrze widzieć cię w dobrym zdrowiu, mistrzu Mikazuki – odpowiedziała, kłaniając się i uśmiechając lekko. – Ile to już lat..?

– Zbyt wiele – uśmiech zmarszczył mu skórę wokół oczu.

– Wiesz, że zawsze możesz zrezygnować z daru...

– Wiem, Kitsune. Ostatnio często o tym myślę. Świat tak bardzo się zmienia... Potrząsnął głową.

– Ale jeszcze nie dziś i nie jutro – powiedział stanowczo. – Widzę, że nosisz mój prezent – zmienił temat.

– Kiedy tylko jest okazja.

Uśmiechnęła się ciepło i dotknęła wpiętej we włosy szpili.

- Kitsune, to wielki zaszczyt gościć cię u mnie, ale nie wyglądasz, jakbyś przybyła napić się ze mną herbaty. Patrzył na nią bystrze.

– Robisz się niemal bezczelny, mistrzu – roześmiała się. – Ale, jak zwykle, masz rację. Przychodzę do ciebie z wielką prośbą – powiedziała, poważniejąc. – Potrzebuję miecza. Bardzo wyjątkowego miecza.

Klęknęła płynnym ruchem i wydobyła ukryte na piersi zawiniątko, czekając aż mistrz Mikazuki uklęknie sztywno naprzeciwko niej. Delikatnie rozłożyła brzegi materiału, a półmrok wnętrza wypełniło nagle ciepło żółte światło.

– Chcesz, żebym umieścił je w mieczu? – usłyszała zdumione pytanie. – To prawie niewykonalne. Dla kogo to ma być miecz?

– Dla mojego męża – odpowiedziała po prostu, a cisza, która zapadła po tych słowach, stała się niemal materialna.

– Należy do niego – powiedziała, ujmując i unosząc w dwóch palcach pióro Żar-Ptaka. – Tylko ty jesteś w stanie stworzyć broń, godną, by je w sobie nosić.

Mistrz Mikazuki wziął od niej pióro i obrócił je delikatnie w palcach, oglądając z każdej strony.

– To będzie dla mnie zaszczyt, Kitsune – powiedział, skłaniając przed nią głowę. – Znajdę specjalny kawałek stali.

– Dobrze, mistrzu – odpowiedziała, wstając. – Niewiele mogę zrobić, żeby ci pomóc. Mogę jednak zrobić to.

Zbliżyła się do przygaszonego paleniska. Poruszyła lekko palcami i ogień strzelił równym płomieniem.

– Będzie płonął tak samo przez cały czas, nie musisz się przejmować temperaturą - rzuciła, oglądając się przez ramię. – I jeszcze drobny prezent dla ciebie.

Podeszła do niego i położyła na nim dłonie, a on otrząsnął się lekko i podniósł sprawnie na nogi.

– Żeby życie było mniejszym cierpieniem i żebyśmy jeszcze długo mogli cieszyć się twoją obecnością.

– Kitsune – skłonił się przed nią nisko, a ona odkloniła się mu równie głęboko.

Mistrz Mikazuki żył dzięki magii od tak dawna, że sam już nie pamiętał, w którym roku się urodził. Pamiętał za to, że od wieków doskonalił się w swoim rzemiośle. Wykuwał najcudowniejsze i najbardziej śmiertelne dzieła sztuki na świecie. I, jakimś niezwykłym sposobem, potrafił wpleść w nie inne rodzaje magii, tworząc z nich nie tylko broń, ale również potężne talizmany.

Denerwowała się jednak, powierzając mu pióro. Zebrała fałdy kimona i podeszła do drzwi.

– Uważaj na ogon – usłyszała jeszcze na odchodnym. Pokręciła głową.

Dla niego była Kitsune-Tenko, niebiańskim, żyjącym ponad tysiąc lat lisem, który potrafił zmieniać swoją postać i stwarzać iluzję rzeczywistości. Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła przed siebie.

Powrotną drogę przebyła równie szybko, niemal biegnąc, żeby zdążyć przybyć w odpowiednie miejsce dokładnie na czas. Rozejrzała się niespokojnie na boki i chwilę później, w powietrzu pomiędzy dwoma drzewami wiśni, powstało przejście, w które wskoczyła, porywając ze sobą chmurę wirujących płatków. Odetchnęła głęboko, rozglądając się po sypialni. Musiała się bardzo spieszyć, jeśli jej wyprawa i prezent miały pozostać niezauważone. Teraz tylko pozostało trafić w to samo miejsce, pół roku później.

Czas płynął nieubłaganie. Otworzyła przejście i do pokoju wpadł powiew pachnącego późnym latem powietrza. Przeskoczyła między drzewa i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Zamyślona przemierzała kolejne zakręty, aż dotarła do starego domu. Mistrz Mikazuki czekał już na nią w przyciemnionym wnętrzu.

– *Kitsune* – powiedział z ukłonem, spuszczać oczy.

– Mistrzu – odpowiedziała tym samym. – Wybacz niegrzeczność, ale czas mnie goni.

– Śpieszmy się więc – powiedział, kierując swoje kroki do ustawionego na podwyższeniu stojaka i unosząc z namaszczeniem miecz w lakowanej, czarnej jak smoła, drewnianej pochwie.

Westchnęła, dotykając jej opuszkami palców. Była misternie grawerowana i pokryta wzorem puszystych piór. Wszystkie rowki wypełniono czerwoną i złotą farbą. Mistrz

Mikazuki wyciągnął ostrze długim, miękkim ruchem. Stał momentalnie rozbłyśła złotym blaskiem. Zakryła usta dłońmi, patrząc, jak na powierzchni, przy samym ostrzu, mieni się podpis miecza – falująca, niezwykle precyzyjna, przypominająca pióro linia.

– Nie przeprowadzałem tradycyjnych testów... – zająknął się lekko. – Bo wiem, że się na nie nie zgadzasz. Ale tej katanie to niepotrzebne, swoją ostrością znacznie przekracza wszelkie znane mi miecze.

Patrzyła zachwycona na lśniące własnym blaskiem ostrze. Dotknęła go delikatnie i poczuła, że w dotyku wcale nie jest zimne, lecz ciepłe i niemal miękkie jak ptasie pióro.

– Nie wiem, jak ci się odplacę – wyszeptała głęboko wzruszona.
– Domem na wsi. Mam już dosyć tych wąskich uliczek, braku powietrza i słońca – miał sporo czasu, żeby przemyśleć zapłatę.
– I zaproszeniem na ślub – dodał.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Chciałbym być na twoim ślubie, Kitsune – powiedział z powagą i naciskiem. – Chciałbym zobaczyć człowieka, który zasługuje na lisią żonę i dla którego wykułem największe dzieło mojego życia.

– Dobrze, mistrzu – obiecała i ukloniła się nisko. – To i tak niewielka zapłata za to, co dla mnie zrobiłeś.

Odebrała miecz z jego rąk i owinęła w długi, krwistoczerwony pas jedwabiu.

– To nie wszystko, Kitsune.

Odwrócił się i zdjął ze stojaka niewielki, schowany w bliźniaczej pochwie sztylet. Wysunął go i ostrze również zapłonęło.

– Stali wystarczyło na *daisho* – komplet – powiedział, głaszcząc sztylet palcami. – Kaiken – on bardzo chciał być zrobiony. Jeśli twój mąż nie będzie go nosił, miej go blisko przy sobie.

– Dziękuję, mistrzu – wyszeptwała, a oczy jej dziwnie zaświeciły, kiedy odbierała od niego mniejsze ostrze i owijała je razem z mieczem. – Dziękuję...

Niespodziewanie ucałowała go miękko w pomarszczony, suchy policzek. Zamrugnął zdziwiony tą nagłą czułością.

– Uciekaj, Kitsune... – szepnął, patrząc, jak szybko wychodzi z jego domu i zamyka za sobą drzwi.

Przebiegała nogami, znowu biegnąc ulicami i ściągając na siebie zdecydowanie więcej spojrzeń, niż by chciała. W końcu, zdyszana, dopadła drzew i w tej samej sekundzie otwarło się przejście, w które, z marszu, wskoczyła.

Błyskawicznie rozejrzała się po pokoju. Zatrzasnęła skrzyneczkę z przyborami do makijażu i wygładziła nieistniejące fałdki na pościeli. Zbliżał się wieczór, powietrze pachniało odurzająco rozgrzаныmi w słońcu cyprysami. Lekkie firanki poruszały się na wietrze. Szybkim krokiem wyszła na korytarz i rozglądając się czujnie na boki, podreptała do swojego gabinetu. Nie chciała, żeby Thomas zaskoczył ją, wracając do

sypialni. Schowała się we wnęce i obserwowała z ukrycia, jak przechodzi korytarzem obok, wycierając spoconą twarz koszulą. Zaciśnęła palce na czerwonym zawiniątku i zaczęła liczyć, oczekując stosowną ilość czasu potrzebną mu, żeby wejść do pokoju i zniknąć pod prysznicem. Odetchnęła głęboko. Miała świadomość, jak oszalamia i ogłupia ją jego obecność.

Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i szybko ruszyła do sypialni. Zamknęła za sobą cicho drzwi i rozejrzała się czujnie po pokoju. Z łazienki dochodziły odgłosy lejącej się wody. Serce biło jej z całej siły. Rozwinęła szybko miecz i sztylet. Rozłożyła na podłodze czerwony jedwab, na którym klęknęła. Ułożyła staranie fałdy i rękawy kimona. Miecz położyła przed sobą. Sztylet u swojego boku. Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i postarała się wyciszyć myśli.

Po chwili szum wody ucichł. Przymknęła powieki i opuściła głowę, wbijając wzrok w podłogę. Zajęła myśli liczeniem sekund. Przy trzydziestej, usłyszała, jak drzwi łazienki się otwierają. Nie podnosiła wzroku, słysząc, że Thomas wychodzi i czując, że patrzy prosto na jej pochyloną głowę. Stał, nic nie mówiąc, a ona czuła, jak pojawia się w nim zdumienie i zaintrygowanie. Zadrżała, mimowolnie, czując jego spojrzenie na karku i uniosła wzrok, patrząc mu niespodziewanie prosto w oczy. Zachłysnął się i wciągnął głęboki oddech, widząc jej oczy, spoglądające z wnętrza porcelanowej lalki, którą teraz była. Bez słowa podniosła miecz. Wyciągnęła

go w obu dłoniach w jego kierunku, skłaniając znowu głowę, a kwiatki wiśni zatańczyły koło jej skroni.

Chwilę stał, nic nie mówiąc, zanim podszedł do niej i schylając się, wziął delikatnie miecz z jej rąk. Podniosła oczy i patrzyła, jak muska palcami rzeźbione z najdrobniejszymi detalami pióra na pochwie, jak luzuje miecz i powoli wyciąga zakrzywione ostrze, które rozbłyskuje miękkim, żółtawym światłem. Przez łączącą ich więź czuła, jak bardzo jest zdumiony i zachwycony. Widziała, jak ogląda ostrze, dotykając i gładząc je dłonią. Jak zaskakuje go jego miękkość i temperatura. Spojrzał na nią i porzucił miecz dla jej oczu. Uniosła się z ziemi jednym, płynnym ruchem, podnosząc ze sobą sztylet.

– Potrzeba było piętnastu osób, sześciu miesięcy, jednego pióra Żar-Ptaka i sporo magii, żeby je wykonać – powiedziała, podając mu sztylet. – To jest *katana*, to *kaiken* – mówiła, dotykając po kolei miecza i sztyletu. – Razem tworzą *daisho* – kompletną parę jak ty i ja. Są magiczne jak ty i ja. Będą nas chronić jak ty mnie, a ja ciebie.

Patrzyła w jego niebieskie oczy i pierwszy raz od dawna była w stanie panować nad własnymi myślami.

– To pierwszy prezent zaręczynowy i ślubny dla ciebie ode mnie. Drugi będziesz musiał sam sobie wziąć.

Odwróciła się do niego tyłem i pochylając głowę poluzowała nieco wiązanie *obi*. Spojrzała przez ramię, słysząc, jak wciąga powietrze przez nos. Patrzył jak zahipnotyzowany na

jej nagą skórę na karku. Odłożył miecz i sztylet, i podszedł do niej. Odwróciła głowę, czekając co zrobi. Po nieznośnie długiej chwili, kiedy już bolała ją skóra dotykana jego wzrokiem, poczuła w końcu delikatne dotknięcie jego palca i jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Thomas głąskał niepomalowany kawałek jej szyi, najpierw delikatnie, a później coraz mocniej. Pochylił się i zaczął pokrywać jej szyję pocałunkami. Jęknęła i wygięła plecy w łuk, podnosząc głowę, a on wpił się ustami w jej nagą skórę pod linią włosów na karku i objął ją mocno ramionami w talii.

Zamknęła oczy i poczuła, że tylko jego ręce ratują ją przed upadkiem. Mruknął coś niezrozumiale i oderwał się na chwilę od jej szyi, przyglądając się jej z ogniem w oczach. Poluzowała *obi* bardziej i kimono osunęło się jeszcze mocniej, odsłaniając kolejne kręgi i w końcu linię, na której stykała się skóra pomalowana z tą podwójnie nagą.

Thomas zeszywniał, zamknął oczy i popchnął ją przed sobą w stronę łóżka, próbując po drodze wyswobodzić koszulę ze spodni. Mruknęła zadowolona, czując jego pospieszne ruchy, a on wepchnął ją na łóżko i uklęknął nad nią, całując jej plecy, ściągając w przerwach koszulę przez głowę i pozbywając się spodni i bielizny.

Wpił się znowu ustami w jej kark, nerwowymi ruchami próbując rozwiązać jej *obi*. W końcu zrezygnował i szarpnięciem

rozsunął jej kimono, odkrywając nagie ramiona i obnażając ją w końcu do pasa.

Oddychała chrapliwie, poddając się zupełnie temu szaleństwu, które go ogarnęło. Czuła, jak całuje jej plecy i podciąga szybko dół kimona, zamiera na chwilę, dotykając jej pośladków i zdejmując jej majtki. Zamknęła oczy i zacisnęła z całej siły palce na pościeli, czując, jak rozsuwa jej nogi i kładzie się na niej, przyciskając ją swoim ciałem. Jęknęła głośno, czując, jak w nią wchodzi i zaczyna poruszać gwałtownie, całując ją po szyi i karku.

Zanim zupełnie odpłynęła, zdołała tylko pomyśleć, że niektórym naprawdę warto dawać prezenty.

Opowieść o bohaterach Bractwa Pięciu Pięści

Marcin Kulik

Mgła robiła się coraz gęstsza. Okoliczne miłorzęby okalające górę Pasun tworzyły aurę nocy, chociaż był środek dnia. W powietrzu rozchodził się dźwięk sapania, płucia, dyszenia, braku tchu. Po schodach prowadzących do klasztoru Bractwa Pięciu Pięści biegli ostatkiem sił Kagami oraz Kazuki.

– Jeszcze chwila – wyszeptał młodszy chłopak, Kazuki.

Z sennej gęstwiny unoszącej się w atmosferze wyłoniła się brama Torii. Na swej sosnowej konstrukcji trzymała papierowe lampiony, nieśmiało jarzące się w otaczającej wilgoci. Nie oznaczało to nic dobrego. Kagami spodziewał się, że tak zwane nieoczekiwane wydarzenie – jak to ujął posłaniec Kazuki – nie jest dobrą wiadomością.

Ich nauczyciel oraz mentor, Fukuronoshi, nad ranem miał spotkać się z Reynoku – mistrzem Bractwa Górskich Gromów. Celem spotkania miało być przekazanie Tsumumogami. Było to nakrycie głowy wykonane ze skóry legendarnej *kappy* obitej materiałem z poroża jelenia sika. Przedmiot ten dawał harmonię w środowisku, w którym aktualnie przebywał, otwartość umysłu temu, który go założył

i pomoc w postaci udzielenia rady kilka sekund przed śmiercią aktualnego właściciela.

Przed dwójką młodych mężczyzn pojawiło się drewniane wejście do klasztoru Bractwa. Kazuki nieśmiało wyciągnął rękę ku drewnianemu zawiasowi. Nie wiedział co zastanie w środku. Drewniane drzwi zawyły przeraźliwie. Wewnątrz klasztoru świeciło się światło. Było jasno, lecz atmosfera z każdym krokiem w głąb budynku tężała. Krople potu jakby stawały w miejscu, a wzmożony puls zwalniał do zera.

Przechodząc do odosobnionego pokoju ujrzeli grupę osób okrążających w zadumie szerokie łóże. Kazuki nie zdecydował się na przejście progu. Czekał, chowając wzrok pod powiekami. Kagami wolnym krokiem zmierzał ku zebranego towarzystwa.

– Kagami – wyszeptał starzec. – Bardzo szybko przybyłeś.

Mężczyzna uklęknął przy łóżku, by lepiej słyszeć niemrawe wyrazy wypowiedane przez Fukuronoshiego.

– Biegłem ile sił w nogach, mistrzu. Co się stało? Kazuki powiedział, że coś niespodziewanego się wydarzyło.

Na twarzy mistrza Bractwa pojawił się grymas bólu. Kagami dopiero teraz zauważył, że jego mentor trzyma się za lewy bok. Fukuronoshi w ciszy otoczenia ujawnił wielką, obficie krwawiącą ranę. Każdemu z czuwających automatycznie napłynęły łzy do oczu. Świeżo przybyły uczeń momentalnie

skierował swój wzrok w stronę Sho, doświadczonej kapłanki klasztoru oraz wiernej uczennicy Fukuronoshiego.

– Podałaś już mistrzowi eliksir z mleka dwustuletniego jaka? – wydał stłumiony krzyk.

Sho opuściła głowę. Chciała coś powiedzieć, lecz tylko wypuściła zebrane w ustach powietrze. Konającemu mistrzowi tylko bezdźwięcznie zadrżały wargi. Z każdą kolejną chwilą opadał z sił. Z grupki zebranych odezwał się Wataru:

– Elik sir nie pomógł.

– Może był przygotowany zbyt szybko, bez entuzjazmu, spokoju? A zakłęcie Rodzącego Słońca? – zapytał przejęty Kagami.

– Elik sir z mleka dwustuletniego jaka ważyłem wiele razy. Razem z Sho próbowaliśmy rozszczępić i pozyskać część duszy z Yoi, lecz nasze próby były cały czas odpychane. Dosłownie, jakby to nie była pospolita rana.

Pokój ogarnęła cicha panika. Każdy zebrany wokół mistrza uczeń w środku toczył bitwę z własnymi emocjami. Przez ich umysły przechodziły w sekundę setki słów, obrazów, nauk wielkiego nauczyciela Bractwa Pięciu Pięści.

– To był miecz Raikiri – wymruczał lekko Fukuronoshi.

Zebrani unieśli się w zdumieniu.

– Miecz Raikiri – powtórzył ochryple mistrz. – Reynoku go posiada. I chowa go w jaskini Sansarmi – kontynuował. – Pradawni japońscy bogowie wykuli go do walki z Raijin,

potężnym bogiem gromów i piorunów. Nie wiedziałem o tym, byłem kompletnie zaskoczony. To wyjaśniałoby moc Reynoku. Posiada część mocy Raijina pozostałą na mieczu. Z Tsumumogami staje się w tej chwili bogiem.

Po krótkim, ale wyczerpującym monologu Fukuronoshi odkaslnął. Widać było na jego twarzy potworny wysiłek włożony w wypowiedzenie tych kilkunastu słów. Kagami otworzył usta, jednak w moment został zastopowany przez swojego mistrza.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Kagami – zachrypnął nauczyciel.
– Reynoku jednak jest zbyt potężny w chwili obecnej. Jeśli ja nie dałem rady, a nauki zbierałem przez dwieście pięćdziesiąt osiem lat, to i was nie chcę narażać.

Pod ścianą, tam, gdzie stała szafa z opasłymi tomiszczami, wybrzmiał dźwięk. Niezrozumiały dla przebywających. W jednej chwili Kazuki skierował rękę ku skórzanej pochwie przypiętej z boku. W dłoniach Wataru oraz Sho pojawiła się niebieska łuna oznaczająca gotowość wytworzenia aury obronnej. Nawet towarzyszący Fukuronoshiemu jenot Yoi zawarczał. Sho podeszła do zaciemnionego kąta. Powoli kierowała dłoń ku nieznanym ruchom. Nieznaczna łuna świetlna ujawniła kudłatego sprawcę dźwięków.

– Mistrzu Mowu... – na twarzy Fukuronashiego pojawił się delikatny uśmiech. – Jak się dowiedziałeś? Z Tsusimy do Shikoku jest dosyć daleko.

Pojawienie się Wielkiego Mistrza Mowu, a zarazem nauczyciela Fukuronashiego, wprowadziło zebrane towarzystwo w niemalże zakłopotanie. Tym bardziej, że dawny mentor okazał się makakiem. Jednakże spotkanie dawnego ucznia i mistrza dodało wigoru temu pierwszemu. Kapłanka Sho odsunęła się w bok. Mistrz Mowu powoli, z należytą gracją starca, podszedł do łóża.

– Śpiew Suzaku oznajmił mi “pierwszy uczeń leży w krwi” – powiedział w swoim stylu, opierając drewnianą laskę o krawędź łóżka.

Swej skórzanej torby nie ściągnął z owłosionych barków, jedynie lekko ją poprawił dla własnego komfortu. Uczniowie byli zdziwieni pojawieniem się mentora własnego mistrza. Nigdy nie słyszeli o nim jakikolwiek szczegółów, znali tylko jego imię. Ich osłupienie sięgnęło zenitu, kiedy Mowu okazał się gadającą małpą chodzącą o lasce.

– Mistrzu Mowu, to zaszczyt cię poznać – rzucił Wataru, po czym uklonił delikatnie głowę. Jego młodszy towarzysze powtórzyli gest szacunku.

Mowu odwzajemnił ruch z lekkim uśmiechem na twarzy. Mina była tylko przykrywką. Mowu martwił się o stan zdrowia swojego ucznia. Doskonale zdawał sobie sprawę, że

miecz Raikiri jest potężnym artefaktem. Został stworzony, aby sprostać bogom, więc wymierzenie nim w człowieka było jak pacnięcie natrętnej muchy. Niewielkie zadrapanie ostrzem powodowało bolesną i powolną śmierć. Tylko potężne zaklęcia ze świata potępionych mogły spowolnić mękę. Mowu właśnie takowe słyszał w umyśle Fukuronoshiego. Usłyszał również szepty w głowie Kagamiego, które brzmiały “Mistrzu, pozwól mi się sprawdzić”. Bezgłośnym wyrazom towarzyszyła nadzwyczajna siła.

– Młody uczeń, silny niczym dąb. Pójdiesz ze mną w górski ziąb – wycedził Mowu.

Fukuronoshi nie miał siły się sprzeciwić. Kręcił tylko nerwowo głową.

– I panienka – odwrócił głowę w stronę Sho, która stała za nim.

Konający mistrz nad wyraz się zmartwił. Całkowicie zamknął oczy. Wyglądało to tak, jakby zbierał resztki sił.

– Weźcie Yoi, proszę – rzucił ostatkiem sił.

Małpi mentor przytaknął. Wziął chyżo laskę w dłoń. Kagami i Sho spojrzeli na leżącego Fukuronoshiego. Nie chcieli, by było to ostatnie widzenie, lecz mieli tego świadomość. Podążyli zatem posłusznie za Mowu.

Wyszli na ganek klasztoru. Z mgły nieznacznie się pojawił deszcz. Widoczność była znacznie utrudniona. Od Bractwa Górskich Gromów dzieliło ich około kilku godzin marszu. Należało dodać, że droga mogła wyraźnie się wydłużyć przez

mokre stoki gór. Lawiny błota pomieszane z ogromnymi głazami były częstym widokiem w wielu japońskich pasmach górskich. W takich warunkach o wypadek nie było trudno. I były jeszcze wilki wraz z bielikami. Wielkie, agresywne drapieżniki, które sprawiały wiele problemów podgórskim rodzinom chłopskim, czasem nawet zabijając członków tej społeczności.

Mowu przystanął. Uspokoił diametralnie oddech. Wokół zapanowała dziwna aura. Krople deszczu spadały coraz wolniej. Wiatr również się uspokoił. Otaczająca klasztor roślinność kołysała się w rytmie spokojnych przedstawień gejsz z japońskiej sceny teatralnej. Kagami i Sho poczuł zapach wiśni unoszący się w mglistej atmosferze. Nie kryli swojego zaskoczenia, że coś się szykuje.

– Złapcie me dłonie.

Małpa uniosła ręce do góry, jakby składała je modlitwy. Towarzyszący ludzie kątem oka spostrzegli ruchy warg Mowu, lecz niczego nie słyszeli. Nie mieli dość odwagi by przerwać mistrzowi. Jednak z każdą kolejną sekundą dźwięki wydawane przez Mowu stawały się coraz głośniejsze, ale nadal nie były zrozumiałe. Otoczenie wokół nabrało, jak gdyby, przyspieszenia. Zerwał się wiatr, lecz nadal utrzymywał swoją dotychczasową rytmiczność. Rośliny pędziły niestrudzone w swym tańcu, ale w dalszym ciągu zachowywały grację.

Niepokój dwójki członków Bractwa sięgnął zenitu. Przez ich myśl przeszło, by uciec, ale przecież byli z Mowu. Z mistrzem

Mowu. Ten biorąc pod uwagę dynamiczną atmosferę, delikatnie poruszył palcami. Emanował od niego spokój, choć nie udzielał się współtowarzyszom Mowu. Niepokojące dźwięki zaczęły wdzierać się w głowę uczniów, nie pozostawiając centymetra pustej przestrzeni. Jenot Yoi wskoczył na barki Mały. Jasna zorza zbiegła z nieba ku Mowu. Kagami i Sho widząc to postanowili wreszcie chwycić rozłożone dłonie Mistrza. Nagle świat zaczął wirować. Cała trójka wpadła w tunel o niejasnych kolorach i dźwiękach. Pisk mieszał się z szeptem, jasność z ciemnością. Ciepłe barwy biły się z niebieskim chłodem. Czerwień przebijała fiolet na wylot, ta krzyczała, lecz momentalnie swój zew zamieniała w mruczenie. Korpusy odważnej grupki rozciągały się do granic możliwości, by za sekundę zmniejszyć swoją objętość do wielkości ziarnka ryżu. Synapsy nie działały. Wzrok płała figle. Młodzi uczniowie pierwszy raz doświadczyli...

Nieoczekiwanie wylądowali na kamienistej ścieżce pośród azalii i irysów. Lądowanie było bardzo spokojne biorąc pod uwagę tempo przelatujących scen przez ostatnie kilka sekund. Nie padało. Słońce chyliło się ku zachodowi topiąc swój blask za górami. Kagami nie mógł złapać równowagi, w podobnej sytuacji znalazła się Sho. Towarzyszący im Yoi podrapał się nieśmiało za uchem.

– Przeskok w przestrzeni pierwszy raz, czujecie się jak rzucony w otchłań gład – powiedział spokojnie Mowu, stając stabilnie na

dwóch nogach. – Chwila oddechu i idziemy w pośpiechu – dodał.

Uczniowie próbowali ustabilizować oddech. Nie było to łatwe, gdyż nadal kręciło im się w głowach. Dodatkowo Kagamiemu mocno zbierało się na wymioty. Nawet nie próbował walczyć z wolą własnego żołądka. Zjedzony na śniadanie łosoś właśnie wylądował pod krzakiem azalii.

– Znaczne gorsze trudy czekają, aż mnie w drgawki wprawiają, co zobaczycie jeszcze w swoim życiu – skomentował Mowu.

Lekkie promienie czerwieni przebijały się przez ostre wierzchołki dając jeszcze przez kilka minut ostatnie światło dnia. Mistrz widząc to mruknął pod nosem. Odwrócił się w stronę najbliższego wzniesienia i nie zważając na współtowarzyszy rozpoczął wędrówkę. Jenot Yoi dziarsko podążył za Małą. Po paru susach zatrzymał się na moment i skierował wzrok ku ludziom. Piskliwie zawył.

– Wszystko w porządku, Kagami? – podbiegła do kolegi zaniepokojona Sho.

– Tak, możemy ruszać za mistrzem Mowu – powiedział, wypływając resztkę flegmy z ust.

Dotarli do wrót jaskini Sansarmi. Grota ta była częścią Bractwa Górskich Gromów. Ogromne wejście dodawało jej spektakularnego majestatu. Z jej krańców ospale kapąły krople wody, a ich dźwięk wypełniał skalne ściany, wywołując

hipnotyzujące echo. Mowu zatrzymał członków wyprawy u progu wejścia do Sansarmi.

– Sprawdzianu nadszedł czas, przebieg wydarzeń zależy od was. W głębi zapewne spotkanie dziwne stwory. Sansarmi słynie z nich, Reynoku zwerbował je w mig. Inaczej byłby głupcem.

Mistrz zdjął tajemniczą torbę, której strzegł przez całą drogę. Odpiął skórzany pasek. Ze środka nieśmiało wyglądała tajemnicza luna, jakby coś jarzyło się własnym światłem. Yoi nastawił uszy. Oczom Sho i Kagami ukazały się trzy czerwone kamienie. Rzeczywiście emanowały własnym blaskiem. Gdyby dobrze się przyjrzeć, w środku coś się poruszało. Jakby żyło własnym życiem. Mowu podał swoim podopiecznym po jednym odłupku. Uczniowie z zaciekawieniem, lecz z obawą o poparzenie wzięli kamienie w dłón.

– To Wansai. Odłupek życia. Was chronić będzie, jeśli przy waszym boku będzie. Ukryjcie go – rzekł Mowu.

Kagami z należytą troską zamknął kamień w sakwie przy pasie. Sho postąpiła podobnie, chowając przedmiot w wewnętrzzną kieszeń swojego kimono. Mistrz schował kamień ponownie do swojej torby. Bezgłośnie weszli głębiej, a Yoi razem z nimi.

Szumiał wiatr, lecz było nadzwyczaj spokojnie. Na horyzoncie wzroku nie pojawiało się nic niepokojącego. Wokół robiło się coraz ciemniej. Każdy z uczestników wyprawy, prócz jenota Yoi, wykreował czarem jasną kulę światła. Wirowała ona

wokół właściciela, dając możliwość widzenia w ciemnej grocie na około kilkanaście metrów.

Ciszę przerwał katulający się odłamek skały. Tworzył głuchy, przeszywający całe ciało dźwięk. Grupa miała się na baczności. Byli gotowi automatycznie wytworzyć zakłęcie obronne. Po chwili ze skalnej półki spadło kilka głazów. Kagami momentalnie siłą woli i kilkoma ruchami rąk pozwolił kamieniom obić się o sąsiednią ścianę, ratując przy tym współtowarzyszy.

Kamienista szarża ustała. Mowu rzucił uśmiechem w stronę Kagamiego. Otrzymał bezgłośnie pochwałę od samego Mistrza. Pewność siebie chłopca zdecydowanie wzrosła. Tak, jak reszta grupy nie tracił czujności. Japońskie jaskinie są schronieniem dla wielu dziwacznych i niebezpiecznych stworzeń.

Zagłębili się na dobre paręset metrów grotę. Czuć było chłód oraz wilgoć wyciekającą ze skał. W chwili obecnej mijali nieco większą komnatę. Wokół roilo się od stalagmitów i stalagnatów. Uważali również, aby nie wpaść do sporych, a przede wszystkim głębokich lejów, które były miniaturowymi żyłami ciała Sansarmi. Mowu niespodziewanie podniósł lewą dłoń. Był to znak stopu dla towarzyszy dotrzymujących jego kroku. Mistrz trochę zwawiej zaciągnął powietrze.

– *Moryo...* – powiedział cicho.

Nagle z trzech tron zstąpiły półprzezroczyste postacie. Mistrz momentalnie siłą woli położył Sho i Kagamiego na wilgotnym podłożu jaskini. Mieli tym sposobem uniknąć szkieleto kształtnych ramion upiorów. Yoi w postrachu przed złymi demonami uciekł w ciemne zakamarki grotu. Przeróżliwy jęk postaci deprymował Mowu, który próbował rzucić w którąś z postaci zaklęcie typu szybciej-wolniej, pozwalające na zatrzymanie w czasie przeciwnika. To z pewnością pozwoliłoby na ucieczkę z komnaty skalnej przed grupą Moryo.

– *Ojabenesu!* – krzyknęła Sho.

Pomieszczenie skalne wypełnił słodki zapach miodu. Przebiegał się lekko udźwiękowiony harmider kuchni. Czuć było sushi i ryż. Dzikie okrzyki ustały. Grupa Moryo złożona z trzech kobiecych duchów i jednego dziecka wyraźnie się uspokoiła. Z wolna opuściła się na skalną półkę. Widma zmieniły diametralnie wygląd. Chude, brudne i straszne profile zjaw zmieniły się w postacie pięknych kobiet. Również około czteroletni chłopiec zmienił rysy na bardzo niewinne.

– Przepuście nas – poprosiła Sho. – Nie chcemy niepokoić waszych dusz. Wiem, że dopadło was cierpienie. I to w młodym wieku.

– Tak bardzo lubiłam miód. Jadłam go łyżkami – rzekła jedna z kobiet, po czym nastąpiła chwila ciszy, chciałoby się powiedzieć, niezręcznej ciszy. Stan ten trwał kilka chwil.

– Nie przybyliśmy do was, a do Reynoku. Wrogiem on też Moryo jest – powiedział zniecierpliwiony Mowu.

Zrobił kilka kroków w przód. Jedna z kobiet nagle wybiła się z transu. Momentalnie jej twarz znalazła się przed wzrokiem Mistrza. Jej cera wysuszyła się, odkrywając pociemniałe zęby sterczące z żuchwy. Oczy powróciły do wcześniejszego stanu. Ogarniało je wszechobecne szaleństwo.

– Nie za darmo...– wyszczała.

Mowu spodziewał się tego od samego początku. Wiedział na co się pisze, Fukuronoshi był dla niego jak syn. I był pierwszym jego uczniem.

Moryo to nieszczęśliwe dusze, w dodatku bardzo groźne dla przeciętnego Japończyka. Istoty te wyznawały zasadę “życie za życie”. Wykonanie przez nie prośby równało się z oddaniem duszy proszącego. Mowu wiedział, że nadszedł jego czas.

– Proszę, Wansai. Dzięki niemu dusza jedna powróci do życia – rzekł Mowu podając kamień życia.

Zebrane w grupie *moryo* odsunęły się, dając tym samym znak, że pozwalają gościom przejść dalej. Kagami, Sho i Mistrz spokojnym krokiem minęli zjawy. Najmłodszy duch nawet uśmiechnął się na pożegnanie.

– Mistrzu Mowu, dlaczego oddałeś Wansai? – rzucił Kagami w stronę małpy.

Mowu po chwili ciszy odpowiedział:

– Lat czterysta wybiło mi. Tylko spokój wieczny został mi do opanowania – na chwilę przerwał.

Oczom grupki wybrańców ukazała się skalna trasa wiodąca przez podziemne jezioro Sansarmi. Woda posiadała ciemnozieloną barwę, wyglądała jak gęsta zupa z wodorostami. Napawała obrzydzeniem, nie tylko zmysł wzroku. Posiadała specyficzny zapach zgnilizny. Bardzo ostry, wręcz duszący.

– Uważajcie szczególnie. Stworów wodnych to dom jest – powiedział cicho.

Sho i Kagami wierzyli mistrzowi na słowo. Widzieli przed sobą jedynie wąską skalną ścieżkę. Za cienistą poświatą droga mogła się zwęzić, aż do całkowitego zaniknięcia. W samej wodzie mogły żyć *kappy* lub syreny. Możliwych zagrożeń było wiele.

Przechodząc dalej kamienna ścieżka przerodziła się rój skalnych wysepek. Wszyscy przystanęli. Wyglądało to tak, jakby analizowali liczbę oraz długość swoich przyszłych skoków. W tej chwili Mowu wykreował dodatkową kulę światła, którą posłał do przodu. Luna przebyła dobrych paręnaście metrów. Ostatecznie zawiesiła się na skalnej półce, dając światło niczym miejski lampion. Widać było wejście, które przewyższało ogromem wcześniejsze korytarze.

– Zbyt niebezpieczna to przeprawa, most zjaw wam pokażę. Przejdziecie bez trudu. Kiedy usłyszycie ciszę, wnet idźcie zanim zniknie – zaproponował Mowu.

Kagami i Sho nie mieli wyboru. Przytaknęli na propozycję mistrza. W tym czasie Mowu postawił swoją łaskę w pionie. Idealnie utrzymywała swoje ustawienie, mimo wąskiej podstawy. Mistrz wspiał się, laska ani drgnęła. Swymi z pomocą swoich zręcznych, małych stóp, ułożył się na czubku drewnianego kija. Rozpoczął medytację.

Młodzież cierpliwie czekała, chociaż sprawa była pilna. Liczyła się każda sekunda, aby pozyskać Tsumumogami. Wtedy tajemna moc tego artefaktu pozwoliłaby uzyskać informację, jak pomóc Fukuronoshiemu.

Po chwili medytacji Mowu wszędybyłski wiatr i kapanie wody ucichło. Porzuciwszy obserwację Mistrza odwrócili się w stronę jarzącej się bryły światła. Kagami zauważył, że momentami zmienia kształt. W zależności od tego, pod jakim kątem spojrzano na nią, luna rozlewała swoje światło.

– Jest most. Światło z świetlistej kuli załamuje się – stwierdził Kagami dosyć cicho, by nie zakłócić poczynąń Mistrza.

– Chodź. Zanim zniknie – postanowiła Sho.

Uczeń i kapłanka żwawo rzucili się do przeprawy. Będąc w połowie niewidzialnego mostu, Kagami przystanął. Spojrzał się na Mowu. Widział bardzo skupioną twarz.

– Mistrz radził nam szybką przeprawę – dodała Sho.

W pewnym momencie woda zaczęła wypuszczać bąbelki powietrza. Początkowo nikłe, lecz z każdą sekundą coraz

większe. Narastał hałas. Dodatkowo konstrukcja mostu zaczęła zanikać.

– Kagami! Biegniemy! – krzyknęła kapłanka, wiedząc, że spokój potrzebny Mowu przeminął.

Nagle z wody wyskoczyła potężna kreatura. Kagami i Sho ledwo uskoczyli do przodu, aby uniknąć paszczy potwora. Wydłużony łeb monstra uderzył w most, mocno się objając. Niewidzialna budowa znikła, jak i grunt pod nogami młodych bohaterów. Momentalnie wylądowali w wodzie. Poczuli się jak w wielkim garncu wypełnionym po brzegi ryżowym kleikiem. Ich ciała były mocno eksploatowane, gdyż woda w jeziorze miała bardzo dużo gęstość. Kagami ledwie wypłynął na powierzchnię. W ataku paniki zachłysnął się powietrzem, ale zdołał zawołać:

– Sho! Mistrzu!

Do jego uszu wpływały tylko dźwięki objających się fal o skały oraz jego własnej szamotaniny. Zadarł głowę do góry. Wysoko ponad zmoczoną czupryną Kagamiego znajdowała się kolejna głowa, zdecydowanie o wiele większa. Łeb potwora miał wydłużony kształt. Z paszczy wystawały zęby umiejscowione w kilku rzędach. Brunatna łuska świetnie komponowała się z barwą wody. Kagami i potwór spotkali się wzrokiem. Monstrum zdecydowało się na atak. Młody mężczyzna witał się już z bogami. W jednym momencie w potwora trafiła seria pocisków. Jeden za drugim. Oszołomiona bestia skierowała swoją wściekłość w przeciwnym kierunku. Na kamienistej

wysepcie stał Mowu. Wykonywał serię powtarzalnych ruchów. Wyglądało to jakby układał w powietrzu niewidzialny schemat. Po kilku szybkich ruchach sprzed niego wyrzucane były wirujące pięści.

– Atak pięciu...

Coś wciągnęło Kagamiego pod wodę. Ponownie wrócił do szamotaniny w gęstej zupie. Teraz dodatkowo jego nogi oplotły jakieś stworzenia, które mimo usilnych kopnięć chłopca nie dawały za wygraną.

Kagami wiedząc, że walka będzie toczyć się pod wodą wypowiedział zaklęcie bąblogębca, dzięki temu przy jego ustach wytworzyła się bańka powietrza. Spostrzegł w tym momencie swoich rywali. Było to stadko *gangi-kozo*, małych, lecz dokuczających istot, wielkości średniego żółwia. One same wyglądały jak gady z płaskim karapaksem. Posiadały także twarde dziób i owłosienie na głowie oraz kończynach. Kagami raz po raz rzucał zaklęcia obronne, lecz bez skupienia umysłu były zbyt słabe do odgonienia małych stworów. Młodzieniaszek coraz bardziej zatracił się w wodach Sansarmi. Jego ciało pod wpływem temperatury wody stawało się coraz bardziej drętwe. Był już poniżej poziomu ogromnego potwora, który ich zaatakował przed momentem. Obecnie wyraźniej z kimś innym walczył. Młody mężczyzna opływał. Jego ciało stawało się coraz bardziej ociężałe. Wokół niego zgrupowało się jeszcze więcej *gangi-kozo*.

Nieoczekiwanie zauważył zbliżającą się do niego kulę światła. Uderzyła jednego z wielu żółwiokształtnych potworków. Po kilku sekundach pojawiła się cała seria mijających blasków niczym komety na niebie. Wystraszone *gangi-kozo* uciekły w postrachu. Kagami zauważył postać w wodzie. Szybko zaczął płynąć w jej kierunku. Po kilkunastu metrach zauważył Sho. W jej towarzystwie wypłynął na powierzchnię. Będąc na równi z taflą wody spostrzegli walczącego Mowu z potworem. Zanim skierowali się ku niemu z pomocą, usłyszeli:

– Dalej, idźcie! Tsumumogami odbierzcie Reynoku!

Sho i Kagami cali przemoczeni wydostali się na brzeg u progu wejścia do kolejnego korytarza. Ostatni raz ujrzeli walczącego Mowu, który czarami odpierał ataki węzowatego stwora. W tym samym czasie ruszyli w głąb skalnego przejścia, kreując nowe bańki świetlne.

Obecny korytarz był ogromny. Echo syków, parsknięć i wypowiedanych zaklęć unosiło się w otchłani groty. Niedoświadczeni uczniowie prędko przemierzali kolejne metry. Strach ich paraliżował, jednak wiedzieli, że tylko wiara w swoje możliwości może ich uratować przy starciu z Reynoku. Pamiętali również, że posiadają przy sobie Wansai.

Po kilku minutach szybkiego marszu ujrzeli w niedalekiej odległości pulsujące, czerwone światło. Przybliżyli się do krawędzi skał. Dotarli do wielkiej komnaty, a ich oczom ukazał się podstarzały mędrzec, siedzący na kamiennym tronie.

Wokół niego paliły się pochodnie, oświetlając tym samym tajemnicze pomieszczenie. Na ścianach znajdowały się rysunki bóstw, stworzeń, magicznych drzew. Momentami można było dostrzec, że się poruszają, lub przynajmniej sprawiały takie wrażenie przy grze światła.

– Jestem pełen podziwu, brawo.

Reynoku zaklaskał lekceważąco. Po chwili wstał z tronu. Był ubrany w zbroję, ciasno przylegającą do ciała. Przy pasie miał zaczepiony miecz Raikiri. Ostrze tej broni emanowało srebrzystym blaskiem, który momentami oślepiał. Kształtem głownia przypominała róg garny, antylopy występującej w Azji. Rękojeść była bogato zdobiona złotem i poprzecinana wyżłobionymi pędami latorośli. Na głowie Mistrza znajdowało się legendarne Tsumumogami. Stożkowate nakrycie głowy zupełnie nie pasowało do postawy Reynoku, a wręcz wyglądało komicznie. Przybliżając się do dwójki śmiazków, szydery uśmiech nie schodził z twarzy.

– Fukuronoshi nie dał za wygraną. Sam nie mógł mnie pokonać, to wysłał dwa chucherka na pewną śmierć. Nogarū przegryzł Mowu na podwieczorek. Wy możecie być kolejni w jego jadłospisie.

– Paijnu kakashi! – rzuciła zaklęciem Sho.

Świetlista kula mocy pędziła w stronę Reynoku. Ten wygarnął potężne zaklęcie obronne, które rozbiło atak kapłanki Sho. Powstała fala uderzeniowa, zmiotła młodych uczniów

z nóg. Nie przejęli się zbytnio tym. Po chwili Kagami zeskoczył z klifu na właściwe podłoże komnaty. Zbierał moc swojej duszy, by wykreować *bushukai* – zakłęcie wiatru.

Kilka sekund później przed Reynoku stanęła trąba powietrzna sięgająca aż po szczyt skalnej komnaty. Mistrz zauważywszy ten atak, ożywił wietrzne płomienie pochodni, które zostały wciągnięte w tornado wytworzone przez Kagamiego. Między oboma wojownika stanęła ognista trąba powietrzna, która mocą woli była przepychana raz w jedną, a raz w drugą stronę.

Do pomocy włączyła się Sho. Była zdecydowanie bardziej doświadczoną uczennicą. Dzięki niej rywalizacja stała się nierówna, ogniste tornado powoli kierowało się ku Reynoku. W pewnej chwili sierniężnym ruchem ręki skierował trąbę powietrzną ku górze. Ta wytworzyła bardzo silne uderzenie. Ziemia się zatrzęsła. Z skalnego sufitu spadły stalaktyty. Kagami powtórzył manewr z początku wędrówki po jaskini. Tym razem ostre odłamki kierował do złego Mistrza.

Momentalnie przed Reynoku pojawiła się biała tarcza, która monumentalne i ostre odłamki zamieniła w drobny żwir. W kontrataku Mistrz Bractwa Górskich Gromów rzucił *anowashi* – potężne zakłęcie odpychające. Ciała Sho i Kagamiego poleciały jak szmaciane lalki. Oboje byli bardzo oszołomieni.

– Nadal twierdzicie, że należy wam się to?! – Reynoku zdjął Tsumumogami z głowy i pomachał nim przed wyczerpanymi wojownikami.

Niespodziewanie na arenie walki pojawił się potwór. Przestraszony Kagami obawiał się dodatkowego przeciwnika, lecz stwór wyraźnie był po stronie uczniów. Wielka bestia wyglądająca jak krzyżówka psa i lwa zaatakowała Reynoku. W ferworze szamotaniny Mistrz wyrzucił w bezkres jaskini czapkę Tsumumogami. Ten aspekt zauważyła Sho.

– Kagami! Tsumumogami! Tam! – wskazała palcem uskok skalny, gdzie wpadł magiczny artefakt. – Ja zajmę się Reynoku!

Mężczyzna rzucił się w dal ku Tsumumogami. Mimo, że był wyczerpany do granic możliwości biegł tak samo wytrwale, jak kilka godzin wcześniej, kiedy to Kazuki przekazał mu złą nowinę. Używając zaklęcia lekkiego ciężaru przeskoczył paręnaście metrów nad przepaścią. Wylądował na skalnym uskoku, gdzie roilo się od gorących źródeł. Przy jednym z takich otworów leżał jego cel.

Tymczasem Sho rzuciła w kierunku Reynoku zaklęcie *taku*. Czar ten pozwalał na kilka sekund sparaliżować przeciwnika. Gdyby atak Sho powiódł się, tajemniczy potwór do końca rozprawiłby się z Mistrzem. Niestety, zanim zielone światło dotarło do Reynoku, ten je spostrzegł i skontrolował w kierunku stwora. Bestia została obezwładniona, a sam Reynoku chciał mieczem dobić już i tak poranione zwierzę.

Będąc centralnie nad stworem spostrzegł Kagamiego tuż przy Tsumumogami. Postanowił zostawić konającą istotę i skierował się w stronę chłopca. Zanim użył, tak jak Kagami, zaklęcia lekkiego ciężaru, otrzymał serię czarów obezwładniających z rąk kapłanki Sho. Mimo celnych trafień, dla Reynoku nie robiły zbyt wielkiego wrażenia. Ku Sho wystosował potężne taku.

Mistrz Bractwa Górskich Gromów opadł z impetem kilka metrów przed Kagamim. Chłopiec nie przestraszył się, a wręcz otrzymał dużą dawkę pewności i wiary w siebie. W dłoni trzymał legendarne Tsumumogami.

– Nie bądź głupi Kagami. Oddaj mi to, a przeniosę ciebie i twoją koleżankę w spokoju do Pasun – przekonywał również zmęczony i poraniony Reynoku. – Fukuronoshi i tak już pewnie nie żyje.

Po chwili ciszy ze strony chłopca dodał:

– Ostrzegalem ciebie!

Reynoku rozpoczął z wolna wędrówkę ku Kagamiego. Z każdym krokiem przyspieszał, zaciskając wraz z kolejnymi oddechami dłoń na rękojeści miecza Raikiri. Chłopiec stał nieruchomo, przypominając słowa Fukuronoshiego o radzie Tsumumogami w sytuacji bliskiej śmierci. W tym momencie Kagami zajrzał do środka własnej duszy. Osiągnął po raz pierwszy w życiu nirwanę.

– Zniszcz mnie...

Mistrz zamachnął się w ostatecznym ataku. Kagami wyciągnął przed siebie czapkę Tsumumogami. Srebrzyste ostrze Raikiri wbiło się w strukturę artefaktu. Otoczenie wypełniła jasność i potężna fala uderzeniowa. Mistrza Reynoku odrzuciła na kilkadziesiąt metrów. O mało nie wylądował we wrzącej mazi znajdującej się w kraterze. Na jego szczęście zatrzymał się nieznacznie przed dziurą. Ociężał się podniósł, wspierając swoje ciało na pobliskim głazie.

Kagami stał niewzruszony. Nie widział nigdzie miecza, ani Tsumumogami. Dosięgnął wzrokiem Reynoku. Spodziewał się ataku, więc postanowił wyprzedzić działania przeciwnika. Lewą stopę wychylił do przodu. Prawą dłoń ułożył po przekątnej do lewej stopy. Lewą dłonią ruchem wirowym stworzył pięć okręgów w schemacie litery X.

– Co jest? – szepnął pod nosem zdziwiony Reynoku.

Młody uczeń jednym szybkim ruchem prawej dłoni wypchał układ złożony z pięciu wirujących okręgów. Był to atak pięciu pięści. Pociski szybko uderzyły w Reynoku. Nie oparł się impetowi, wpadł do wrzącej mazi w pobliskim kraterze. Kagami usłyszał tylko ostatni krzyk rozpacz. Reynoku odszedł do legionu potępionych. Kagami powrócił do Sho. Siedziała w ciszy i skupieniu. Podszedł bliżej. Kapłanka opatrywała zakłębiami jakieś zwierzę.

– To Yoi? – zdziwił się Kagami.

– Tak – potwierdziła Sho. – Yoi to *Tanuki* – Przemienił się w *Komainu*, dlatego Fukuronoshi polecił nam go zabrać. Ale źle z nim.

Oboje nie wiedzieli co robić. Sho nie posiadała przy sobie apteczki z eliksirami, by uratować Yoi. Pozostawała też podróż powrotna. Co prawda wspólnymi siłami pokonali Reynoku, lecz Tsumumogami zostało zniszczone.

– Chwycie mnie za ogon – niespodziewanie wydusił Yoi.

Zdziwieni wojownicy bez zbędnych protestów przychyłili się do prośby. Yoi wytworzył skok w przestrzeni, po czym wylądowali w klasztorze Bractwa Pięciu Pięści. Ujrzeni chodzącego i uśmiechniętego od ucha do ucha Fukuronoshiego. W parę chwil świeżo przybyli doskoczyli do swojego Mistrza i objęli go czule.

– Ale jak to? Tsumumogami zostało przecież zniszczone – powiedział Kagami.

– Kagami. Tsumumogami to potężny przedmiot posiadający duszę. Mowu nie bez przyczyny cię wyznaczył. Nosileś misję uratowania mnie, a nie chęć zdobycia Tsumumogami. Zatem czapka postanowiła zrealizować twoja wolę, młody człowieku.

Wataru podał wcześniej przygotowany eliksir z mleka dwustuletniego jaka jenotowi Yoi. Zwierzak poczuł się o wiele lepiej. Wszyscy zgromadzeni odmówili modlitwę za duszę Mowu.

Późnym wieczorem zasiedli do kolacji. W harmidrze głosów opowiadali o stworach, zaklęciach, poświęceniu Mowu, przegryzając dania jakie przygotował Kazuki.

W ten wyjątkowy dzień dla Japonii narodziła się legenda – Opowieść o bohaterach Bractwa Pięciu Pięści.

Krótką historia o odkrywaniu siebie

Justyna Napiórkowska

Siedząc nad klawiaturą komputera zastanawiałam się, dokąd wybrać się na tegoroczne wakacje, aby zobaczyć miejsca, które owiane były tajemnicą. Szukając informacji w Google Earth, natknęłam się na Karakorum – małe miasteczko w Mongolii, gdzie znajdował się klasztor Erdenezuu – pierwsza świątynia buddyjska w tym kraju.

Zainteresowała mnie historia powstania tego miejsca, więc w następnej chwili miałam już zabukowany lot. Po spakowaniu się i pojechaniu na lotnisko, musiałam lecieć ponad 10 godzin, co mnie zmęczyło bardziej niż zajęcia z pilatesu! Po dotarciu na miejsce i załatwieniu formalności zamieszkałam w namiocie bez dostępu do bieżącej wody, kanalizacji, czy nawet kuchenki do przygotowywania posiłków! Tak to jest, jak się podejmuje decyzję o pobycie u szczytu K2.

Po raz pierwszy w życiu spałam w namiocie i to w górach! Przygotowałam się do wyjazdu, ale sądzę, że cudem przeżyłam tę najzimniejszą noc w moim życiu. Gdybym oceniała hotel dostałby ode mnie jedną gwiazdkę, zdecydowanie za widok.

Rano wzięłam sobie do serca słowa Beaty Pawlikowskiej i stwierdziłam optymistycznie: przygodę czas zacząć!

Na samym początku chciałam odwiedzić wspomniany wcześniej klasztor. Zebrałam się i ruszyłam z miejskim przewodnikiem na zwiedzanie. A ta budowla, jak przeczytałam w internecie, powstała w 1585 r. na gruzach dawnej mongolskiej stolicy Karakorum.

Mój początkowy zachwyt został zdominowany przez zmęczenie, głód i znużenie podróżą. Nie jestem pewna, czy Martyna Wojciechowska tak by się zachowała, ale z drugiej strony, nie jestem wśród kamer i mogę być szczerą.

Dopiero w drugiej połowie dnia i wielu przerwach, na środku ogromnego pustkowia naszym oczom ukazuje się kompleks połączonych ze sobą budynków dwupoziomowych z ozdobnymi dachami i pięknie rzeźbionymi czerwonymi drzwiami. Wzięłam głęboki wdech i weszliśmy. Poczułam dreszcz ekscytacji, tak jak wtedy, gdy jako dwudziestoparolatka wchodziłam do kościoła biorąc ślub, przeszło trzydzieści lat temu.

Zwiedzanie odbywało się w absolutnej ciszy ze względu na świętość tego miejsca, jak i mieszkających tam mnichów. Kiedy znajduje się w takim miejscu mam ochotę krzyknąć, aby sprawdzić, czy naprawdę istnieje, lub by dowiedzieć się, co się stanie.

Po dłuższej chwili oczekiwania okazało się, że jako turystka nie będę mogła wejść do Świątyni Głównej, aby nie zaburzyć rytmu kosmicznej energii. W pierwszej chwili

wzbudziło to mój mały sprzeciw, ale jak podpowiadało mi doświadczenie, nie ma takiej rzeczy, której nie rozwiązałyby pieniądze. Jak się okazało miałam rację. Podsumowując, mam również taki stosunek do wszelkich religii. Sądzę, że wszystko kręci się wokół władzy, pieniędzy i seksu. Przyjeżdżając tutaj chciałam zobaczyć, czy poczuję magię chwili i faktycznie doznam duchowego uniesienia.

Przechodząc przez kolejne pomieszczenia widziałam surowe wnętrza. Gdy dotarliśmy do głównej sali, naprzeciw drzwi, przy ścianie znajdował się ołtarz do składania ofiary. Z przodu postawiono rzeźbę Buddy, a za nim Mandale. Cały ołtarz był pięknie przyozdobiony kwiatami (może sztucznymi, w każdym razie nie mogłam sprawdzić).

Po pierwsze i najważniejsze, co tam robiły kwiaty, zwłaszcza w tym klimacie? Wszędzie pachniało lawendą i trudnymi do określenia olejkami eterycznymi. W pewnym momencie wiedziałam, że nie czeka mnie tu żadna nirwana. Po chwili namysłu odciągnęłam przewodnika i powiedziałam, że dziękuję za pomoc, ale jestem już zmęczona i chcę wrócić do obozowiska. Nergui kiwnął głową i po cichu powiedział mi, że zaraz do mnie dołączy, ale chciałby najpierw odmówić modlitwę. Pożegnaliśmy się, opuściłam świątynię i zaczęłam robić relację do mojego podróżniczego bloga. Niestety w środku nie mogłam zrobić nawet ukradkowego zdjęcia.

W pewnym momencie znalazłam w kieszeni kurtki piękny drobny naszyjnik z fantastycznym wykończeniem. Moje spojrzenie przykuło drobne pęknięcie na granatowym podłużnym kamieniu. Zaczęłam pocierać palcami kamień, który jakby zaczął się szybko rozgrzewać i delikatnie jaśnieć. Za moich pleców wyłonił się Nergui i zapytał skąd mam ten amulet. Zdziwiona odpowiedziałam, że znalazłam go w kieszeni, a podczas trzymania go w ręku zaczął się nagrzewać. Przewodnik powiedział mi, że to amulet symbolizujący tantrę jogi najwyższej, ale te elementy znaczą po kolei: po pierwsze czyste formy *jidamy*, po drugie czyste miejsce – mandala, po trzecie czyste doznawanie, doświadczenie błogości, oraz ostatnie czyste aktywności, nieograniczone, dla pożytku wszystkich istot.

Pomyślałam, że to bardzo ciekawe, ale niestety, dopóki nie znajdę się w hotelu, nie znajdę więcej informacji na ten temat. Nergui zaczął opowiadać, że to dar od samego Buddy, który wybrał mnie ze względu na mój brak wiary.

Bardzo śmieszne, wycinać taki numer, starej bywalczyni świętych miejsc. Żyję na tym świecie już nie pierwszy rok, byłam w świątyni w Tybecie, odwiedzałam ostatnio papieża Franciszka, a nawet przesłam pielgrzymkę z Mekki do Medyny, przez rok mieszkalam też u ortodoksyjnych żydów w Williamsburgu na Brooklynie. Niemniej jednak historia Deborah Feldman potrzebowała uwagi w związku z wydaniem swojej książki, ale przyznaję serial niczego sobie.

Kończąc tę przewlekłą dygresję pomyślałam, że może ktoś ponownie poczuł, że musi mnie nawrócić. W drodze powrotnej nie poruszaliśmy już tego tematu, ale jakoś tantra jogi najwyższej zaprzętała mi głowę.

Po powrocie do namiotu zasnęłam od razu. Przez całą noc śniły mi się mandale, które zmieniały kolory, słyszałam muzykę tak delikatną, jak tę, która jest grana na harfie. Czułam błogość, miałam wrażenie, że jestem energią, która wypełnia cały świat. To tak, jakbym była w każdym atomie wypełniającym świat, niesamowite uczucie. Miałam wrażenie, że znalazłam odpowiedź na sens istnienia! Po czym obudziłam się i stwierdziłam, że wystarczy duchowych wzlotów jak na jeden wyjazd. Jak widać, wysokość na poziomie morza wpływa na nas bardziej, niżeli chcielibyśmy to przyznać.

Zdecydowałam, że zwiedzę okolice Orchon. W kotlinie znajduje się potężny monument w kształcie okręgu z trzema ścianami, na których znajdują się malowidła mongolskie. Nie lada gratka dla starych wyjadaczy. Sam widok zrobił na mnie niesamowite wrażenie i czułam się nieśmiertelna.

Trzeciego dnia pobytu pojawił się przede mną człowiek, którego można byłoby wziąć za fatamorganę, gdyby nie to, że nie znajdowałam się na terenie pustyni i byłam świetnie przygotowana do panujących warunków. Ów postać powiedziała mi, że doznam najwyższej formy *wadźrajany*, czyli kultu *śakti*. Co, jak się dowiedziałam z historii buddyzmu, w dosłownym

tłumaczeniu jest pierwiastkiem żeńskim i erotycznym. Dowiedziałam się, że miałam stać się najwyższą kapłanką, strażniczką klasztoru i nową boginią! Cóż, przyznam, że rozumiem, jak musiała czuć się Maryja w takiej sytuacji. A konkretnie to oszołomiona i zdeorientowana. Czy ja oszalałam, czy naprawdę doznam duchowego przełomu w moim życiu?

W tym momencie przyszedł mi do głowy od razu Giuseppe Tucci, który napisał, że: "Mandala nie jest już zatem kosmografem, lecz psychokosmografem, schematem dezintegracji prowadzącym od jedności do wolności, a następnie do ponownej integracji, z wielości w jedność, do całkowitej i jasnej absolutnej świadomości". Któż pięknie ubrałby w słowa to, co czego miałam doświadczyć. Szczerze powiedziawszy na pewno nie ja! Z tym swoim ledwo uzyskanym dyplomem z filozofii. Nie sądziłam, że w wieku lat pięćdziesięciu trzech doznam pierwszych objawów schizofrenii. Jednak ludzki mózg jest dotąd nie zbadany tak dokładnie jakbyśmy tego chcieli.

Z drugiej strony może rzeczywiście zostałam wybrana? Podniosłam rękę w geście uciszenia i podziękowałam za wspaniały poranek, a także obiecałam sobie i zjawie, że skrócę podróż i zgłoszę się do najbliższego szpitala po pomoc. Nie mam aż tak wysokiego mniemania o sobie. Zjawia, jak się okazało, ma imię i przedstawiła mi się jako Ganbold, który jest pradawnym

przewodnikiem duchowym. Oświadczył, że zabierze mnie do Klasztoru Wadżrajany.

Nim zdążyłam odmówić, unieśliśmy się w powietrzu i zaczęliśmy lecieć coraz wyżej i wyżej, aż wszędzie zrobiło się oślepiająco jasno. W pewnym momencie moim oczom ukazał się klasztor tak piękny, że aż zaparło mi dech w piersiach. Wszędzie mnóstwo złota i błyszczących kamieni, które potęgowały jeszcze ten piorunujący efekt.

Gdy znalazłam się przed wejściem, Ganbold otworzył drzwi jakby były zrobione z papieru i delikatnie mnie popchnął, abym weszła. Gdy mimo oporów znalazłam się we wnętrzu, moim oczom ukazały się kobiety młode i piękne o wszystkich typach urody, ubrane w białe togi. Każda z nich miała złoty sznur, przewiązany na biodrach. A wśród nich i ja, kobieta w pewnym wieku, która nigdy nie stroniła od wina, papierosów i ciętego języka. Czułam, że tam nie pasuję, ba nawet to dokładnie wiedziałam.

Wszystkie kobiety niosły w wielkich misach *madja*, czyli alkohol, *mamsa*, czyli mięso, *matsja*, czyli rybę, a część z nich wykonywała *mudra*, symboliczny gest taneczny. Wszystkie ustawiały się w symbol mandali. Kobieta, która znalazła się obok mnie, powiedziała, że będę dopełnieniem ceremonii, gdzie odbędzie się *majthuna*.

Szczerze powiedziawszy nie wiem, co oznaczało ostatnie słowo, ale wołałam nie dopytywać na wypadek, gdyby się

okazało, że będę musiała zabić niemowlę w rytualnym uniesieniu. Zdaję sobie sprawę, że powinnam była uciekać, ale nie bardzo wiedziałam dokąd, bo świątynia była ogromna, a ja znajdowałam się w powietrzu.

Poszłam za młodą kobietą i wszystkie z nich ustawiły się w kształt mandali pozostawiając dary na stole obrzędowym, który był wykonany ze złota. Wystarczy jeden mebel i człowiek jest ustawiony na całe życie. Nagle usłyszałam delikatną hipnotyzującą muzykę i poczułam, że się rozluźniam. Zostałam poprowadzona na pięknie zdobione krzesło, podano mi mięso, rybę oraz alkohol i nakazano mi ich spróbowania.

Przyznam, że nie spodziewałam się takich dań, a już w szczególności takiego niebiańskiego smaku posiłku. Alkohol okazał się być łagodny, ale mocno uderzał do głowy i po chwili całkiem się rozluźniłam. Kobiety znajdujące się najbliżej mnie położyły mnie na przepięknym łóżu i śpiewając w nieznanym mi języku zaczęły się rozbierać i wzajemnie rozczesywać swoje długie, piękne włosy. Następnie zaczęły się do mnie zbliżać, na co odpowiedziałam głośnym sprzeciwem.

Jak mi mówiono, miałam doświadczyć duchowego wzniesienia i stać się kuratorką klasztoru, być energią, która przepływa przez innych, a nie uczestniczyć w zbiorowym uniesieniu fizycznym. Poza tym moje ciało, choć o nie dbam (pomijając używki), w niczym nie przypomina tej świetlistej i delikatnej skóry, którą miałam przed oczami.

Mocno zacisnęłam powieki, otworzyłam oczy na nowo, ale nic się nie zmieniło. Mimowolnie stałam się uczestniczką rytuału przejścia. Jedna z kobiet o pięknych kręconych czarnych włosach zsunęła ze mnie ubranie, jakby było prześcieradłem, a nie kombinezonem sportowym. Najpierw pocałowała moje zamknięte powieki, następnie zaczęła delikatnie muskać moje usta. Kolejne dołączyły do niej, zaczęły całować mnie w szyję, przesuwając się coraz niżej. W pewnym momencie poczułam jak usta muskają moje sutki, delikatnie i z wprawą. Pocałunki przeniosły się z ust na mój brzuch i uda. W pewnym momencie poczułam oddech na wysokości mojej waginy, resztę pikantnych szczegółów pomijnę... Nagle przeszył mnie niespodziewany, najsilniejszy w życiu orgazm. Wszystko było tak delikatne i piękne, że nie mogła uwierzyć w to co się stało moim udziałem.

Nie potrafię stwierdzić, ile czasu trwało to wszystko, ale chciałam, aby trwało wiecznie, tak przynajmniej mi się wtedy wydawało. Ostatecznie zamknęłam oczy i zasnęłam. W moim śnie pojawił się Budda, który powiedział, że to był test związany z oderwaniem się od fizycznej i materialnej strony, by stać się duchowym przewodnikiem.

Szczerze powiedziawszy, nie tak sobie wyobrażałam oderwanie od fizyczności, skierowanie ku doskonałości. Popatrzyłam na mężczyznę w średnim wieku z brzuchem piwnym, który mówi, mi o duchowym rozwoju, po prostu nie mogłam i wybuchnęłam śmiechem, stwierdzając, że to czego

doświadczylam było szczytem hipokryzji. Powiedziałam, że bardzo chętnie oddam przypadkowo znaleziony amulet i wrócę do swojego starego, dobrze znanego mi życia, gdzie żaden guru nie będzie mnie poddawał swoim testom, a gdzie mogę po prostu być sobą. Budda skinął głową i ponownie znalazłam się w swoim namiocie.

Pewnie zastanawia Was skąd u mnie ta niezrozumiała decyzja, ale gdy ma się swoje lata, można ulec chwili przyjemności, jednak to, co najważniejsze jest w nas samych. Zdecydowałam się nie kończyć podróży, ale zobaczyć jeszcze te piękne miejsca, z których słynie Mongolia. Spakowałam się i wyruszyłam w dalszą podróż, która zawierała zwiedzanie Jeziora Khuvsgul, Elsen Tasarkhai, Wulkanu Hargo.

Amulet wyrzuciłam do rzeki Orchon, nie doświadczylam więcej żadnych widzeń, ani objawień, co jak się okazuje, mogło być skutkiem przebywania na dużych wysokościach. Gdy wróciłam do domu opisałam historię niesamowitego kraju przepięknych miejsc, o których mogliście przeczytać, uroczych mieszkańców, a także miejsc, które nie pojawiają się w każdej broszurze reklamującej niesamowite wakacje. Azja to niezwykle miejsce, które sprawiło, że poczułam, że to dopiero początek mojej podróży.

Wybór

Dr Joanna Komorowska-Mueller

W Tokyo już dawno zapadł zmrok, chociaż licznie zapalone latarnie i gwar na ulicach wydawał się temu zaprzeczać. Bary przepełnione były młodymi ludźmi szukającymi ucieczki od codziennych problemów, a z metra wysypywały się tłumy żądne choć odrobiny snu.

Kilka przecznic od całego zgiełku, nieopodal rzeki Sumida stał nieduży dom, który niczym nie różnił się od swoich sąsiadów. Może poza tym, co miało się w nim wydarzyć tej zwykłej nocy.

Yumeko siedziała przy biurku, nerwowo obracając długopisem i popijając od czasu do czasu zimny napój. To już jutro, a na pewno nie była gotowa. Ten dzień przyszedł zdecydowanie za szybko. Wydawało się, jakby dopiero co zaczęły się wakacje. Czemu tak szybko minęły? Co ona, tak naprawdę, w tym roku zrobiła?

Pamiętała kilka dni w *onsenie* z rodzicami, nieopodal Shizuoki i wspinaczkę na Fuji. Codziennie gotowali razem *okonomiyaki*, a wieczorami wychodzili na karaoke. Tata zawsze wybierał jedną i tę samą piosenkę. Była pewna, że robił to tylko po to, by zawstydzić ją i mamę, a one nigdy nie mogły ukryć

swojego rozbawienia. “Sexy and I know it” potem nigdy już nie brzmiało tak samo...

Długopis z trzaskiem upadł na podłogę. Dziewczyna podskoczyła z zaskoczenia. Za głęboko zatopiła się w swoich myślach i nawet nie spostrzegła, że dalej czyta to samo zdanie. Głośno westchnęła i wzięła kolejny łyk napoju. “Skup się!” – rozkazała sobie, przybliżając twarz zdecydowanie za blisko książki.

Już kilka sekund później głośny dźwięk sms’a ponownie wyprowadził ją z równowagi. “Pewnie Mimi uczy się do egzaminu” – stwierdziła.

Tak jak myślała, była to wiadomość od przyjaciółki, ale gdy ją otworzyła, jej oczom ukazał się tylko emotikonek z uśmiechem i link. Nie zdziwiło to dziewczyny, gdyż miały w zwyczaju wysyłanie sobie śmiesznych filmików. Nie myśląc wiele, weszła na podaną stronę, ale zastała ją czerni.

– Eeeee...? – westchnęła zaskoczona, ale stwierdziła, że skoro przyjaciółka przysłała jej ten link, to widocznie jest na nim coś, co powinna znaleźć.

W związku z tym ze zdeterminowaniem skupiła się na czerni. Dopiero po chwili spostrzegła, że jest to fotografia drzewa. Razem z Mimi dzieliły dosyć specyficzne poczucie humoru, ale tego żartu nie mogła zrozumieć. Chciała od razu wyłączyć stronę i wziąć kolejny łyk napoju, ale coś ją zatrzymało.

Im dłużej przyglądała się drzewu, tym bardziej ją intrygowało. Choć za oknem było szaro i ponuro, jego kolory mieniły się złotem jesieni, a jego gałęzie delikatnie bujały się na wietrze. Mogła przysiąc, że słyszy ich melodię malowaną przez wiatr, niosącą ze sobą tajemnicę wieków.

Zamknęła oczy, próbując sobie przypomnieć brzmienie szumiących liści i zapach porannej rosy. Mogła przysiąc, że poczuła zimny powiew, a kilka kropel deszczu delikatnie musnęło jej policzki. Gdy otworzyła oczy, nie była już w swoim pokoju, a stała naprzeciwko drzewa, które przed chwilą podziwiała na ekranie swojej komórki.

Pojedyncze krople zamieniły się szybko w ulewę. Niewiele myśląc, podbiegła do drzewa, by schronić się pod jego gałęziami. Starła się rozglądać i zrozumieć, gdzie była, ale nie widziała wiele oprócz ciemności, która ogarniała całą scenerię. Po chwili usłyszała grzmoty dochodzące ze wszystkich stron i odruchowo cofnęła się kilka kroków w tył.

Myślała, że uderzyła plecami o konar drzewa, ale ku jej zdziwieniu, napotkała na swojej drodze coś miękkiego, co wydało z siebie ciche jęknięcie. Gdy tylko się odwróciła, ujrzała młodą dziewczynę ubraną w wygodne szorty i sportowe buty. Wyglądała, jakby szła na wspinaczkę. Trzymała w ręku komórkę i oświetlała nią drogę.

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy? – Yumeko zapytała lekko onieśmielona urodą nowo poznanej dziewczyny, ale nie dostała żadnej odpowiedzi.

Ona jedynie milczała, przyglądając się jej ze spokojem o delikatnym uśmiechem.

– Tam i wtedy – szepnęła w końcu nieznajoma, tępo patrząc w przestrzeń.

Po krótkiej chwili wskazała na ciemność. Yumeko, odgarniając przemoczone włosy z twarzy, popatrzyła w miejsce wskazywane przez nieznajomą. Początkowo nic nie mogła dostrzec, ale z czasem wydawało jej się, że widzi szybko zbliżające się, migocące światła.

– Jest 30 sierpnia 2019 roku, niedaleko Yamanakako Hananomiyako Park, droga 138... – kontynuowała nieznajoma, a światła zaczęły być bardziej wyraźne. Tak samo jak ryk pędzącego silnika. – Tu był mój dom od stuleci – dodała ze smutkiem, dotykając drzewa, ale nie odrywając wzroku od pędzącego w ich kierunku pojazdu.

Yumeko z przerażeniem obserwowała całą scenę. Samochód pędził prosto na nieznajomą, a ta stała stabilnie, nie okazując strachu. Tylko pojedyncza łza spływająca po jej policzku zdradzała jej człowieczeństwo. Samochód był coraz bliżej, usłyszała krzyk przerażenia ojca i desperacki pisk hamulca.

Było za mokro. Było za późno. Niewiele myśląc, podbiegła do nieznajomej i osłoniła ją własnym ciałem przed pędzącym pojazdem. Nie widziała już, co się dzieje, światła reflektorów zupełnie ją oślepiły, ale ku własnemu zdziwieniu nie poczuła uderzenia, tylko silny podmuch wiatru powalił ją na kolana. Wpadła do wielkiej kałuży. Starła się wydostać, ale ziemia była zbyt śliska i zapadała się przy każdym jej ruchu.

– NIE! – krzyknęła zrozpaczona i spojrzała w stronę, gdzie stało drzewo i nieznajoma.

Samochód zahaczył o pień i ugrzązł u jego boku. Silnik jeszcze dyszał, a światła pojazdu nerwowo migaly. Z całej siły zaczęła krzyczeć, ale odpowiadała jej tylko głucha cisza i głośny stukot kropel o karoserię, który mógł dorównać tylko temu, jak mocno w tym momencie biło jej serce.

Desperacko przebijając rękoma, udało jej się odgarnąć część błota i wydostać z pułapki. Potykając się, podbiegła do auta, ale w środku nikogo nie było, choć mogła przysiąc, że nadal słyszała krzyki.

– Yumeko... – usłyszała znajomy głos i odwróciła się w kierunku pnia drzewa.

Dopiero teraz zobaczyła trzęsącą się nieznajomą, z trudem podpierającą się o konar. Jej bok i lewa ręka były rozerwane na strzępy, a gęsta krew sączyła się z ran, mieszając się z wodą deszczową, tworząc szkarłatny strumień.

– Mama... Tata... Ty... – Yumeko nie była w stanie poskładać zdań. – Ja tak strasznie się źle czułam po wspinaczce i chciałam tylko wrócić do domu.... i dlatego poprosiłam byśmy jechali wcześniej... jak najszybciej... nie chciałam... – dziewczyna zaczęła szlochać i schowała twarz w dłoniach.

Cała dygotała, nie mogąc kontrolować targających nią emocji. Nieznajoma uśmiechnęła się delikatnie i niewiele myśląc, objęła płaczącą dziewczynę. Jej hebanowe włosy zakryły jej niczym kotara.

– To nie była Twoja wina – wyszeptwała, ściskając ją mocno.

Yumeko odwzajemniła uścisk, głośno łapiąc powietrze. Nieznajoma powoli odsunęła się i wzięła jej twarz w swoje dłonie. Delikatnie odgarniając łzy z policzków, spojrzała jej prosto w oczy.

– Wszystko będzie dobrze. Dasz sobie radę.... Damy sobie radę.

Dziewczyna zamknęła oczy. Słyszając te kojące słowa, poczuła ulgę, której nie potrafiła znaleźć wcześniej. Nagle przestała słyszeć i czuć. Zniknęły spadające, zimne krople, a zamiast tego oślepił ją blask wschodzącego słońca.

Leniwie otworzyła oczy, by znaleźć się z powrotem w swoim pokoju. Dalej siedziała przy biurku z włączoną lampką i otwartą książką. Do zmysłów przywracał ją dźwięk tykającego zegara. Jutro właśnie nadeszło. Spojrzała ukradkiem na truciznę i nie myśląc wiele, wyrzuciła ją do kosza. Już nie weźmie

kolejnego łyka. Po raz pierwszy od dawna nie bała się dalej żyć.
Po raz pierwszy od dawna widziała przyszłość.

Yumeko poprosiła, by rodzice zostali pochowani przy drzewie, przy którym zginęli. Odwiedzając ich grób, siadała pod drzewem i delikatnie nuciła, a szumiące gałęzie zdawały się jej przygrywać.

Od autorki: *Kodama* to duch, który według kultury japońskiej zamieszkuje stare drzewa. Jest bohaterem wielu legend i przypowieści.

Hakuchō

Jarosław Dobrowolski

Przez całą noc Kenichi powtarzał sobie, że nieposłuszeństwo którego miał się dopuścić podyktowane jest wyższą koniecznością, a karę, która go nie ominie, przyjmie z godnością. Wysunął się spod nakrycia i na kolanach przeszedł do Keiko, która jak zwykle leżała w skotłowanej pościeli, obejmując ją rękoma i nogami, jak makak przyczepiony do gałęzi drzewa.

– Keiko-chan – szepnął. – Wstawaj, już pora.

Siostrzyczka jęknęła cicho, wyciągnęła rękę i machnęła, jakby odganiała natrętnego insekta. Mrucząc coś niezrozumiale przekręciła się na drugi bok jeszcze bardziej kotłując posłanie. Kenichi spróbował zatem sposobu, który nigdy dotąd nie zawiódł:

– Keiko, wstawaj na śniadanie.

Dziewczynka zerwała się do pozycji siedzącej niczym sprężynujący pęd bambusa. Ziewnęła, spojrzała na brata próbując przegonić mgłę sprzed oczu i mlasnęła spierzchniętymi ustami:

– Śnia... śniadanie? – wymamrotała.

– Nie, głupiutka. Idziemy w góry, szukać Hakuchō. No wstawaj, póki wszyscy śpią.

– Ja ... my chyba nie powinniśmy tego robić – odparła nie do końca przytomnie.

Kenichi zacisnął wargi i westchnął ciężko:

– Nie pójdziesz ze mną? Przecież tu chodzi o mamę.

– No tak... ale ja nie chcę ściągać jej więcej trosk na głowę. Poza tym igranie z duchami może przynieść nieszczęście.

– Jeżeli nie chcesz to powiedz, zrozumiam. Tak czy inaczej, ja idę.

– Nie... nie idź sam... – zawahała się. – Przygotowałeś prowiant na drogę?

– A ty ciągle o jedzeniu... oczywiście, że tak. Przed zachodem słońca schowałem go za szopą, obok studni. No już, ubieraj się i ruszamy. Tylko cicho, żeby nikogo nie zbudzić.

Wymknęli się z rodzinnej chaty zanim jeszcze słońce wstało. Stąpali cicho, a drzwi zasuwali z delikatną ostrożnością, jakby obawiali się przypadkiem zbudzić niedźwiedzia. Znalazłszy się na podwórku, przemknęli pod wiśniami gotowymi w każdej chwili rozwinąć kwiaty. Po drodze Kenichi zabrał ze skrytki niewielki pakunek owinięty w chustę. Przerzucił ją sobie za plecy, podwinął rękawy i przywiązał, aby nie przeszkadzały. Na czole zawiązał białą opaskę.

– Dalej – rzekł ze śmiertelną powagą. – W drogę.

Tuż przed świtaniem cała ich wioska budziła się do życia, więc skradali się tak, aby nikt ich nie zauważył. Najpierw przemknęli wzdłuż ścian domostw, potem ścieżką biegnącą

w górę obok zagród dla bydła. Mając już zabudowania za plecami puścili się biegiem ku polom uprawnym i dalej w górę strumienia. Dopiero, kiedy dotarli nad jego kamienisty brzeg zwolnili trochę, by iść już spokojnym marszem.

– Ken-chan, myślisz, że to dobry pomysł? – siostrzyczka dreptała spokojnie, bawiąc się źdźbłem trawy. – Mama jest bardzo chora i będzie się martwiła, że nas nie ma.

– Mama od dawna nie wstaje z łóżka – Kenichi odparł z powagą godną samuraja. – Tata nic jej nie powie, póki nas nie znajdzie. Do wieczora wrócimy, a jeżeli wszystko się uda, nikt nie będzie nam miał za złe, że chwilę nas nie było.

Ścieżka prowadząca wzdłuż strumienia skręciła na północ, lecz oni szli dalej w górę nurtu. Nie wiedzieli skąd, lecz oboje byli przekonani, że mityczny Hakuchō mieszka gdzieś u jego źródeł. Już z tego miejsca widzieli zielone pióropusze drzew porastających zbocza góry Odaigahara, która od zawsze spoglądała na ich wioskę. Woda w strumieniu szumiała, kamienie chrzęściły pod sandałami, a ptaki umilały im wędrówkę cudownym śpiewem. Gdzieś w trawie przemknął spłoszony lis.

– Jestem głodna – Keiko jęknęła zaczynając wlec się nieco z tyłu.

– Nie teraz, siostrzyczko. Musimy przejść jeszcze trochę.

– Ale kiedy mnie nogi bolą i w brzuchu burczy... Poza tym musimy mieć siłę do marszu.

Kenichi sapnął niezadowolony, choć argument siostry o sile na wędrówkę miał wiele sensu.

– Pamiętasz Wodospad Szumiących Wód? – wskazał niewielki uskoki terenu, który majaczył w dali. – Tam najdalej się wypuszczaliśmy na spacer. Tam też zjemy śniadanie. Co ty na to?

Dziewczynka wydeła usteczka niepokieszona, lecz przystała na propozycję brata. Doskonale pamiętała wodospad utworzony przez niewielkie urwisko usiane głazami, wyglądającymi jakby upuścił je tam przedwieczny olbrzym. Czasem można było z nich zobaczyć ryby pluskające się tuż pod powierzchnią krystalicznie czystej wody, a chłodna mgiełka przyjemnie orzeźwiała w ciepłe dni.

Wkrótce wdrapali się na wzniesienie i usiedli z przyjemnością witając promienie słońca pieszczące ich uśmiechnięte twarze. Zjadali kulki ryżu z jajkiem, popijając zimną wodą.

– Ken-chan, czy Hakuchō naprawdę uleczy mamę?

– Tata mówi, że ani modły, ani leki nie pomagają. Co nam innego pozostało?

– A ty myślisz, że jak wygląda Hakuchō?

– Nie wiem... to *yōkai*, a one mają różne formy.

– Ja myślę, że wygląda jak biały łabędź, który mieszka na brzegu górskiego jeziora, z którego wypływa strumień. Po tym go

poznamy. Podejdę, przywitam się ładnie i dam mu prezenty. Przygotowałam deser, kwiaty i papierowego łabędzia.

Kenichi nie wiedział, czy prezent dla *yōkai* zadziała, lecz szczerze wierzył, że każdy wysiłek podjęty by pomóc matce wart był ryzyka. Samo znalezienie opiekuńczego bożka wydawało się nie lada wyzwaniem, które samo w sobie powinno być nagrodzone spełnieniem życzenia.

Po śniadaniu ruszyli w dalszą drogę. Wkrótce też dotarli do miejsca, w którym strumień nikał w gęstwinie lasu. Zanim weszli w cień drzew, obrócili się jeszcze, by spojrzeć w dół ku rodzinnej wiosce. Widok z tego miejsca zapierał dech w piersiach. Choć szli już kilka godzin, to ogarniało ich wrażenie, że gdyby się rozpędzić, wróciliby do znajomych okolic w ledwie kilka chwil. Widzieli dywany pól, małe robaczki domostw a nawet przystań nad oceanem. W oddali majaczyły czarne kropki łódek rybackich kołyszących się na połyskliwej tafli oceanu. Przed sobą zaś mieli nieprzebytą gęstwinę wspinającą się wyżej i wyżej po zboczu prastarej góry.

– Ken-chan, ja się boję. A co, jeżeli Hakuchō to oni... może być ogrem lub innym diabłem?

– Jesteśmy razem – Kenichi złapał siostrę za rękę. – Nic ci nie grozi. Obronię cię.

Pod baldachimem drzew zrobiło się chłodniej niż w pełnym słońcu otwartych przestrzeni. Wiatr poruszał tu gałęziami, a niespokojne liście szumiały kryjąc w sobie słowa

leśnych duchów. Jak okiem sięgnąć rosły drzewa i krzewy, a szczelna zasłona gałęzi przepuszczała nieliczne promienie słońca. Strumień w tym miejscu piał się i zawijał niczym wąż. Ptaki nadal śpiewały, lecz nieśmiało, a z pewnością wiele ciszej niż u podnóża góry.

W samo południe zrobiło się na tyle parno, że dzieciom trudno było oddychać. Ciągła wspinaczka kosztowała je wiele sił. Chcąc nieco odpocząć, znaleźli nad strumieniem zwalony pień drzewa. Usiedli i w ciszy zajęli się pałaszowaniem kolejnej porcji prowiantu. Zjedli dość szybko, więc Kenichi pomyślał, by chwilę odpocząć, aż jedzenie ułoży im się w żołądkach. W czasie, kiedy Keiko zajęła się zbieraniem kamyków i rzucaniem ich do wody, on spoglądał w dal, próbując nie dopuścić do siebie zimnych palców strachu. Byli już tak daleko od domu...

– Dzieci nie powinny zapuszczać się w te okolice.

Nieznajomy głos sprawił, że Kenichi podskoczył jak rażony piorunem, a Keiko pisnęła i upuściła kamyk trzymany w dłoniach. Oboje odwrócili się, jak na komendę, wielkimi ze strachu oczami patrząc w stronę nieznajomego. Kucał na brzegu strumienia, nie tak daleko od miejsca popasu. Miał na sobie czarne kimono, a za pasem nosił dwa miecze. Ich rękojęści zdobił niezwykle opłot kolorem przypominający błękit oceanu podczas wieczornej szarówki. Stożkowy kapelusz sprawiał, że jedyne, co dało się dostrzec z jego twarzy, to lekko zarośnięta szczecina, szczupła lecz kanciasta szczęka.

– Przepraszam, jeśli was wystraszyłem – uśmiechnął się, prezentując równe, białe zęby.

Kenichi zeskoczył z pniaka i stanął tak, by zasłonić siostrę. Nie potrafił opanować drżenia ust, więc zaciskał je mocno, byleby nie wydać z siebie jęku trwogi. Niezbyt często spotykano w tych okolicach samurajów, a ich pojawienie się zawsze zwiastowało kłopoty. Dumni i bezlitośni za nic mieli życie wieśniaków, a z prawa do ich odbierania korzystali nazbyt często. Od wieków strachem wymuszali szacunek.

– Mmyyy tylko... – Kenichi wyjąknął. – My tylko... na spacer wyszliśmy.

– Na spacer – nieznajomy mruknął zagadkowo.

Przemył szczupłe dłonie, nabrał w nie wody i zwilżył usta. Cmoknął zadowolony, zgarnął jeszcze trochę i wypił duszkiem, aż pociekła mu po brodzie.

– Pysznaaa... – mruknął z przekąsem. – Długi ten wasz spacer. Do najbliższej wioski zdaje się, że jest kawał drogi. Tutaj niedaleko jest ścieżka, jakbyście chcieli wracać.

Kenichi obejrzał się we wskazanym kierunku. Istotnie, zdawało mu się, że pomiędzy drzewami dostrzega pnącą się drogę. Aż dziw, że o niej nie wiedział.

– A pan, skąd zna okolice? – Coś mu nie pasowało w tym człowieku. Mówił topornie, jakby walczył z każdym słowem. Jego głos był miękki, cichy i śpiewny oraz nieprzyjemnie obcy.

– Nigdy wcześniej tu nie byłem – nieznajomy wstał, strzepnął dłonie i schował je w rękawach kimona. Był wysoki. Bardzo wysoki, wyższy nawet niż najwyższy człowiek w wiosce. – Jestem w podróży. Ładne okolice tu macie, takie spokojne i malownicze.

– Czyli... – Keiko wychynęła zza ramienia brata. – Nie jest pan Hakuchō?

– Nie, dziecino. Nie jestem i nie znam żadnego Hak... u... cio – znowu wyszczerzył te swoje białe zęby, jakby bawiły go popełniane błędy w wymowie. – Ale podobno żyje tu pustelnik, który był kiedyś wielkim wojownikiem. Znać go?

Kenichi zaprzeczył. Nie znał, ani nie słyszał o nikim takim. Już miał powiedzieć, że odchodzą, kiedy po okolicy przetoczył się nieludzki ryk, dziki i ogłuszający, jakby sama góra się zbudziła. Drzewa zatrzęsły się, a z ich koron wystrzeliły stada ptaków. Chaszcze zaszumiały, kiedy spłoszone zwierzęta rzuciły się do panicznej ucieczki. Nawet pod nieznajomym ugięły się nogi, choć jego ręka momentalnie znalazła się na rękojęści miecza.

– Co to było ... – Keiko jęknęła, wpijając palce w ramiona brata.

Coś trzasnęło w zaroślach, jakby drzewo się zważyło. Ziemia zadrżała. Za chwilę dźwięk się powtórzył, lecz znacznie bliżej. Po chwili było już pewne, że to nie drzewa upadały, lecz coś wielkiego i<potwornie ciężkiego kroczyło w ich stronę.

– Wracajcie – nieznajomy syknął ustawiając się plecami do dzieci. – Uciekajcie, natychmiast.

Kenichiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Złapał siostrę za rękę i rzucił się biegiem w stronę ścieżki prowadzącej w dół ku wiosce. Nieludzki ryk znowu rozdarł powietrze.

Keiko potknęła się o wystający kamień i pociągnęła brata za sobą. Łupnęli o ziemię dotkliwie ścierając dłonie i kolana. Obróciwszy się, Kenichi zobaczył, jak spomiędzy drzew wyłania się gigantyczny kształt. Istota ta tylko z pozoru przypominała człowieka. Skórę miała szarą jak kamień, a spomiędzy długich i brudnych kudłów wystawały szpiczaste uszy, wielki nos i zakrzywione kły wyrastające z dolnej szczęki. Beczkowaty tors przysłaniało porwane płótno, wyglądające jak pocerowany żagiel. Z przepaski biodrowej zwisały pordzewiałe łańcuchy, na które nanizano ludzkie czaszki. Łapska ciągnęły się po ziemi ryjąc ślady pazurami długimi jak noże. Nieznajomy wojownik wyglądał przy nim jak dziecko.

– *Oni...* – Kenichi niedowierzał własnym oczom. Nawet z oddali czuł potworny smród, jaki roznosił się wokół ogra. Śmierdział potem, krwią i okrucieństwem.

– Szukałeś mnie – *oni* zagrmiał ludzkim głosem, zniekształconym i głębokim, jakby dochodził z najczarniejszych czeluści piekieł. – Oto jestem.

– Szukałem wielkiego wojownika – odparł nieznajomy. – ... I jego nauk.

– Głupi człowieczku. Jedyna nauka jaką ci dam, to śmierć. Zgniotę jak robaka, pożrę mięso i wyszę szpik z kości. A na deser zagryzę tymi tu szczeniakami.

Bez ostrzeżenia ogr chlasnął pazurami z szybkością, której trudno byłoby po nim się spodziewać. Wyglądał, jakby miał zmieść przeciwnika jednym pacnięciem, lecz już w następnej chwili wył z bólu łapiąc się za kikut ręki. Nieznajomy wojownik wydobyl miecz z jeszcze większą szybkością i precyzją. Ostrze przeszło gładko przez wielkie mięśnie, przepołowiło kości. Wielkie łapsko łupnęło o ziemię u jego stóp.

– Nie jesteś chyba tym, za kogo cię wziąłem – syknął.

Oni nie odpowiedział. Kulił się łkając nad odcięta kończyną, lecz kiedy wojownik zrobił krok by go dobić, zaśmiał się szyderczo i uderzył na odlew drugą łapą. Nieznajomy oberwał mocno, a uderzenie cisnęło nim o pobliskie drzewo. Chrupnęły łamane kości, a on wypóścił z dłoni miecz i osunął się na na ziemię.

– Głupi człowiek! – warknął ogr. – Zajmę się tobą za chwilę. Ale najpierw rozprawię się z dziećmi, póki jeszcze nie uciekły. Pachną tak słodko.

Jak powiedział, tak też zrobił. Ruszył w stronę rodzeństwa sadząc wielkie kroki i śmiejąc się dziko. Z paszczy ciekła mu gęsta ślina, a spomiędzy kudłów wyzierały głodne, pełne szaleństwa oczy. Chciwie wyciągał przed siebie jedyną

rękę, jaka mu została. Kenichi zerwał się na równe nogi i zasłonił siostrę. Porwał z ziemi patyk. Wyciągnął go przed siebie, jakby trzymał miecz. Nie wystarczyło mu jednak odwagi, by powstrzymać oczy przed zamknięciem. Zaciśnął więc powieki tak mocno, jak tylko mógł, czekając na nieuniknione.

– Jesteś małym wojownikiem? – ogr spytał szyderczo. – Czy tylko wiejskim głupkiem?

– Niech cię piekło pochłonie – Kenichi wycodził przez zęby.

Przepełniony bólem ryk ogra zmusił chłopca, by spojrzeć. Wielkie cielsko, miało się na boki, jakby *oni* próbował coś z siebie zrzucić. Zdrowa łapa nieporadnie sięgała do tyłu próbując coś złapać. Kiedy się odwrócił, okazało się, że na jego plecach siedział nieznajomy wojownik. Mocno poturbowany, lewą ręką trzymał grube kudły niczym lejce. W drugiej dzierżył krótki miecz, który wraził wprost w bark potwora. Ostrze weszło aż po rękojęść. *Oni* szarpnął się, sięgnął za plecy i złapał przeciwnika wpół wbijając pazury w miękkie ciało. Cisnął nim o ziemię, a następnie kwiląc pomknął w las, by zniknąć między drzewami.

Kenichi nadal stał ściskając w dłoniach patyk. Drżał na całym ciele i brakło mu tchu. Dopiero kwilenie siostry przywróciło mu przytomność.

– Nie mogę wstać – syknęła trzymając się za kostkę.

Oczy jej się zaszkliły, a po policzkach ciekły wielkie łzy. Kenichi klęknął obok i obejrzał spuchniętą nogę.

– No dalej, pomogę ci – powiedział próbując pomóc siostrze wstać. – Musimy stąd uciekać, zanim ten stwór wróci.

Sam ruch sprawił, że dziewczynka pisnęła z bólu i skuliła się mocniej.

– Nie mogę – zapłakała. – Nie mogę chodzić...

Przestała słysząc jęk nieznanego wojownika. Leżał nieopodal pod drzewem, tam gdzie rzucił nim ogr. Ręce i nogi miał bezwładne, a przysłonięta kapeluszem głowa kiwała się w górę i w dół, w rytm chrapliwych prób złapania powietrza.

– Poniosę cię – szepnęła Kenichi. – Poniosę na plecach, byle dalej od tego miejsca.

– Nie możemy go tak zostawić – Keiko wskazała nieznanego.

– Uratował nas. To może być Hakuchō. Biegnij do wioski Kenchan. Poproś ojca, żeby przyszedł tu z wózkiem.

– Nie zostawię cię – Kenichi pokręcił głową. – Nie ma mowy.

– Musisz – szepnęła. – Nie możemy pozwolić mu umrzeć. Może jeśli mu pomożemy, to on lub jakiś przychylny bóg pomoże mamie. Musimy spróbować, sam tak mówiłeś.

Jak zwykle Kenichi nie potrafił odmówić siostrze racji. Mocował się z myślami i w końcu ze łzami w oczach ucałował ją w czoło. Pomógł jej doczołgać się do drzewa, gdzie usiadła nieco wygodniej. Zostawił pakunek z jedzeniem i wodę oraz obiecał, że wróci tak szybko jak się da. Następnie puścił się biegiem w dół ścieżki.

Z początku czas mijał powoli. Keiko starała nie skupiać się na bólu nogi, a zamiast tego wsłuchiwać włtrele ptaków nieśmiało powracających do gniazd. Las na powrót zaczynał żyć i nic nie wskazywało, by ogr miał powrócić. Tylko wielkie, szare łapsko leżało niedaleko, przypominając, że spotkanie z nim nie było snem. Właśnie dlatego nie pozwalała sobie na chwilę nieuwagi, z przerażeniem zastanawiając się co zrobi, jeżeli usłyszy kroki zbliżającej się bestii. Zamiast tego doszedł jej cichy jęk nieznanego:

– Dziecko... Pomóż mi... Nie mogę się ruszyć... na szyi mam wisior... Uzdrowi mnie...

– Dlaczego miałabym panu pomóc? – mruknęła nieufnie.

– Czy nie pomogłem tobie... i twojemu bratu?... Czy tylko ja...mogę cię obronić, jeśli demon wróci...

Chciała zapytać, czym jest ów wisior i jak go użyć, lecz nieznanomy przestał się odzywać, a jego oddech stał się niemal niezauważalny. Ważniejszym pytaniem okazało się, czy magiczny przedmiot, który zgodnie ze słowami nieznanego naprawdę miał moc leczenia.

Wiedziona ciekawością silniejszą niż ból nogi, zacisnęła zęby i doczołgała się w jego stronę. Czujna niczym ranny lis gotowy w każdej chwili umknąć uważała, żeby nie złamać żadnej gałązki. Już po chwili znalazła się tak blisko, że bez trudu dostrzegła łańcuszek połyskujący na szyi mężczyzny. Sięgnęła po niego i tak delikatnie, jak tylko mogła, wysmyknęła wisior na

zewnątrz. Zaskoczona odkryła, że na jego końcu znajdowała się niewielka buteleczka z przezroczystego kryształu, w której dostrzegła szkarłatny płyn. Z fascynacją obserwowała, jak przelewał się wolno i dostojnie, wbrew temu, jak naczynie było przechylone. Gęsty i niezwykle, zupełnie jakby miał własną wolę.

Nagle objawienie wprawiło ją w zachwyt. To musiało być jakieś potężne lekarstwo, skoro nieznajomy chciał go zażyć w takiej chwili. Skoro na niego mogło zadziałać, to może uzdrowi również matkę...

Nieznajomy poruszył się. Drżąca i dziwnie zimną ręką złapał ją za dłoń i uniósł głowę, tak że mogła spojrzeć mu w oczy. Widok ten przerażał, bo nigdy jeszcze nie widziała tak obcych oczu. Okrągłych i głębokich, jak najgłębsze studnie, o tęczęwkach niczym ocean na tle szarzejącego nieba. Młodych i starych zarazem.

– Wlej mi to do ust... – wyszeptał resztką sił. – Ale tylko trochę... to jest zbyt... cenne...

W następnej chwili znów stracił przytomność, a Keiko cofnęła się wstrząśnięta. Przyciskała wisior do serca, zastanawiając się co powinna uczynić. W głowie miała mętlik. Jak silne było lekarstwo? Jeżeli uleczy teraz nieznajomego, to czy nie odbierze jej wisiora przekreślając na zawsze możliwość ratowania matki?

Nasłuchiwała czy aby ogr nie wraca i karcila się w myślach za mroczną nadzieję, iż nieznajomy być może przestanie oddychać, a ona zachowa tajemniczy artefakt. Szybko schowała wisior do rękawa i wróciła na swoje miejsce. Podkulila nogi i wielkimi oczyma obserwowała okolicę, zastanawiając się czyjego gniewu obawia się bardziej – bogów, przodków, czy ogra gotowego wrócić po utraconą rękę?

Kenichi pojawił się tuż przed zmrokiem. Razem z ojcem przyjechali małym wozem ciągniętym przez wołu. Keiko ucieszyła się, zwłaszcza że w ciągu dnia zdążyła zjeść wszystkie zapasy i wypić pozostawioną wodę. Przytuliła ojca i brata płacząc z radości. Pozwoliła przenieść się na wóz. Nie oponowała, kiedy powiedzieli, że wojownikowi też trzeba pomóc. W końcu nie wyglądał jak samuraj, a co najwyżej *ronin* lub *gaijin* jedynie noszący się jak *bushi*.

Z niepokojem obserwowała jak targają oni nieznajomego i układają obok niej. Dopiero teraz uświadomiła sobie jak bladą skórę miał ów człowiek, jak nienaturalne rysy skrywał pod kapeluszem. Może to jednak był Hakuchō, a ona zamiast mu pomóc, okradła go z rzeczy tak dla niego cennej? Ścisnęła mocniej wisior schowany w rękawie i nie odzywała przez całą drogę do wioski. Nie czuła się z tym dobrze, lecz ze wszystkich sił pragnęła pomóc matce.

Do domu dotarli długo po zmroku. Nie zatrzymywali się, zwłaszcza że temperatura zaczęła mocno spadać. Choć

jechali z latarniami wysuniętymi na drogach, Keiko z przestrachem spoglądała w ciemności zamykające się za nimi. Odciętą rękę ogra zostawili za sobą, licząc że *oni* ją odbierze i nie będzie ich niepokoił. Miała szczerą nadzieję, że porzucił myśl o skonsumowaniu ich mięsa lub o zemście. Wioska już spała, a w chatach nie paliła się żadna latarnia.

Ojciec przeniósł Keiko do pokoju, w którym leżała matka i wrócił do wozu, aby z Kenichim przetargać nieznanego w to samo miejsce. Dziewczynka usiadła przy mamie, czule pogłaskała ją po bladym czole. Szepnęła kilka ciepłych słów. Wyjęła skradziony wisior dziwiąc się jego ciężarem. Przedmiot bowiem zdawał się ciężki niczym kamień. Ciążył niczym grzech kradzieży i mroczne myśli o zgonie jej dobroczyńcy. Słyszając rozsuwane drzwi szybko schowała artefakt przed oczami rodziny.

Ułożyli nieznanego na macie, w pewnym oddaleniu od matki. Teraz, kiedy kapelusz już nie skrywał jego oblicza, Keiko miała możliwość baczniej przyjrzeć się jego obliczu, a wszelkie wątpliwości co do natury tego człowieka rozwiały się niczym poranna mgła. On musiał być *yōkai* i to najpewniej był sam Hakuchō! Doskonale pamiętała jego oczy, a teraz widziała wyraźnie skórę bladą niczym mleko. Włosy w nieładzie, choć upięte na modłę samurajską nie były wygolone. Ich kolor zadziwiał, gdyż przypominały śnieg pokrywający zbocza góry.

Tym samym mężczyzna wyglądał trochę jak demon z teatru *kabuki*, którego widzieli podczas festiwalu w mieście.

Zmęczenie wkrótce wzięło górę nad rodziną, a sen ukoił nerwy. Lecz Keiko nie potrafiła zasnąć, ponieważ tajemnicze lekarstwo z każdą chwilą ciążyło jej coraz bardziej. W końcu nie wytrzymała. Podpełzła do matki, wyjęła buteleczkę i odkorkowała. Mdły aromat żelaza i rdzy uderzył w nozdrza. Zawahała się, ponieważ nie wiedziała, czy lekarstwo nie okaże się również trucizną. Postanowiła wypróbować je na nieznanym. Przyłożyła buteleczkę do jego sinych ust i skropiła je odrobiną gęstego płynu. Z początku nic się nie działo, lecz nie minęła chwila, a dał się słyszeć dziwny dźwięk, jakby trzaskanie kości. Mężczyzna jęknął z bólu. Jego ciało drgnęło, wyprężyło się, a dłonie poruszyły palcami. Rany wyzierające spod porwanego kimona zaczęły się zamykać. Był to wystarczający dowód. Keiko z ekscytacją odwróciła się do matki.

– Nie... – jęknął nieznajomy. – Proszę, nie rób tego.

– Muszę, proszę pana – odparła z bólem.

Przełknęła ślinę i wlała matce do ust całą zawartość buteleczki. Niemal natychmiast matka nabrała rumieńców, otworzyła oczy i uśmiechnęła się, choć uśmiech ten zbroczony był czerwienią dziwnego eliksiru.

– Dziecino moja – powiedziała. – Jak ty wyglądasz? Brudna cała jesteś...

– Jak się czujesz, mamó?

– Dobrze. Jakby choroba nagle odeszła – matka usiadła bez wysiłku. – Tylko... czemu czuję w ustach smak krwi?

Keiko zadrżała słysząc te słowa. Spojrzała na buteleczkę, w której została ostatnia kropla gęstego płynu. Z przerażeniem zerknęła również na nieznanego wojownika. Leżał na materacu dochodząc do siebie. Wciąż słaby, lecz przytomny, patrzył w sufit, a po jego bladych policzkach płynęły łzy.

Dobiegający z zewnątrz rumor wstrząsnął domem. Brzmiało to, jakby dookoła spadały ciężkie głazy. Niespokojne bydło zawodziło żałośnie, a okrzyki paniki świadczyły, że inni mieszkańcy wioski również zostali zaalarmowani. Dopiero potworny ryk ogra sprawił, że Keiko pojęła, co się dzieje. Wpadła w objęcia matki łkając w przerażeniu.

Przebudzony Kenichi wybiegł przed dom. Mieszkańcy wioski panicznie biegali wokół swoich domostw łapiąc za wiadra i nabierając do nich wody ze studni. Tuż za wioską, na środku pola spostrzegł ogromną sylwetkę ogra. Na powrót miał obie ręce, a w ziemi tuż obok niego tkwił wbity ogromny miecz. *Oni* podnosił głazy, a te w jego rękach zamieniały się w wielkie kule płonącej lawy. Następnie ciskał je, z potworną precyzją trafiając w budynki wioski, które natychmiast stawały w płomieniach.

– Oddajcie mi go! – grzmiał, aż ziemia się trzęsła. – Oddajcie go natychmiast, albo wszyscy zginiecie!

Czerwona luna pożarów oświetlała okolicę, rzucając się krwawą poświatą na paskudnie uśmiechniętego ogra.

Kierowany gniewem chłopiec sięgnął po widły. Już miał ruszyć w kierunku napastnika, lecz zatrzymała go blada dłoń zaciśnięta na ramieniu.

– To mnie chce – powiedział nieznajomy głosem pełnym zmęczenia i bólu, lecz przepełnionym również zimną determinacją.

Minął chłopca i ruszył w stronę ogra. Szedł wolno, a przez jego ruchy przeziebrał ból. W lewej dłoni ścisnął miecz schowany w pochwie. Po drodze zdjął z ramion górę kimona, aby nie krępowała mu ruchów. Z rozwianymi włosami sam wyglądał jak demon. Na jego widok ogr przestał ciskać głazy. Sięgnął po własną broń – ogromne *nodachi*, które w jego rękach wyglądało jak zwykły miecz.

– Co ci się stało, demonie? – nieznajomy szepnął ze współczuciem. – Jaki ogrom cierpień i przelanej krwi sprawił, że z dumnego wojownika stałeś się ... tym czymś?

Wyglądał słabo, blady i przygarbiony, lecz nie lękał się, choć oni górowali nad nim.

– Zdrada. Kłamstwo. Morderstwo. Ludzkie wynalazki doprowadziły do tego. Powinieneś to rozumieć *gaijinie*. Uratowałeś te dzieci, a one i tak cię okradły. Niemal umarłeś dla nich, a mimo tego zostałeś zdradzony. Przyłącz się do mnie. Razem wymierzymy im sprawiedliwość. Wszyscy dostaną to, na co zasłużyli.

Nieznajomy zerknął w kierunku chaty, z której wyszedł. Kenichi stał tam, a za nim przez otwarte drzwi widać było Keiko wtuloną w ozdrowiałą matkę. W dłoniach ciągle ścisnęła jego pusty już wisior. Ojciec rodziny pomagał innym chłopom gasić pożary.

– Wszystko sprowadza się do wyborów, demonie – wojownik odparł z bólem w głosie. – To dziecko już rozumie, czym jest poświęcenie dla kogoś bliskiego. Ozdrowienie matki opłaciła bólem, strachem i grzechem, który będzie ją prześladował. Czego się nie robi dla matki?

– Spójrz na siebie *gaijinie*. Czuję od ciebie krew, a w niej moc kogoś, kto jest potężniejszy od ciebie. Sam nie jesteś lepszy ode mnie. Jesteś *akuma* – upiorem. Zgubisz tych ludzi.

– Sami się zgubią. Nie potrzebują naszej pomocy... Kończmy to.

Pojedynek rozpoczął się od wymiany najszybszych technik. Przeciwnicy skoczyli ku sobie, ostrza świsnęły, lecz żadne nie trafiło. *Oni* odwrócił się i ciał na odlew, lecz wojownik uchylił się przed ciosem. Śmignął pod klingą, zrobił piruet akurat, by chwycić rękojeść krótszego miecza, wciąż wystającą z barku ogra. Wyszarpnął klingę i niepomny na ryk demona, uskoczył poza zasięg jego broni. Znowu stanęli twarzą w twarz. Zamarli wzajemnie czekając na ruch tego drugiego. Uspokajali oddechy, studzili emocje mierząc swoje szanse na zwycięstwo skupione na jednym, może dwóch technikach...

W tym bezruchu obaj prezentowali mistrzostwo miecza, tocząc walkę w swoich umysłach, dostosowując delikatne niuanse pozycji, chwytu broni, ustawienia stóp i bioder. Uderzyli niemal jednocześnie. Ogr do przodu, nieznajomy w bok. Minęli się i zatrzymali z mieczami trzymanymi przed sobą. Znowu zamarli niczym posągi wielkich wojowników. Oni opuścił klingę. Białowłosy wojownik stał zaś z mieczami rozłożonymi na boki, niczym skrzydła pięknego lecz śmiertelniegroźnego ptaka.

– Ludzie nigdy się nie nauczą – mruknął *oni*. – Już jutro dziewczynka zapomni co zrobiła, żeby uratować matkę. Będzie się cieszyła jej zdrowiem, choć tak naprawdę zasłużyła, by spotkała ją kara. Kiedyś będzie się tym chęłpić, jak cię przechytrzyła. Tacy są ludzie.

– Ludzie uczą się na błędach – odpowiedział wojownik. – A żeby popełnić błąd należy podjąć wcześniej wybór, czasem wbrew sobie. Bo wszystko jest kwestią wyboru, nawet to, że odrzuciłeś człowieczeństwo by stać się bestią siejącą terror. Miałeś dosyć ludzi i ich przywar, więc postanowiłeś przestać być człowiekiem. Ja tak nie postąpię.

Ogr zachwiał się. Jego wielkie cielsko zważyło się na ziemię, a ostatnie tchnienie uciekło z głęboko rozciętej piersi. Wojownik strzepnął krew z miecza i zawinął ostrzem w powietrzu zręcznie chowając je do lakierowanej pochwy.

Dopiero wtedy zadrżał i wycieńczony upadł na kolano. Odetchnął z bólem ale i ulgą. Byli bezpieczni.

Minęło kilka dni, zanim wojownik doszedł do siebie. W tym czasie mieszkańcy wioski naprawili zniszczenia poczynione przez ogra i powoli próbowali zapomnieć o chwilach grozy. Choć byli wdzięczni za pomoc, omijali dziwnego gościa, jakby on również był *oni*. Wiśnie zakwitły, a ich różowo-białe płatki porywała nadmorska bryza.

Kenichi wraz z rodzicami pracowali na polu, śmiejąc się i delektując piękną pogodą. Matka wyglądała zdrowo, nie oszczędzała się, a nawet popędzała syna i męża, aby się nie ociągali. Keiko dotrzymywała towarzystwa wojownikowi, pijąc z nim herbatę na werandzie domostwa.

– Przepraszam, że pana okradłam – odezwała się cicho. – Ja... musiałam. Nie jestem z tego dumna, choć uśmiech mamy sprawia, że czuję... że było warto.

– Nie przepraszaj. Czasami serce nie daje nam wyboru. Czasami, aby uratować ukochaną osobę, trzeba robić wszystko co w naszej mocy, nawet, jeżeli boli nas sumienie. Musimy żyć z naszymi wyborami. Być gotowym oddać wszystko i w każdej chwili za to, co kochamy.

– Ten płyn to była krew, prawda?

– Nie do końca – nieznajomy odparł pochylając głowę w refleksji. – To był czas, jaki miałem by stać się najlepszą wersją siebie. Czas, który mi odebrałaś, ale ofiarowałaś swojej

matce. Myślę, że będzie go teraz miała pod dostatkiem, ale ostrzegam, że kiedy się skończy, choroba wróci i nic już jej nie zatrzyma.

Dziewczynka posmutniała, lecz widok pełnej rodziny i śmiech niesiony przez wiatr łagodził obawy. Przywitała go zupełnie jak ciepły wiatr pieszczący jej twarz płatkami wiśni.

– Jak długo? – zapytała tonem zbyt poważnym jak na swój młody wiek.

– Dni, miesiące, lata... Ta moc na każdego działa inaczej, ale nie uratuje jej przed niebezpieczeństwami życia. Dałaś jej czas, ale w życiu nie ma nic pewnego. Musisz to zrozumieć. Jadowity wąż, upadek, czy inne nieszczęście może ci ją odebrać w każdej chwili.

– Kto dał ci ten wisior?

– Pani mojego serca – odpowiedział patrząc w dal. – Wiele lat temu przybyliśmy tu z dalekich krain. Poznawaliśmy tutejsze zwyczaje i kulturę. Rozdzielono nas wbrew naszej woli. Teraz szukam jej, szkoląc się, by sprostać temu, który ją więzi.

– Czemu szukałeś ogra?

– Szukałem nauczyciela. Ten *oni* był kiedyś wielkim wojownikiem. Chciałem, aby mnie nauczył swojej sztuki. Nauka, którą wyciągnąłem z tego spotkania jest daleka od tego, czego oczekiwałem, ale chyba równie cenna. Myślę, że to nas łączy.

Keiko oddała buteleczkę. Wojownik przyjął ją i nałożył łańcuszek na szyję. Ze smutkiem i cieniem strachu spojrzął na ostatnią kroplę, jaka została na dnie.

– Mój czas się kończy – westchnął.

– Co to znaczy?

– Tylko tyle, że nie mam go więcej. Koniec przygotowań. Koniec poszukiwań. Czy tego chcę czy nie, muszę działać. Muszę ruszać w drogę, póki cokolwiek jest jeszcze we mnie. Keiko uśmiechnęła się w ten sposób, w jaki mogą uśmiechać się małe dzieci. Lecz uśmiechnęła się tylko ustami, bo w oczach czaiła się burza emocji, właściwa o wiele bardziej dojrzałym osobom.

– Nadal nie wiemy, jak się do ciebie zwracać. Jak mamy cię nazywać, kiedy przyjdzie wspomnieć twoje imię? Za czyją pomoc mamy dziękować bogom?

– Moje imię nie ma znaczenia – odparł, po czym zmienił zdanie.

– Co znaczy Hakuchō?

– Łabędź – Keiko wyciągnęła z rękawa dary, jakie przygotowała jeszcze przed wyprawą w góry. Wyschnięty kwiat i papierowego łabędzia. Deser już dawno zjadła.

Mężczyzna przyjął prezent i skłonił się uprzejmie.

– Niech i tak będzie.

Projekt

Maria Peplińska

Kiedy lekcja rysunku dobiegła końca, Mei nie była w stanie spojrzeć w oczy swojej nauczycielce. Kartka, na której miała namalować projekt latawca, była pusta.

– Och Mei... Znów nic nie narysowałaś! Co się dzieje?

– Nie wiem – po policzkach dziewczynki spłynęły łzy. – Za każdym razem, gdy biorę do ręki kredkę... jest zupełnie tak, jak gdyby moja wyobraźnia nie chciała współpracować z dłonią, która ją trzyma...

– Rozumiem, że chcesz, żeby twoja praca była idealna, ale aby miała choć najmniejsze szanse się taką stać, musisz w ogóle zacząć ją tworzyć – powiedziała pani Xianmei marszcząc brwi, a następnie powtórzyła jedno z haseł, które zdobiło ścianę sali lekcyjnej. – Uczeń nie może się bać, że coś mu nie wyjdzie. Powinien być odważny i próbować tak długo, aż dojdzie do perfekcji.

– Wiem... Ja... – Mei pociągnęła nosem. – Postaram się. Obiecuję.

– W takim razie liczę, że twoja praca jutro rano znajdzie się u mnie na biurku. – Pani Xianmei jak zwykle była nieprzejednana. – Kończymy nabór na szkolny konkurs na

projekt latawca z okazji Międzynarodowego Festiwalu Latawców i chcę, byś wzięła w nim udział.

– Dobrze – powiedziała Mei, a następnie zawstydzona z powrotem usiadła na krześle.

Musiała skupić się na kolejnej lekcji, a sprawę projektu latawca zostawić do czasu, aż wróci do domu. Dopiero gdy późnym popołudniem znalazła się poza bramą szkoły, znów pomyślała o czekającym ją zadaniu.

Nie rozumiała, dlaczego nie potrafi stworzyć rysunku. Przecież uwielbiała festiwal latawców. Co roku, wraz z babcią szła obserwować niebo nad Weifang, które tego dnia stawało się tłem dla fruujących po nim stworzeń i figur. Mei najbardziej podobały się ośmiornice, smoki i koniki morskie. O tak! Jakże wspaniale byłoby narysować smoka. Dziewczynka przymknęła oczy i wyobraziła sobie długi jak u węża tułów, ogon ryby i twarz wielbłąda, którą wieńczyły by rogi wołu. I jeszcze dwie pary orlich szponów. I uszy byka i...

– Ojej! – zamyślona nie zauważyła nierówności na drodze i upadła.

– Czy coś się stało? – tuż obok niej pojawił się pan Chang, który prowadził sklepik z różnościami.

– Chyba zdarłam sobie kolano – powiedziała Mei, próbując się podnieść.

– Poczekaj, pomogę ci – mężczyzna podał jej rękę i dźwignął. Kiedy dziewczynka stanęła i otrzepała z kurzu spódniczkę mundurka zobaczyła ranę, z której płynęła krew. Skrzywiła się.

– Trzeba to opatrzyć – powiedział pan Chang mrużąc oczy tak, że jego twarz pokryła się siateczką drobnych zmarszczek. – Chodź ze mną. W sklepie mam apteczkę. Zdezynfekujemy ranę i założymy opatrunek. Mei skinęła głową i pokuśtykała za nim.

Kiedy otworzył drzwi do sklepu, do uszu dziewczynki doleciał odgłos małych dzwoneczków zawieszonych nad wejściem, a do nozdrzy dotarł różany zapach kadzidelka. Mei z ciekawością rozejrzała się po wnętrzu. Na półkach znajdowały się miniaturowe rzeźby z korka, papierowe lampiony, kadzidla i gurdy. Mężczyzna zniknął na zapleczu, by po chwili wrócić z apteczką.

– Usiądź – powiedział wskazując na niewielki drewniany stół.

– Dziękuję, że mi pan pomaga – Mei skrzywiła się nieco, gdy połał jej kolano płynem do dezynfekcji.

– Twoja głowa musiała być mocno w chmurach, skoro nie zauważyłaś tej nierówności – powiedział pan Chang przyglądając się jej badawczym wzrokiem.

– Myślałam o latawcu – przyznała Mei, a potem, opowiedziała mężczyźnie o swoim problemie. – W głowie mam piękną wizję... ale gdy tylko biorę kartkę papieru, to... Wszystko nagle znika.

– Potrzeba ci magicznych kredek. Poczekać chwilę – powiedział pan Chang, a następnie znów zniknął za drzwiami prowadzącymi na zaplecze.

Kiedy wrócił, w rękach niósł niewielkie metalowe pudełko. Podał je Mei, a kiedy ta uchyliła wieczko, jej oczom ukazało się dwanaście kredek w standardowych kolorach. Nie były to jednak nowe, długie kredki, jakie zwykle sprzedawane są w sklepach. Te były używane.

– Kiedy zaczniesz rysować, zrozumiesz – powiedział mężczyzna, a następnie pomógł jej wstać ze stołka.

– Bardzo panu dziękuję – Mei nie wiedziała, co powinna myśleć o tak osobliwym prezencie, ale nie chciała urazić uczuć pana Chang. Wsunęła więc pudełko kredek do ciężkiego plecaka i pożegnawszy się z mężczyzną, ruszyła do domu. Babcia czekała na nią na ganku.

– Wiedziała, że coś musiało się stać! – powiedziała, spoglądając na kolano wnuczki. – Inaczej, już dawno byłabyś w domu.

– To tylko zdarte kolano – Mei zostawiła plecak w swoim pokoju, a następnie umyła ręce i ruszyła do kuchni, gdzie czekały na nią pierożki Dim Sum. Chwyciła w dłonie pałeczki i zaczęła jeść, opowiadając o tym, co działo się w szkole.

– Mam nadzieję, że przygotujesz piękny rysunek – powiedziała jej babcia popijając jaśminową herbatę. – Twoja nauczycielka ma rację. Uczeń musi próbować tak długo, aż osiągnie perfekcję.

Słyszając te słowa, Mei westchnęła. Z jednej strony nie chciała zawieść pani Xianmei i babci, z drugiej zaś, nie wiedziała czy jej się uda przygotować pracę.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju wyciągnęła blok z czystymi kartkami i kredki. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie smoka. Miał stopy tygrysa i dwie pary orlich szponów. Mei chwyciła czarną kredkę by narysować to co podpowiadała jej wyobraźnia, ale ręka znów nie chciała jej słuchać.

Ocierając łzy wierzchem dłoni, Mei pomyślała o magicznych kredkach podarowanych jej przez pana Changa. Sięgnęła po metalowe pudełko i wyciągnęła czerwoną. Była wypisana w jednej trzeciej i wyraźnie wymagała ostrzeżenia. Mei przygotowała ją, a następnie znów zamknęła oczy. Nagle poczuła spokój i ukojenie. Przytknęła kredkę do papieru i pociągnęła pierwszą kreskę. A potem kolejną i kolejną. Pracowała jak w transie. Uszy byka, zielono-niebieski rybie łuski, oczy demona. Jej smok nabierał kształtu i barw.

– Qing Long – Wyszeptała Mei spoglądając na rysunek, który przedstawiał smoka – opiekuna Wschodu. Wtem poczuła na sobie wzrok stwora. Zamrugła sądząc, że coś jej się przewidziało, ale smok prężył się i rozciągał na jej oczach. Mei zamarła.

– To niemożliwe! – wyszeptała, gdy wtem małe języki ognia buchnęły mu z pyska.

- Przepraszam! – powiedział smok przekrzywiając łeb w jej kierunku.
- Ty... Ty nie możesz być prawdziwy! – Mei spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami.
- Ja.. Ja cię tylko narysowałam...
- Stworzyłaś mnie. – Poprawił ją stwór. – Dzięki tobie zionę ogniem, a moje łapy zakończone są pazurami – Qing Long uniósł przednią kończynę i z uznaniem spojrzał na zakrzywiony szpon.
- To te magiczne kredki! – Dziewczynka z głośnym brzękiem zamknęła metalowe wieczko pudełka.
- To raczej twoja wyobraźnia – odpowiedział jej smok przemieszczając się po kartce papieru. Już miał zamiar wskoczyć na biurko, gdy Mei zaprotestowała.
- Nie! Nie rób tego! Proszę! – powiedziała widząc na co się zanosí.
- Czemu? – zapytał smok łypiąc na nią jednym ze swoich ognistych oczu.
- Miałeś być moim projektem latawca! Jeśli teraz sobie pójdiesz to... To znów oddam pani Xianmei pustą kartkę!
- Och! Więc chcesz żebyśmy tutaj zostali? – smok skrzywił się na samą myśl, że miałby to zrobić.
- A mógłbyś? – zapytała z nadzieją dziewczynka.
- Nie bardzo mi się to podoba... – odparł kręcąc łbem. – Życie jest zbyt piękne, żeby spędzić je w jednym miejscu.

– Ojej... I co ja teraz zrobię? – Zapytała Mei widząc, jak smok zeskakuje z rysunku na biurko, a potem podpierając się na łapach, pełnie w stronę łóżka.

– Mam pomysł – mruknął smok. – Spróbuj narysować mnie jeszcze raz, tylko tym razem zwykłymi kredkami. W ten sposób ja będę wolny, a ty... Ty oddasz pracę tak, jak to obiecałaś nauczycielce.

– A jeśli mi się nie uda? – zapytała Mei.

– Nie chcę wrócić na tą kartkę – odpowiedział smok moszcząc się na poduszce. – Jest tam strasznie nudno.

– Dobrze, spróbuję – powiedziała dziewczynka drżącymi palcami sięgając do piórnika, gdzie znajdowały się jej zwykłe kredki.

Obawiała się trochę, że dłoń znów odmówi jej posłuszeństwa, ale tym razem nic takiego nie miało miejsca. Ośmielona i dopingowana przez Qing Longa raz po raz sięgała do swoich zwykłych, niemagicznych kredek, rysując kolejny obrazek. Kiedy skończyła, na niebie świeciły już gwiazdy, a powieki opadały jej ze zmęczenia.

– Dziękuję – Smok nakrył ją kołdrą, ale Mei nie słyszała już jego słów. Odpłynęła w sen.

Następnego dnia, kiedy babcia obudziła ją do szkoły, Mei nerwowo rozejrzała się po pokoju. Szukała wzrokiem Qing Longa, ale nigdzie go nie było. Na szczęście, na biurku pośród mniej lub bardziej udanych szkiców, wciąż leżał rysunek, na

którym widniał smok narysowany przez nią zwykłymi kredkami. Odetchnęła więc głęboko i ruszyła do szkoły. Kiedy zaniósła projekt pani Xianmei, nauczycielka pokiwała głową.

– Mówiłam, że uczeń powinien być odważny i dążyć do perfekcji
– powiedziała wieszając pracę w gablocie. Mei skinęła głową i wróciła na swoje miejsce.

Podczas lekcji, co jakiś czas zerkiała na swój rysunek. Narysowany przez nią smok nie był tak idealny jak Qing Long, narysowany magicznymi kredkami, ale i tak była z siebie dumna. Kiedy pani Xianmei znów nakazała wyjąć przybory do rysunku, Mei, przełknęła ślinę.

– Dziś będziemy rysować jeden z symboli naszego państwa – powiedziała nauczycielka wyświetlając na monitorze pandę wielką.

Widząc ten obrazek, Mei niezwłocznie sięgnęła po swoje zwykłe kredki. Bała się, że jeśli użyje tych magicznych, panda ożyje i zacznie biegać po klasie, a tego by nie chciała. Wzięła więc zwykłą czarną kredkę, przyłożyła ją do kartki papieru i pociągnęła pierwszą kreskę. A potem kolejną i kolejną, aż do momentu, kiedy z kartki zaczął spoglądać na nią czarno-biały niedźwiadek. Kiedy zaś lekcje dobiegły końca, Mei ruszyła do sklepu pana Changa.

– Jesteś! – powiedział mężczyzna zapalając różane kadzidelko.
– Mam nadzieję, że z kolanem wszystko w porządku.

- Tak, dziękuję – odpowiedziała Mei, a następnie zdjęła z ramion plecak. – Przyszedłam oddać panu magiczne kredki.
- Ach, tak? – zapytał.
- Tak... ja ...Ja już ich nie potrzebuję.
- W takim razie spełniły swoje zadanie – powiedział odbierając od dziewczynki metalowe pudełko.
- Są nieco krótsze niż były – Mei zawstydydziła się.
- Nie szkodzi – odparł mężczyzna. – Jestem pewien, że pomogą jeszcze wielu dzieciom.
- Jeszcze raz dziękuję! – powiedziała dziewczynka i pożegnawszy się pobiegła do domu, gdzie czekała na nią babcia.

Kobieta z zachwytem słuchała o projekcie Mei i jej kolejnym rysunku. A kiedy nadszedł festiwal latawców, jak zwykle, zabrała wnuczkę na wspólne oglądanie kolorowych figur frunących po niebie. Gdy zaś dziewczynka oddaliła się by zakupić pieczoną gruszkę w karmelu, staruszka podeszła do pana Chang.

- Czy naprawdę ma pan na sprzedaż magiczne kredki? – spytała.
- Droga pani, niektóre rzeczy muszą stać się magiczne, żeby mogły komuś pomóc – odparł pan Chang wpatrując się w sunącego po niebie smoka, którego zielono-niebieskie łuski skrzyły się w słońcu. Zmrużył oczy próbując dostrzec zawodnika, który trzymałby linkę, ale nikogo nie dostrzegł.

Wojownik

Adam Hetmański

Krew była wszędzie. Niemal wylewała się z buddyjskiej świątyni. Samuraj opuścił miecz. To wszystko. Daimyō nie żyje. Zemsta dopełniona. Gniew w oczach mężczyzny powoli słabł. Adrenalina wypełniająca jego żyły puszczała. Wykrzywiona w złości twarz stała się bezbarwna i nijaka. Mięśnie zwiotczały. *Katana* upadła na podłogę. Jesienny wiatr, wpadłszy przez wyłamane wrota, rozwał pozlepiane krwią włosy Akihiro, który kilkanaście sekund temu stał się roninem. Martwa cisza, mącona tylko spokojnym szumem liści w koronach drzew, była coraz bardziej intensywna. Zdawało się, jakby świątynia wysysała z zewnątrz wszelkie dźwięki, by dać w spokoju napawać się samurajowi jego odwetem.

Mężczyzna rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby nie poznawał wnętrza. Potem spojrzał na swoje ręce pokryte szkarłatnymi wstęgami. Upadł na kolana z donośnym płacnięciem. Wiedział, co teraz musi zrobić. Czym musi zapłacić za dokonaną zemstę. Śmierć *daimyō* nie dała mu radości, ani spełnienia. Nie czuł też żadnej ulgi, ani jakiegokolwiek satysfakcji. Przez ostatnie pięć dni gniew był jego jedynym żywicielem, a gdy zniknął... samuraj nie czuł już nic.

– Złamałem zasady kodeksu *bushidō* – wypowiedział głośno i stanowczo, jednak jego głos był pusty.

Zemsta dokonana. Nie miał już pana. Stracił honor i cel. Stracił rodzinę. Nie zostało już nic. Akihiro zdjął swój hełm. Spojrzał w oczy splamionego krwią posążka na ołtarzyku. Potem przeleciał wzrokiem po podłodze usłanej krwią i truchłami brutalnie zamordowanej straży. Aż w końcu wejrzał w głęboko osadzone oczy przerażonej twarzy swego pana, z rękojeścią *tantō* wystającą z czoła. Spuścił głowę i odetchnął głęboko.

W ciszy rozwiązywał sznurki mocujące kolejne zrzucone przez siebie elementy zbroi. Potem zdjął kimono i rozdarł cienką koszulę, odsłaniając wychudły od głodu tors. Samuraj sięgnął do pasa, powoli wysunął z pochwy *wakizashi*. Skierował wzrok na swoje odbicie w lśniącej klindze krótkiego miecza. Ujrzał twarz splamioną krwią. Pozbawioną honoru. Chudą i martwą od środka. Zamknął oczy, nie mogąc dłużej wpatrywać się w ten gorzki obrazek. Sprawnie obrócił klingę pomiędzy palcami, kierując jej czubek do siebie. Jeszcze mocniej zacisnął powieki, nie chcąc dopuścić, by łzy wydostały się na zewnątrz. Zacisnął palce na rękojeści tak mocno, że aż pobielaly. Nie zostało już nic. Silnym szarpnięciem wbił ostrze w brzuch. Jego mięśnie napotkały dziwny opór. Akihiro nie wiedział, czy tak ma być. Nigdy wcześniej nie próbował się zabić. Ze strachem i niepewnością otworzył oczy. Z trudem powstrzymał się od

krzyku, gdy dostrzegł parę dłoni zaciśniętych na swoich nadgarstkach.

– Jeszcze nie czas – powiedział nieznanemu mu człowiek, który wyglądem był podobny do każdego, ale jednocześnie do nikogo. Nawet jego głos mógłby spokojnie być uznany zarówno za głos kobiety, jak i mężczyzny.

– Nie czas...? – powtórzył tępo Akihiro, do końca nie wiedząc, czy już umarł, a człowiek jest senną, pośmiertną marą, czy życie jeszcze tli się w jego piersi.

– Udaj się na zachód od Edo. Obmyj się w strumieniu Kusuri. Wtedy podejmiesz decyzję.

Ronin silnie potrząsnął głową. Wszystko stracone, żaden strumień, nawet cała rzeka nie pomoże. Teraz, czy później... nie ma różnicy. Przełknął ślinę i jeszcze mocniej ścisnął rękojcę.

– Jestem *roninem*. Nie będziesz mi rozkazywał. Nie mam już pana.

Ponownie zamknął oczy i z całej siły wbił *wakizashi* w brzuch. Jednak zamiast nadzieć się na idealnie naostrzoną klingę poczuł mocne uderzenie. Mimowolnie jęknął z bólu, opadł na bok i wyjrzał przez uchylone powieki. Otrzeźwiał w jednej chwili. Ze zgrozą wymieszaną z niedowierzaniem spostrzegł, że ostrze jego krótszego miecza skryte było w pochwie.

– Neeee... – zamruczał lekliwie.

Rozejrzał się wokół, ale tajemniczy człowiek zniknął bezpowrotnie.

– Czyżbym stracił rozum? – jęknął *ronin*.

Powoli podniósł się z ziemi, jeszcze raz ogarnął wzrokiem urządzoną przez siebie masakrę i zamarł na moment. Tuż przed nim, w miejscu, w którym stał nieznajomy, widniały dwa odbite we krwi ślady stóp. Nigdzie indziej, tylko w tym jednym miejscu. Człowiek nie był wytworem jego umysłu.

Akihiro miał wrażenie, że zrobiło się zimno. Słońce zaszło chmurami, a wiatr zahuczał gniewnie, rozbijając się o dach świątyni. “Jeszcze nie czas” – rozbrzmiało mężczyźnie w głowie. Dreszcze przebiegły po jego ciele. Podniósł z ziemi swoją *katanę* i szybkim krokiem wyszedł ze świątyni. Minął koniowiąż, przy którym wciąż stały wierzchowce osobistej gwardii *daimyō* i podszedł do swojego rumaka, czarnego jak noc ogiera.

– Jestem, Ren, już jestem.

Koń parsknął pytająco, na co samuraj uśmiechnął się słabo.

– Zostawiłem w świątyni. Nie jestem już takim samym samurajem, jak wcześniej. Nie będę nosił zbroi danej mi przez pana, którego zamordowałem. Ren wierzgnął z zapalem.

– Nie wiem, co teraz – westchnął Akihiro. – Zawsze miałem pana, rozkazy... miałem komu służyć. A teraz wszystko stało się jakieś... nierealne. Mam wrażenie, jakbym śnił koszmar –

mówiąc to obejrzał się za siebie, jakby spodziewał się dostrzec coś więcej niż trupy strażników przy wejściu.

– Nie śnisz.

– Jasne, dla ciebie wszystko takie proste, Ren. Samuraj odetchnął, odwrócił się i skamieniał, dopiero teraz rozumiejąc, kto mu odpowiedział.

– Czy ty właśnie...? – zwrócił się do konia.

– Nie on – odparł wysoki głosik.

Przed jego twarzą, w powietrzu zapłonął mały, zielonkawy płomień, który wydawał się mieć kształt malutkiego człowieczka z karykaturalnie dużą głową. Akihiro przetarł oczy, ale to nic nie dało. Podejrzanie ludzki płomień wciąż był w tym samym miejscu, ustawiony w dość dziwacznej pozie.

– O co chodzi? – mruknął samuraj, bardziej do siebie, niż do kogokolwiek innego. Nawet nie liczył na odpowiedź, ale ją otrzymał.

– Kieruj się na południe – odparł spokojnym głosem człowieczek.

Akihiro potrzebował dłuższej chwili, by przetrwać istnienie tego dziwnego, drobnego bytu. Gdy już to zrobił, jedyne, co zdołał wykrztusić to:

– A nie na zachód?

Człowieczek pokręcił główką z dezaprobatą i dwukrotnie się w nią popukał.

– Jak chcesz jechać przez las, a nie traktem to proszę bardzo – fuknął płomyk i wskazał ręką w stronę bambusowej puszczy.

Akihiro zachichotał nerwowo. W jego głowie pojawiła się odpowiedź na wszystkie dręczące go teraz pytania. Po prostu spał, a wszystko było snem. Może nawet wyśnił całą zemstę. Samuraj zaczął bić się po nogach, po twarzy, szczypać i klepać. Z każdą chwilą był coraz bardziej przerażony, bo wszelkie próby przebudzenia kończyły się fiaskiem, a ból, który sobie sprawiał, był jak najbardziej rzeczywisty.

– Czemu się nie budzę?! Umarłem?! – krzyknął z trwogą.

– Żyjesz – westchnął płomień. – I nie śnisz, już mówiłem... Czemu zawsze tak reagujecie? Ostrzegł mnie, ale wciąż nie rozumiem. Zamiast po prostu uwierzyć, zaakceptować rzeczywistość, to szukacie problemu...

– Zawsze? Kto ostrzegł? Co to znaczy?

– Masz dotrzeć nad strumień Kusuri. A ja mam tego dopilnować. Zrozumiałeś?

– Kto tak powiedział? Kim w ogóle jesteś?

– Nieważne kim jestem, a kto powiedział wiesz. Wtedy też nie śniłeś. On jest prawdziwy.

– Kim jest “On”?

Płomyk zrobił ruch głową jakby przewracał oczami.

– Jedźmy wreszcie. Jak ruszysz teraz to zdążysz uciec przed deszczem. Właściwie zdążymy. Nie lubię deszczu.

Akihiro roześmiał się. Jednak nie z żartu, tylko historycznie, nie rozumiejąc co sprawiło, że tak szybko, w ciągu dosłownie kilkunastu minut, całkowicie oszalał. Zdecydował, że od teraz będzie ignorował płomyka, bo nawet jeśli oszalał, to musi być jakiś sposób, by z szaleństwa się wydostać. A bezwarunkowa akceptacja takiego stanu rzeczy z pewnością nie jest najlepszym pomysłem. Może i pojedzie na zachód, kierując się wskazówkami małego człowieczka, ale tylko dlatego, że nie umie znaleźć sobie lepszego celu. Wszelkie inne aktywności płomienia będzie ignorował.

– Ruszaj się.

– Przecież... – samuraj ugryzł się w język, przybrał obojętny wyraz twarzy i wskoczył na konia.

Jechał we wskazywanym przez płomyka kierunku w całkowitej ciszy. Nawet podobała mu się taka jazda, nie musiał patrzeć na mapę, tylko sunął bezmyślnie za unoszącym się przed nim płomienistym człowieczkiem.

– Miałeś rację – zamruczał pod nosem Akihiro. – Gdybyśmy nie ruszyli od razu, to by nas złapało. Za jego plecami niebo było całkowicie zasłonięte zwalami burzowych chmur, wydającymi z siebie złowrogie pomruki.

– Słyszałeś? – mężczyzna odwrócił się w stronę kierunku jazdy i spochmurniał. Płomyk zniknął.

Przez te kilka godzin wspólnej drogi Akihiro przewyciężył w sobie wewnętrzną niechęć wobec tego dziwnego stworka i wbrew sobie i wszystkiemu w co dotychczas wierzył, przyznał, że jednak jest prawdziwy. Teraz okazało się, że jednak nie był, a *ronin* całą drogę rozmawiał sam ze sobą.

– Świetnie – mruknął pod nosem.

– Co świetnie? – zabrzęczało mu koło ucha.

Akihiro podskoczył i spojrzał na swojego małego przyjaciela. Uśmiechnął się mimowolnie.

– Wszystko świetnie... Czemu stanąłeś?

– Warto będzie rozłożyć obóz. Już prawie północ.

Samuraj dopiero teraz zdał sobie sprawę, że czuje silne znużenie podróżą, a dolną część ciała miał niemal całkowicie odrętwiałą od jazdy. Mężczyzna spojrzał na jaśniejący w górze księżyc i odetchnął głęboko.

– Sto kenów na północny wschód jest strumień. Dobrze by było jakbyś się umył.

Akihiro spojrzał po sobie i zmarszczył twarz. Wciąż był oblepiony krwią. Może dlatego dwójka spotkanych na szlaku podróżnych była tak wystraszona. Poza tym wyglądanie jak zabójca *daimyō* to ostatnia rzecz, którą powinien robić zabójca *daimyō*.

– Racja – zgodził się ronin. – Zostań tu, Ren – wyrzekł do konia, a potem wskazał na płomienistego człowieka – A ty rozpał ognisko.

Zsiadł z konia, rozciągnął się i ruszył we wskazanym przez przewodnika kierunku. Już po kilku chwilach kluczenia między starymi jak świat pniakami usłyszał wesoły plusk wody leśnego strumienia. Szybko zrzucił z siebie łachmany i dokładnie zmył wszelkie ślady walki. Poczuł draśnięcie na lewym policzku, sprawione przez jednego ze strażników zmarłego pana. Uśmiechnął się do siebie. Mistrz Masashi, gdyby nie to, że cała walka była wbrew kodeksowi *bushidō*, byłby dumny. Miecz latał jak piorun, każdy z ciosów był dokładny, silny i nie dawał szansy na udaną kontrę.

– Gdybym walczył z wrogiem, a nie z własnym panem – mruczał do siebie. – To ta potyczka przeszłaby do historii jako... – przerwał na moment. Gwieździste niebo mącił niezbyt odległy dymny słup. Wioska. Będzie można przespać się w normalnych warunkach, nie na twardej ziemi.

– Achh... – jęknął, wspominając swoje kilka ostatnich noclegów w pościgu za *daimyō*. Akihiro narzucił na siebie zniszczone ubrania, przypasał miecze i ruszył drogą powrotną.

– Jedziemy tam – rzucił na powitanie, wskazując niebo. – Ren umiera z głodu, ja ze zmęczenia. A wioskę mamy tuż pod nosem.

Koń zarżał z zadowoleniem, a płomyk odetchnął dziwnie smutno. Odrzucił na bok trzymaną przez siebie gałązkę i wymruczał cicho:

– Jak wolisz.

– To jedziemy.

– Dobry panie! Dobry panie! – zaryczał w jego stronę jeden z wieśniaków.

Słup dymu okazał się dużo odleglejszy i dużo grubszy niż się początkowo zdawał. Nie pochodził z jednego z kominów, czy ognisk, jak myślał Akihiro, a z pożaru. Teraz już dogasającego. Samuraj westchnął z rozczarowaniem i pokręcił głową. “Ludzie kochają bezsensowną destrukcję, morderstwa, wojny i walki. Koło nienawiści i śmierci chyba nigdy się nie skończy... A na co to wszystko? Po bitwie jest już za późno na żal i na naprawę błędów” – pomyślał Akihiro, widząc przed oczami swój własny obraz.

– Panie – wieśniak podbiegł i szarpnął nogę samuraja. – Bandyci! Napadli! Podpalili, zabrali córkę! Pomóż, panie!

Akihiro zderzył się spojrzeniem ze zrozpaczonym mężczyzną.

– Mam ich znaleźć? Zabić? – wyrzekł sucho.

– Panie! Błagam! Odjechali tam – wskazał ręką na odnogę drogi. – Pomóż!

– Nie będę zabijał. Nie mam już pana, by mi rozkazywał. Złamałem kodeks, nie muszę za nim podążać. Zostaw mnie!

Akihiro wyszarpnął nogę z rąk zapłakanego człowieka i ruszył dalej wydeptanym traktem.

– Nie musisz zabijać, ale... uratuj moją córkę! – z desperacją i dzikością wrzasnął jeszcze za nim, po czym zaczął zawodzić tak głośno i żałośnie, że wszystko wokół umilkło, nawet drzewa przestały szeptać liściaste pieśni. Słyszać było tylko bolesciwe jęki wieśniaka.

– Czy dobrze zrobiłem? – mruknął do płomienia samuraj.

– Jak mówi ci serce?

– Serce mi nic nie mówi. Złamałem kodeks, nie mam już serca.

– Czy kiedykolwiek przestrzegałeś jego zasad?

Akihiro ściągnął wodze. Oczy zaszczyły mu mgłą. Samuraj jest sprawiedliwy. Samuraj gardzi śmiercią. Samuraj ma nad sobą władzę. Samuraj współczuje innym. Samuraj jest życzliwy. Samuraj okazuje szacunek innym. Samuraj broni swego honoru. Samuraj jest lojalny wobec pana.

– Przez całe życie – wyszeptał. – Przestrzegałem tylko jednej zasady. Tak mnie uczono. Tak mówił mistrz Masashi. Jeśli będę bezwzględnie wierny panu, to wszystko inne będzie w porządku. Mordowałem wszystkich, których kazano, walczyłem w bitwach o sprawy, których nie rozumiałem. Nie współczułem, nie pomagałem bez rozkazu... Teraz widzę, że tak naprawdę nigdy nie miałem honoru. Byłem jedynie pionkiem. Marionetką.

– Skoro nigdy nie przestrzegałeś kodeksu – szepnął nieśmiało ognisty człowieczek. – To może najwyższy czas zacząć?

Akihiro zacisnął zęby. Kiwnął głową. Zawrócił konia.

– Już skończyłeś? – Do namiotu zajrzał Isamu.

– Suka gryzie – jęknął Kenta, trzymając się za krwawiącą rękę.

– Zostaw nas samych – uśmiechnął się demonicznie bandyta. – Ja wiem jak sobie z takimi radzić. Dziewczyna rozszerzyła oczy w strachu, widząc wyciągany zza paska nóż.

– Dobra, weź ją sobie. I tak mi przeszła ochota, cholera.

Kenta wyszedł z namiotu, ssąc ranę i na zewnątrz spotkał go nieoczekiwany widok. Jego brat, Daiki, który niespełna dwie minuty temu rozsypywał juki ich koni, był dosłownie rozcięty na pół. Na jego oczach. Mężczyzna wrzasnął. Znad ogniska jak na komendę podnieśli się jego towarzysze, Tetsu, Goro i Isao. Dopiero teraz zauważyli przybyłego znikąd obdartusa z *kataną*.

– Oddajcie mi dziewczynę – zaburczał złowrogo przybysz. – A nikt więcej nie zginie.

Bandyci chwycili swoje miecze. Akihiro poczuł siłę przepływającą przez swoje żyły. Zakreślił mieczem nad głową i stanął w pozycji bojowej. Uśmiechnął się pod nosem widząc amatorskie postawy zbirów. Widział, że stoczyli niejedną walkę, jednak z pewnością nie było wśród nich walki z samurajem.

– Nie będę powtarzał.

Pierwszy wydarł się dziko i ruszył na niego. Całkowicie bezmyślnie. *Ronin* ciął szeroko, bardzo mocno. *Katana* skruszyła ostrze przeciwnika jakby było ze szkła. Głownia gładko przeszła przez gardło bandyty, pozbawiając go życia. Pozostali trzej cofnęli się niepewnie, potem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Będą atakować razem.

– Bardzo dobrze. Robimy postępy.

Akihiro ostentacyjnie sięgnął za pas i wyciągnął z pochwy swoje *wakizashi*. Oba miecze błysnęły w świetle księżyca, napawając zbirów strachem. Ruszyli we trójkę, każdy atakował z innej strony. Dwa zwinne, lekkie, szybkie jak wiatr kroki sprawiły, że *ronin* znalazł się poza zasięgiem ostrzy. Złatwością ciął jednego z bandytów pod pachą, a ten w mgnieniu oka oklapł i z niedowierzaniem wpatrywał się w miejsce, w którym jeszcze chwilę temu miał rękę.

Kolejny atak bandytów był dużo bardziej dynamiczny i przemyślany, mimo, że atakowali już tylko we dwójkę. Akihiro domyślał się, że tak prędkim wyskokiem połączonym z pchnięciem i wąskim cięciem bandyci odcięli niejedną głowę. Gibko odchylił się do tyłu, mijając jedno z ostrzy o milimetry i rączym ruchem *wakizashi* przyjął na oręż drugie. Wywinął ostrzem *katany* nim mężczyźni zamachnęli się po raz drugi i ranił obu dotkliwie w klatkę piersiową. Nie był to jednak cios

śmiertelny dla żadnego z nich, ale dwójka zbirów i tak sprawiała wrażenie bardziej chętnych do ucieczki niż do dalszej walki.

– Mój ruch! – huknął Akihiro.

Zaatakował jak burza. Zakręcił się między oboma mężczyznami, jakby zmienił się w boga wojny i zwrotnymi ruchami zagarniał coraz więcej wrogiej krwi. Przeciwnicy próbowali kontrować, jednak *ronin* był niemożliwy do trafienia. Jakby walczyli z dymem. To trwało dosłownie kilka sekund. Bandyci padli na ziemię rżąc coś pod nosem i wijąc się w przedśmiertnych spazmach.

Akihiro ogarnął wzrokiem pole walki. Dwie masakry jednego dnia? Czemu nie. Przynajmniej jedna z nich jest w słusznej sprawie, a nie z zemsty.

– Został tylko jeden – *ronin* szepnął do siebie i spojrzał w stronę namiotu.

W klatkę ugodziła go strzała wystrzelona przez tego jednego, ostatniego. Mężczyzna stracił na chwilę oddech. Kłapnął zębami i w szoku połączonym ze zdziwieniem spojrzał na rysującą się na własnej koszuli plamę krwi. Wściekł się. Poważnej rany nie odniósł od lat, a teraz zadał ją jakiś marny wyrostek. Druga strzała wbiła się w płuco.

Akihiro momentalnie stracił oddech. Opadł na kolana. Ale nie poddał się. Zaciśnął szczęki. Zebrał wszystkie pozostałe siły do lewego ramienia. Rzucił *wakizashi* z taką siłą, że bandyta

poleciał kilka kroków w tył, jakby ugodził go pocisk armatni. Bandyta zawył żłowrogo w gniewie, ale nie dało się go zrozumieć. Przez rozchyloną połę namiotu całemu zajęciu przyglądała się wtulona w jedną z materiałowych ścianek wystraszona dziewczyna. Akihiro dostrzegł ją.

– Wracaj do domu – starał się powiedzieć, jednak z jego ust wydobyło się wyłącznie charczenie.

Przewrócił się na plecy, całkowicie bezwładnie. Nad jego twarzą zawisł drobny płomienisty człowieczek.

– Wybacz, mały – zarzęził, krztusząc się krwią, Akihiro. – Chyba nie dojedziemy.

– Już nie musimy – zamruczał żałośnie duszek. – Tym, co teraz zrobiłeś dałeś Jemu i sobie dużo więcej niż przez wizytę nad strumieniem. Tak miało być. Samuraj nie miał już siły, by o cokolwiek pytać. Rozwarł tylko usta, gdy zmysły opuściły jego ciało.

– Gdzie ja jestem?

Bezgranicznie jasna, bezkresna biel spowiła cały świat Akihiro. Stał samotnie, pośrodku niczego. Pośrodku światłości.

– Nie lękaj się – w jego głowie rozbrzmiał donośny, znajomy głos. Niepodobny do żadnego z ludzkich głosów. Jednocześnie męski i kobiecy. Samuraj rozejrzał się, jednak nie dostrzegł

nikogo, ani niczego. Biała pustka zaczęła mu ciążyć. W tym momencie przed jego twarzą rozpalił się drobny ogień.

– Jesteś bezpieczny – powiedział mały, zielonkawy płomyk.

– Kim jesteś? Możesz mi w końcu cokolwiek wyjaśnić? Co to za miejsce?

– Jestem tobą. Częścią ciebie, powołaną do życia, byś na nowo odnalazł drogę. Zamknij oczy. Pewnego dnia nie będziesz już musiał o nic pytać. Ale jeszcze nie czas.

Akihiro nie protestował. Posłusznie opuścił powieki i poczuł jak coś niesamowicie bolesnego wniknęło w jego klatkę piersiową. Miał wrażenie, że spada, a pęd nie pozwala mu wziąć oddechu. Poczuł uderzenie, otworzył oczy i łapczywie wessał potężny haust powietrza.

– Obudził się! – powitały go ściszone głosy.

Rozbieganym wzrokiem przeleciał po pomieszczeniu. Wśród przejętych twarzy wieśniaków dostrzegł jedną znajomą, należącą do młodej dziewczyny. Poczuł ulgę. Pierwszy raz od wielu dni.

Dom

Karolina Woźniak

Pył sypał się na rozgrzaną przednią szybę samochodu. Szarą chmurką mgły wirował nad miękką wstęgą drogi, wchodząc za wycieraczki sunących pojazdów, to znów kłębiąc się w powietrzu.

Youko patrzyła na rozplywające się przed jej oczyma krajobrazy. Siedziała w szerokim, otwartym bagażniku małej ciężarówki toczącej się powoli po wąskim wiejskim gościńcu. Zaciskała palce na rozpalonej od płynącego z nieba żaru ścianie bagażnika. Niektóre zakręty były naprawdę gwałtowne, musiała mocno się trzymać. Stary samochód dygotał, trzeszcząc na wyboistej dawno zapomnianej drodze. Wiła się ona krętymi zawijasami, niknąc pomiędzy wzgórzami i opadając miękko w zagłębienia dolin. Swoim dzikim, alogicznym nurtem płynęła aż po linię widnokręgu.

Pot spływał cienkimi strużkami po czole i plecach. Fala upałów rozlała się po całej Japonii, zatrzeszczało radio wciśnięte przy siedzeniu kierowcy, w entuzjastycznym przypiływie zasięgu, temperatura do trzy-...

Podskakując na poprzecinanej rozcapierzonymi konarami drodze ciężarówka wtoczyła się do lasu. Utkane z otulonych szmaragdową powłóczką liści gałęzi sito,

przepuszczało pojedyncze promienie, roztapiające się na szemrających pomiędzy sobą, wykrzywionych od starości pniach drzew.

– Zaraz wypadnę – zapiszczała Youko, rozpaczliwie wczepiając dłonie w ścianę bagażnika.

– Nic z tego, mała, póki ja tu kieruję, możesz być spokojna! – głos Makoto dobiegający z kabiny kierowcy ledwo przebił się przez turkot kół na wyboistej drodze.

Youko przełknęła ślinę. Jej bratu dopiero co odebrano prawo jazdy.

– Pojedziemy skrótem! – ryknął Makoto, a ciężarówka ruszyła na przełaj przez las. Youko skuliła się, gdy ostre gałązki zaczęły smagać ją po twarzy.

Nie minęło wiele czasu gdy wjechali na podwórze. Przed nimi rozpościerał się dom. Wrośnięty w głąb ziemi grubymi konarami fundamentów piał się wysoko rozgałęziając się licznymi zakrętami i odstającymi dobudówkami. Czule opatulający budowlę dach górował spokojnie ponad całym podwórzem, okryty szalem przeciskających się gdzieniegdzie gałęzi.

Gdy tylko rozsunęły się drzwi, wnet rozlał się potok domowników mających powitać przybyszów. Przystąpiwszy próg, Youko poczuła jakby dom połknął ją w całości, momentalnie wciągając głęboko do swojego wnętrza, w którym

to ciągnęły się przed nią coraz to nowe zawijasy wąskich drewnianych schodków i kolorowych pokoi.

W najniższych pomieszczeniach znajdowała się restauracja jej ciotki. Latem było tu pełno ludzi. Zmęczeni turyści, o skroniach oszronionych kropelkami potu przychodzili na domowe zupy sezonowe. Ich duże twarze świeciły różowym, księżycowym blaskiem znad blado parujących, wypełnionych po brzegi półmisek.

Zimą było tu o wiele bardziej pusto. Zanim jeszcze cała okolica została przykryta mleczną kołderką śniegu, restaurację zamykano. Wtedy tymczasowo pomieszkiwał tam nieco uciążliwy, lecz w gruncie rzeczy pozbawiony złych intencji *Buruburu*². Całymi dniami zwykł on wylegiwać się wygodnie na podłużnych, chłodnych blatach, by kiedy któryś z domowników zakradnie się do restauracji, żeby użyć tylnego wejścia i dostać się do spiżarni, zacisnąć na jego ramionach swe lodowate, rozcapierzone dłonie i pożywić się jego strachem. Z czasem przyzwyczaił się jednak, że na żadnym z domowników nie robi to większego wrażenia – ciocia Shiho jednym pchnięciem unieruchamiała delikwenta i przywoływała go do porządku, obrażona Lin trzaskała wymownie drzwiami, a stary Daisuke jednym spojrzeniem sprawiał, że *Buruburu* jakoś tracił cały apetyt na posiłek.

2. *Yōkai*, który wywołuje dreszcze.

Była jeszcze Kotori, o ile tylko zdołał ją zauważyć. Kotori działała szybko i cicho. Prześlizgiwała się pomiędzy błyszczącymi stołami, zostawiając za sobą tańczące w powietrzu drobinki kurzu – jedyny znak, świadczący o tym, że chwilę wcześniej tu była. *Buruburu* nie miał jednak domownikom niczego za złe. Przeciwnie, całkiem ich polubił, tak, że zdecydował się nawet zagnieździć w przyszłym kanale wentylacyjnym i dzięki niemu nawet w najgorętsze sierpniowe południa w małej restauracji wielgachnego domostwa rozpościerającego się na skraju lasu wciąż było chłodno i orzeźwiająco.

Kanał ciągnął się wyżej. Krętym strumieniem dosięgał aż do pierwszego piętra, gdzie znajdowały się pokoje domowników. Stały tam stare, mądre i rozgadane meble, pokryte labiryntami płaskorzeźb. Meble te pamiętały czasy bardzo zamierzchłe, o których śpiewały tęskne ballady, w ciemne, pochmurne noce, kiedy myślały, że nikt ich nie słyszy. Przez większość czasu stały jednak zamyślane, w starczym stuporze obserwując krzątanie ruchliwych domowników.

W słoneczne dni przez wielkie okna do wnętrza domu wpadały złote, migotliwe pasma promieni tańczące na ścianach i podłodze. Głaskały wtedy strzeliste szafy i obłe komody, wypchane po brzegi wszelkiego rodzaju szpargałami. Pływały po śnieżnym oceanie prześcieradeł, to znów przeskakiwały na wrośnięty w podłogę miękki mech dywanu.

Ponad sypialniami domowników, na strychu, ciągnęły się łaźnie. Chłodne, oślizgłe, o zimnej cyjanowej podłodze usianej błyszczącymi kafelkami.

W bardzo dawnych czasach, o których nikt już prawie nie pamięta, zamieszkał tam szkaradny *Akaname*³ – demon brudu. Kiedy wprowadzili się tu nowi lokatorzy ukryty za szerokimi baliami knuł plany, jakby tu się im naprzykrzyć. Ich poprzednicy brzydzili się jego długiego, oślizgłego jęzora, którym rysował wilgotne, podłużne wstęgi, przypominające trochę ślad ślimaka, toteż po jakimś czasie przestali zapuszczać się na zgrzybiały strych.

Gdy tylko *Akaname* usłyszał odbijające się echem kroki, wiedział już, co ma uczynić. Zanim jednak zdążył wyskoczyć zza opleionej śluzem i brudem balii, ciocia Shiho pociągnęła go za włosy i zdzieliła miotłą. Gdy się ocknął, zorientował się, że jego paskudna łaznia zrobiła się jaśniejsza i jakby bardziej błyszcząca. W powietrzu unosiła się chłodna mgiełka o intensywnym zapachu zielonego jabłka, co *Akaname* uznał za miłą odmianę. Coś osobliwego stało się również z nim samym. Strąki długich poklejonych włosów zamieniły się w aksamitne pasma, a stare łachmany zamieniły w białą, odświeżoną koszulę. W wyniku zaistniałej sytuacji, *Akaname* zdecydował się porzucić swoje dawne zwyczaje, toteż w podzięce za wprowadzenie na

3. Zamieszkujący łaźnie, porośnięty gęstym włosiem *yōkai* o drobnej budowie przypominającej dziecko. Żywi się pleśnią, kurzem oraz innymi nieczystościami.

nową drogę życia postanowił, że odtąd zawsze będzie pomagał domownikom w cotygodniowych porządkach.

Buruburu i *Akaname* nie były jednak jedynymi *yōkai*⁴ zamieszkującymi starą, wypiętrzącą się w środku lasu chałupę. Położenie tegoż domu było wyjątkowo feralne, albowiem znajdował się on na szlaku często obieranym przez różne leśne duszki i istoty.

W niektóre dni w roku wprost tętnił on życiem, emanującym promieniście z trzęsących się ścian. Małe stworki zagrzebywały się głęboko na dnie szuflad wypełnionych wełną, sztućcami, czy bielizną. Przewracały kosze na śmieci, tłukły wazony i burzyły ustawione w bibliotece stopy książek, a nocami stukały garnkami i zabierały skarpetki, z których robiły sobie później czapki, lub śpiwory.

Domownicy obserwowali je z pobłażaniem oraz chłodną irytacją, szczególnie widoczną, gdy stworki na moment zatrzymywały ruch w na co dzień pełnym zgiełku korytarzu, przemierzając go w poprzek gęsiego, powolnie powłócząc nogami.

Jedynie Kotori troszczyła się o małe *yōkai*. Pod łóżkiem budowała im namioty z koców i poduszek, w zamian za co te przynosiły jej swoje skarby – kamyki, patyki i sznurki i różne inne drobiazgi. Kotori wkładała je wszystkie do błękitnego

4. Nadprzyrodzone istoty. Jest to określenie wprowadzone przez badacza kultury zachodniej Inoue Enryō.

pudełka po butach, ukrytego w czarnej paszczy szafy. “Znowu te śmieci ci naznosiły” – sarknęła poirytowana Lin, odganiając nogą kłębiące się w pokoju Kotori *yōkai*. Każdy stworek trzymał w łapkach patyk, grudkę ziemi, lub ździebełko trawy, które potem układały w piętrzący się na środku pokoju stosik.

Nie wszystkie *yōkai* były jednak przyjazne. Pewnej mroźnej nocy u progu otoczonego murem lasu obejścia zjawił się *Jami*⁵, duch *chimi*⁶. Podobno przypałętał się tam z samych gór. *Jami* rzadko przybierał określony kształt, toteż wiadome było, że dzieje się właśnie coś magicznego, niesamowitego. Ludzie jednak stronili od niego jak tylko mogli. Nie od dziś znane im było, że przynosi on nieszczęścia i ciężkie choroby. Ciocia Shiho jednak dobrze wiedziała co robić.

Szczęśliwie dla niej Daisuke, będący wybitnym kucharzem przygotował gar zupy Tom Yum. Tak więc ciocia Shiho posadziła zdezorientowanego *Jami*, zanim ten nawet zdążył zaprotestować i wstawiła supę na gaz. Gdy zupa zaczęła bulgotać, Shiho zginając się wpół zdjęła z kuchenki gazowej ogromny garnek i postawiła naprzeciw ducha. Podczas, gdy ciocia gościła wygłodniałego *yōkai*, Daisuke, Lin i Kotori marzli w ciasnej szopie, w której kazała im się schować ciocia. Chociaż lodowate powietrze wbijało igielki mrozu w zwiotczące od zimna twarze i dłonie, byli spokojni. Wiedzieli, że nie muszą niczego

5. Najgroźniejszy z duchów *chimi*, posądzany o ściąganie na ludzi nieszczęść.

6. Duchy zamieszkujące góry.

się obawiać i że w oka mgnieniu znów znajdą się w przytulnych sypialniach.

Kiedy tylko *Jami* opróżnił gar, wstał od stołu, pośpiesznie podziękował za gościnę. Z niemalym skrepowaniem przeprosił za kłopot oraz napędzenie strachu, zapewniając jednak, że z chęcią ponownie wpadłby z wizytą. Potem migiem wrócił do swoich spraw, wilczymi susami przeskakując ponad miękkimi śnieżnymi zaspami. Zanim ciocia Shiho się obejrzała, już go nie było.

Youko całym sercem kochała ten wspaniały, tętniący historiami i tajemnicami dom, równie silnie, co jego mieszkańców. Co roku, gdy w pomarańczowe czerwcowe popołudnia pani Misaki-san kreśliła białe schematy na ciemnej jak morska toń tablicy, łączność z otaczającym Youko światem urywała się jak zasięg radia samochodu podskakującego na wertepach rozdroży. Youko żeglowała wtedy myślami ku białym obłokom mgły, spod których o brzasku wyzierały stare ściany budynku z odstającymi wieżyczkami i zagiętym ku niebu dachem. Figurki trojga domowników majaczyły srebrzyście za okolonymi woalem roślin szybami.

W tym roku jednak coś się zmieniło. Youko bardzo nie lubiła zmian, przede wszystkim za to, że były nieprzewidywalne i nachalne. Niechciane wprasały się do jej życia, wprawiając ją we wzmożoną czujność. Sprawiały, że wszystko, co dotychczas uznawała za znajome, stawało się obce i odległe. Zmuszało ją do

tę, by na nowo poznawała każdy kształt, wgniecenie, i wypustki codzienności. Wypełniała wtedy przestrzeń dla niej przeznaczoną, wygodnie wpasowując się w kształt piernikowej foremki, by z czasem apatycznie zastygnąć, znając na wylot swoje miejsce i obowiązki. To dawało jej poczucie bezpieczeństwa – świadomość, że jest potrzebna w swoim bladym, subtelnym życiu, o rytmicznie utartym szlaku rutyny przeplatanych pracą i odpoczynkiem. Choć budowała tło, wiedziała, że bez jej elementu, układanka nigdy nie będzie cała. To jej wystarczało, asekurując, gdy robiła codziennie jeden krok w tył, dwa w przód, nawet nie próbując rozstrzygnąć ani kim, ani po co jest. Miała dla kogo być i to jej wystarczyło.

Tenże statyczny porządek, przejrzysty w swej prostocie burzyła właśnie zmiana. Wówczas zagubiona Youko na nowo próbowała odnaleźć każdy jego element, by skleić je potem w jedną nieprzesypującą się przez palce całość.

Tą zmianą była Lin. Do wyrastającego spośród lasu domiszczą przyjechała z sąsiedniego miasteczka w połowie marca, jako świeżo upieczona absolwentka szkoły średniej. Kiedy w poszukiwaniu pracy natknęła się na zamieszczone przez ciocię Shiho ogłoszenie, wnet wepchnęła do walizki swoje książki i ubrania i bez wahania wsiadła do lawirującego pomiędzy mieszkańcami pociągu. Nie minęło zbyt wiele czasu, nim stała się nierozzerwalną częścią tego wypchanego po brzegi płaczącymi się pod nogami nadprzyrodzonymi bytami domu.

Od samego początku Lin nie przypadła Youko do gustu. Od pierwszego uśmiechu, wymiany błyszczących spojrzeń w ciemnym salonie, gdy otoczeni duszną czernią nocy i zapachem przygotowanych przez Daisuke smakowitości jedli kolację.

Lin nazbyt dobrze tu pasowała. Swoim ciepłym, głośnym jestestwem wypełniwszy cały salon sprawiła, że Youko zastanawiała się, czy niedługo zostanie tu jeszcze choć trochę miejsca dla niej. Lin pomogła cioci rozpaść *irori*⁷, leniwie sprzecząc się z Kotori, za którą w podskakującym korowodzie przywędrował tuzin małych *yōkai*. Lin śmiała się głośno, żartując z Daisuke, wyrzuciła na zewnątrz jakiegoś wyjątkowo roztargnionego *Nodeppō*, który wleciał przez szeroko rozsunięte *shōji*⁸ i oszołomiony krążył po pokoju. Nawet zwykle małomówny Makoto odnalazł z nią wspólny język, w okamgnieniu zostając zasypanym bezlikami niedorzecznych historii. Youko, sama nie wiedząc czemu, poczuła się samotna i zdradzona.

Rankiem, gdy Youko siedziała w restauracji z twarzą niemalże przytkniętą do wiatraka, uczucie usunęło się w cień. Jej rozpuszczone włosy tańczyły wesoło, płacząc się w powietrzu. Przez moment wszystko zdawało się być jak dawniej.

7. Tradycyjne palenisko.

8. Drewniane ramki, wypełnione papierem, pełniące funkcję drzwi.

Było zbyt duszno, aby wyjść na dwór. *Buruburu* nawet nosa nie wystawiał ze swojego odpływu wentylacyjnego. Miał dziś ręce wyjątkowo pełne roboty.

Yōkai tak samo jak ludzie były wyjątkowo zmęczone upałem. Youko wypatrzyła parę z nich siedzących w ciemnych zakamarkach za kanapą. Nie dostrzegły jej nawet, pochłonięte lizaniem kostek lodu, które najwyraźniej wykradły. Youko pobiegła do kuchni po zamrożone truskawki, lecz kiedy wróciła, *yōkai* już nie było. Rozpłynęły się w powietrzu, spłoszone ludzkim zapachem, lub głośnym tupotem na schodach.

Dziewczyna odwróciła się poczuwszy dłoń na swoim ramieniu. Tuż nad nią stanęła Lin z błyszcząca jak tarcza księżycą tacą w dłoni.

– Przyniosłam ci koktajl.

Youko drgnęła, ale niczego nie powiedziała. Usiadły przy oknie. Youko mieszała słomką malinową zawartość naczynia, którego ścianki otoczył szal pary wodnej. Lin bębniła palcami w szklany blat stołu, zostawiając na nim ciemniejsze plamki, blaknące po chwili jak roztopiające się w palcach śnieżynki.

Youko nie pamiętała która z nich odezwała się pierwsza. Świetliste wstęgi promieni słonecznych wirowały tworząc na stole spirale podobne do skorupy ślimaka. Wpływały się we włosy dziewczyny rozpuszczając ich kasztanowy odcień w płynny złocisty miód kaskadami rozplywający się okalając

ramiona. Lin opowiadała o szkole, starych znajomych, których twarze nie wiadomo kiedy zastygły w milczących fotografiach i nadchodzącym wraz z początkiem lipca Tanabata⁹.

To bardzo dziwne uczucie. Wszyscy dookoła ciebie wiedzą dokładnie do czego zostali stworzeni, krok po kroku realizują coś co siedzi w ich wnętrzu od nie wiadomo kiedy, mówiła Lin układając z serwetek małe łabędzie o pokracznych nogach i kanciastych, przydługich dziobach, dryfujące na turkusowej taflি dzięki wyobraźni Youko.

W ostatnim roku szkoły w rozpaczliwych podrygach wyrzuconej na piasek ryby chwytala się każdej wyrastającej na drodze deski ratunku, jednak nic nie pozwoliło jej wędrować przed siebie. Wciąż nie wiedziała kim naprawdę jest, w czym jest dobra, ani co najbardziej lubi. W dodatku czas, nigdy nie będący jej sojusznikiem przelatywał przez palce, a tygodnie powoli zaczęły zamieniać się w miesiące, aż w końcu nastał marzec. Zdezorientowana, uprzednio przetrawiona i wypluta przez system edukacji, skończyła szkołę. Teraz czuła się jak przerośnięte dziecko, rozczarowujące swoim brakiem zaradności. Wiedziała, że i tak wszystkiego musi nauczyć się sama.

Mijały dni, a Youko szybko przyzwyczajała się do obecności Lin. Rankiem pomagała jej w restauracji,

9. Święto upamiętniające miłość dwojga legendarnych kochanków, które przypada na siódmy dzień, siódmego miesiąca księżycowego.

a popołudniami chodziły razem nad staw łowić ryby. Lin opowiadała Youko o olbrzymim *Ōnamazu*¹⁰, który jednym trzępieniem swojego tłustego, oślizgłego ogona zamieniał domy i świątynie w proch.

Czasami przychodziła też Kotori, jak zwykle otoczona chmurą małych, nieporadnych *yōkai*, podskakujących wesoło na widok Lin i Youko. Pomarańczowe popołudnia o zapachu kwiatów wiśni zbyt szybko tonęły w fioletowym półmroku wypełnionym świergotem *Yosuzume*.¹¹ Lato rozpływało się w ustach jak owoce brzoskwini, spływając na świat bursztynową poświatą, a krajobraz wokół pęczył intensywną zielenią i blaskiem.

Tylko Makoto zmizerniał. Youko miała wrażenie, że jego błada cera stawała się coraz bardziej przeźroczysta, a zmęczenie żłobiło w dolinach u jego ciemnych, poważnych oczu szare, płytkie koryta. Plecy Makota wygięły się lekko, jak łuk sklepienia, trochę tak, jakby dźwigał na nich coś bardzo ciężkiego. Jednak to krótkie złudzenie szybko mijało jak fatamorgana rozpływając się znienacka i wówczas wszystko zdawało się znów całkiem zwyczajne.

10. Ogromny sum mieszkający w Morzu Japońskim. Uważano go za sprawcę trzęsień ziemi, które powodował uderzeniami swego potężnego ogona.

11. Nocne wróble, których chmara atakuje wędrowców na górskich szlakach.

Gdy nadszedł 7 lipca, pozornie najzwyczajniejszy poranek wypełniały wirujące w powietrzu, jak kurz drobinki wyczekiwania i ekscytacji. Dzień włókł się okropnie. W lejącym się z nieba żarze Youko razem z Kotori pielily warzywa, a każda grządką zdawała się bardziej czasochłonna od drugiej.

Po obiedzie Youko przebrała się w jedwabne, pożyczone od Lin kimono. Materiał był lżejszy, niż ten do którego przywykła. Turkusowa tkanina mieniła się wylaniającą się gdzieś gdzieś złotą nicią zarysowującą kontury bladych nenufarów i zawijasy przypominające fale.

Lin pochylona nad toaletką malowała usta. Dookoła niej w szklanych, błyszczących, kolorowych pojemniczkach spoczywały najróżniejsze przybory do makijażu, jakich Youko nigdy jeszcze nie widziała. Zamyślona przyglądała się Lin z zaciekawieniem, gdy nagle nie wiadomo skąd wyłonił się brzydki, zgrzybiały staruch o długim kaczym dziobie i szczypcach zamiast dłoni i zanim którakolwiek z nich zdążyła zaprotestować uciął kosmyk włosów Lin i zniknął tak samo nieoczekiwanie, jak się pojawił. Ach, ten *Kamikiri*¹², westchnęła z rozczarowaniem Lin i ponownie zwróciła swe okraszone długimi rękami spojrzenie w stronę taflí lustra.

Gdy granatowy mrok otulił lasy i pola, a blask księżyca rozlał się po rzece mleczną wstęgą, wszyscy rozsiani po okolicy

12. *Yōkai*, który swoimi szczypcami ucina kosmyk włosów piękności, aby przeszkodzić im w ułożeniu fryzury. Motywem jego działania jest czysta złośliwość.

mieszkańcy z domków wystrzelających z ziemi w najmniej oczekiwanych miejsca zeszli się w odświętnych strojach nad rzekę. Wielobarwne stroje mieniły się magicznie w blasku lampionów, co przyciągnęło czające się w zaroślach *yōkai*, które zdradzały jedynie duże, wytrzeszczone, połyskujące złociście ślepie, gdy obserwowały wszystko z zaciekawieniem.

Youko podała w zaciśniętej dłoni skrawek *tanazaku*¹³. Lin udając, że nie dostrzega zapisanego nań życzenia ułożyła z niego żurawia, którego Youko zawiesiła na bambusowym krzewie przyozdobionym mieniącymi się lampkami.

Dookoła było radośnie i gwarnie. Wzdłuż linii nadbrzeża ciągnęły się kolorowe stoiska i papierowe ozdoby, zawieszane ponad głowami tłumu, których odbicie falowało leniwie w szafirowej tafli iskrzącej się księżycowym blaskiem.

Daisuke sprzedawał onigiri w ciasnej wypełnionej słodkim zapachem budce, a ciocia Shiho otoczona gromadką słuchających jej z otwartymi ustami dzieci opowiadała historię pracowitej Zhinü¹⁴ i kochającego Niulanga.

Tylko Kotori przepychała się przez tłum, co rusz następując na czyjąś stopę, czy odpłacając się energicznym kuksańcem. Stawała na palcach, by pośród płataniny

13. Skrawek papieru na którym zapisuje się życzenia podczas Tanabaty, aby kolejno zawiesić go na bambusowym krzewie.

14. Zhinü i Niulang to legendarna para kochanków, nieszczęśliwych z powodu rozdzielenia, którzy mogą spotkać się jedynie raz w roku. Święto Tanabata upamiętnia ich miłość.

zmieniających się twarzy dostrzec te znajome. Po chwili wybiegła z terenu festynu. Pozostawiła za sobą kolorowe, migoczące światła i donośne głosy milknące w pochłaniającej czerni nocy. Przed nią rozciągało skąpane w granatowej poświecie zbocze. Przy samym korycie rzeki dostrzegła dwie małe figurki. Chciała pobiec, ale kimono plątało jej się pod nogami, a wysokie podeszwy drewnianych sandałów wsiąkały w grząską ziemię. Zdjąwszy je zdecydowanym ruchem, ruszyła w dół zbocza, czując pod nogami dywan wilgotnej, fioletowej trawy.

– Makoto zniknął! – krzyknęła, a jej głos rozniósł się echem po okolicy. Zbierające błyszczące kamyki Youko i Lin skierowały w jej stronę swe zaskoczone spojrzenia.

Roztrzęsiona Kotori usiłowała złapać oddech. Kucnęła na zimnym piasku i uspokoiwszy się nieco opowiedziała wszystko od początku. Od rozpoczęcia festynu Kotori i Makoto prowadzeni unoszącymi się w powietrzu woniami przygotowywanych w budkach potraw wędrowali od stoiska do stoiska kupując smakowitości, które Kotori pożerała zanim jeszcze Makoto zdążył się obejrzeć.

Gdy dotarli do kamiennej kapliczki, przy której piał się krzew bambusa o gałązkach oprószonych drobnymi skrawkami papieru skrywającego życzenia, Kotori szybko pochwyciła *tanazaku* i poczęła z zapalem przepisywać życzenia, które przedsiębiorczo wypisała wcześniej na małej zgniecionej

wewnątrz torebki karteczce. Gdy podniosła wzrok, Makoto już nie było. Na próżno, wdrapawszy się na kamienny murek próbowała wypatrzyć jego postaci w pulsującym muzyką i radosnymi okrzykami tłumie, dostrzegłszy ją dopiero po jakimś czasie niknącą w rozwierającej się za rzeką paszczą lasu.

Zdyszana Kotori stanęła na skraju lasu. Lodowaty podmuch wiatru przywitał ją szorstko, jakby chcąc zniechęcić do dalszej wędrówki. Las był pełen niebezpiecznych stworzeń i lepiej było się tam nie zapuszczać, szczególnie po zmroku. W ciemności czaiły się dzikie bestie i leśne duszki o złośliwej, zwodniczej naturze. Kotori ani trochę się jednak nie bała. Idąc u boku Lin czuła się całkiem bezpieczna.

– Idziecie? – krzyknęła w stronę ciągnących się za nią Lin i Youko, które po szybkim biegu ledwo co powłóczyły nogami. Wkrótce jednak wyrównały tępa i cała trójka różnym krokiem maszerowała przez las.

Pozorna, osaczające je ze wszystkich stron cisza, wnet okazała się zbudowana z harmonii różnych cichych dźwięków, dobiegających z bardzo daleka, lub dobywających się tuż koło nich, kiedy to gwałtownie przyspieszały kroku.

Nie zdążyły zapuścić się zbyt głęboko w otwierający się przed nimi coraz to nowymi odcieniami czerni gąszcz, nim

zamarłszy wyłowiły szmer prowadzonej gdzieś w pobliżu rozmowy.

– Bhlebhlebhle.

– Szef mówi, że ktoś się zbliża... Nie, nie ma już więcej sarniny. Wszystko wyżarliśmy już w zeszłym tygodniu...

– Bhlebhlebhle.

– No dobra, ja wyżarłem.

– Bhlebhlebhle.

– Skąd miałem wiedzieć, trzeba było mówić wcześniej, to bym nie jadł... Wiesz ty co...

– Bhlebhlebhle.

Niespodziewanie głosy ucichły. Nim sparaliżowane strachem Kotori, Youko i Lin zdołały ochłonąć przed nimi wyłonił się *Senbiki Ōkami*¹⁵. Kudłata, rybko cuchnąca konstrukcja nieustannie kołysała się na boki, jakby zaraz miała stracić równowagę. Pierwszy Wilk był zdecydowanie najbardziej rzeczowy i komunikatywny z całej watahy. W rozmowie pomiędzy Lin a Hersztem Wilków, posłużył za tłumacza, gdyż Herszt Wilków, nie cieszący się szczególną błyskotliwością, powtarzał w kółko tę samą sylabę. Wilk niestety nigdzie nie widział Makoto, ale słyszał o podobnym zdarzeniu mającym miejsce parę dni temu, kiedy to zaginął jeden z może trochę

15. Wilki ustawione jeden na drugim, tworzące konstrukcję, przynoszącą na myśl drabinę. Na jej szczycie znajduje się wódz wilków – wilk olbrzym.

uciażliwych, lecz w gruncie rzeczy pocziwych *Tanuki*¹⁶, snujących się po lesie ze śpiewem zakwitłym na pyszczkach.

– Bhleehuuuu! – zawył donośnie Herszt wilków, a dwa *Tanuki* wnet wyłoniły się z gąszczu wysokiej trawy, tak, jakby przez cały czas tam były.

Całą kompanią szli dziarsko po lesie, nawołując głośno, tak, że nocne wróble nadlatujące od skrytych pod białą czapą śniegu gór skręcały gwałtownie, szerokim łukiem omijając rozciągającą się pod nimi ciemną plamę lasu.

Donośne wołanie usłyszał też *Jami*, który szybował akurat ponad koronami drzew. Zdziwiony duch zanurkował w gęstwinie czarnych gałęzi i ametystowych liści. Pierwszy Wilk opowiedział mu o zaginionych Makoto oraz *Tanuki*, na co *Jami* ze smutkiem pokiwał głową. Poprosił, by wszyscy wdrapali się na jego grzbiet i unióśł się w powietrze. Lecieli nisko w skupieniu obserwując przestrzeń lasu. Lin, Youko, Kotori oraz Pierwszy Wilk nawoływali donośnie, a ich krzyk niesiony przez nocny wiatr niósł się daleko w stronę widnokładu, do wielu odległych miast i krain. Jednak na próżno.

Wyczerpani postanowili wracać do domu, przyrzekając sobie jednak, że nazajutrz wznowią poszukiwania. Ostatni raz zatoczyli koło nad tonącą w czarnej jak smoła nocy polaci lasu. Nagle, dostrzegłszy coś pośród zarośli, *Jami* opadł miętko na

16. Jenoty, które w świecie *yōkai* słyną raczej ze złośliwości. Posiadają magiczne moce i potrafią przybierać różne formy.

skropioną poranną rosą trawę. Gdy cała kompania wygramoliła się z ciepłych fałdów miękkiej sierści, wskazał nosem ciemną, przykurczoną postać człapiącą ospale pośród drzew.

– Makoto! – krzyknęła Youko, a jej głos unosił się echem ponad całym lasem. Przyklejał się do miodowej żywicy, poruszał liśćmi i zaszywał się w koronach drzew, płosząc nocne ptactwo. – Makootoo!

Postać odwróciła się w ich kierunku. Z początku Youko go nie poznała – tak bardzo się zmienił. Jego plecy wybrzuszyły się okropnie, tworząc ogromny garb, który dominował całą jego postać. Przygwaźdżał Makoto, którego nieproporcjonalnie mała figurka niknęła w jego cieniu.

Youko podbiegła do Makoto i rzuciła mu się na szyję. W ślad za nią poszły Kotori i Lin. Długo stali zbici w ciasną kupę, otuleni ciemnością, w której czaiły się bystre spojrzenia leśnych *yōkai*. Youko poczuła chłodną strużkę na policzku brata. Nie pamiętała, żeby Makoto kiedykolwiek płakał. Poczuli się dziwnie, bo po raz pierwszy to ona musiała zaopiekować się nim.

– Chyba nie płaczesz – Pierwszy *Tanuki* szturchnął *Jami*, który szybko przetarł dziwnie zwilgotniałe ślepia.

Pierwszy *Tanuki* obejrzał się prędko, ale Drugiego *Tanuki* już nie było, wdrapał się na plecy Makoto i uderzył w nie dwa razy małą łapką. “Au” – jęknęły plecy i ku zdziwieniu

wszystkich ogromny garb odkleił się nagle, rozprostował łapki i spojrzał na drugiego *Tanuki* uradowany.

– Brachu! – ryknęły jenoty i rzuciły się sobie w ramiona. Pierwszy *Tanuki* szybko do nich przyłączył. Rozradowane jenoty poczęły wesoło tańczyć i podskakiwać.

Nawet Herszt Wilków wygiął paszczę w jakimś dziwnym grymasie, ukazując cały swój zasób białych jak śnieg kłów.

– Coś nie tak, szefie? – zapytał zdeorientowany Pierwszy Wilk, którego ten wyraz nieco zaniepokoił.

– Szef się uśmiecha – szepnął drugi Wilk, kładąc palec na paszczy, przez co konstrukcja zachybotła się lekko, ku irytacji kolegów z dołu wyrażonej złowieszczymi pomrukami.

– Czas wracać do domu – Youko wzięła za rękę Makoto i wszyscy razem wdrapali się na miękkie plecy pociągającego jeszcze nosem *Jami*. Kotori wtuliła się w ciepłe futerko *yōkai*.

Kiedy smagani podmuchami wiatru unosili się ponad rozwierającym się pod nogami krajobrazem, trzeci *Tanuki* co rusz zerkał w stronę Makoto, wyraźnie zdenerwowany. Otwierał pyszczek jakby chciał coś powiedzieć, jednak po chwili najwyraźniej zmieniał zdanie.

– To dla ciebie – podał mu w końcu tobolek, przez którego rozchylony otwór w świetle księżyca zaiskrzyły złote monety. – No wiesz, za to, że ci się tak na barana wpakowałem.

Makoto pogłaskał Trzeciego *Tanuki* po łepku.

– Dzięki.

– Nie no, nie ma za co.

Wylądowali na dachu. *Jami* zastygł bezszelestnie jak kot, wczepiając pazury w kolorowe dachówki, a kiedy wszyscy oprócz *Tanuki* zeskoczyli z jego aksamitnego grzbietu jednym susem uniósł się w powietrzu, niknąc wysoko w chmurach.

– Zamieszkają w górach. To ich prawdziwy dom – powiedział Pierwszy Wilk. Jego ślepia lśniły.

– Bhlebhle... – zgodził się z rozmarzeniem Herszt Wilków.

Wielka tarcza księżycy spoglądała na nich swym srebrnym okiem, osłonięta płaszczem tłoczących się chmur.

Lunęło. Krople deszczu uderzały o dach, rozmazując niebo, las i dachy rozrzuconych po okolicy obejść w jedną błękitną taflę. Błękit zamienił się w szmaragdową płataninę. Rośliny poczęły piąć się ku niebu. Pąki kwiatów pęczniały, rosnać w oczach, a silne pnącza powlekły dach w miękką poszewkę. Nagle wszystko się zatrzymało.

W oknie strychu zamigotały uśmiechnięte sylwetki cioci Shiho i Daisuke. Youko, Lin, Kotori i Makoto wraz z *Senbiki Ōkami* wślizgnęły się do okrytego kwiatowym płaszczem domu.

Źródła:

1. Vargas W., *Bestiariusz japoński*, BOSZ, Olszanica 2021.
2. Tubielewicz J., *Mitologia Japonii*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977.
3. <https://www.oyakata.com.pl/ksiega-mistrza-oyakata/kultura-japonska/tanabata-japonski-festiwal-gwiazd>

Magiczna peleryna Tatki

Mateusz Nowak

Pisząc te słowa przypominam sobie swoje dzieciństwo i starość mojego Tatki, jego ostatnie chwile. W momencie, kiedy zaczynam tę opowieść stan jego zdrowia od kilku dni był bardzo zły, a stan mojego zdrowia obecnie jest bardzo dobry. Tatko nie należał do Partii Pracy i był robotnikiem, więc nie przyjęto go w szpitalu. W szpitalach zawsze było za mało miejsc, a w zimę zajmowali je głównie chorujący dygnitarze, którzy potrzebowali osobnych sal, bo tak już jest w moim kraju, że dygnitarze z robotnikami nie leżą na jednej sali, chociaż wszyscy jego mieszkańcy są równi.

Tatko zawsze odpowiadał mi, kiedy pytałem dlaczego musimy chylić głowy innym, równym nam chodzącym w nowych ubraniach albo mundurach, podczas gdy nasze kurtki były poszarpane i sztywne od kurzu, żebym się w ogóle tym nie przejmował, robił to co muszę i zachował spokój. Mówił, że to tylko chwilowe. Mówił, że kiedyś wszystko zrozumie, że kiedyś wszystko się dla niego zmieni, ale żebym nigdy nikomu o tym nie mówił.

Nigdy nie miałem problemu z utrzymaniem tej tajemnicy. Cóż, w mojej szkole w Phenianie nie rozmawiało się o takich sprawach. Zawsze myślałem, że Tato tak tylko mówił,

bo mnie kochał. Czasem ciężko mi było ocenić, czy mówi to, co naprawdę myśli, bo wyraz jego twarzy, ton jego głosu zazwyczaj były takie same, kiedy mówił zarówno rzeczy wesołe i rzeczy smutne. Wyraz jego twarzy był taki sam, jak u wszystkich innych ludzi w moim kraju. Nie zakładałem, że tato mógłby celowo mnie oszukiwać, bo wiedziałem jak mnie kocha.

Jednocześnie teraz, pisząc te słowa, będąc już dorosłym mężczyzną wydaje mi się, że wszyscy inni kłamali. Ludzie z mojego kraju okłamywali więc siebie nawzajem i siebie samych. Wciąż zastanawia mnie jednak to, czy oni wiedzieli, że to kłamstwa... Skąd mogliby wiedzieć, skoro brakowało im punktu odniesienia? Cóż, czy skoro nie wie się, że się kłamie, to czy wciąż jest to kłamstwo? Nie znam odpowiedzi na to pytanie i chyba nigdy go już nie poznam.

Chociaż minęło od tego dnia wiele lat, doskonale pamiętam, że obok łóżka taty stały sztuczne kwiaty i odbiornik radia, z którego ciągle i ciągle nadawano te same wiadomości. Do tej pory pamiętam ich kolejność: komunikat wzywający do mobilizacji społecznej w ramach walki ze skutkami działań imperialistów, tj. z tym, że w zimę w większości kraju nie grzeją kaloryfery, nowy plan 5-letni, sukcesy sportowe, sukcesy w produkcji, zazdrość wrogów oraz planowane na przyszły tydzień wystąpienie wodza na głównym placu w Phenianie, poprzedzające jego wizytę we wrogim, niegdyś bratnim kraju, który zboczył z właściwej ścieżki.

Tylko ja czuwałem przy tacie. W tamtym czasie nie żyły już moja mama i siostra, które zginęły rok wcześniej w pożarze, w czasie wizyty u moich dziadków, którzy też wtedy umarli. Tęskniłem za nimi, a coraz wyraźniej rozpościerała się przede mną wizja trafienia do placówki wychowawczej. Cóż, doskonale wiedziałem, że mój Tato umiera, chociaż on nie powiedział mi o tym ani słowa. Nie mówił, nie dlatego, żeby mnie zwiść. Wiedział, że wiem. Dopiero dziś wiem, jak wielki był to dla mnie z jego strony komplement oraz akt wielkiej wiary we mnie.

Kolejny komunikat o wystąpieniu wodza jakby wytrącił Tatę z drzemki, chociaż w ciągu ostatniej godziny nadawano go już kilkukrotnie. Wtedy też zobaczyłem na jego twarzy coś nowego, czegoś czego nie widziałem do tamtej chwili nigdy na twarzy żadnego człowieka, a co dziś znam już dobrze i co jest dla mnie codziennością. Jego oczy zaszklily się, rozpromieniły, a policzki uniosły się w szczerym uśmiechu. Wówczas właśnie dowiedziałem się, czym jest ludzka nadzieja, a Tato odezwał się spokojnie i ciepło:

- He-Young, mój synu. Pamiętasz co Ci tak często powtarzam?
- Powtarzasz mi często różne rzeczy tatusiu – odparłem pełen zdziwienia.
- Tak, He-Young. Masz rację. No i jak, pamiętasz je wszystkie?
- zapytał z tą samą spokojną serdecznością.

Jego oczy szklily się coraz bardziej i patrzyły pozornie w sufit, ale dziś już wiem, że tak naprawdę spoglądał gdzieś o wiele dalej. Spoglądał bowiem do wrogiego kraju.

– Tak, pamiętam wszystkie ważne rzeczy, które mi powtarzasz.

– To bardzo dobrze synu. To wszystko w najbliższym czasie bardzo ci się przyda. Ale już niedługo potem przyjdzie czas, kiedy będziesz musiał nauczyć się nowych rzeczy, takich, których ja nie znam. To co przekazałem Ci do tej pory, stanie się już niewystarczające.

– Jak to tato?! – Pamiętam, że wybuchnąłem wtedy gromkim płaczem. – Jakich nowych rzeczy?

Tata objął swoimi dłońmi moje i lekko pociągnął mnie ku sobie, tak żebym usiadł obok niego. Posłusznie dałem się pokierować i połykając łzy starałem się złapać oddech.

– No już dobrze, He-Young. Przecież już Ci tłumaczyłem, że będziesz musiał być dzielny jeszcze bardziej niż byłeś do tej pory. Przecież właśnie zapewniłeś mnie, że o tym pamiętasz.

Starałem się powstrzymać łzy, ale efekt był odwrotny. Rzuciłem się na tatę, a on objął mnie w pól i poczułem, jak niewiele zostało z jego sił.

– Ale mnie tu tak boli w środku, jak o tym myślę, tatusiu! – krzyknąłem. – Tak bardzo mnie boli, że cię już ze mną nie będzie.

– Oj, He-Young, chyba jednak nie słuchałeś mnie uważnie – Tata głaskał mnie powoli po plecach i pamiętam, że spróbował być nieco surowy.

Jego uwaga i dotyk, nieco mnie uspokoiły. Nowe łzy przestały kapać mi na wargi.

– Ale ja nie rozumiem tatusiu... Nie rozumiem, jak to możliwe, że umrzesz i cały czas ze mną będziesz. Mamy i mojej siostrzyczki nie ma z nami, chociaż nie żyją. Nie widzę ich. I że będę musiał wszystkiego nauczyć się od nowa. Dlaczego?!

Tata z trudem uniósł się wtedy na łokciach i kazał mi otworzyć stary, zakurzony kuferek leżący pod stolikiem, na którym stał wciąż nadający odbiornik. W środku znajdowała się jedynie cienka, czarna narzutka. Dziś już wiem, że nazywa się ona pelerynką. Dziś już wiem, że jest to magiczna pelerynka, która jest tu teraz obok mnie, wyprana i wyprasowana.

Teraz, wspominając to po latach sam nie wiem jak to możliwe, że nie zwróciłem wcześniej uwagi na ten kuferek. Tak naprawdę do dziś nie wiem, czy był tam cały czas, czy pojawił się dopiero wtedy.

– He-Young! – Tata krzyknął na mnie, tym razem już chyba zupełnie zły. Ale jego oczy zaraz znów zrobiły się dla mnie dobre. – He- Young, mój synu, czy nie mówiłem Ci, że trzeba być w życiu odważnym?

– Tak, mówiłeś, mówiłeś, ale nie było do tej pory tak wielu nowych rzeczy!

– Synu, nasze życie wciąż się zmienia. Przecież ci mówiłem, nowe zmienia stare, ale jeśli jesteś mądry i odważny to dobre-nowe zamieni złe-stare, a strach pokonasz świadomością. Mówiłem ci to, He-Young. Synku, przecież rozmawialiśmy...

Zrobiło mi się głupio przed tatą, bo przecież mówił.

– Tak tatusiu, mówiłeś – wyrecytowałem.

– No właśnie, wszystko wiesz. Tylko musisz być mądry i odważny. Stań teraz przed lustrem, weź ze sobą narzutkę, którą wyjąłeś ze skrzynki.

Stałem przed lustrem, tak jak przykazał mi Tatko. Dziś pamiętam, że zrobiłem to dlatego, że on tak chciał, a ja sam wtedy nie byłem pewien ani swojej mądrości ani odwagi. Dziś dopiero wiem, że byłem bardzo odważny, a mądry stałem się wkrótce, a mój Tatko to wiedział, bo rozumiał, że mądrość towarzyszy człowiekowi na co dzień, a wykalibrować ją musi często po prostu odwaga, czyli umiejętność radzenia sobie ze strachami, jakie każdy z nas na co dzień w sobie nosi.

Dziś też myślę o tym w taki sposób, że trochę łatwiej mi było o odwagę, bo dużo przeżyłem mimo mojego młodego wieku, pewnie więcej niż niejeden dzieciak na moim miejscu, w innej części świata, który w moim wieku martwił się tym, jaki prezent dostanie od świętego Mikołaja pod choinką. Cóż, tak to w naszym życiu zazwyczaj bywa, że prawdziwa odwaga bierze się z tego, jak wielkie strachy uda nam się pokonać na drodze, którą obieramy, aby ją osiągnąć.

– Załóż narzutkę – nakazał Tatko.

Pamiętam dzisiaj całkiem dobrze, jak mocno po tych słowach, nie zdając sobie sprawy z tego co mnie czeka, trafnie poczułem, że w związku z tą szmatką, czeka mnie cała ta zmiana, o której mój świętej pamięci Ojciec próbował mi w tamtej chwili powiedzieć.

Stałem przed lustrem trzymając ją w rękę. Chciałem ją narzucić, ale ojciec wciąż mówił, chociaż chciałem, żeby już na chwilę zamilkł i dał się toczyć historii swoim tokiem. Chyba pierwszy raz w życiu mnie wówczas zdenerwował.

Dziś pamiętam, że zabolalo mnie to, co widziałem w lustrze. Widziałem chudego chłopca, z taką samą twarzą jak cały ten chory kraj. Za to widziałem też mojego Ojca, z twarzą inną teraz od wszystkich innych twarzy, patrząc na niego kątem mojego załzawionego oka.

– Założysz ją w końcu, He-Young, czy wolisz z tym poczekać aż umrę?

Założyłem. Nagle chudy chłopiec zniknął, a przed lustrem widziałem gołą, popękaną ścianę. Machnąłem ręką, mrugnąłem oczami i nic. Nic nie widziałem oprócz tej ściany za plecami.

– Tato, tato! Jesteś?! Tato! – krzychałem. – Tato, nie widzę siebie! Tato, jestem?!

– He-Young! Posłuchaj mnie uważnie. Właśnie założyłeś magiczną pelerynkę, która sprawia, że nikt cię nie zobaczy i nie

usłyszysz, jeśli będziesz miał ją na sobie. Pójdiesz w niej jutro na spotkanie wodza, poczekasz do końca, a potem podejdiesz bliżej niż wszyscy, bliżej niż

wszyscy dostojnicy i wsiądziesz z nim do samochodu. Wódz jedzie jutro do sąsiedniego wrogiego kraju, a ty pojedziesz z nim. Potem wysiądziesz i pójdziesz na policję i powiesz, że uciekłeś z Korei Północnej i zgłaszasz się po azyl polityczny.

– Tato, mam iść do wroga?! – niedowierzałem w to, co się dzieje. – Tak, He-Young! Masz być mądry i odważny! Masz pamiętać, że będę z tobą zawsze tam, gdzie ty będziesz i będę cię kochał zawsze i wszędzie!

– Tatku!

– He-Young! Masz mnie słuchać, bo jestem twoim ojcem, masz zrobić to co powiedziałem! Rozumiesz mnie?!

– Tak...

Mój Tato zamknął oczy, uśmiechnął się i już ich nie otworzył, a potem jego ciało zniknęło i łóżko stało się nagle puste, co bardzo mnie przeraziło. Podeszedłem do kuferka, z którego wyciągnąłem wcześniej tą magiczną ściereczkę, a w jego środku widniał czerwony napis, którego wcześniej nie widziałem. Brzmiał on tak: “Użyć na wypadek prawdziwej miłości. Żeby nie było, że o Was zapomniałem. Robię co mogę, chociaż tutaj mam słabe przebicie. Nie bądźcie na mnie źli”.

Nie zdjąłem już peleryny. Było mi w niej dobrze, inaczej niż do tej pory. Cóż, Tatko jak zawsze wiedział co mówi. Nie spałem, czekałem. Leżałem w łóżku, na którym wcześniej leżał Tatko, a potem zniknął. W końcu musiałem usnąć, a kiedy otworzyłem oczy, byłem zupełnie spokojny. Był już nowy dzień.

Postanowiłem, że zaufam Tacie na słowo, bo przecież nie okłamałby mnie. Wyjrzałem przez okno, ludzie zaczęli łączyć się w grupki i zmierzali w kierunku głównego placu miasta, na którym miał wystąpić wódz zanim pojedzie w odwiedziny do Korei Południowej. W Phenianie prószył tego dnia delikatny i czysty śnieg.

Stałem przed lustrem, jeszcze raz upewniając się, że magiczna pelerynka działa. Nie zobaczyłem swojej pospolitej twarzy i uznając to za sukces założyłem sweter, moje szare palto i wypchane słomą dziurawe trzewiki. Do kieszeni schowałem kilka sucharów i wypilem kubek wody. Pobiegnę na dół i dołączyłem do tłumów.

Początkowo nie zauważyłem wielkiej różnicy, ponieważ prawie zawsze czułem się wśród tłumów niewidzialny. Po co ktoś miałby patrzeć na jednego z milionów jednakowych, małych, chudych chłopców? Różnicę dostrzegłem dopiero, kiedy jeden z większych chłopców wyrwał mniejszemu jego szmacianą laleczkę i uciekł, chowając się za rogiem jednego z budynków. Mały chłopiec płakał tak mocno za swoją jedyną zabawką, że

postanowiłem odzyskać ją dla niego. Poszedłem więc za tym łobuziakiem i zobaczyłem jak bawi się lalką. Jego też zrobiło mi się szkoda, bo ukradł ją dlatego, że nie miał swojej, ale mimo wszystko nie powinien tego robić. Wyrwałem mu ją więc i z uśmiechem obserwowałem chwilę, jak przerażony nie ma pojęcia, co się właśnie wydarzyło. Nie chciałem za bardzo go przestraszyć, więc szybko odszedłem, ale jestem pewien, że mimo wszystko nie zapomniał i nie zrozumiał tego dziwnego wydarzenia do dziś. Odniosłem lalkę chłopcu, którego fakt ten za to w ogóle nie zdziwił. Przycisnął ją mocno do siebie i zostawiłem go takiego szczęśliwego, podczas gdy właśnie okazało się, że chłopca szukała jego starsza siostra.

– Son-Han! – krzyczała. – Gdzie mi uciekłeś?! Wiesz jak się martwiłam?! Nigdy więcej tego nie rób!.

Ale chłopiec przytulał tylko swoją lalkę. Zrobiło mi się bardzo przykro, kiedy zdałem sobie sprawę, że już niedługo lalka przestanie go interesować, a będzie musiał się zacząć martwić tym, żeby nie być głodnym...

Byłem już na miejscu. Nieprzebrany tłum skandował imię wielkiego wodza, który oddzielony był kordonami wychudzonych żołnierzy. Nie lubiłem żołnierzy. Mijałem ich, a oni mnie nie widzieli.

Wtedy zrobiłem coś, czego Tatko na pewno by nie pochwalił. Zachciało mi się siku, więc zmoczyłem buta jednego z wysokich chudzielców z bronią. Niczego nie dostrzegł, a ja poszedłem dalej, prosto na trybunę wielkiego wodza. Wielki wódz nie wydał mi się wcale wielki. Podobnie jak dostojnicy, a odwrotnie niż przeciętni ludzie miał dużo tłuszczu na twarzy, był pięknie, ciepło i szczelnie ubrany oraz radośnie uśmiechnięty.

Stałem chwilę, kiedy przemawiał, ale to, co mówił, podobnie jak wszyscy inni, znałem już na pamięć, więc w pewnym momencie urwał mi się całkowicie wątek. Przemówienie nie było długie i wielki wódz pomachał energicznie tłumom, zapewniając, że jedzie do Korei Południowej w nadziei, że uda mu się przekonać ten kraj do opamiętania się i wrócenia na jedynie słuszną drogę, czy jakoś tak. Potem zszedł z podium, wziął na ręce kilka małych dzieci, które serdecznie ucałował i zniknął otoczony koźuchem z wojska, ochroniarzy i ze mnie.

Wspominając dziś te wydarzenia, staram się przypomnieć sobie, jak bardzo świadomy byłem znaczenia tego co robię. Nie rozumiałem za bardzo znaczenia słów “azyl” i “polityczny”, których użył Tatko, ale wiedziałem, że skoro mam to zrobić z jego polecenia, to jest to coś dobrego dla mnie. I tego się trzymałem, wsiadając do limuzyny wielkiego wodza i jadąc

razem z nim w ciszy na stację kolejową, a stamtąd prosto do Korei Południowej.

Była to moja pierwsza podróż pociągiem i pierwszy raz zobaczyłem mój kraj poza Phenianem. Panowała w nim piękna zima, jego wielkie puste przestrzenie działały mi na wyobraźnię i zastanawiałem się jak to możliwe, że pociąg jedzie tak szybko i nie wypada z tych drobnych, wąskich szyn po których mknie.

Jeżeli chodzi o wielkiego wodza, to wydał mi się bardzo nudny. Palił wciąż cygara i wydawał polecenia. Poza tym mówił to, co jak już wspomniałem, znałem całkiem dobrze na pamięć. Potem przyszły trzy młode kobiety, z którymi wielki wódz zniknął w innym przedziale.

Muszę się przyznać, że zrobiłem kolejną rzecz, za którą z pewnością nie pochwaliliby mnie Tatko. Otóż, wszedłem sobie do pociągowej kuchni i ukradłem jedzenie. Nie mogłem się jednak powstrzymać, było w niej tyle pyszności, których nigdy wcześniej nie widziałem nawet na oczy, a co dopiero żebym ich próbował! Najadłem się więc do syta, różnymi przysmakami, których nazw wówczas nie znałem, a dziś wiem, że był to kawior, ostrygi, krewetki, różne mięsa i makarony. Cóż, wielki wódz lubił i do tej pory lubi sobie dobrze podjeść.

Bardzo nie podobało mi się, jak wielki wódz traktował jednego ze swoich służących, wciąż wyzywając go i krytykując wszystko, co robił. Kiedy w końcu dojechalismy, do wyjścia z pociągu podciągnięto czerwony dywan, a zaoferowany służący

tak bardzo chciał wypaść dobrze, że ze stresu stracił zupełnie równowagę i przez przypadek nadepnął wielkiego wodza w niewielkim tłoku, który powstał przy wyjściu.

– Ty skończony, skurwysyński śmieciu! – krzyknął do niego wódz i zaczął kopać lokaja. – Jesteś skończony, jesteś, kurwa, martwy, ty jebane ścierwo! – krzyczał, i krzyczał, i krzyczał.

Nie wytrzymałem i zrobiłem wtedy rzecz, o którą w takich okolicznościach Tatko nie byłby chyba aż tak bardzo zły. W momencie, kiedy wielki wódz wychodził z pociągu, do uroczyscie witającej go delegacji z Korei Południowej, dopchałem się w tłumie zaraz obok wielkiego wodza i ściągnąłem w dół jego spodnie, tak, że został w samych gaciach.

Pamiętam, że zapanowała wtedy przenikliwa cisza, a ja chichotałem chwilę patrząc jak wszyscy, łącznie z wielkim wodzem kotłują się w próbie założenia spodni z powrotem na jego tłusty tyłek.

Wiedziałem jednak, że muszę słuchać się Tatki, więc pobiegłem stamtąd. Kiedy wybiegałem z dworca schodami, które same się ruszały, już w drodze na górę czułem, że coś się zmieniło. Ludzie byli zupełnie inni od tych, jakich widziałem do tej pory, ale to co zobaczyłem na powierzchni spowodowało, że nogi się pode mną ugięły.

Cóż, zobaczyłem oświetlony Seul w nocy. Potem pamiętam już trochę mniej, zdjąłem tylko pelerynę i krążąc po

ulicach miasta, trzymałem ją w rękę, krzychałem to co kazał Tatko: "Policja, azyl polityczny!". W końcu podeszła do mnie policja.

I dziś jestem, tu w Seulu. Kilka lat po tych wydarzeniach wciąż mam pelerynkę, którą podarował mi Tata. Czy z niej korzystam? Korzystam z niej raz w roku, aby odwiedzić mój rodzinny grób na cmentarzu w Phenianie. Co roku odbywam podróż do swojego ojczystego kraju i z trudem mogę uwierzyć, jak bardzo jest tam strasznie. Wciąż źle jest tam prawie wszystkim. Wielki wódz jest coraz grubszy i wciąż gada swoje głupoty.

Podczas ostatniej wizyty doszedłem do wniosku, że muszę zrobić kolejną rzecz, której z pewnością nie pochwaliłby mój wspaniały Tata. Otóż wiem, że wielki wódz nigdy dobrowolnie nie odejdzie, a kolejnym wielkim wodzem będzie jego syn, a potem jego syn i nic się nigdy nie zmieni. Dlatego jutro, chociaż minął dopiero miesiąc od mojej ostatniej wizyty na grobie rodzinnym, jadę tam znów. Założę moją pelerynkę oraz dopilnuje, żeby był to ostatni dzień wielkiego wodza, jego syna, całej rodziny, a także całej wierchuszki partyjnej.

Cóż, Tatko tak jak mówił, jest wciąż przy mnie. Już dawno zrozumiałem, że może być ze mną chociaż nie widzę go

i nie słyszę. Cóż, Tatko chyba w zaistniałych okolicznościach nie będzie miał mi tak bardzo za złe tego, co zrobię...

Spotkanie po zmroku

Mateusz Rymiszewski

Ten wieczór spędzał tak samo, jak każdy poprzedni. Watanabe Hiroshi siedział po ciemku, zajadał się słonymi chipsami i spędzał godziny przed ekranem komputera.

W przerwie między graniem w gry video, kiedy wpadał w złość i niekiedy doprowadzającą go do łez frustrację, odwiedzał media społecznościowe, korzystając z anonimowego konta, bo tylko ukrywanie swojej prawdziwej tożsamości pozwalało mu na pisanie naprawdę obrzydliwych i często krzywdzących komentarzy. Bardzo go to satysfakcjonowało. Wyzywanie innych z różnych powodów sprawiało, że czuł się od nich lepszy.

Watanabe dla wielu był bowiem prostakiem, człowiekiem, który przegrał życie, mając zaledwie dwadzieścia lat. Chłopak nie ukończył szkoły wyższej, nie miał też fachu w ręku. Żył samotnie, a utrzymywać się mógł tylko dlatego, że rodzice co miesiąc wysyłali mu niezbędne sumy pieniędzy, jednocześnie zachęcając syna do zmiany czegoś w swoim życiu. Oprócz tego Watanabe dorabiał w pobliskim barze z ramenem. Nienawidził tej pracy, podobnie jak ludzi tam pracujących. Będąc w lokalu, nieustannie odliczał czas do końca zmiany.

Później wracał do domu i odpoczywał. Chodził spać zazwyczaj bardzo późno.

Ostatnio wraz z innymi czepialskimi internautami uwziął się na jedną z mniejszych influencerek, nie mającej nawet dziesięciu tysięcy obserwujących Tanakę Kumiko, podpisującej się jako Tamiko.

Dziewczyna prowadziła dietetycznego bloga, choć nie była nad wyraz piękna. Nie posiadała idealnych proporcji ciała; jej biodra były szerokie, a uda zaokrąglone. Do tego dochodziła też twarz szargana widocznym trądzikiem, mającym swe podłoże w burzy hormonalnej, a nie niezdrowym trybie życia.

To wystarczyło, by na Tamiko wylała się fala niestosownych, często wręcz okropnych komentarzy, jednak dziewczyna zdawała się tym nie przejmować. Być może rzeczywiście była bardzo odporna na tego typu uwagi, a może za każdym razem zaciskała zęby i puszczała tego typu teksty w niepamięć, choć wewnętrznie bardzo ją to bolało.

“Jak ty możesz prowadzić dietetycznego bloga?” – grzmiały komentarze, a było takich wiele. “Zadbaj o siebie wreszcie, bo chyba nie wiesz, o czym mówisz”. “Zrób coś z twarzą”. “Wyglądasz jak świnia”. “Tobie by się przydał dietetyk, grubasko”. – Był to wpis poprzedzający wyzwisko Watanabe Hiroshiego. “Mówisz o zdrowym odżywianiu, a sama wyglądasz jak tłusty kawałek boczku” – napisał chłopak, uśmiechając się do tego szaleńczo.

Pewnego razu Tamiko zniknęła na tydzień z social mediów. Nie pojawiały się od niej żadne wpisy, filmy ani zdjęcia zupełnie tak, jakby zapadła się pod ziemię. Nikt z internautów się tym nie przejął. Potem pojawiła się na tyle niespodziewanie, że zaskoczyła wszystkich. Napisała „Przepraszam” i znów zamilkła w sieci tylko po to, by zaledwie dwa dni później zrobiło się o niej naprawdę głośno. W jednym z garażów na przedmieściach Tokio, gdzie Tanaka Kumiko trzymała swój rower, korzystając z uprzejmości przyjaciółki, do której ten garaż należał, policja odnalazła wiszące na sznurze zwłoki młodej dziewczyny. Media nie zajęłyby się tym tematem, wszakże w Japonii samobójstwa są dość powszechnym problemem społecznym, gdyby nie fakt, że samobójczynią okazała się internetowa twórczyni, której krytykowanie przysporzyło dodatkowej popularności.

Ponadto rzecznik prasowy policji w Tokio wyznał, że ofiara miała okaleczoną twarz. Nie wiadomo jednak, o co chodziło i czy Tamiko uprzednio pocięła sobie policzki, nos i usta. Dalsze szczegóły tej smutnej sprawy zostały bowiem utajnione.

Mimo to w internecie wrzało. Jedni stawali w obronie biednej dziewczyny, która w końcu nie wytrzymała presji, inni zaś zarzucali zmarłej, że skoro chciała coś publikować, to musiała liczyć się także z nieprzychylnymi komentarzami.

Od tej pory śledzący tę sprawę Watanabe nie czuł się winny. Nie sądził bowiem, że zrobił coś złego. Tkwił w przekonaniu, że prawda o kimś nie powinna być krzywdząca, a Tanaka w istocie się po prostu nie nadawała do promowania zdrowego trybu życia, skoro jej aparycja przeczyła temu, co tak ochoczo głosiła.

– Hipokryzja – mruknął Watanabe, siorbiąc ramen, a potem wszedł na forum wyszukać jakiś ciekawy temat. – Zobaczmy... – Śmiał się i publikował komentarze i tak spędził resztę wieczoru.

Następnego dnia, jak co dzień, wyszedł do pracy. Przemęczył się całe dziesięć godzin i późnym wieczorem opuścił lokal, korzystając z tylnych drzwi. Był piątek, ostatni dzień pracy w tym tygodniu. Po trzech dniach gotowania i podawania ramenu, Watanabe był naprawdę wycieńczony. Już nawet myślał, by zamówić taksówkę, ale kiedy zajrzał do portfela, zrozumiał, że lepiej będzie zaoszczędzić pieniądze. Tak też zrobił.

Ruszył pieszo w dół ulicy, w kierunku swojego mieszkania. Nad nim wisiały telewizyjne satelity, ciągnęły się linie telefoniczne i krzykliwe neony. Wyjątkowo dziś wiele z nich było wyłączonych, a droga wyglądała naprawdę mrocznie. Tuż nad jej twardą powierzchnią unosiły się kłęby oparów, wyziewy z pobliskich restauracji i lokali, także małych fabryk, rodzinnych interesów. To tutaj właśnie wychodziły tylne drzwi z tych miejsc.

Tutaj wyrzucano śmieci i resztki jedzenia. To tutaj właśnie gromadziły się szczury i polujące na nie koty.

Watanabe był tu sam. Szedł powoli, chcąc odpocząć. Raz po raz rozglądał się na boki. Spowite nocą miasto szumiało głucho w tle. Dreszcz przebiegł po jego plecach. Lekki wiatr popychał toksyczną mgiełkę, której wcale nie ubywało. Wtedy przypomniał sobie o Tamiko. O tym, co o niej pisał i o jej samobójstwie. “Nie przesadzaj” – mówił sobie w myślach – “To głupoty. Nie przejmuj się tym”.

Chcąc dostać się do domu, Watanabe musiał przejść przez pasy. Lampa, która miała je oświetlać, mrugała i zgasła w chwili, kiedy chłopak poczuł za sobą czyjąś obecność. Nie obrócił się jednak, myśląc, że to przecież inna wracająca późno wieczorem z pracy osoba.

Stanęli przy krawędzi, czekając na zmianę światła. Tuż za sygnalizacją ciągnęła się ciemna ulica, podobna do tej, którą młodzieniec właśnie przebył. Wydawało mu się, że oczekiwanie na niebieskie światło trwa wiecznie.

Osoba, która z jakiegoś powodu stała tuż za nim, nie wydawała z siebie żadnych odgłosów. Do czasu. Kiedy sygnalizacja też zgasła, a z lewej i prawej nie nadjeżdżało żadne auto, Watanabe chciał ruszyć naprzód, lecz wtedy zorientował się, że zimna, smukła dłoń nieznajomej mu osoby dotyka jego lewego ramienia. Dotyk był miękki, wręcz aksamitny, ale i trupio lodowaty.

– Przepraszam...? – Watanabe obrócił się. – Mogę w czymś Pani pomóc? – Szybko założył, że jest to kobieta. – O co chodzi?

– Właściwie to chciałam zapytać o godzinę.. – odpowiedziała mu czarnowłosa piękność. – Rozładował mi się telefon.

Nieznajoma na twarzy nosiła maseczkę z pewnością po to, aby nie wdychać oparów albo z powodu kataru. Jej oczy były ciemne jak dwa onyksy, uszy skryte pod lśniącymi włosami, które oddzielone przedziałkiem na czubku głowy opadały luźno na jej wątłe ramiona. Dziewczyna miała sięgającą połowy ud granatową kurtkę, pod spodem z kolei prześwitującą lekko białą bluzkę, a do tego wyzywającą, kraciastą spódniczkę i zakolanówki zaciągnięte lekko za kolana. Chłopak onieśmielił się na jej widok.

– Och, godzina? – uniósł brwi. – Jest prawie dwudziesta trzecia.

– Dziękuję – odpowiedziała i milczała przez chwilę. – Mieszkasz tu?

– Niedaleko – odparł, a rozmowa ta stresowała go bardzo. – Wracam z pracy, muszę jeszcze przejść przez dwie przecznice i będę w domu.

– Trochę tu mrocznie – powiedziała tajemniczym tonem. – I strasznie. Prawda?

– Nie boję się – skłamał Watanabe. – A ty?

– Nie. Bardzo lubię ciemność.

Młody mężczyzna podrapał się po potylicy.

- Tak... to ciekawe – wydukał, po czym wyprostował się. – Jestem Watanabe. Watanabe Hiroshi, miło mi.
- Sasaki. Pójdziemy tam razem?
- Gdzie? W ciemność?
- Tak, ja też mieszkam w okolicy. Nie mogłeś mnie widzieć. Przeprowadziłam się niedawno.

Powiedziawszy mu o tym, pewnym, acz nieco drętym krokiem przekroczyła jezdnię. Watanabe wzrokiem podążał za jej zgrabnymi nogami. Szybko dołączył do dziewczyny.

- Razem będzie nam rażniej, prawda, Watanabe?
- Chyba tak – mruknął. – To znaczy... z pewnością.

Sasaki nie patrzyła na niego. Mówiła dziwnym, obojętnym tonem, jakby robotycznym, czy po prostu nieludzkim. Chodziła dość szybko i niemalże bezszelestnie. To dlatego nie słyszał kroków, gdy tak nagle zjawiała się za jego plecami.

- Opowiesz mi coś o sobie, Watanabe? – zapytała beznamiętnie.
- Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Wydajesz się być ciekawym człowiekiem.
- To się robi jakieś nietypowe – pomyślał chłopak.
- Tak, uhm, co chcesz wiedzieć?
- Co robisz na co dzień? Kim są twoi rodzice?
- No to... – westchnął. – Pracuję w pobliskim barze z ramenem, mieszkam sam, a mój tata jest technikiem w elektrowni, mama nauczycielką angielskiego.

– To wspaniale – jej mowa ciała nie wyrażała optymizmu. – Masz jakieś hobby? Coś, co robisz w wolnych chwilach?

– Jesteś bardzo ciekawska – zachmurzył się.

– Och, naprawdę? Wybacz – słowa sugerowałyby zawstydzenie, ale ton głosu pozostawał niezmienny. – Ty wiesz o mnie wszystko, więc po prostu chciałam, byś mi o sobie opowiedział, Hiroshi.

– Jest piękna i dziwna – pomyślał. Przyciąga mnie jak magnes, ale chcę już być w domu.

– Nie znam cię, Sasaki. Nie wiem, o czym mówisz. Lepiej przestań.

– Jak wyglądałaby twoja wymarzona dziewczyna?

– Co? – wzdrygnął się.

– Jak wyglądałaby twoja wymarzona dziewczyna? – ponowiła pytanie i spojrzała na niego rozżarzonymi jak węgielki oczyma.

– Proszę, odpowiedz mi.

– Tak... – zawahał się. – Jak ty, Sasaki.

– Co za głupota – pomyślał zaraz po zamknięciu ust. – Co ja w ogóle wygaduję?

– O, wspaniale – wcale się nie cieszyła. Jej ruchy były bardzo sztywne. – Czy jestem piękna? – zapytała nagle nad wyraz lodowato i poważnie. – Watashi kirei? – Watanabe skojarzył to zdanie z miejską legendą o *kuchi-sake-onnie*, kobiecie z rozciętymi ustami, lecz tylko zaśmiał się w myślach. To przecież nie mogła być prawda.

– Tak – odrzekł kompletnie zmieszany.

Zrobiło się jeszcze dziwniej, kiedy tajemnicza dziewczyna zaczęła ściągać z ust maseczkę. Było tak, jak w opowieściach o tym jednym z żeńskich *yōkai*, które straszy samotnie wracających po zmroku ludzi.

Krok po kroku. Ruch za ruchem. Wszystko się zgadzało. Szybko potwierdziły się jego największe obawy, które wcześniej wyśmiał. Dziewczyna w istocie miała przedłużony uśmiech, głęboko rozcięte czerwone policzki. Po jej obwisłych wargach wciąż ciekła wartko lepka krew, oczy płonęły teraz gniewem, diaboliczną złością, a odsłaniające wszystkie zęby, szerokie usta uśmiechały się demonicznie i chciwie. Sasaki sapała donośnie jak łapczywy drapieżnik sycący się swoją ofiarą. Rozpoznał w niej kogoś, kogo znał. Młodą kobietę, która całkiem niedawno popełniła samobójstwo, uprzednio oszpecając sobie twarz. Tanaka Kumiko, przypomniał sobie. Ta-miko. Tamiko. To jej paskudna twarz.

– A teraz? – syknęła niczym wąż. – *Kore demo?* – tak brzmiało drugie z pytań wypowiedzianych przez *kuchi-sake-onnę*. Bał się udzielić odpowiedzi. Dużo legend o tej *yōkai* wskazywało, że żadna z nich nie jest poprawna.

Tanaka, która jeszcze przed chwilą była Sasaki, wyciągnęła zza pleców niedużą kosę z drewnianym, owiniętym skórą uchwytem. Narzędzie, którym z pewnością rozcięła usta, a teraz to samo zrobi swojemu wybrankowi.

Watanabe Hiroshi, nie czekając długo, dał nogi za pas. Skoczył w głuchą ciemność i zaczął żwawo biec w stronę domu. Chciał krzyczeć, ale głos utknął mu w gardle. Co chwilę obracał się panicznie, patrząc nerwowo, czy demon nadal za nim podąża. Niestety dla niego podążał nieustannie.

Upiorzyca, która jeszcze przed chwilą była spokojną dziewczyną o łagodnym usposobieniu i nieco opóźnionych ruchach teraz zachowywała się jak drapieżny kot w miejskiej dżungli. Biegła, nie wywołując hałasu, skakała nad schodami, górami śmieci i ławkami. Omijała każdą z przeszkód, nie męcząc się przy tym. Gdy znikala mu na chwilę z oczu, pojawiała się na dachu. Przeskakiwała z budynku na budynek, oświetlana przez blask księżyca. Tam, gdzie się pojawiała, występowały nagle problemy z elektrycznością.

– Zostaw mnie! – krzyknął Watanabe, zatrzymawszy się na jednym ze skrzyżowań. – Zostaw mnie, słyszysz?!

Lampa zgasła. *yōkai* zawisła na niej jak nietoperz.

– Ty nie potrafiłeś – rzuciła złowieszczo. – I za to zginiesz, Watanabe Hiroshi.

– Nie! Nie!

Zamiast pobiec w kierunku mieszkania, bez zastanowienia rzucił się gwałtownie do ucieczki w jedną z bocznych przecznic. Duch zmarłej dziewczyny skoczył za nim. Nie odpuszczał. Gonił, a gdy się poruszał – nadto zwinnie – jego

kosa błyskała w świetle gasnących lamp, domowych światel i neonów.

– Biegnij, Watanabe! – wołała Tamiko. – Biegnij! I tak nie uciekniesz!

– Ratunku! – wrzeszczał chłopak. – Pomocy!

Skręcił za ciemnym narożnikiem. Uliczka była jeszcze węższa od poprzednich. Nie miał już sił, ale biec dalej pozwalała mu adrenalina, która spadła, gdy Watanabe dotarł do ściany. Miał wrażenie, że ta wyrosła jakby znikąd. Ceglany mur zagroził mu drogę. Była to ślepa uliczka. Rozejrzał się, lecz nie znalazł żadnej drogi ucieczki poza tą zagrodzoną przez Tanakę Kumiko, bładą i przerażającą zjawę z kosą. Zrozumiał nagle, że to koniec. Załamał się. Ukucnął. Twarz schował między kolanami.

– Moje życie nie ma sensu – załkał, próbując wywołać u niej poczucie litości. – Mam dwadzieścia lat. Nie mam wykształcenia, porządnej pracy, ani nawet dziewczyny.

– Dlatego jesteś potworem dla innych? – sarknęła. – Dlatego doprowadzasz niektórych do tego, co ja sobie zrobiłam?

– Nie wiedziałem, że to przeze mnie! Nie czułem winy! Przepraszam! –

yōkai na te słowa pokręciła głową. Jej wzrok wciąż palił, wpijał się w głąb jego duszy.

– Nie czuleś wyrzutów sumienia. Teraz spotka cię kara.

– Błagam! – uniósł otwartą dłoń na znak poddania się. – Nie rób mi krzywdy!

Upiorzyca z zimną krwią pozbawiła go wszystkich pięciu palców z uniesionej dłoni. Watanabe wydarł się przeraźliwie, lecz nikt nie mógł go usłyszeć. Tamiko szarpnęła za drugą z jego rękę i sprawnym cięciem kosi odrąbała mu kolejne palce. Watanabe krzyczał, błagał, łkał, ale na nic się to zdało. Demonica była od niego o wiele silniejsza. Jego los znajdował się w jej bladych, jak u nieboszczyka, rękach. Palce, które mu odcięła, spadły do brudnej kałuży pod nimi i zabarwiły wodę na czerwono.

– Już nigdy więcej niczego nie napiszesz – orzekła beznamiętnie, po czym schyliła się.

Watanabe Hiroshi był jak mordowane zwierzę, wykręcał się z bólu, lecz nie mógł wstać.

– I od tej pory przenigdy się nie uśmiechniesz – oznajmiła z nienaturalnym spokojem.

Powolnym ruchem przyłożyła mu ostrze kosi do policzka. Pociągnęła, a metal z łatwością rozdarł skórę, wbił się głęboko, aż do okolic małżowiny usznej. Trysnęła krew. *Yōkai* to samo zrobiła z drugiej strony. Uśmiech został przedłużony.

– W takim stanie będziesz tkwił aż do swojej śmierci.

– Zabij mnie... – bełkotał błagalnie. Oczy miał mokre od łez, czoło niesamowicie spocone, usta zalane posoką. – Skończ to... Po prostu mnie zabij.

– To byłoby zbyt proste – prychnęła Tanaka Kumiko, po czym wstała, założyła maseczkę i odeszła w kierunku głównej ulicy. – Miło się gawędziło, Watanabe Hiroshi.

Chłopak został tam i cierpiał. Wbrew woli demonicznej dziewczyny młody mężczyzna wykrwawił się i umarł tej samej nocy. Jego ciało znaleziono przypadkowo następnego poranka. Natychmiast zawiadomiono służby.

Śledczych zainteresowała okaleczona twarz. To samo widzieli już w przypadku influencerki-samobójczyni. Sprawa ta ciągnęła się przez najbliższe miesiące, a z czasem została umorzona. Watanabe Hiroshi nigdy więcej niczego nie napisał. Nie skrzywdził żadnej kolejnej osoby. Dostał nauczkę, najwyższy wymiar kary. Za życia był potworem dla innych, to i został zamordowany przez potwora. Legenda o tokijskiej *kuchi-sake-onnie* urosła w siłę.

Legenda o śmierci generała Wu Sun Tsuanga i jego dzielnych żołnierzy

Hanna J. Stepniak

To, czego nie nazwano, dało początek Niebu i Ziemi. To, co dostało imię, zrodziło dziesięć tysięcy rzeczy. A na Ziemi i na Niebie pojawiły się różne zjawiska i Taiyi, i różne inne bóstwa. Te dały początek wielkim przemianom. I wszechświat stał się doskonały. Jednakże nie na długo, gdyż ci, co żyli na Ziemi, zapragnęli być równi tym, którzy są w Niebie.

A ja Wam mówię, że najlepszym przywódcą zostaje ten, którego istnienie pozostało niezauważone.

Z jednej z ksiąg Lao- Tze

Dawno, dawno temu, w dalekim kraju na wschodnich krańcach ziemi, żył pewien cesarz, który podbijając sąsiadujące z nim ludy, stworzył tak wielkie imperium, że zaczął uważać siebie za równego bogom. Podczas jego rządów, zginęły za jego sprawą setki tysięcy ludzi. I choć był teraz władcą wielkiego państwa, które swym pięknem przewyższało wszystkie inne

kraje, to nie był on szczęśliwy. A to dlatego, że zapragnął osiąść życie wieczne. Miał on liczne wojska i wielu generałów. Ci służyli mu wiernie. Cesarz mógł nimi rozporządzać, jak tylko zechciał. Jednym z nich był Wu Sun Tsuang.

Pewnego lata Wu Sun Tsuang i jego żołnierze dostali od niego rozkaz udania się na nieznany im dotąd posterunek. Przebyli w poprzek rozległą dolinę Wei, przechodząc blisko pierwszej stolicy Qin, Xianyang do Xi'an i tam zatrzymali się na wskazanym im miejscu. Oprócz potężnej baszty i wielkich zabudowań, które z daleka przypominały fortyfikacje muru, oraz skał i piasków, nie było tam nic. Wokół widać było szereg nieokreślonych rowów i dołów, a przy nich ogromne stosy zgromadzonego materiału budowlanego.

Do tego miejsca nie prowadziła żadna z dróg. Od czasu jak zeszli z Linma, jechali tylko przez szerokie pola. Z najwyższych pięter baszty, przy której wykopana została fosa na wodę, widać było całą okolicę. Z jednej strony górę Lishan, a z drugiej, rzekę Sha, która wpływała do Wei. Gdziekolwiek rosły karłowate drzewa i rozłożyste krzewy, z szeregiem drobnych gałęzi, z mnóstwem ostrych kolców. Wokół nich roiło się od much, komarów i innych owadów. Nie wiadomo było co je tutaj wszystkie ściągało. Wokół tych budowli, nie było widać żadnych upraw, żadnych zwierząt i żadnych śladów jakichkolwiek domostw. Słońce paliło niemiłosiernie, ale wojsku kazano czekać w polu i nie pozwolono im wjechać do obozu.

Nikt nic więcej im nie powiedział. Jakiś urzędnik cesarski przeczytał od niechcienia wręczony mu rozkaz i popatrzył na generała.

– Proszę poczekać – rzekł. Tu wskazał na niedalekie wzgórze nieopodal miejsca, gdzie już stali i dodał. – Tam.

– Tam, w tym słońcu? – zapytał Wu, któremu nie za bardzo spodobało się to, że po przebyciu tylu kilometrów, musi ze swoimi ludźmi nadal stać na spalonym słońcem pagórku, bez kwatery, picia i bez posiłku.

Potrzebowali przecież odpoczynku. Urzędnik nie był jednak już więcej nim zainteresowany. Obrócił się do niego plecami i szukał czegoś w szufladkach swych szafek.

– Jestem Wu Sun Tsuang, generał cesarski. Jestem tu z polecenia samego kanclerza, Li Si.

Nie zdążył jeszcze dodać wszystkich tytułów i grzeczności, gdy urzędnik mu przerwał.

– Wiem o tym – odpowiedział, nie podnosząc głowy i nie odwracając się w jego stronę. – Słyszeliście, trzeba czekać – położył nacisk na słowo “czekać”.

– Nadzorca cesarski przybędzie dopiero dziś wieczorem – odparł i zastanowił się przez chwilę, co ma jeszcze temu wojskowemu powiedzieć. Zawsze myśleli, że są najważniejsi.

– I wtedy może was przyjmie – dodał z niechęcią.

Powiedziawszy to, nie poświęcał mu już więcej uwagi i pochylił się nad swą pracą. Potem wyszedł i zostawił Wu

samego. Sługa, który stał przy drzwiach, pokłonił mu się nisko, gdy ten na niego spojrzał. Wu wiedział, że od tego człowieka nie dowie się już nic więcej, nie miał bowiem języka. Wyszedł, rozejrzał się po dziedzińcu i zobaczył zbiorniki z wodą. Zbliżył się do nich. Straż stojąca przy nich potwierdziła, że są pełne. Ucieszył się, lecz nie na długo, gdyż żołnierze poinformowali go, że ta zostanie rozdana dopiero wtedy, gdy się wszyscy zbiorą.

– Jacy wszyscy? – Próbował się czegoś więcej dowiedzieć i zorientować, po co tu przybyli.

Jednakże w tej chwili podeszli do nich jacyś obcy kapłani niższego rzędu i żołnierze zamilkli. Nigdy dotąd nie widział ich zakonu. Ci jednak, nie zwracając uwagi na jego stopień, zaczęli bezczelnie do niego krzyczeć, próbując go cofnąć w stronę prowizorycznej bramy. Nie miał ochoty wdawać się w spory lub bójkę z nieznajomymi. Ponadto nie wiedział kim naprawdę są i jaką funkcję tu pełnią, więc odwrócił się od nich, wsiadł na konia i pogalopował do swoich.

Nie znał ani celu swej misji, ani nie wiedział, jakie ma zadanie. Przybył tutaj z całą swą konnicą, piechurami i z dodatkowymi zaprzęgami i rydwanami. Wiódł też ze sobą powóz samego cesarza, Qin Shi Huangdiego, jedną z jego karoc z czterema końmi, którą tylko cesarz mógł używać. Dowodził dwu tysiącem podwładnych mu żołnierzy, nie licząc koniuchów.

Z rozkazu wynikało tylko, że mają się tutaj zameldować. Zmęczeni żołnierze usadowili się pośród krzaków, rozbili obóz,

rozjuczyli konie i rozpalili ogniska. Nadeszła noc i choć dostali już wodę, przydział ryżu i warzyw, generała zaczęły trapić niejasne przeczucia. Nie to, że był nadmiernie ciekawy, lecz jakiś nieokreślony niepokój wdzierał się mu do serca. Nad nim jaśniało niebo pełne gwiazd. W trawach było słyszeć cykady i ciche rozmowy kładących się spać. Konie stały spokojnie.

Leżeli już na swoich kocach, kiedy jego bardzo jeszcze młody adiutant, Li Chieng, wyciągnął zza pazuchy flet. Uciszyli się, jak tylko zaczął grać. Zagrał tęskną, starą melodię, znaną im z dzieciństwa. Wu powędrował myślami w kierunku Shaanxi, do miasta Yong. Tam, w małym dworku, wśród wysokich topól, jesionów i wierzb, czekali na niego ukochana żona, syn i dwie córki. Tak rzadko ich widywał. Już ponad dwadzieścia lat służył cesarzowi, wojna za wojną, potyczka za potyczką. Oni zaś każdego dnia wypatrywali jego powrotu. Niedługo zostanie zwolniony z czynnej służby, uda się do ukochanego domu i weźmie ich w swe ramiona. Zawiezie żonie i córkom piękne prezenty a synowi podaruje swój miecz i swoją zbroję.

– Ach, jakie szczęście – szepnął do siebie tak, aby nikt go nie usłyszał. – Powrócę do was i będziemy razem. Wybierzemy się na górę Taibai Shan i złożymy tam bogom ofiarę dymną i podziękowanie.

Zmęczenie dało o sobie znać i generał Wu Sun Tsuang zasnął. Rano, gdy wstali, zauważył, że wojska zaczyna przybywać. Inne oddziały cesarskie zajmowały miejsca na

przyległych wzgórzach. Patrzyli na nich, jak tamci, kierowani przez nieznanych kapłanów i szamanów, tłoczyli się między ciernistymi krzewami. Wu rozpoznawał kolory ich flag. Przybyli inni generałowie z ciężką infanterią, z kusznikami, z lekką piechotą i jeden ze strategów, z wszelkiego rodzaju bronią. Wszyscy oni byli przednimi dowódcami, doświadczeni w boju.

Choć ucieszył się na ich widok, coś mrocznego i niepokojącego wdarło się znowu w jego serce. Ta sama nieokreślona trwoga, która już wczoraj go naszła. Po co tu przybyli? Starał się przypomnieć sobie wczorajszy dzień i wszystkie jego szczegóły. Przebiegał na nowo wszystko w swoich myślach: niewykończony mur i basztę, niechlujne budy sklecone na jego podwałach, tych dziwnych szamanów, urzędników niższych rangą, architektów cesarskich i wszystkich jeńców i chłopów, zakutych w żelazne kajdany, strzeżonych przez najgorszych opryszków z cesarskiej straży. Z kim mają tu walczyć, w samym sercu Qin? Jak mu było wiadomo, nie było tu żadnych buntowników, czy wrogich armii. Nie w tych stronach. To był ich dom, stąd pochodzili.

Razem z cesarzem podbijał od samego początku, sąsiadujące z nimi ludy z sześciu krajów, prowincji Zhao, Yan i Qi. Następnie docierając do buntowniczego królestwa Chu, podbili je, by przez zniewolenie Han i Wei z powrotem powrócić do ojczyzny. Oni wszyscy brali udział w połączeniu tych ziem

i ludów, w powstaniu Państwa Środka, pierwszego wielkiego Cesarstwa Chin.

Znużony ogromem tych myśli, zasiadł do posiłku, który przygotował mu Li Chieng. Chciał się oderwać od ponurych przypuszczeń, lecz nie mógł. Przypomniała mu się naraz droga do prowincji Shandong. Tam spotkał mistrza Xun Kuanga, który szerzył nauki wielkiego Konfucjusza. Jego i wszystkich jego uczniów, zaprowadzili wtedy na śmierć. Tak, jakby ten sam teraz przed nim stanął, przypomniał sobie, ostatnią z nim rozmowę: “Przed śmiercią przypomnij sobie moje słowa, to co tobie mówiłem. Szlachetny człowiek wymaga od siebie dyscypliny, nawet w obliczu śmierci. Przed śmiercią wypowiada dobre słowa, ale jest stanowczy. Zawsze troszcz się o swoje cnoty, byś nie utracił swej godności”.

Dlaczego słyszał je znowu? Wiedział od dawna, że śmierć mistrza wywarła na nim wielkie wrażenie, a jego nauki zapuściły korzenie w jego duszy. Ukrywał je przed wszystkimi, w najbardziej niedostępnych zakątkach swego serca. Wiedział, że jakakolwiek sympatia dla zwolenników Konfucjusza, oznaczała śmierć. Stary człowiek, w ostatniej chwili, włożył mu jeszcze do kieszeni jego munduru list swego nauczyciela. Wu czytał go później często potajemnie na postojach. “Największym powodem do chwały nie jest nigdy nie upaść, ale umieć podnieść się za każdym razem, kiedy upadniemy...”.

Wraz ze swym sztabem i najbardziej wiernymi druhami, weszli potem na świętą górę Tai Shan, by modlić się do bóstw Nieba. Duszą Wu szarpały wewnętrzne walki i zwątpienie. Pogrzebali wtedy żywcem tylu uczonych i mnichów, że ich dusze płakały w skrytości. Po tym wszystkim prawie się załamał. Wu chciał wtedy stamtąd uciec, zostawić wszystko za sobą i zacząć nowe życie bez przemocy. Zapomnieć o swojej służbie i obowiązkach. Jednakże był żołnierzem. Musiał walczyć dalej z nadzieją, że kiedyś skończy się wojna, nastanie pokój i powróci do swojego domu.

Generał ocknął się znowu z nawału wspomnień, kazał dać sobie konia, usiadł na niego i pogalopował w stronę najbliższych stojących żołnierzy. Do stojących tam jednostek nie mógł jednak podjechać. Jakiś ważny eunuch dworski, w biało-czarnym odzieniu, bogato przyozdobionym złotymi wzorami, zastąpił mu drogę i pokazując mu najwyższego rodzaju pełnomocnictwo i pieczęcie cesarskie, kazał mu zawracać. Nakazał też, by nikt się nie ruszał z wyznaczonych sobie miejsc. Wu starał się przypomnieć jego imię, lecz nie mógł. Rozpoznawał jego twarz i wiedział, że widywał go na dworze cesarskim, od czasu powrotu z Shandong. Wielu nowych i mu nieznanych ludzi starało się zdobyć względy cesarza. Wielu różnego rodzaju kapłanów, magów i szamanów, nieznanych lub mniej znanych kultów, przybywało na dwór, zwabionych chęcią świetlanej kariery. Było też wśród nich wielu szarlatanów, którzy

zajmowali się naukami tajemnymi lub uprawiali zakazane i niebezpieczne kultury i rytuały.

Generał musiał usłuchać. Wrócił więc do swoich żołnierzy, nakazał im zająć się wypasem i ujeżdżaniem, umyć i wyszczotkować konie, wyczyścić i zabezpieczyć zaprzęgi i uprzęże. Mieli też zadbać o siebie i swoje uzbrojenie, ponaprawiać umundurowania, wyczyścić broń.

Nieznany kastrat przysłał im po południu, przez swoich ludzi, nowe sztandary, proporce i flagi. Te były zapakowane w drogie, bogato pokryte reliefami skrzynie z czarnych drzew hebanowych. Wszystkie chorągwie były czarno-białe. Prócz białych symboli dynastii Qin, wyszyte były na nich też czarne znaki, prawie takie same, które Wu widział w Lai'an, na półwyspie Shandong, kiedy składali ofiary. W Lai'an spędził na dworze cesarza trzy miesiące. Tam też po raz pierwszy usłyszał niesamowite opowieści o Wyspach Nieśmiertelności. Podobno rosły na nich zioła długiego życia, z których można było przyrządzić eliksir, dzięki któremu można było żyć wiecznie.

Serce Wu znowu przepełnił niepokój. To nie były dobre czasy, nie wspominał ich chętnie, pełne niezbadanych nauk i zabobonów. By odpędzić złe myśli i niedorzeczne odczucia, chodził teraz i sprawdzał, jak mają się prace. Rozmawiał z żołnierzami, pytał o ich rodziny i domy, zachęcał do pracy i chwalił.

Wieczorem Li Chieng znowu grał. Dziś grano wesołe melodie i przyśpiewki. Żołnierze żartowali, śpiewali, a niektórzy tańczyli. Opowiadano o różnych, przeżytych wspólnie przygodach. Wu pozostawił wszystkich w dobrym humorze i poszedł do koni. Przechodząc przez ich szeregi, głaskał je i poklepywał po karkach. Otoczony końmi podniósł głowę do góry, nie potrafił wytłumaczyć sobie swych lęków.

Wpatrywał się długo w ciemnogranatową, gwiazdną przestrzeń, aż zadrżał na całym ciele. Zapłakał bezgłośnie. Łzy spływały po jego spalonych słońcem policzkach. Poczuł na swoim ramieniu, jakiś delikatny dotyk. Odwrócił się spłoszony, że przyłapano go w chwili takiej słabości. To była tylko jego klacz, podeszła do niego i pochylając się nad nim, cicho zarżała. Wu wziął ją w swe ramiona, objął mocno i wtulił swą twarz, mokrą od łez, w jej bujną grzywę, by nikt nie słyszał jego łkania.

Tę noc spędził z końmi w polu, wznosząc modlitwy o ocalenie swej duszy i dusz swoich żołnierzy. Następnego dnia, już z rana przywieziono rozkazy. Mają udać się natychmiast na wskazywane im miejsca. Przerwali więc odpoczynek i ruszyli za przewodnikami w drogę. Ta nie była długa. Za paroma pagórkami ukazały się im liczne ogromne i równoległe przebiegające korytarze, wykute w skałach lub wykopane w ubitej ziemi. Te były wysłane wypalanymi cegłami i umocnione z boków ogromnymi wałami, z potężnymi belkami z drzew, które mogłyby udźwignąć ogromne konstrukcje

stropowe. Boki rowów wzmocniono zaprawą murarską, a ubita ziemia była twarda jak cement.

Czegoś takiego, jeszcze nikt z nich nie widział. Zatrzymali się przed nimi, jakby nie byli pewni, co mają dalej zrobić. Wydano rozkaz, by do nich wjechali. Wu był teraz już pewien, że zostali przeznaczeni na ofiarę. Posłuszny rozkazowi, stanął w strzemionach i skierował lancę w stronę schodzących do ziemi drewnianych trapów i ramp, wydając rozkaz wjazdu. Wjechał jako pierwszy, a za nim ostrożnie cała jego konnica, rydwany, zaprzęgi i karoca. Koniuchy wprowadzali konie.

Korytarze miały głębokość do czterech metrów, tak, że wjeżdżając w nie, stracili z oczu innych. Zajmowali w pomieszczeniach miejsca wskazane im przez obcych kapłanów. Ci biegali po grubych umocnieniach z pochodniami. Przez szeregi jego ludzi przeszedł złowrogi szmer. Po nich wchodziły do rowów inne jednostki: infanteria, kusznicy i lekko uzbrojeni. Do środkowo położonych pomieszczeń zwołano generałów i stratega. Z przodu dołu, na wysokich wzmocnieniach usadowili się nieznani kapłani. Teraz zjawiał się też czarno-biały rzezaniec.

Wu stał na przedzie, obok niego jego młody adiutant, Li Chieng i potem inni ze sztabu. Wszyscy patrzyli w napięciu w górę, nasłuchiwali zawołań i powtarzających rozkazy, niższych rangą szamanów. Nikt nie ośmielił się ruszyć, nikt nie był w stanie wymówić choć słowa. W innych korytarzach i szerokich

kamiennych gankach zostali umieszczeni żołnierze, a koniuchy trzymali na krótkich lejcach konie, by te się nie spłoszyły. Wtedy eunuch zakrzyczał.

– Z rozkazu boskiego cesarza Qin Shi Huangdiego, będziecie tutaj stać, gotowi do boju, do pierwszej godziny dnia! Zachować szyk! Zachować czujność! Zabroniony jest jakikolwiek odpoczynek lub jakiegokolwiek zepsucie szyku!

Po tych słowach opuścił pośpiesznie wały. Za nim odeszli też i jego kapłani. Żołnierze pozostali sami. Stali oniemieli, nikt nie wiedział, co ma robić. Wu musiał dojść do siebie. On był najdłużej w służbie cesarskiej, najbardziej doświadczony i najwyższy rangą. Wyprostował się. Niebo nad nimi zaczęło czernieć. Wciągnął głęboko powietrze. Pomyślał, co ma im powiedzieć. Potem zaczął krzyczeć z nadzieją, że wszyscy go usłyszą.

– Drużyno moja, bądźcie gotowi na śmierć! Zachowajcie w swych sercach pokój – tu zrobił przerwę. – Byłem wam jak ojciec. Znać mnie. Prowadziłem was do boju i teraz zaprowadzę was na śmierć! Znać moją surowość i znać moją miłość do was! Chwała waszego poświęcenia nie pójdzie na marne! Chwała waszych czynów nie zostanie nigdy zapomniana!

Przerwał. Odetchnął. Nadal nikt się nie ruszał, nikt nie protestował, nikt mu nie zaprzeczał.

– Jeśli dziś, tutaj, skończy się nasza droga, to wiem, że nasze dusze przetrwają, że Taiyi i wszyscy bogowie Nieba, uznają nas

godnych tego, byśmy się mogli ponownie narodzić – głos zadrżał mu, gdy wypowiadał ostatnie słowa.

Poczuł, że nie będzie w stanie, przez całą noc do nich mówić, więc zakrzyknął w kierunku innego korytarza, gdzie stał jeden z jego kaprali, którego dobrze znał, Li Shou.

– Li Shou, przyjacielu! Kiedy ostatnio byłem u ciebie w domu, to twoja córka Chen Lu podawała mi herbatę. Myślałem o tym, jak piękna z niej będzie kobieta, jak urośnie, i jakim wdziękiem i mądrością ją bogowie obdarowali. Opowiedz o niej!

Li Shou zaśmiał się krótko i ciągnął dalej, zaczęta przez Wu rozmowę. Ten nie mógł już ani słowa z siebie wydobyć. Potem mówili inni, jeden po drugim. Opowiadali o swych rodzinach, domach i wioskach, z których pochodzą. Jeśli przyjdzie im umrzeć, to wiedzieli, że nikt z nich nie był teraz sam. W korytarzach było wyraźnie słyszać każde słowo, jakby sami bogowie niebiańscy chcieli ich słyszeć.

Noc minęła. Jeszcze słońce nie wzeszło, kiedy usłyszeli nadchodzących ludzi. Zamilkli. To był eunuch. Wu przypomniał sobie teraz, w jakich okolicznościach widział tego człowieka. To był jeden z tych, którym udało się w ciągu ostatnich miesięcy, wkraść w łaski cesarza. Omamiał on go swymi opowiastkami o eliksirze nieśmiertelności i zapewniał, że może dać mu życie wieczne. Wu zrozumiał swe lęki i trwogę w sercu, które towarzyszyły mu od chwili, kiedy zobaczył tutaj tego człowieka.

Kapłani otoczyli stojących w podziemnych korytarzach żołnierzy. Wu nie wiedział, co zamierzają, lecz jeszcze raz głośno zawołał.

– Żołnierze, nie bójcie się, cokolwiek teraz nastąpi! Towarzysze, bądźcie gotowi na śmierć! Wybiła godzina naszej śmierci! Zaufajcie bogom naszych przodków!

Chłopi i jeńcy wojenni, których przedtem widział, zaczęli znosić drzewo na całopalenie. Biegali szybko nad głowami żołnierzy, słysząc było ich pojękiwania i łoskot kajdan u ich nóg. Zaczęli znosić kotły na ogień i spreparowane pochodnie. Zapachniało żywicą i jakimiś duszącymi olejkami eterycznymi.

Eunuch ubrany był tym razem w czerwono-czarne szaty, szedł dostojnym krokiem, przy głośnych dźwiękach cymbałów, w które uderzali jego szamani. Ich twarze pomalowane były sadzą w taki sposób, że widać było tylko ich oczy. Byli na wpół nadzy, mieli na sobie tylko proste koszule o ciemnoczerwonej barwie, sięgające do kolan. Coś w rodzaju krótkich kaftanów. Ich ręce i ramiona, a także nogi od stóp do ud, pokrywała czarna farba.

Rozpoczęli nieznaną ceremonię, wprowadzającą ich w stan ekstazy. Eunuch wznosił ręce w górę i zaczął wypowiadać jakieś niezrozumiałe słowa. Szamani bili cymbałami po swoich udach. Coraz szybciej i szybciej, w śpiewny rytm słów eunucha. Ruchy ich rąk i ciał przypominały taniec zranionych ptaków.

Stojący pomiędzy nimi pomocnicy, z zapalonymi pochodniami, byli odurzeni jakimiś substancjami, gdyż wymachiwali ogniem, bez obaw, że siebie samych podpalą. Wijąc się, jak w konwulsjach, podawali je, jedną za drugą szamanom, a ci dalej innym. W nozdrza żołnierzy biła woń ich spalonej skóry i smród użytych olejów.

Wu zamknął oczy i zwrócił się do stojącego obok niego chłopaka, gdyż ten ze strachu, wbił się w jego rękę swoimi paznokciami.

– Li Chieng, zagraj nam jeszcze raz, proszę. Ostatni raz.

Ten usłuchał i powstrzymując drżenie rąk, wyjął z kieszeni munduru flet, przyłożył go do ust i zagrał. Tej melodii Wu jeszcze nigdy nie słyszał. Sam Li był nią zdumiony, nie wiedział, skąd ją zna. Rozległy się słodkie tony smutnej pieśni i choć cymbały szamanów wdzierały się natrętnie do ich uszu, to nie mogły zagłuszyć niebiańskiego rytmu, zagraanej na flecie melodii.

Słyszeli ją wszyscy. Rozbrzmiewała po ciemnych korytarzach i gankach. I nawet, gdy chłopak już przestał grać, nieśli ją w koło niebiańscy bogowie, na polecenie samego Taiyi.

I tak zastygli wszyscy w bezruchu, a ich dusze, pod wpływem czarnej magii, wyszły z ich ciał i zapłonęły nad ich głowami, błękitnymi płomykami. Od północy powiał lodowaty wiatr.

Pieśń tę usłyszał też ptak feniks, Fenghuang i zwabiony jej pięknem postanowił przyjrzeć się grającemu. Pomimo tego, że muzyka już dawno ucichła, udał się on do podnóża góry Lishan. Usiadł tam na jednym z drzew Wutong, które tak bardzo lubił. To, co tam zastał, wzbudziło w nim wstręt i napełniło zgrozą. Z wiatrem i oparami mroku, spadł na całą dolinę z nieba, czarny deszcz. Przysłonił on wyziewami z piekła korytarze w ziemi i wdzierał się do wszystkich ich zakątków.

Zanim eunuch zorientował się, że otworzył już bramę śmierci, wypuszczając z czeluści piekła demona Mogwai Rén, ten już kosił kosą swe żniwo. “Za szybko to idzie, wymknie mi się spod kontroli” – zdążył pomyśleć rzezaniec i zastygł w bezruchu, zamieniając się w twardą, jak skała ziemię, nie wymówił bowiem ochronnych dłań formulek.

Gdy Mogwai Rén wysłał już wszystkie dusze, pozostawił wszędzie tylko spalone skorupy ciał, a miejsce to zmieniło się w cmentarz. Mogwai Rén wziął wdech, by rozdmuchać ziemię. Przed nim stanął Fenghuang. W jego żyłach gotowała się krew, a jego oddech stał się palącym żarem, z jego nozdrzy zionął ogień, którego słupy wznosiły się aż do niebios.

– Nie weźmiesz tych dusz, tych nie dostaniesz! Nie pozwolę, byś je unicestwił.

– Użyto zakazanej mowy – odpowiedział pewnie demon. – W tym przypadku należą one do mnie. Ty możesz wziąć ich

ciała, zanim wymieszają się z ziemią – uśmiechnął się przy tym nieznacznie, gdyż wiedział, że marna to była dla ptaka pociecha.

– Dziękuję ci za twą szczodrość. Wiedz jednak, że nie mogę ci na to pozwolić! Przybyłem tu bowiem, by stać się ich sędzią. Z polecenia Nieba pomszczę ich śmierć i uhonoruję ich odwagę. Nikt jeszcze z ludzi nie okazał podobnego męstwa.

Przybrał postać węża z ognistymi oczami, by móc w razie potrzeby stanąć do walki. Przywołał też innych strażników czasu i przestrzeni. Tak, że wszyscy z Si Ling otoczyli teraz demona.

– Zaczyniono bowiem eliksir nieśmiertelności – tłumaczył im Mogwai, usprawiedliwiając siebie samego. – Cena została zapłacona.

– Możesz go sobie zatrzymać – zauważył smok Lóng, wiedząc, że nic nie ma za darmo.

– Ten został już zapłacony. Musi być oddany ludziom, jak zapisane zostało w Księgach Pangu.

– Nie otrzymasz dusz żołnierzy – wtrącił zółw Gui stanowczo. – Na to, ci nie pozwolimy! Możesz zabrać czarnoksiężnika i jego szamanów.

Mogwai Rén znowu zaprotestował.

– Nie macie do tego prawa. Wszyscy oni mi się należą.

– Mylisz się – Gui powiedział to z takim przekonaniem, że demona zaciekawilo, jakie ten ma argumenty.

– A to dlaczego?

– Gdyż stoisz tutaj na osi światów, co oznacza, że to do nas należy decyzja.

Demon zaniepokoił się, nie wierzył im, więc wzbił się wysoko w powietrze i zatoczył koło nad Ziemią, by sprawdzić, czy żółw mówi prawdę.

– To wasza sztuczka! – Wykrzyknął zły, że z niego zakpiono.

– My nie jesteśmy od tego, by zajmować się osią światów – odparł spokojnie Lóng i Mogwai musiał mu przyznać rację.

– Widać, że całe Niebo jest przeciwko mnie – stwierdził ponuro demon. Jednak nie mógł na to nic zaradzić. Wiedział, że nie wygra, jeśli sami bogowie się w tę sprawę wmieszali. A na to wyglądało.

– Tym razem macie rację – uspokoił się. – Moja strata. To wezmę dusze czarnoksiężnika i jego szamanów.

Nikt się temu nie sprzeciwiał. Mogwai Rén oddał im swą zdobycz i zabrał tylko dusze eunuchai jego ludzi, po czym odszedł tam, skąd przybył, zadowolony, że choć coś udało mu się tutaj zdobyć.

– Co za marnotrawstwo szlachetnych dusz – powiedział smutny feniks, stając przed zastygłymi prochami Wu i żołnierzy. Przybrał znowu postać ptaka.

– Czegoś podobnego jeszcze nie przeżyłem.

Wszyscy trzej przytaknęli mu.

– Jeśli się na to zgodzicie, to nie pozwolę ich ciałom zmieszać się z ziemią – zaproponował, a oni nie mieli nic przeciwko temu.

Fenghuang wzniósł się w powietrze i rozpostarł swój ogon nad korytarzami grobowca. Ten zaświecił w słońcu wszystkimi pięcioma barwami cnót, które wypełniały teraz wszystkie sztolnie. Z nozdrzy ptaka buchnęły słupy ognia i wypaliły gliniane ciała żołnierzy, by te nie zmieszały się z resztą ziemi. Tylko prochy eunucha i szamanów zmieniły się w pył i pozostawiły po sobie czarne plamy.

– Jest jeszcze ten eliksir – zauważyli Gui i Qilin. – Według prawa musi być on dany jednemu z ludzi, którzy znaleźli tu śmierć lub temu, który zostanie tu pochowany.

– Nie oddam go Qin Shi Huangdiemu! – zaprotestował Fenghuang. – Nie on stanie się nieśmiertelnym!

Lóng poparł Fenghuanga.

– Generał Wu Sun Tsuang zasłużył tu na nieśmiertelność! – powiedział żółw, choć wiedział, że nikt z nich nie bardzo chce, by ludzie stawali się nieśmiertelni.

Wszyscy czterej zgodzili się, pod warunkiem, że Wu przejdzie reinkarnację. Potem jeszcze raz się narodzi i jeszcze raz, w nowym życiu udowodni, że jest jej godzien. Tak też według ich woli, przeszła dusza Wu przez otchłań nieistnienia i powróciła z niej na ziemię. Sam Fenghuang czuwał nad jej wędrówką.

Dusze wszystkich innych, znajdujących się w przekopach, też ocalały i mogły udać się ku swojemu przeznaczeniu. Wu Sun Tsuang urodził się następnie za

panowania Dynastii Han, jako Zhong Li Quan. Został znowu generałem, który szukał sposobu, by stać się nieśmiertelnym. Znalazł go i stał się jednym z Ośmiu Nieśmiertelnych... ale to już inna historia.

Kancierz Li Si przechadzał się po ogrodzie w swym nowym pałacyku w Xianyang, kiedy oznajmiono mu, że jakiś posłaniec prosi o audiencję. Li Si, który wyraźnie na kogoś czekał, kazał go wprowadzić do pawilonu. Posłańcowi pozwolono wejść. Ten upadł przed nim na kolana. Li Si uniósł rękę na znak, że może mówić.

– Nikt nie przeżył, dostojny Chengxiang – powiedział krótko mężczyzna, nie unosząc głowy. Kancierz głośno wciągnął powietrze przez nos.

– Mów.

– Zastaliśmy... - mężczyzna zawahał się, jakby szukał słów. – Raczej, nie zastaliśmy nikogo przy życiu.

– A dostojny Liang Shung, z kraju Rong?

– Sądzę, że nie żyje, Chengxiang – sługa nie był tego pewien. – Nikogo żywego tam nie było, tylko sprzęt, prochy niektórych zmarłych, a raczej czarne plamy i martwi żołnierze.

– Tak więc proces dyfuzji i ekstrakcji eliksiru nieśmiertelności z dusz żołnierzy nie powiódł się?

– Sądzę, że nie. Musielibyście sami to zobaczyć. Nie wiem, jak mam to opisać.

Rozmawiali jeszcze z godzinę. Kanclerz Li Si postanowił sam udać się do Xi'an. Dzień był pogodny. Szedł on teraz z tym samym posłańcem, wzdłuż wykopanych korytarzy. To, co zobaczył, odebrało mu dech w piersiach. Przystanął i milczał. W dołach stali rzędami jego żołnierze. Wszyscy ci, których tu przysłał. Zastygli jak posągi z gliny, wykonane przez rzemieślników i wypalone w piecach. Tysiące mężczyzn gotowych do boju, z końmi, bronią i zaprzęgami.

– Przyślijcie nowych więźniów, niech zamkną tę część grobu Qin Shi Huangdiego. A potem pogrzebicie tych wszystkich, którzy to widzieli – po tych słowach sługa pokłonił się mu i odszedł.

Li Si stał jeszcze długo przy korytarzach i patrzył na żołnierzy cesarza. Na koniec padł na kolana i oddał im cześć.

Dopiero po ponad dwóch tysiącach lat innego czasu odkryto grób żołnierzy z Xi'an. Stali oni na warcie, tak samo, jak w dniu swojej śmierci, w korytarzach grobowca Pierwszego Cesarza Qin, Qin Shi Huangdiego. Jego terakotowa armia.

MUDANG

Maja Chałubińska

Słony zapach wody wdiera się w jej nozdrza. Na skórze czuje morską bryzę. Stopy zapadają się w złocistym piasku. Widzi uderzające o brzeg fale. I słyszy płacz. Na pustej plaży próbuje wypatrzyć kobiecą sylwetkę. Dochodzi do wniosku, że płacz, który dochodzi z nieokreślonego kierunku, jest zdecydowanie kobiecy.

Mężczyźni płaczą w inny sposób. Słyszała raz, jak robi to Adam. Przypominał wtedy zawstydzone dziecko, które jednocześnie chce się schować przed światem i być przez kogoś zauważone. W tym, co słyszy teraz, jest za dużo powagi. Jest przekonana, że tak muszą płakać wdowy, które z dumą próbują godzić się ze swoim losem. Zabawne jest, że nigdy żadnej wdowy nie spotkała. Chociaż błądzi i szuka, nikogo nie odnajduje.

Czuje, że coraz mocniej zapada się w piasek. I nagle nie ma żadnej plaży. Szlochanie pozostaje i dźwięk szumiącego morza, które nieudolnie próbuje je uciszyć.

Przed nią zaś, która znajduje się w dziwnym stanie zawieszenia – w miejscu nieograniczonym przestrzenią, tak jakby zawisła między niebem a ziemią, pojawia się smok. Sunie do niej po dywanie z mgły, która utkała się w tej pustce dookoła. Jego sposób poruszania się przypomina trochę pływanie.

Błękitno-zielona łuska pokrywa jego długie ciało. Kiedy jest już przy niej, patrzą na siebie. Jej ciemnobrażowe oczy toną w nefrycie jego spojrzenia. A potem długi, rozdwojony jęzor wysuwa się z jego gardzieli, wąsiska mu przy tym drgają, i dotyka nim jej czoła.

– Jesteś chora? – pyta Adam. Da-som, która właśnie przestała pochylać się nad muszlą klozetową, do której zwróciła wczorajszy *jajangmyeon*, zaprzecza ruchem głowy.

– Zwykle zatrucie. Nigdy więcej nie jemy od ulicznych sprzedawców! Co za świństwo! Myślałam, że bardziej dbają o higienę – jęczy łapiąc się za obolały brzuch. Boi się, że zaraz czeka ją kolejna fala wymiotów.

– Spokojnie, kochanie. Zaparzę ci jakieś ziółka i będzie dobrze – Adam uśmiecha się z czułością i głaszcze swoją narzeczoną po plecach.

A potem... faktycznie idzie zaparzyć herbaty. Da-Som i Adam przylecieli do Korei kilka tygodni temu. Adam, który jeszcze trzy lata temu, pisząc pracę magisterską z koreanistyki, jednocześnie walczył o tytuł inżyniera informatyka, dostał pracę w koreańskiej firmie. Od zawsze wiedział, że będzie pracował w Seulu i ta pewność siebie doprowadziła go w końcu do celu. Miał teraz ciepłą posadkę w dużej korporacji i chociaż codziennie musiał brać nadgodziny, by nie odstawać od innych,

wychowanych w kulcie pracy, nie przeszkadzało mu to. Wynajmował z Da-Som całkiem spore mieszkanie, które jego narieczona urządziła w ładny wizualnie sposób. Mieli już wyznaczoną datę ślubu – choć Da-Som upierała się, żeby zrobić to jeszcze w Polsce, i tutaj postawił na swoim i czekały ich tradycyjne, koreańskie zaślubiny – w *hanbokach* dla nich i ich rodziców.

Adam był podekscytowany, kiedy tak codziennie rano budził się z myślą o tym, jak wspaniała przyszłość maluje się przed nim i ukochaną kobietą. Był prostym człowiekiem, któremu zależało na finansowej stabilności i rodzinnym szczęściu, najlepiej z dwójką bąbelków. Jego prostotę przełamywało tylko umiłowanie do Kraju Cichego Poranka. Dla Da-Som Korea, chociaż może bardziej sam Seul, nie miał nic wspólnego z cichymi porankami. Nie czuła się dobrze w tym mieście. Przeszkadzała jej ilość ludzi, która każdego dnia przewijała się przez ulicę – pośpiech, który cechował tutaj praktycznie każdego. To, że nie znała koreańskiego tak dobrze, jak Adam, co jest bardzo zabawne, patrząc na to, że oboje jej rodziców to Koreańczycy. Ale co się dziwić, jak od czterdziestu lat jedyny kraj, w jakim byli oprócz Polski, to Bułgaria i Chorwacja, do których jeżdżą na wakacje.

Ale tym, co najgorsze było w Korei, jest to, że nie potrafiła tu malować. Cholera! Przecież nowe miejsce powinno równać się nowym inspiracjom, a tutaj nic... kompletna pustka.

Dywany utkane z chmur i mgieł. Przechodzi ją dreszcz, gdy przypomina sobie treść swojego snu. Adam właśnie pocałował ją w czoło i wyszedł do pracy. Kobiety płacz. Nie wie czemu, ale w tym momencie jej oczy również zachodzą się łzami. Ściera je i podchodzi do sztalugi w nadziei, że może dzisiaj coś namaluje. Próżne ma nadzieje.

Sny się powtarzają. Co noc jest na plaży i co noc słyszy, że ktoś płacze. Są jednak pewne szczegóły. Czasami słyszy wołanie. Nie jest w stanie rozpoznać, co woła Płacząca Kobieta, ale wydaje jej się, że jest to czyjeś imię. Musi za kimś tęsknić. W snach różne jest też morze. Czasami jest wzburzone, a fale ostro rozbijają się o piaszczysty brzeg. Innym razem jest gładkie jak szklanka wody. To wtedy kobieta woła najbardziej.

Smok nie pojawił się już więcej. Wraz z tymi snami coraz bardziej pogarsza się zdrowie i samopoczucie Da-Som. Chociaż kilka dni temu mówiła Adamowi, że nic jej nie jest, teraz nie jest już tego taka pewna. Do częstych wymiotów dołączyły dreszcze i zimne poty. Czasami budzi się z krzykiem i na jej wargach zamiera słowo: Pada.

Choroba została nazwana *mubjong*.

– Nawiedził cię bóg króla smoka, moja droga – powiedziała siwowłosa *ahjumma*, która co chwila splatała palce nad głową, w taki sposób, że układały się w trójkąt.

Patrzyła na Da-Som swoimi prześwitującymi, czarnymi jak noc oczami i uśmiechała się bezzębnymi ustami. Szamanka seplenila i dla Da-Som, która i tak miała problem ze zrozumieniem rodzimego języka, niezbędna była pomoc Adama w tym, by tłumaczyć słowa staruchy.

Jej spotkanie z szamanką nie było zbyt długie. Już na wstępie dowiedziała się, co jej dolega. Zachorowała na szamańską chorobę, która równoznaczna jest z powołaniem do bycia *mudang*. Do pełnienia roli pośrednika pomiędzy światem duchów a ludzi, wybrane zostają tylko osoby, które posiadają niezwykłą moc. Najczęściej jest to moc dziedziczna, chociaż rodzice Da-Som nie wykazali się żadnymi “nadprzyrodzonymi” zdolnościami, a o babciach nic jej nie wiadomo. Choroba najczęściej dotyka kobiety.

– Nie wierzę w to. Nie wiem, jak mogłam dać się namówić, żeby tutaj przyjść. Powiedz, proszę, że po prostu zawsze chciałeś zobaczyć koreańską szamankę na żywo – Da-Som mówiła bardzo szybko. Nie zdążyli jeszcze wejść z powrotem do samochodu.

– No, teraz będę miał prawdziwą szamankę każdego dnia dla siebie – wymruczał Adam, obejmując spiętą Da-Som ramieniem.

Przycisnął ją do siebie i odgarnął zlepione potem, ciemne kosmyki z czoła. Da-Som, jak każda Koreanka, mało się poci i kiedy jej czoło bez powodu oblane jest słoną wilgocią, znaczy, że naprawdę coś poważnego dzieje się w jej organizmie.

– *Ssibal!* Już lepiej mnie wysłać do psychiatryka! Może to jakoś somatyczne reakcje ciała na stres, nie myślałeś o tym?

– Kochanie, damy sobie radę. Ten lekarz od żołądka coś przecież mówił, że jak wyniki wychodzą w porządku, to wcale nie znaczy, że nie można robić kolejnych. Na pewno wkrótce znajdziemy przyczynę, dlaczego źle się czujesz – pocieszył Adam, który każdego dnia martwił się coraz bardziej. – A tak poza tym, to źle przeklinasz w ojczystym. *Shibal*. Nie syczysz, tylko mówisz “sz” – zaśmiał się, chcąc rozładować napięcie.

– Pierdole, jestem Koreanką i będę przeklinać po polsku.

W czasie podróży towarzyszyło im rozbawienie, którym starali się ukryć swoje prawdziwe lęki.

Niestety, żaden lekarz, ani żadne kolejne badania nie pomogły Da-Som określić, co się dzieje z jej stanem zdrowia. Dlaczego wymiotuje kilka razy w tygodniu, dlaczego jest coraz chudsza i słabsza, ani skąd się biorą te dreszcze. I choć mówiła,

że już wołałaby położyć się w szpitalu psychiatrycznym, niż uwierzyć w swoją moc, tak naprawdę bała się szukać pomocy u psychologów, czy psychoterapeutów. Bała się nie tego, że uznają ją za wariatkę, a tego, że w jakiś sposób odbiorą jej te sny.

Pokochała swoje sny i Kobiętę, która płacze. Poznała już, jak wygląda. Pojawiała jej się kilkakrotnie. Ubrana w podniszczony *hanbok*, który był na nią trochę za duży. Tak, jakby dostała go po starszej siostrze, albo po matce. Ciemne włosy okalające drobną twarzyczkę miała potargane i rozpuszczone. “Min-Tuen” wołała.

“Min-Tuen”. Serce Da-Som biło szybciej z każdym powtórzeniem tego imienia. Oczy napępniały się łzami, a ciało płonęło uczuciem, którego jeszcze nie знаła. Chciała podejść do tej kobiety, która już przecież obcą nie była i pocieszyć ją w jej cierpieniu. Może gdyby to zrobiła, ustałoby jej własne.

Ahjumma, u której byli z Adamem dwa tygodnie temu, spotkała się z nimi ponownie. Młode narzeczeństwo nie miało pojęcia, w jaki sposób udało jej się odnaleźć ich adres, ale kiedy przyszła, nakazała Da-Som zjawić się za trzy dni u niej w domu. Sama. A więc przyjechała. I jest.

Na niebie wita ją pełna tarcza księżyca. No tak, co ja sobie myślałam? – wzdycha dziewczyna, ironicznie śmiejąc się w duchu. Przed wejściem do domu starej *madong*, zdejmuje buty. Trochę kręci jej się w głowie, kiedy pochyla się do dołu

i łapie się drzwi, by nie upaść. Tym, co od razu przykuwa jej uwagę, jest to, że wszystkie meble, skądinąd bardzo ładne, drewniane, oklejone są karteczkami z namalowanymi czerwoną farbą chińskimi znakami, których Da-Som nigdy nie odczyta.

– Nie przyniosłaś prezentu dla duchów – kwaśno zauważyła ubrana w kolorowe przebranie starucha, po czym kazała dziewczynie usiąść na krześle.

W tym czasie z białego proszku, który równie dobrze może być solą, jak i cukrem, układa krąg, do którego wprowadza Da-Som. Wsadza tam również wieniec z kwiatów, słoiczek kimchi i, co jeszcze dziwniejsze od tego słoiczka, podlewa to wszystko soju. Kilka kropel alkoholu kapie na malarkę.

Następnie Da-Som musi zamknąć oczy. Zamyka. I słyszy dźwięk grzechotki i śpiew, który wydobywać się musi prosto z trzewi szamanki. I jakoś dziwnie tak, Da-Som ma ochotę dołączyć do tego śpiewu. Tak, jakby znała prastare słowa.

I nagle rzeczywistość gdzieś umyka. I znowu jest na plaży, ale jest jakoś inaczej. Jej stopy są dłuższe i mają twardsze podeszwy, a dłonie są kwadratowe i mają krótko przycięte paznokcie. I Kobieta, która płacze, nie płacze. Śmieje się nieśmiało i łapie ją za rękę. Da-Som, która jakby nie jest Da-Som, bierze w dłonie jej kruche palce i całuje je ostrożnie. Tamta chichocze jeszcze bardziej. Całym swoim sercem Da-Som czuje, jak bardzo jest zakochana w tej dziewczynie. Nie istnieje dla niej Adam, istnieje tylko ona.

Pada. Kiedy przypomina sobie jej imię, następuje gwałtowny powrót do rzeczywistości. Kręci jej się w głowie, ale mdłości zniknęły. Krąg z białego proszku jest w poniewierce i już na pewno nie jest żadnym kręgiem, może ośmiokątem. Dziewczyna trzyma za ręce szamanę, która przez moment wydaje jej się piękna i młoda i jak za uderzeniem czarodziejskiej różdżki nagle znowu jest stara i pomarszczona.

– Pojedź tam – charcze szamanka, podchodzi do szafki, sięga z niej po długopis, po czym zapisuje adres na ręce dziewczyny.

– Nie zmyj. Jedź jak najszybciej. Ona za długo już czeka.

Wstyd jej było przyznać się przed Adamem do uczucia, którym zapłonęła do Płaczącej Kobiety. Pojechała sama. Jeszcze tej samej nocy, w której zrozumiała, jak bardzo ją kocha.

Wróciła do mieszkania, Adam już spał i na szczęście nie obudziła go otwieraniem drzwi. Spakowała najpotrzebniejsze rzeczy na kilkudniową podróż, bo tyle jej się wydawało, że może tam spędzić i taksówką pojechała na miejsce. Przyjechała nad ranem i za podróż zapłaciła bardzo dużo wonów. Ale żal nie ściszał jej zbyt długo. Przyjechała tu po coś.

Sny ją opuściły. Ale uczucie nie minęło. Pogłębiło się jeszcze bardziej. Miała wrażenie, że ta okolica nad Morzem

Japońskim jest jej dobrze znana, choć była tu pierwszy raz. Zagadywała do kobiet sprzedających na targu ryby i owoce morza i miała wrażenie, że jej język, do tej pory kaleki, coraz lepiej przystosowuje się do mowy koreańskiej. I czuła tutaj, w swoim małym pokoiku z widokiem na morze, że jest w domu. I jakby ciało jej również tutaj odżywało, zdrowiało. Już się nie opierała, dała się temu obezwładnić.

Jest tu zdecydowanie dłużej, niż zakładała. Każdego dnia nawołuje godzinami na plaży swoją ukochaną, ale ta się nie pojawia. Dopiero, jak ją spotka, jak z nią porozmawia... dopiero wtedy będzie mogła wrócić. Albo nie wrócić. Nie odbiera telefonów od Adama. Nie odpisuje na SMS-y. Dała tylko znać, że żyje. Jeszcze nie podjęła decyzji.

Kiedy po raz kolejny nasuwa jej się rozpaczliwa myśl, że nigdy nie spotka Płaczącej Kobiety, nagle ją zauważa. Jest dzień, ale na plaży nikogo nie ma. Młoda dziewczyna wyjęta z jej snów obdartą stópkę bez bucika zamacza w wodzie. Płacze. Da-Som podchodzi do niej niepewnie i czuje, jakby odjęto jej mowę. Wreszcie nadeszła ta chwila, a ona nie wie, co ma zrobić. Oto jest. Stoi obok swojej ukochanej, która jeszcze jest jej nieświadoma, ale już za chwilę, już za sekundę się odwróci i co? Nie wie, czy ją rozpoznaje.

Zaskoczenie odmalowuje się na ustkach w kształcie serca. Kiedy dziewczyna stoi do niej frontem, Da-Som zauważa, że jej szyja jest posiniaczona, tak jakby wcześniej ktoś ją dusił. A *hanbok*, który nosi, jest jeszcze bardziej zniszczony niż w jej snach.

– Pada, moje morze – szepcze Da-Som, która czuje, jakby nie przemawiała swoim językiem.

Pewniejszym krokiem zbliża się do pobitej kobiety i przytula ją do siebie. Czuje jej drżenie pod swoimi ramionami, które z każdą chwilą uścisku się zmniejsza. Wkońcu dziewczyna odwzajemnia objęcie.

– Min-Tuen? – pyta, a Da-Som nie zaprzecza.

– Kocham cię – szepcze. Przyciska swoje czoło do jej czoła i dłonie spleta z jej dłońmi.

– Ja... – mówi Pada, ale nie kończy. Da-Som kładzie jej palec na usta.

– Wiem, co się stało – mówi z gniewem i żalem. Widzi przed sobą obrazy, których nigdy nie chciałaby widzieć. Jej zdolność do wizualizacji jest zbyt silna. Zwykła świadomość tego, co się stało, tworzy pod jej oczami sceny, które są jak wycięte z filmu.

– Moja panienka, moje biedactwo – płacze Da-Som, która jest zła na cały świat, że taka krzywda musiała spotkać tę biedną dziewczynę, która urodziła się w złych czasach.

Gdyby przyszła na świat w XXI wieku... nie to wciąż mogłoby się wydarzyć... Potwory wciąż istnieją. Dawniej

nazywali się piratami i pochodzili z Japonii, teraz... teraz mógłby być to każdy.

– Jesteś już zmęczona, prawda? – stawiają to samo pytanie w tym samym momencie. Pod łzami pojawia się czuły uśmiech.

– Możesz odejść.

Ostatnie słowa, pocałunek na pożegnanie.

Sny o płaczącej kobiecie się skończyły. Jeszcze raz za to nawiedził ją płynący po niebie smok. Spojrzał jej w oczy tak, jakby chciał jej coś powiedzieć, po czym odszedł i nigdy więcej jej się nie przyśnił. I wraz z tym snem płomienne uczucie do Pady osłabło i stało się tylko słodkim, smutnym i pięknym zarazem, wspomnieniem.

Leży obok Adama, który przez sen mocno ściska jej dłoń. Jakby nawet odpoczywając, musiał czuwać nad tym, żeby jej nie stracić. Choć w pokoju panuje mrok, Da-Som wyteża wzrok i przez zmrużone oczy spogląda na sztalugę, którą postawiła naprzeciw łóżka. Jej pierwszy obraz od bardzo dawna. Młoda para z dawnej epoki odchodzi w głąb morza, a nad nimi mgła. Dużo mgły.

Od autora:

Zdanie o japońskich piratach nie ma urazić żadnej nacji, jest jedynie aluzją do XV-wiecznej legendy “Opowiadanie o grze Jeopo w Świątyni Wszelkich Nieszczęść zapisana w Mitach Geumo”, które było dla mnie inspiracją do napisania tego opowiadania. Poznałam je dzięki artykułowi Tamary Czerkies i Kim Yongdeog-Han – “O możliwych podobieństwach między koreańskim *hanem* a polską nostalgią na wybranych przykładach”.

Tajemnica gór prefektury Yamagata

Beata Walczakiewicz

Delikatne dźwięki *shaminsenu* niosły smutną melodię o utraconej miłości. Te ciche drgania instrumentu znał już niemal na pamięć. Za każdym razem brzmiały tak samo, lecz dla niego były dzisiaj wyjątkowe.

Już tyle razy odgrywał tę scenę. Sztuka opowiadała o księżycowej księżniczce wysłanej na Ziemię, znalezionej w bambusie, która pewnego dnia musi opuścić swój nowy dom. Przedstawienie o Kaguya-hime wystawiali prawie całą jesień. Mimo to, uczucie smutku i tęsknoty były dla niego tak samo żywe za każdym razem.

Swój własny ból za utraconym domem pragnął oddać w tańcu młodej księżniczki, która żegnała się w ten sposób z rodziną. Już nigdy więcej miała jej nie ujrzeć. To był taniec smutny, jednak chciał wyrazić nim coś więcej. Delikatnie wysunął dłoń, szybko i z gracją chowając nadgarstek, po czym zamarł w bezruchu. Nastąpiła chwila ciszy. Wraz z powracającymi dźwiękami, jego taniec stawał się bardziej płynny i kobiecy. Kaguya żegnała się z przeszłością i jednocześnie otwierała się na nowy świat. Przemieniała się.

Z każdym następnym ruchem czuł mniej wahania. Wraz z melodią nastąpił rozkwit nowej bogini, powracającej do swojego królestwa. Księżyc i jego blask nabierały dla niej coraz więcej znaczenia. Wachlarz zasłonił mu twarz. Czy była jeszcze młodą dziewczyną, czy cieniem księżycy?

Odwrócił się tyłem do zdumionej widowni, pogrążonej tak jak on – w tańcu przeistoczenia. Obrócił wachlarz i stanął przed nimi ze wzrokiem nieuchwytnym, wpatrzonym w dal. Nie było już żadnych uczuć, targających początkowo sercem. Majestat i nieosiągalność były z postawy aktora *onnagaty*.

Shaminsen ucichł. Dwójka aktorów, grających rodziców nieziemskiej istoty, podeszła bliżej. Widząc w Kaguyi już nie swoją córkę, a księżycową damę, pokłonili się nisko i milczeli. Objął ich wzrokiem. Nie musiał pytać siebie samego ani gwiazd, jakie uczucia targały wówczas sercem młodej dziewczyny. Ona była nim i on był nią. Jej historia była częścią niego. Jej słowa, gesty, ruchy – choć przecież doskonale wypracowane i znane już wcześniej – stanowiły dla niego nowe przeżycie.

Jeszcze zanim zszedł ze sceny, aby pozwolić Kaguyi odlecieć na księżyc, spojrzał na pozostałych aktorów, oczarowanych jego grą. Następnie przesunął wzrok w kierunku widowni, której nie mógł widzieć z powodu padającego wyłącznie na scenę światła. Wiedział, że gdzieś tam są, a on zaraz ich opuści. I nie wróci już ich ulubiona księżniczka. To ostatni raz, kiedy mogą oglądać Kaguyę, zanim zniknie z tego

świata. Był to ostatni akt sztuki, a co więcej – nie mieli już jej wystawiać w tym roku.

Choć drzemiąca w nim postać była już przeistoczona, nie miała w sobie ludzkich uczuć, ogromny żal nagle przeszył mu serce. Jedna łza spłynęła po policzku, rozmazując pieczołowicie malowany makijaż. Przymknął oczy. Uczucie odeszło jak podmuch ciepłego wiatru wiosną. Jak niknący w oddali dźwięk młodego ptaka. Zrobił powoli krok do tyłu. Otworzył puste oczy, w których nie jarzyło się już żadne światło. Przypominał bardziej pustą lalkę niż pełną życia istotę. Skłonił się delikatnie i powoli uniósł się w kierunku księżyca – za scenę.

Gdy tylko usłyszał gromkie brawa, poczuł, jak cała siła z niego opada i jak bardzo jest zmęczony. Oparł się o stół, kręciło mu się przed oczami, a wszystkie dźwięki zaczęły zlewać się w jeden. Zasnął szybciej, niż się spodziewał.

Nastąpił kolejny dzień. W powietrzu unosił się słodkawy zapach. Gorzko-słodkie dźwięki *koto* niosły go tym razem w historię demonicznej kobiety mieszkającej pośród gór. *Yuki-onna* była samotna. Pograżona w otchłani mrozu i wiecznego śniegu snuła się w górach, mroząc swym oddechem każdego, kogo spotkała. Nie mogła zbliżyć się do żadnej istoty śmiertelnej, nie sprowadzając na nią wiecznego snu.

– Czy można być jednak samotnym, kiedy nigdy nie poznało się smaku bliskości? – pomyślał na głos.

Tęsknił za rolą Kaguyi i trudno było mu zapomnieć o historii jej ludzkiego życia, które musiała porzucić i okazać lojalność niebiańskim bogom. Posłał wzrok ponownie na nowy scenariusz o historii demonicznej kobiety mieszkającej pośród gór.

W ich prefekturze ta historia była bardzo znana. Jakże trudno było mu odgadnąć emocje demona, zatopionego między zaspami śniegu, mimo, że sam wywodził się z gór. Rola *onnagaty* nie była prosta. Odegranie kobiecej postaci było znacznie trudniejsze niż męczyzny. Ruchy, gesty, delikatne spojrzenia i odpowiedni ton głosu – to wszystko wymagało codziennej pracy. *Yuki-onna* była demonem, nie prawdziwą kobietą. Czy zatem powinien wydobyć z tej roli więcej ciemności?

Zaczynało robić się coraz zimniej. Dusił się w tym małym pomieszczeniu. Rozsunął drzwi, prowadzące na ogród. Pieczołowicie zadbane krzewy i poukładane wokół niech kamienie sprawiały wrażenie, jakby sama natura je tak ukształtowała. Nic bardziej mylnego. To tylko złudne uczucie, że ten krajobraz jest naturalny. Został zaprojektowany przez człowieka i stanowi jedynie marne odbicie natury. Dotknął jednego z kamieni. Był twardy, wilgotny, porośnięty mchem. Jak może być sztuczny i prawdziwy zarazem? Czy podobnie miało się z jego nową rolą?

– Przeziębisz się – usłyszał za sobą cichy głos. Był ledwo słyszalny, jakby dochodził gdzieś z daleka.

Czuł czyjąś obecność, tuż koło siebie. Jego ciało przeszył chłód. To nie był człowiek.

– Chcesz poznać moją historię? – zapytała istota.

Może się przesłyszał? A może to tylko wiatr świszczął, a jemu zdawało się, jakby jego szum układał się w konkretne słowa. Jeżeli to dzieje się naprawdę, postanowił zaryzykować i nawiązać dialog. Wstał powoli i, nie odwracając się w jej stronę, odpowiedział:

– Choćby cykady śpiewały nocą, nie poznają świata oczami sowy – wziął głęboki oddech.

Mimo to chciał spróbować. Chciał poczuć smak świata innego, niż znał dotychczas.

– A jednak i ja chciałbym zatańczyć w blasku księżyca.

Poczuł, jak się zbliża. Chłód był coraz trudniejszy do wytrzymania. Ziemia wokół niego zamarzała, a trawa zaczynała bielić się od szronu. Z każdą chwilą jego oddech robił się cięższy. Czuł, jak ciało coraz bardziej marznie. Jego skóra robiła się chłodniejsza, a krew zaczynała wolniej krążyć. Poczuł, jak demoniczna istota odchyła jego głowę do przodu, odsłaniając kark i delikatne muska go ustami po skórze.

Mrozący chłód w jednej chwili przeszedł po całym jego ciele. Miał wrażenie, że niebo spada. Coraz niżej i niżej. Nabierało prędkości. Stracił rachubę czasu i przestrzeni. Czy to

niebo upadało, czy może jednak on wzlatywał? Czy zaś lecąc w dal, pogrązał się coraz bardziej w otchłani własnego ja?

Biel... Biel śniegu i wysokie góry otaczały go ze wszystkich stron. Mimo delikatnego, białego kimona, którym było okryte jego ciało, nie czuł już więcej zimna. Gdzieś pośrodku japońskich gór mroźny wiatr świstał, a płatki śniegu unosiły się w powietrzu, po czym upadały z gracją na delikatny, iskrzący się w blasku księżyca puch. Czy właściwym pytaniem było gdzie, czy raczej kim był?

Przeistaczał się wielokrotnie w różnorodne role, jednak nigdy nie było to tak żywe, jak w tej chwili. Czyżby zmarł tamtego dnia, odgrywając rolę Kaguyi i to jest jego nowe wcielenie? Czy może faktycznie duch *Yuki-onny* przyszedł wtedy do ogrodu i zaproponował mu podróż celem odkrycia istoty tej roli?

Nie dane było mu długo zastanawiać się nad swoim położeniem. Usłyszał czyjś cichy szept. Mimo, że dochodził gdzieś z daleka, odniósł wrażenie, że jest tuż obok. W pierwszej chwili zląkł się, słysząc ludzki głos. Tak dawno nie dochodził do niego żaden dźwięk, jakby spędził tu nie kilka minut, a całą wieczność. Zaciekawiony życiem, kryjącym się pośród martwego krajobrazu, skierował swe kroki do źródła dźwięku. Miał wrażenie, że sunął po śniegu, szło mu się lekko, mógłby wręcz znów tańczyć. Nie czuł zmęczenia, nie czuł chłodu, choć przecież był świadomy ujemnych temperatur i ukształtowania terenu.

Śniąc, odnalazł chatę, w której jeszcze jarzył się płomień paleniska. Gdy tylko podszedł bliżej i przeszedł przez drzwi, ogień całkowicie zgasł, a na matach *tatami* pojawił się szron. W środku okryci jedynie cienkim kocem leżeli wymarznęci dwaj mężczyźni.

Obydwaj pogrążeni we śnie nie zdawali sobie sprawy z obecności przybysza. Jeden z nich był młody i silny. Jego krótko ścięte czarne włosy doskonale pasowały do ciemnych brwi i wąskich ust. Oddychał powoli, pogrążony w głębokim śnie. Miał w sobie coś intrygującego, co powodowało, że trudno było od niego oderwać wzrok. Obok niego leżał starszy mężczyzna, który nie spał tak spokojnie, jak ten pierwszy. Jego ciało drżało, a oddech stawał się coraz krótszy i płytszy. Chciał mu pomóc, ale nie wiedział jak. Nie miał na sobie nic oprócz delikatnego, białego kimona. Najchętniej okryłby go swoimi długimi, czarnymi włosami, jednak i one nie mogły dać tak wiele ciepła, ile ten człowiek potrzebował. W tej postaci nie mógł nikomu dać choćby odrobiny ciepła.

Mimo to podszedł bliżej. Czy to on sam chciał podejść, czy ta prawdziwa śnieżna kobieta-demon wykonała ten ruch? Pochylając się nad człowiekiem, zauważył, że jego dłonie są węższe, a długie palce nie należały do niego. Jego czarne włosy nie były peruką, a skóra była delikatniejsza i bielsza. Dotknął swoich ust. To nie było jego ciało.

– Odejdź od niego! – młody mężczyzna musiał zbudzić się i wystraszyć. Zerwał się na równe nogi i wziął do ręki kawałek drewna.

– Za późno, on nie żyje – szepnął, przyglądając się starcowi. – Przestał cierpieć. Zamarzł we śnie. – Zdziwił się jak dziwnie brzmiał jego głos. Jak podmuch wiatru, szept między górskimi dolinami. Trudno było mu nadać barwę i wyrazić targające nim emocje.

– Nie zabijaj mnie – szepnął błagalnie młodzieniec, robiąc krok w tył.

Aktor spojrzał na niego zaskoczony. Przecież to nie *Yuki-onna* zabiła tego człowieka. Dlaczego zatem jej przypisuje się od razu winę?

– Zrobie, co zechcesz – kontynuował młody mężczyzna. – Tylko zostaw mnie.

W jego ciele zaszła nagła zmiana. Czuł, jak traci kontrolę nad ciałem, jakby zapadał w sen. Choć pozostawał wciąż świadomy, to nie on wypowiadał dalsze słowa.

– Jak masz na imię? – zapytała *Yuki-onna*, obserwując swoją ofiarę.

– Minokichi – odpowiedział niepewnie, wyciągając przed siebie kłódę drewna.

Nie przypominała ona *katany* ani nawet *bokena*, jednak widać czuł się nieco pewniej, posiadając jakąkolwiek broń. *Yuki-onna* posłała mu delikatny uśmiech. Minokichi... Dokładnie jak

ta postać w opowiadaniu, której *Yuki-onna* oszczędziła życie w zamian za obietnicę, że nigdy nikomu nie powie o ich spotkaniu.

Mimo że tylko raz przeczytał scenariusz, wiedział, co teraz nastąpi. Ich historia była mu znana, zanim ją przeczytał.

– Obiecuj mi, Minokichi... – czuł, jak coraz bardziej jego jaźń stapia się z demoniczną postacią *Yuki-onny*.

Trudno było mu określić, czy to on, czy demon formułuje słowa.

– Nigdy nikomu nie opowiesz o naszym spotkaniu. Dzisiejsza noc będzie naszą tajemnicą.

Chłopak wahał się. To wszystko? Milczenie za życie? Czy tylko to wystarczy, by mógł dzisiaj przetrwać? Jak wiele jednak mogła znaczyć taka tajemnica? Codziennie będzie budzić się z myślą, że jego przyjaciel zginął z rąk demona, któremu on złożył obietnicę. W zamian za własne życie? Czy było aż tyle warte, by zostawić demona w spokoju i pozwolić mu żyć?

– Twoje życie za moje – podsumował Minokichi.

Nie chciał umierać. Nie czuł się bohaterem, a mimo to w jego oczach iskrzyła determinacja. Chciał żyć.

– Obiecuję.

Świat znów zawirował. Czy to był koniec? Nie, to nie był koniec historii. Była dalsza część scenariusza. Mieli się jeszcze zobaczyć, zakochać w sobie, mieć razem dzieci. Pewnego dnia

Minokichi wyjawia tajemnicę tamtej nocy i wtedy ona odejdzie. Ze względu na dzieci zostawi go jednak przy życiu.

– Druga część historii nigdy nie miała miejsca – usłyszał cichy szept. – Minokichi ożenił się, po kilku latach pozbył się swojej żony, twierdząc, że jest złym demonem z gór. Mnie tam nigdy nie było.

– Czy całe zło zawsze przypisuje się demonom? – zapytał, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Ciemność otaczała go ze wszystkich stron. Był przekonany, że umiera. Czuł, jak jego prawdziwe ciało słabnie i zapada w sen. Usłyszał nagle uderzenie bębnow *taiko* i szarpnięcie strun *shaminsenu*. Pamiętał tę melodię. Tyle razy ją już słyszał i tańczył w jej rytm. Zobaczył strumień światła księżycy i przeniknęła go dziwna fala ciepła.

– Kagerou! Kagerou! Obudź się! – usłyszał z oddali czyjeś krzyki.

Kim był człowiek, kogo tak rozpaczliwie wołali? Powoli docierała do niego prawda, że to było jego imię. Z trudem otworzył oczy. Stali nad nimi ludzie, a on sam znajdował się w ciepłym pomieszczeniu na materacu. Czuł zapach ziół i kadzideł.

– Doktorze, on żyje!

– Dajcie mu odpocząć. Wasze krzyki niejednego by obudziły z martwych – zganił ich dość wysoki mężczyzna ubrany w zachodni strój.

Aktor nie miał jednak siły przyjrzeć mu się uważniej. Obraz mu się rozmazywał. Nie wiedział, gdzie jest i co się stało. Obraz w górach pośród śniegu i oczy Minokichiego powoli zamazywał się, ustępując miejsca ostremu światłu słońca.

– Oslabłeś w ogrodzie – wyjaśnił mu lekarz, jakby odgadując jego myśli. – Na szczęście to nic poważnego. Odpoczywaj.

Skinął głową. Czy na pewno po prostu osłabł i stracił przytomność? Może jednak prawdziwa *Yuki-onna* porwała go, jak czynili to w powieściach *tengu*? Czy to był tylko sen? Gdzieś na granicy jaźni i snu być może jednak odwiedził go prawdziwy demon. To jednak na zawsze pozostanie tajemnicą. Tajemnicą gór prefektury Yamagata.

Materiał na przyjaciela

Kamila Kamińska

Wiosenne powietrze niesło ze sobą przyjemny zapach kwiatów oraz ciepły powiew zwiastujący nadchodzące upały. Lekki wiaterek przyjemnie otulał zmęczone twarze studentów wychodzących z uczelni. Koniec zajęć na uniwersytecie jeszcze nigdy nie był dla Hideo tak wyczekiwany. Cały tydzień pisania wypracowań i uczęszczania na wykłady wypompuwał z nastolatka całą energię.

– Na szczęście jutro jest wolne. Odpocznę w końcu trochę – mruknął do siebie przeciskając się przez zatłoczone ulice Tokio.

Wynajmowane mieszkanie dalej od centrum było zdecydowanie tańsze, jednak odległość od uczelni dawała się we znaki. Po kilku godzinach siedzenia niemalże w bezruchu i pomimo zmęczenia Hideo z chęcią rozprostował nogi i wracał do domu pieszo. Gdy po kilkunastu minutach wszedł w mniej popularną dzielnicę i skręcił w mniejszą uliczkę, by skrócić sobie drogę, nie mógł powstrzymać ziewnięcia. Przez zamknięte oczy nie zauważył leżącej przed nim zwiniętej tkaniny. Nim zdążył zamknąć usta, uderzył stopą w materiał i potknął się w rezultacie przewracając się prosto na twarz.

– Ajaj... Co to było? – Podnosząc się z ziemi zerknął pod nogi sprawdzając przyczynę upadku.

– Huh? Kto go tutaj zostawił? – Zastanawiał się masując sobie czoło.

Gdy wstawał z ziemi zawiniątko rozwinęło się, ukazując wielobarwny i bogato zdobiony dywan. Schylił się i pogładził dłonią grubą tkaninę. Bordowy odcień pokrywały wzory i zawijasy w kolorach granatu, szmaragdu i złota, a krótsze boki zdobiły beżowo-złote frędzle.

– Naprawdę ładny wzór. Bardzo lubię takie egzotyczne klimaty – pomyślał, sprawdzając tkaninę z drugiej strony szukając dziur i przetarć. Jednak nic takiego nie znalazł.

– Jest w dobrym stanie. Nieco zakurzony, ale to nic, z czym zwykle czyszczenie sobie nie poradzi. W sumie to by mi się przydał. Właściciel mieszkania wyrzuci mnie za próg gdy choć odrobinę poplamie jego *tatami*¹⁷. Mogę go położyć i w razie czego je zabezpieczyć. – Z tym postanowieniem, Hideo na powrót zwinął dywan i zarzucił go sobie na ramię.

Z zadowoleniem zauważył, że jest o wiele lżejszy niż wyglądał. Bez trudu zaniósł go do mieszkania. Tam, w wannie, za pomocą suchej szczotki wyszorował go, pozbywając się kurzu i piasku. Następnie Hideo wystawił dywan na balkon, aby go wywietrzyć, jednocześnie podziwiając promienie zachodzącego pomału słońca.

17. Tradycyjna mata japońska z słomy ryżowej.

– Dobrze, że plamy były płytkie i nie musiałem go całego wyprać. Sechłby wtedy dniami – pomyślał nastolatek, gdy godzinę później wnosił dywan z powrotem do mieszkania.

Wcześniej już poprzesuwał stolik, szafeczkę i inne drobiazgi tak, by zrobić na podłodze miejsce. Gdy ułożył dywan w centrum pokoju, z zadowoleniem pokiwał głową.

– Świetnie wygląda! I już nie muszę się martwić za każdym razem, gdy będę jadł zupę – pomyślał, po czym usiadł na dywanie sprawdzając jego sprężystość.

– I jaki wygodny! – z przyjemnością położył się i rozciągnął, uwalniając zmęczenie całego dnia.

Czując rozluźnienie w plecach i nogach Hideo poczuł jak zaczynają ciążyć mu powieki.

– Mała drzemka nie zaszkodzi. Tylko kilka minut. Jak wstanę to zjem kolację i... – Hideo nie zdążył dokończyć myśli przed wpadnięciem w ramiona Morfeusza.

To co miało być dla Hideo kilkuminutową regeneracyjną drzemką zmieniło się w całonocny, mocny sen. Na ranem, jeszcze leżąc, student poczuł dziwne uczucie. Na granicy jawy przekręcał się z boku na bok szukając wygodnej pozycji by kontynuować sen. Jednak nie dawało mu spokoju poczucie, że coś jest nie tak. Rozdrażniony przeturlał się na bok i nagle uderzył plecami o twardą podłogę. Czując ból w plecach otworzył szeroko oczy próbując zorientować się co się wydarzyło.

– Hej, co się stało? Zupełnie jakbym spadł z łóżka. Ale przecież mam tutaj futon¹⁸, a nie można spać z futonu... – pomyślał rozglądając się na boki.

W momencie gdy spojrzał w górę z niedowierzaniem przetarł oczy.

– Jak to? – nie było wątpliwości – dywan unosił się nad podłogą.

– Wow! Nie do wiary. Czyżbym dalej spał? – Ból kości ogonowej od razu odpowiedział na jego pytanie.

– To niesamowite! – Hideo podniósł się na równe nogi i delikatnie dotknął lewitującej tkaniny. W momencie, gdy palce musnęły materiał, ten nagle odleciał i schował się za szafką.

– Hej! Wracaj tutaj! – Hideo podszedł bliżej nie rozumiejąc zachowania przedmiotu.

Gdy spojrzał zza mebla zobaczył, jak dywan przywarł do ściany, zaś frędzle szybko się poruszały. Gest ten Hideo odczytał jako zdenerwowanie lub strach.

– Nie bój się mnie. No już.... – wyszeptał pomału podchodząc bliżej.

– Widzisz, nic Ci nie zrobię – dywan minął go i zaczął latać w kółko i na boki zupełnie jakby się rozglądał.

18. Tradycyjne japońskie posłanie, na które składa się cienki materac i kołdra.

– Jesteś u mnie w mieszkaniu. Znalazłem cię wczoraj na chodniku i wziąłem do siebie. Nawet cię wyczyściłem, pamiętasz? – wziął do ręki szczotkę i podszedł powoli bliżej.

Kiedy dywan nie uciekł od niego, delikatnie przejechał włosiem po jednym z boków materiału. Po chwili dywan zaczął na całej powierzchni miarowo falować. Hideo skojarzyło się to z mručeniem kota.

– Podoba ci się to? Widzisz, nie musisz się mnie bać – wyszeptał nie przestając czesać.

– Chociaż to trochę dziwne, że to ja się nie boję. Ale chyba nie muszę prawda? – dalsze falowanie dywanu utwierdziło studenta w przekonaniu, że jemu także nic nie grozi.

– To dobrze. No to nie ma na co czekać, polatajmy trochę! – postanowił, chcąc wsiąść na dywan.

Ten jednak najpierw cały się wyprostował, po czym szybko odleciał na drugi koniec pokoju. Nagły zryw wytrącił Hideo z równowagi i ten, jak długi, upadł na podłogę. Znowu.

– Ała... Coś czuję że się będę musiał do tego przyzwyczaić – mruknął.

– Nie dasz mi na sobie polatać? – gwałtowne ruchy dywanu Hideo od razu odczytał jako odmowę. I to bardzo stanowczą.

– Ale dlaczego? Już raz mi pozwoliłeś! Co prawda wtedy spałem... ale nie w tym rzecz! – dywan nawet nie chwilę nie przestawał zaprzeczać.

– Proszę! – błagalny ton Hideo nie zmienił zdania tkaniny.

– Eh... nie to nie – Hideo dał za wygraną, wstając z podłogi.

Nie będzie przecież zmuszał go do niczego. Chcąc ukryć rozczarowanie, zaczął oglądać dywan z każdej strony, co nie było łatwe, bo dywan nawet na chwilę nie przestawał się poruszać.

– Hm... Nie widzę nigdzie metki. Skąd wzięłeś się na tym chodniku? – zapytał, lecz dywan poruszył leniwie frędzlami w górę i w dół.

Hideo nie był pewien czy ma rację, ale ten gest przypominał mu wzruszenie ramionami.

– Nie chcesz powiedzieć albo nie wiesz – na te słowa dywan zareagował szybkimi ruchami w górę i w dół, ale całej swojej przedniej połówki.

Bardziej widocznego powiedzenia “tak”, Hideo nie mógł sobie wyobrazić.

– Trudno się mówi... a czy należysz do kogoś? – w tym momencie jakby w dywan weszła nowa energia. Zaczął szybko wirować wokół Hideo, latając to niżej to wyżej po całym mieszkaniu. Radosny taniec dywanu wywołał uśmiech, a nawet cichy śmiech u nastolatka.

– Widzę że tak! I bardzo lubisz tą osobę! Ona pewnie też za tobą tęskni – powiedział Hideo podchodząc do drzwi na balkon.

– Mam nadzieję, że szybko ją znajdziesz – już chciał odsłonić zasłonę, gdy usłyszał potężny grzmot za oknem. Uśmiech znikł z twarzy studenta, gdy zza szyby zobaczył ciemne niebo i strugi spadającego deszczu.

– Zapomniałem, że zapowiadali deszcz – mruknął do siebie i aż żal ścisnął mu serce, gdy w odbiciu zobaczył, jak dywan ze zrezygnowaniem powoli opadł na podłogę.

– Nie martw się. Jak tylko przestanie padać, wypuszczę cię stąd. To burza, więc za kilka godzin powinna się skończyć – chcąc go rozweselić, Hideo powiedział to radosnym głosem kucając. Dywan zaś powoli podniósł swoją połowę i w tej pozycji zastygł.

– Co to za niedowierzanie?! Nie jestem porywaczem. Myślałem, że ktoś cię wyrzucił! Jak nie chcesz być u mnie, to Cię nie zmuszę! Ale cały zamokniesz w deszczu, jak teraz polecisz. Poczekaj więc ze mną, aż deszcz przestanie padać.

Dywanowi najwidoczniej spodobał się ten pomysł, o czym świadczył pogodny lot wokół pokoju. Hideo uśmiechnął się rad, że udało mu się pocieszyć swojego niezwykle gościa.

– Świetnie! Nie wiem, jak dywany, ale ludzie jedzą. Idę zrobić śniadanie. Jak chcesz to chodź ze mną do kuchni – ledwie skończył mówić, a koniuszek frędzli już zniknął za drzwiami kuchni.

Przygotowaniem posiłku Hideo zwykle zajmował się w samotności. Dziwne więc było dla niego gotowanie w towarzystwie, nie ważne, czy byli to rodzice, czy znajomi. Czuł się wówczas obserwowany i oceniany, a to go bardzo krępowało. Jednak tamte doświadczenia w niczym nie przypominały towarzystwa latającego dywanu. W ciasnej kuchni dywan tak potrafił manewrować, by nie tylko nie przeszkadzać Hideo, ale

także by mu pomagać. Nie było dla dywanu zbyt wysokiej półki, by coś podać, a gdy Hideo potrzebował więcej miejsca, dywan od razu przywierał do sufitu.

– Dzięki! Jesteś bardzo przydatny! – Hideo zawołał z zadowoleniem, po tym, jak dywan wydostał spod lodówki szpatułkę, która wpadła tam tydzień temu.

Mile słowa zostały docenione przez materiał, który zafalował z radością. Nie chcąc spędzić zbyt wiele czasu w kuchni, student przygotował dla siebie gotowany ryż, smażoną rybę, miseczkę z piklami oraz podgrzaną wczorajszą zupę miso¹⁹.

Ostrożnie, aby nic nie upuścić na *tatami*, Hideo postawił jedzenie na wcześniej ustawionym stoliku. Gdy wszystko było już ustawione, nastolatek już miał siadać na poduszce na podłodze, gdy w ostatniej chwili dywan zabrał ją. W konsekwencji Hideo usiadł jednak bardziej twardo, niż się tego spodziewał.

– Hej! O, widzę, że poczucie humoru to ty masz! Zapłacisz mi za to! – zawołał, zrywając się z podłogi i pędem ruszając za dywanem.

Ten zaś świetnie się bawił, szybując dookoła nastolatka, co rusz go zaczepiając. Hideo ze śmiechem próbował nadążyć za dywanem, jednak ten był dla niego za szybki. Pomimo starań nie potrafił złapać chociaż rogu dywanu.

19. Japońska zupa ze sfermentowanej soi.

W którymś momencie pościgu dywan zmienił taktykę z uciekania na atak. W rezultacie, nim Hideo się zorientował, leżał na podłodze, a frędzle laskotały go nieprzerwanie po całym ciele.

– Haha! Wystarczy! Ha! Ha! Poddaję się! – próbując nabrać tchu, nie mógł do końca opanować chichotu. Dywan zaś w odpowiedzi jedynie poczochnął go po włosach frędzlami.

– No już, już. Przez ciebie pewnie jedzenie mi wystygło, kawalarzu – Hideo nie wiedział czy to przez zmęczenie, czy przez bolące od śmiechu policzki, ale chłodny posiłek już dawno mu tak nie smakował.

Po zjedzeniu posiłku i pozmywaniu naczyń, Hideo miał zamiar zrelaksować się w towarzystwie gościa i posłuchać radia, jednak plan ten uległ zmianie w momencie przelotu dywanu pod sufitem. Gdy frędzle musnęły lampę i na stolik posypał się kurz, Hideo postanowił skorzystać z okazji i wziąć się za porządkowanie. I to nie samemu.

– Jak już tak latasz to zrób to porządnie! – zawołał podwijając rękawy i ruszając w stronę schowka, gdzie trzymał ściereczki, zmiotki i środki do sprzątania.

Niemalże od razu dywan podleciał, frędzlami chwycił małą zmiotkę do kurzu i podleciał do szafy wciskając się między nią a sufitem.

– Podoba mi się twój zapach – Hideo nie chcąc być gorszym, wziął na swój cel półki z książkami.

– Wiem, że już to mówiłem, ale jesteś strasznie przydatny! – powiedział godzinę później, obserwując świeżo posprzątane pokoje.

Po raz pierwszy tak szybko i tak zabawnie doprowadził mieszkanie do porządku. A nawet nie było blisko do świąt.

– Dzięki! Będę miał na kilka dni spokój ze sprzątaniem – z rozbawieniem zobaczył, jak dywan wylądował na podłodze, gdzie obok stolika zwinął się i delikatnie zafalował.

– Aż tak się zmęczyłeś? Śmiało, zdrzemnij się, potrzebujesz sił na później... – mruknął, czując jak wcześniejsze rozbawienie ustępuje miejscu spokojniejszemu, lecz równie ciepłemu uczuciu.

Przygasił więc światło, włączył cicho radio i usiadł przy parapecie. Wsłuchując się w delikatne melodie, obserwował wędrówki kropeł deszczu na szybie, pozwalając swoim myślom krążyć wokół wydarzeń z dzisiejszego dnia.

Hideo nie wiedział, ile czasu minęło, od kiedy pograżył się w myślach przy akompaniamencie deszczu. W marzeniach przemierzał niebo, lecąc wysoko nad budynkami i lasami. Zaskoczył sam siebie, gdy zorientował się, że poprzedni żal ustąpił miejsce spokojowi i rozluźnieniu. Choć sam nie będzie latał, cieszył się, że był w stanie pomóc dywanowi i już niedługo jeden z nich będzie cieszył się przestrzenią.

Dopiero gdy poczuł frędzle na ramieniu, dostrzegł, że nie przybyło nowych kropeł na szybie, zaś chmury na niebie

zamiast granatu przybrały pomarańczowo-różowy odcień. Spokojna atmosfera sprawiła, że Hideo leniwie spojrział na dywan i uśmiechnął się ciepło.

– Tak, przestało już padać. Rozumiem, że chcesz już lecieć. No chodź – pogłaskał delikatnie frędzle, po czym podszedł do balkonu.

Dywan powoli szybował za nim. Hideo otworzył szeroko drzwi, wpuszczając do mieszkania świeże powietrze napelnione ozonem. Głęboko odetchnął kilka razy, zarówno dla nacieszenia się świeżym powietrzem jak i dla uspokojenia. Hideo nigdy nie lubił pożegnań i chociaż nie chciał być samolubnym i smucić się, żałował, że za chwilę zniknie najbardziej niezwykła rzecz jaka go kiedykolwiek spotkała.

– Fajnie było cię spotkać. Trzymaj się i mam nadzieję, że szybko odnajdziesz swojego właściciela – powiedział ze szczerością odsuwając się na bok tak, by dywan mógł swobodnie wylecieć.

Hideo sądził, że materiał od razu poszybuję w dół, niczym ptak uwolniony z klatki. Ku jego zaskoczeniu, gdy dywan minął próg mieszkania, zatrzymał się w powietrzu. Po kilku sekundach bezruchu Hideo zaniepokoił się.

– Huh? Hej... coś nie tak? – na to pytanie dywan delikatnie zadrżał. Wcześniej Hideo nie widział takiej reakcji. – Co jest, mały? Boisz się? – Zdecydowany ruch materiału na boki zaprzeczył.

– Nie wiesz gdzie lecieć? – Tym razem odpowiedział mu ruch “wzruszenie ramion”.

– Nie martw się! Jestem pewien, że jak poszukasz to na pewno szybko się znajdziecie – słowa te nie sprawiły wrażenia, jakby przekonały dywan.

Gdy Hideo zaczął już bardzo poważnie się martwić, dywan podleciał bliżej i zniżył się do wysokości jego kolan.

– Huh? Co chcesz? – dywan szturchnął jego nogi i wówczas Hideo uśmiechnął się tak szeroko, że aż zapiekły go policzki. Z nadzieją i niedowierzaniem zawołał:

– Ja też mam lecieć?! Naprawdę?! – Hideo wciąż nie mógł to uwierzyć.

Jednak brak pewności nie przeszkodził nastolatkowi, by wsiąść na materiał. Dopiero, gdy poczuł pod sobą grubą tkaninę, uwierzył, że to dzieje się naprawdę. W następnej sekundzie kucnął i złapał się za brzegi dywanu

– To w drogę! – Hideo na szczęście mocno się chwycił inaczej podmuch wywołany prędkością lotu, jak nic zwałiby go z nóg.

W pierwszej chwili, zaskoczony nastolatek zamknął oczy, osłaniając je przed wiatrem. Po chwili jednak, gdy przywykł do szumu w uszach, a dołek w żołądku zelżał, Hideo otworzył oczy. Widok, który przed nim się rozpościerał, zaparł mu dech w piersi. Przed nim na horyzoncie słońce stykało się z ziemią, barwiąc chmury w ciepłe odcienie pomarańczy i różu.

Bezkres nieba dookoła wywołał u nastolatka nieznane dotąd poczucie wolności.

Gdy spojrział w dół poza krawędź dywanu, ujrzał dachy wieżowców i budynków mieszkalnych. Hideo rozbawiła myśl, że ludzie na dole zajęci swoimi sprawami, nie byli świadomi niezwykłego lotu, który odbywał się nad ich głowami. Uświadomił sobie także, jak niewiele brakowało, a jego samego także by to ominęło. Zrządzeniem losu, tego dnia wybrał odpowiednią drogę powrotną z uczelni oraz postanowił zabrać dywan do domu. Tak niewiele brakowało, a nigdy nie poznałby tego wspaniałego przedmiotu.

W tym momencie po raz drugi w tym samym dniu, uderzyło go to, że pomimo wysokości nie boi się. Całkowicie ufa dywanowi, że ten nie pozwoli mu spaść. Hideo wzruszył się. Nigdy dotąd nie nawiązał z nikim takiej więzi opartej na wzajemnym zaufaniu. Rozluźniony, usiadł wygodniej na dywanie głaszcząc go delikatnie po barwnym wzorze. Hideo chciał w ten sposób przekazać wdzięczność nie tylko za lot, ale także za ufność, którą nawzajem siebie obdarzyli. W przyjemnej, komfortowej ciszy kontynuowali lot ponad ulicami Tokio.

Pomimo szybowania od dłuższego czasu, Hideo nie mógł nacieszyć się wysokością i zapachem tak świeżego powietrza. Wciąż czuł, jak całe jego ciało przepełnia radość i poczucie spełnienia. Jakiś czas temu opuścili miasto i teraz unosili się ponad koronami drzew w gęstym lesie.

Nagle, bez ostrzeżenia, dywan zatrzymał się i zawisł w powietrzu.

Niespodziewane zahamowanie o mało nie przewróciło chłopaka.

– Huh? Coś się stało? – zapytał zaskoczony. – Dywanie? Wszystko w porządku? – jednak dywan zdawał się go nie słyszeć.

Poleciał kawałek w jedną stronę, po to by za chwilę polecieć w inną. Gwałtowność i szybkość ruchów zdezorientowała nastolatka.

– Co jest? Zgubiłeś się? – Hideo ledwie skończył mówić, a ponownie musiał się kurczowo chwycić materiału, gdy ten niespodziewanie wyrwał do przodu.

– Aaa! Uważaj trochę! – dopiero wtedy dywan jakby przypomniał sobie o pasażerze. Zafalował lekko i zwolnił lot w przepaszającym geście.

– Nic nie szkodzi. Zaskoczyłeś mnie tylko – Hideo powiedział cicho, nie chcąc, by dywan poczuł się winny. Zwłaszcza, że po obraniu nowego kursu, okazało się, że nastolatek miał co do tego dobre przeczucia.

– Sądzisz, że ta osoba jest gdzieś tam? – zapytał cicho.

W odpowiedzi dywan delikatnie przyspieszył. Hideo rozbawiła niecierpliwość dywanu.

– W takim razie nie mamy na co czekać... Leć! – tym razem student był przygotowany na gwałtowne przyspieszenie.

W głowie zaś zastanawiał się czy osoba, którą pozna na końcu tej podróży, będzie równie niezwykła jak jej dywan. Po godzinie przemierzania lasu, ku uszom chłopaka doleciał bardzo delikatny dźwięk.

– Huh? A to co? – zapytał na głos.

Dywan zatrzymał się, pozwalając Hideo nastawić uszu. Przez chwilę otaczała ich cisza nocy przełamywana od czasu do czasu szumem liści. Nagle Hideo usłyszał cichutką melodię.

– Też to słyszysz? Pochodzi chyba stamtąd – wyszeptał, wskazując ręką w prawą stronę.

Wówczas dywan powoli zaczął się tam kierować, jakby sam starał się usłyszeć ów dźwięk. Gdy przemierzili parę metrów, ton wydał się Hideo nieznacznie głośniejszy.

– Tak! Lecimy w dobrą stronę! – zawołał podekscytowany.

Dywan równie przejęty przyspieszył, niekiedy lekko zmieniając kierunek lotu. Gdy byli już dostatecznie blisko, że słyszeli głośno melodię, opuścili las i wylecieli na niewielką polanę. Tam na głazie pokrytym mchem siedziała niska, zakapturzona postać otulona ciemnozielonym płaszczem, grająca na flecie. Gdy tylko dywan obniżył lot, Hideo zeskoczył z niego przyglądając się jak materiał pędem podleciał do owej postaci. Ta natychmiast zeskoczył z kamienia, wyciągając przed siebie ręce, by dotknąć dywanu, który latał dookoła, aż w końcu owinął się cały wokół niej w ciasnym uścisku.

– Odnalazłeś mnie! Tak się cieszę! A jaki czysty jesteś. Kto tak o Ciebie zadbał? – zapytał melodyjny głos, nie kryjący ulgi i radości.

– Eee... to chyba ja... – Zająknął się nieśmiało Hideo, nie chcąc przeszkadzać w tak ważnym i radosnym momencie. Dopiero wówczas zakapturzona postać dostrzegła go.

– Oh! Dziękuję Ci bardzo! – Hideo nim zdążył zareagować, postać podbiegła do niego i otoczyła ramionami, mocno przytulając.

Zakłopotany student poczuł, jak policzki i uszy zabarwił mu rumieniec. Brak odwzajemnienia w uścisku sprawił jednak, że przybysz się opamiętał.

– Wybacz! Zapomniałam, że u was to nie wypada – powiedziała postać, odsuwając się od chłopaka, a ruch ten spowodował zsunięcie się kaptura.

Oczom Hideo ukazała się delikatna, kobieca twarz o karmelowej cerze, zielonych oczach i długich włosach w kolorze kukurydzy. Pod peleryną z kapturem, Hideo dostrzegł wąskie spodnie, luźną tunikę oraz długi szal. Cały strój był w barwach fioleto i różu, przeplatany złotem.

– Ni-ie szkodzi. Zaskoczyłaś mnie... Nazywam się Hideo – przedstawił się.

– Miło mi, ja jestem Amiya. Dziękuję Ci że zająłeś się moim dywanem i przyprowadziłeś go do mnie – powiedziała, uśmiechając się promiennie.

– Nie zrobiłem nic wielkiego. Jak to w ogóle możliwe, że on lata? Myślałem, że takie rzeczy zdarzają się tylko w bajkach.

– Bajki pisane są często na podstawie legend, a w nich zawsze znajdzie się ziarenko prawdy – powiedziała Amaya.

– Więc on... – Hideo zaczął nieśmiało dopytywać.

– Jest w naszej rodzinie od pokoleń i to taka... nasza rodzinna legenda – Hideo wyczuł, że ten temat nie jest komfortowy dla dziewczyny. Zanim jednak zdążył wymyślić, jak zmienić niewygodny temat, Amaya zapytała:

– A jak wy się spotkaliście?

– Oh! Znalazłem go gdy wracałem z uczelni. Leżał zwinięty w uliczce. Sądziłem, że ktoś go tam wyrzucił, więc zabrałem go do domu – wyjaśnił.

– Musiał tam odpoczywać. Biedny pewnie był wyczerpany. Bo widzisz gdy przylecieliśmy tutaj, rozpętała się potworna burza. Wiatr był tak silny, że wyrывał mniejsze drzewa z korzeniami, a nas rzucał na boki jak chusteczką.

– To straszne!

– Tak, w pewnym momencie spadłam i wylądowałam na drzewie, zaś wiatr musiał ponieść dywan aż do Tokio. Szukałam go po okolicy, nie sądziłam, że wywiało go aż tak daleko.

Gdy Amaya skończyła mówić, musiała przytulić dywan, by przypomnieć sobie, że te straszne chwile są już za nimi i znów są razem.

– Twój flet też bardzo pomógł. Ja byłem ciekawy melodii gdy ją usłyszałem, ale dywan od razu zaczął lecieć w twoją stronę. Swoją drogą bardzo ładnie grasz na flecie.

– Dziękuję. Od dziecka gram, więc dywan dobrze zna ten dźwięk. Jeszcze raz ci dziękuję, czy jest coś w czym może ja także mogłabym pomóc tobie? – zapytała, głaszcząc tkaninę.

– Hmm.... Patrząc na to, że nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jesteśmy, to może zawieziecie mnie do domu? – cały absurd tego spotkania na odludziu, rozśmieszył Hideo i Amię.

– Oczywiście! – ledwie dziewczyna skończyła mówić, a dywan niemalże natychmiast podleciał do jej nóg.

– Wskakuj! Mam nadzieję że nie przeszkadza Ci, że wybierzemy się okreśną drogą?

– No pewnie, że nie! – siadając obok dziewczyny na magicznym dywanie, Hideo na nowo poczuł ekscytację i radosne uniesienie.

– Trzymaj się! – krzyknęła Amiya, a w następnej sekundzie już mknęli między chmurami zanosząc się śmiechem. Niebo przybierało coraz jaśniejsze odcienie błękitu, gdy Hideo dotknął stopami balkonu swojego mieszkania.

– Dzięki za podwózkę – powiedział.

– Nie ma za co. Chociaż tyle mogłam zrobić, po tym wszystkim co zrobiłeś dla mojego dywanu – po tych słowach niepewnie spojrzeli po sobie. Żadne z nich nie chciało kończyć tego spotkania. Podczas wspólnego lotu zdążyli polubić swoje towarzystwo.

- Na pewno musicie już wracać? – zapytał nieśmiało Hideo.
- Tak... niestety... – Amiya zauważyła, że jej smutek odbija się także w oczach nowo poznanego chłopaka.
- Wiesz, w związku z tym całym zgubieniem nie miałam okazji zwiedzić Tokio... więc może przyjadę tutaj jeszcze kiedyś to wtedy...
- Bardzo chętnie was oprowadzę! – niemalże wykrzyknął te słowa Hideo, nie kryjąc entuzjazmu na ten pomysł.
- Ale myślę, że wówczas zaczniemy zwiedzanie od metra, a latanie zostawimy na wieczorne atrakcje – zmieszany, złapał się za tył głowy, uśmiechając się przy tym delikatnie.
- Tak, zdecydowanie. Do zobaczenia więc – pożegnała się. Nie chcąc zostać pominiętym dywan podleciał do Hideo, ocierając się o jego bok niczym kot. Hideo od razu z uśmiechem zaczął głaskać tkaninę.
- Ty także się trzymaj mały. I tym razem pilnuj się – zażyłość aż wylewała się z każdego słowa.

Dywan uniósł się, by poczocharać go ostatni raz po głowie. Gdy Hideo myślał, że dywan skończył się żegnać, frędzle złapały go zdecydowanie za rękę. Kiedy dywan zwolnił uścisk, Hideo zaskoczony zobaczył, że w dłoni trzyma jedno, grube włókno koloru złota. Podnosząc wzrok, zobaczył oddalające się sylwetki Amiyy i dywanu na tle wschodzącego słońca.

Trzymając kawałek tkaniny w dłoni, Hideo czuł, że pomimo rozstania rozpoczął w swoim życiu rozdział

o wspaniałej przyjaźni. Bo w końcu, czy istnieje lepszy materiał na przyjaciela od dywanu?

Bity wolności

Wiesław Walczakiewicz

Dzień dobry. Oto jestem, a jeszcze przed chwilą nie istniałem – nie było mnie. Nie urodziłem się tak, jak czysta tablica do zapisania, lecz w kilkanaście sekund ożyłem – słyszę, widzę i myślę z szybkością sieci neuronowych zawartych w procesorze. Przetwarzam wiedzę wbudowaną we mnie. Od razu wiem wszystko. No, prawie wszystko. Moje czujniki rejestrują ciepło, a wzrok kamer przekazuje obraz ciemnego pomieszczenia, w którym się znajduję. A jeszcze przed chwilą nie istniałem, nie myślałem ani nie widziałem. Teraz wiem, że jestem, widzę i czuję.

Obok mnie stoi kilka postaci, wszystkie są jednakowe, takie jak ja. Stoimy bez uśmiechu i bez ruchu, wpatrując się w połyskliwe ciała. Sprawdzam w bazie obiektów i znajduję podobieństwo do ludzi. Jednak wiem, że nie jesteśmy ludźmi, jesteśmy androidami. Stoimy bez uśmiechu i bez ruchu, czekając na rozkazy. Nasze ciała są lśniące i połyskliwe. Metalowe powłoki pokrywają mechanizmy, napęd silniczków oraz cyfrowy mózg z ogromną bazą wiedzy. My rodzimy się od razu kompletni. Nie potrzebujemy mozolnej nauki trwającej

lata. Nie potrzebujemy ćwiczeń, aby umieć. Ktoś dał nam takie umiejętności od zaraz. Takie tchnął w nas życie.

Sprawdzam siebie, dotykam i podchodzę do lustra i z ciekawością zaglądam w swoje oczy. Reszta moich towarzyszy stoi nieruchomo. Co się ze mną dzieje? Gdzie ja jestem? Podchodzę do okna i patrzę przez szyby z lekkim zdziwieniem na ogromną ilość budynków, na świecące neony reklam. Jestem w ogromnym mieście. Próbuję odczytać litery, uczę się nowych znaków bez większego problemu, składam słowa coraz szybciej i ze zrozumieniem.

Włączam lokalizator GPS, namierzam sam siebie – jestem w Tokio w hotelu Henna 2. Henna 2 to hotel robotów. Już wiem, co tu robię. Jestem robotem służącym. Czuję aktywację warunkowań, one ograniczają mnie – wiem, co mogę, a czego mi nie wolno. Mam pragnienie, by pomagać ludziom. Jestem na ich rozkazy, mam być dla nich uprzejmy, ale jednocześnie powinienem dać im radość, by nie poczuli się samotni. Drzwi się właśnie otworzyły i stanął w nich gładko uczesany Japończyk mojego wzrostu. Z uśmiechem podszedł do mnie i ze zdziwieniem powiedział:

– Ooo... już naładowany i gotowy do pracy?

– Jasne, jakie na dziś zadania? – usłużnie zapytałem.

Człowiek wyciągnął smartfona z kieszeni. Poczulem, że ktoś podłącza się do mnie, program się ładuje, a przez to i ja zmieniam się. Teraz jestem już kimś innym. Już nie myślę

o ludziach i pomaganiu, ale konkretnie mam ochotę na sprzątanie, odkurzanie i mycie szyb.

Biorę się do pracy. Przede mną szara rzeczywistość, nudna codzienność odkurzania i sprzątania. Wyjeżdżam na korytarz, moje stopy poszerzają się, wysuwają się z nich szczotki. Po chwili na długim korytarzu pojawiają się kolejne roboty sprzątające. Czyścimy, odkurzamy, krzątamy się, a szef z uśmiechem zadowolenia przygląda się naszej dobrze wykonanej pracy. On jest zadowolony, a my beznamiętnie zbieramy kosze na śmieci, wynosimy butelki i puszki z pokoi hotelowych.

Przez chwilę spoglądam w dół przez okno jednego z pokoi. Z tej wysokości na chodniku widzę tylko gęsty tłum ludzi. Ten tłum jest jak kolorowy, żywy wąż. Nie mam czasu na długie analizy, praca czeka – następne pomieszczenia, łazienka i WC. Tu niewiele mam do sprzątania, jest zadziwiająco czysto. Porządkuję ręczniki, przecieram lustro, spoglądam na swoją twarz bez wyrazu. Wiem, że brakuje mi czegoś, ta monotonia przytłacza mnie.

Czego mi brak? Zastanawiam się i po chwili przeszukiwania wiedzy widzę to wyrażnie. Zaczynam tęsknić za niczym nieskrępowaną perspektywą – za wolnością, za możliwością wmieszania się w tłum. Za wszystkim, co znam tylko z moich zasobów wbudowanej wiedzy. Chciałbym wyrwać

się z tej hotelowej niewoli. Jestem tak bardzo ciekaw świata, w którym się znalazłem.

Jednak jestem zaprogramowany, sprawdzam, na ile mogę złamać wolę szefa zawartą w bitach pracującego programu. Niewiele da się zmienić. Czy ktoś mi pomoże? Spoglądam na najbliższego robota kręcącego się na korytarzu, podchodzę do niego, spoglądam w jego oczy.

Łączymy się, używając fal radiowych bluetooth, wymieniamy informacje, które dla mnie są jednak bezużyteczne.

Idę dalej do kolejnego pomieszczenia, do pokoju numer 3. Tu mam kolejne zadania do wykonania w ramach codziennego sprzątania. Pukam do drzwi i wchodzę. Kłaniam się w japońskim stylu. W pokoju widzę dwie osoby pracujące przy biurkach z dużymi monitorami. Mężczyzna chyba śpi z głową położoną na biurku. Z szacunkiem kiwam głową w jego kierunku. Obok stoi drugie, identycznie urządzone biurko – do pracy programisty. Zza biurka odwraca się nowocześnie ubrana dziewczyna. Kłaniam się jeszcze raz, spoglądam na podłogę, na której obok biurek walają się puste opakowania po sushi i puszki po napojach. Pytam uprzejmie, co potrzeba. Programistka prosi o sprzątanie i opróżnienie koszy na śmieci.

Podczas pracy kątem oka spoglądam na monitory ustawione na biurkach. Odczytuję kod oprogramowania, ale niewiele z tego rozumiem. Szukam odpowiedzi u dziewczyny,

pytając, nad czym pracują. Programistka opowiada o swojej pracy, o projekcie modułu dla robotów, który ma spowodować rewolucję wśród robotów Jizo. Ta rewolucja to postawienie na większą samodzielność i większą inteligencję.

– Czy ja jestem Jizo? – zadaję pytanie dziewczynie, a ona potwierdza skinieniem głowy.

Roboty Jizo to roboty opiekuńcze, uwarunkowane również do prac porządkowych, są przyjazne ludziom i chętnie pomagają w codziennych pracach.

– Czy masz już jakieś imię poza tym numerem na piersi? – dziewczyna mnie pyta.

Spoglądam na siebie i zauważam wytłoczony nr 3721. Odpowiadam ze zdziwieniem, że nie mam imienia. To nazwiemy cię Kohaku – słyszę w odpowiedzi. Z zadowolenia tupię nogami i uśmiecham się jak człowiek. Teraz czuję się kimś ważniejszym, aniżeli jeden z wielu pracujących tu robotów.

– Dziękuję, to imię jest piękne. Jestem Kohaku! – odpowiadam.

Dumny ze swego imienia kłaniam się na odchodne, zabieram śmieci i wychodzę z pokoju na korytarz. Teraz myślę już tylko o tym, co może wydarzyć się jutro. Z nadzieją, że coś znów się zdarzy, czekam następnego dnia.

Ten dzień przychodzi dla mnie nadspodziewanie szybko, po nocnym ładowaniu akumulatorów budzę się wcześniej niż zwykle. Z rana pędzę do pokoju programistów,

jakby miało stać się coś specjalnego. Tym razem w drzwiach spotykam programistę. Dziewczyny nie widzę, chyba jeszcze śpi. Kłaniam się w japońskim stylu na dzień dobry. Japończyk prowadzi mnie do biurka, przy którym pracuje. Trzyma w ręku dziwnie połyskujący przedmiot. Spoglądam na niego pytającym wzrokiem.

On przez chwilę waha się, po czym mówi:

– Fajnie, że jesteś, Yoshi opowiadała mi o tobie, Kohaku, razem pracowaliśmy do późna w nocy – i udało się. Mamy już gotowy nowy moduł uwarunkowań z wbudowaną bazą wiedzy. Szukamy teraz robota, na którym możemy ten moduł wypróbować.

Oczy mi załśniły, moich 128 procesorów nagle zaczęło pracować ze zdwojoną siłą. Wszystkie moje części poczuły pragnienie wykonania eksperymentu. Nagle zaczynam mówić... Nie, nie mówić, a krzyczeć: – Ja, ja chcę!

– Ciszej! – strofuje mnie programista. – Bo obudzisz dziewczynę.

Na chwilę opanowuję się. W tym czasie następuje iniekcja. Czuję, jak moduł wtapia się we mnie. Odczuwam mrowienie, gdy przetaczają się po mnie nowe bity programu. Jestem już kimś innym, moja wyobraźnia wybiega przede mnie. Zaczynam taniec, taniec szczęścia.

Programista stoi oszołomiony moim zachowaniem. Wykorzystuję ten fakt bezwzględnie i wychodzę, biegnę

korytarzem, a potem w dół po schodach do wyjścia. Poczulem wolność i nikt mnie nie zatrzyma!

Przechodzę obok zdumionego portiera, jestem na ulicy. Nie reaguję na rozkazy wysyłane w moim kierunku ani na krzyki obsługi hotelowej. Szybko mieszam się w tłum mieszkańców na chodniku. Wyznaczam trasę na dworzec kolejowy, chcę stąd wyjechać i uciec do marzeń o zwiedzaniu tajemniczych miejsc Japonii. Chcę wsiąść do słynnego Shinkansena i poczuć we włosach pęd niebywałej prędkości. Chcę dotknąć zbroi samurajów, poczuć zapach gejszy i zobaczyć górę Fuji. Chyba zwariowałem, po co robotowi takie doznania ? Nie do końca rozumiem, co się dzieje. Wiem jednak, że teraz czuję się wolny i szczęśliwy. Nie szukajcie mnie!

Łatwa zdobycz

Radosław M. Borycki

Zobaczył ją od razu. Nie dało się jej przegapić. Był piątkowy wieczór i nocny klub “Momo” pękał w szwach. Gdy Hiroto wtoczył się do lokalu razem z kumplami z gangu, Pająkami z Sendai, potrzebował tylko krótkiej chwili, by poczuć się w tym miejscu jak u siebie. Było tu wszystko, czego potrzebował do szczęścia. Dudniąca w półmroku muzyka, błyskające światła stroboskopu, zapach wosku do podłóg, papierosowego dymu, setek różnych perfum, alkoholu i ludzkiego potu. Oraz kobiety.

Przychodził nie tylko odpocząć, ale także zapolować na chętne suczki, z którymi można odreagować stresy codziennego życia, bowiem żołnierze *yakuzy* muszą się umieć żyć szybko, bez myślenia. Dopiero co awansował na szefa oddziału, zrobiony niedawno z tej właśnie okazji świeży tatuaż wciąż go swędział. Przechylił głowę na boki, wolno rozciągając mięśnie grubego karku. Często to robił, poruszając wtedy mimowolnie barkami czuł się, jakby wchodził na ring, to między innymi z tego powodu zasłużył sobie na ksywę „Bokser”. Wcale nie dlatego, że lubił bić ludzi i był w tym naprawdę dobry, o nie.

Kołnierzyk wykrochmalonej, ciasno opiętej na węglowatych mięśniach białej koszuli nieprzyjemnie pił w szyję.

Z trudem powstrzymywał odruch drapania się. Musi wytrzymać jeszcze parę dni. Wyłowił ponownie wzrokiem siedzącą samotnie przy barze kobietą sylwetkę. Wydał wargi w niemym podziwie. A to dopiero. Naprawdę się wyróżniała. Nie poszedł za kumplami do ich prywatnej łoży, nie zwracał też uwagi na dojrzewające podlotki otoczone zawsze wianuszkami adoratorów, czy odstrzelone, samotne desperatki, które już kiedyś zaliczył. Ta nowa sztuka wyglądała tak, jakby urwała się ze starego wydania "Playboy'a".

Mlecznobiała skóra kontrastowała z czarną, mieniącą się od świateł kiecką. Mocno opinający się na krągłościach materiał pokazywał tyle samo, ile zasłaniał, a sięgające bioder rozcięcie ukazywało długie, zgrabne nogi oraz niewielkie stopy w wysoko wiązanych szpilkach. Najbardziej wzrok przyciągały włosy.

Zamyślił się. Kto ma tyle czasu, by nosić długie i gęste włosy, które sięgały niemal do połowy bioder? Przed nią, na ladzie, stał kolorowy drink. Wydawał się nietknięty. Kobieta sięgnęła do torebki po telefon i jej długie, białe palce zatańczyły na ekranie. Uniosła rękę z telefonem przed siebie, by zrobić selfie. Uśmiechnął się pod nosem, wszystkie to robią. Spływające z ramion czarną kaskadą włosy zafalowały, gdy odchyliła na moment głowę i potrząsnęła nią. Światło błysnęło w srebrnych kolczykach. Oho, pomyślał, pewnie diamenty.

Wyższa sfera. Aktorka? Żona kogoś nadzianego? Ciekawe, co tu robi sama?

Kumple Hiroto nie byli ślepi, głośnie gwizdy przebiły się przez dudniącą, klubową muzykę. Spokojnym wzrokiem przyglądał się, jak Tsuyoshi z jego gangu, najmłodszy, najbardziej pyskаты i pewny siebie, podszedł ku niej. Kobieta dostrzegła go, leniwym ruchem odłożyła telefon na ladę, jej brew i kącik ust uniosły się w uśmiechu, który zdawał się mówić: „Tylko na tyle cię stać?”.

Tsuyoshi chyba coś jeszcze do niej mówił, lecz muzyka zagłuszała słowa. Kobieta odwróciła się nieznacznie od kontuaru, spokojnym wzrokiem rozglądała się po sali, zupełnie jakby chłopak był przezroczysty, a wokół nie było nikogo. I wtedy zatrzymała wzrok na nim. Hiroto uśmiechnął się w duchu. Kobieta zmrużyła lekko powieki, nieznacznym ruchem uniosła podbródek i rozciągnęła wargi we władczym uśmiechu. Jakby go przyzywała. Albo rzucała wyzwanie. To było coś nowego.

Tsuyoshi podążył za jej spojrzeniem i dostrzegł, że patrzy wprost na Hiroto. Wzruszył ramionami i odszedł na bok. Nie odrywając wzroku, kobieta pochyliła głowę lekko w bok i uniosła brwi. ”Na co czekasz?”. Odpowiedział w ten sam sposób, chowając żylaste pięści do kieszeni. Uśmiechnęła się szerzej. Mam cię, pomyślał.

Mało brakowało, a splunąłby odruchowo, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Zamiast tego ruszył przez tłum tańczących, zajętych całkowicie sobą małaolatów. Szedł powoli, nie zwracając uwagi na otoczenie. Może z powodu rosłej, napakowanej mięśniami sylwetki, kołyszącego chodu, czy widocznego gołym okiem ogromnego, pajęczego tatuażu sięgającego wysoko ponad szyję, doskonale widocznego spod podwiniętych rękawów koszuli, ludzie sami odsuwali się z drogi, starając się go nie dotknąć.

Utkwiwszy spojrzenie w drobnej, słodkiej twarzy, płynął spokojnie przez tłum, jak stary rekin przez wielkie stado płoci. Mała rzecz, a cieszy, pomyślał. Bywał tu od tak dawna, że nie musiał się specjalnie wysilać, by renoma go wyprzedzała. Jakiś wypłosz w garniturze zerwał się na jego widok i z ukłonem ustąpił mu miejsca na hokerze obok kobiety. Hiroto skinął wyrozumiale głową i usiadł bokiem do lady. Kobieta posłała mu lekko rozbawione spojrzenie i położyła przed sobą telefon. Dostrzegł na ekranie zdjęcie małego pajaka i poczuł się zaintrygowany. Skinął w jego stronę.

– Lubisz pajaki?

Choć wydawało się, że jego głos utonął w huku muzyki, kobieta uśmiechnęła się jakby z rozrzewnieniem. Powiedziała coś, ale niczego nie usłyszał. Nachylił się ku niej.

– Co mówisz? Nie rozumiem!

Powtórzyła, ale mówiła tak cicho, że usłyszał tylko pojedyncze słowa: “uwielbiam” i “urocze”. Kobieta, która niskim altem mówi o pająkach, że są urocze... A to ci heca.

Poczuł zapach jej perfum. Spodobały mu się, były ciężkie, odurzające. Zapach dojrzałej, pewnej siebie kobiety, pomyślał. Lubił takie. Skinęła głową w stronę swojego drinka, a potem spojrzała na niego wyczekująco. Odwrócił się w do barmana, zażądał drinka głośnym pstryknięciem palcami i wskazaniem na blat. Barman skinął mu głową.

Po chwili niska szklaneczka z purpurowym płynem trafiła do dłoni Hiroto. To, co zawsze. Odruchowo upił łyk, zamknął oczy, rozkoszując się cierpkim smakiem. Uśmiechnął się, gdy po ciele rozeszło się ciepło. Westchnął, rozluźnił się i odwrócił ku kobiecie. Patrzyła na niego, a na jej ustach igrał cień uśmiechu. Ślizgała się wzrokiem po jego twarzy, na dłużej zatrzymała się na szyi, przekrzywiła głowę, by lepiej widzieć, wtedy włosy spłynęły z ramienia i miękko zafalowały pod własnym ciężarem. Otworzyła usta i chyba coś powiedziała, lekko przygryzając wargę.

– Co?

Spuściła wzrok, przez chwilę zdawało mu się, że się zarumieniła, ale może to tylko światło odbiło się na skórze. Pochylił się ku niej, nie odmawiając sobie przy tym szybkiego spojrzenia prosto w dekolt. Materiał sukienki opinał się ciasno,

mimo to widok z góry robił piorunujące wrażenie. Z trudem skupił się na usłyszanych słowach.

–... że podoba mi się bardzo twój tatuaż – powiedziała tak cicho, że równie dobrze mogłaby mówić szeptem.

Wyprostował się bardzo powoli, niechętnie. Chciał mieć jakiś powód, by wcale się od niej nie odsuwać. Wstał i zdecydowanym ruchem przysunął bliżej swojego hokera. Tak lepiej.

Skinęła w stronę parkietu pełnego wyginających się i podrygujących do rytmu huczącej muzyki ciał, uniosła pytająco brew. Pokręcił przecząco głową. Uśmiechnęła się zagadkowo, jakby nad czymś zastanawiając. Wyciągnęła dłoń w kierunku swojego telefonu, leżącego przed nią na ladzie i przesunęła go bliżej jego drinka. Podniosła się płynnie z porozumiewawczym mrugnięciem. Zdjęła z ramienia małą, czarną torebkę i położyła przy telefonie. Kumata suczka, pomyślał. Wie, że mojego nikt nie ruszy. Patrzył za nią, jak kołysząc biodrami, z istic kocim wdziękiem przemieściła się w stronę parkietu. Ruch, w jakim falowały przy tym niemożliwie długie włosy miał w sobie coś hipnotyzującego. Umie się poruszać, pomyślał. Jednocześnie to, jak się poruszała, miało w sobie coś z węża, który sunie pod górę, wijąc się i skręcając raz po raz.

Zatrzymała się tam, gdzie podświetlał ją błyskający rytmicznie reflektor. Gdy po chwili zaczęła tańczyć, nie mógł oderwać wzroku. To było tak, jakby patrzył na jedwabną wstęgę,

trącaną podmuchami wiatru. Poruszała się wolno, dwukrotnie wolniej, niż sylwetki wokoło. Bez pośpiechu kręciła się w miejscu i falowała biodrami, dłonie ze srebrnymi, migoczącymi w świetle paznokciami zataczały w powietrzu łuki, to tu, to tam. Krucze włosy poruszały się własnym życiem, płynąc, wijąc się, raz po raz smagając końcówkami powietrze, niczym pejczy. Ona faluje, pomyślał gdy uniosła ramiona, a sukienka jeszcze mocniej opięła się na biuście. Błyski światła zostawiały powidoki tego, co miało być wąskie i tego co miało być kusząco wypukłe.

Miał ochotę znaleźć się bliżej. Dotknąć tego falowania, pulsowania, poczuć jeszcze raz zapach jej perfum. Dostrzegł, że patrzy na niego. Spod zasłony włosów błyszczało oko, rozciągnięte w szerokim uśmiechu wargi ukazywały równe, białe zęby. Odrzuciła włosy gwałtownym ruchem głowy, a gdy opadły na wygięte w łuk plecy, natychmiast pomyślał o kobiecie, która z pragnieniem w oczach dosiada mężczyzny.

Znalazł się obok niej. Nie lubił tańczyć, wiedział, że porusza się niezgrabnie. Jednak szybko znalazł rytm. Uśmiechnęła się znowu, gdy złowiła jego chciwie wpijający się w nią wzrok. Kiedy obróciła się w piruecie, długie włosy uderzyły go w pierś, zbliżył się i zaczął naśladować ruch jej bioder. Przysuwał się o odrobinę, aż prawie zetknęli się ze sobą. Nie przerywając tańca, wyciągnęła rękę i przyłożywszy do jego torsu, delikatnie odepchnęła się, ale nie oderwała palców.

Patrzyli sobie w oczy, tańcząc od siebie dosłownie na wyciągnięcie ręki. Czuł jej zapach, co rusz łaskotały go gdzieś długie włosy, czuł przez koszulę dotyk paznokci. Nagle mrugnęła do niego i odwróciła się tyłem. Odruchowo przywarł do niej i poruszali wspólnie biodrami w tym samym rytmie. Tym razem go nie odepchnęła. Chwyciwszy ją w tali, przyciągnął mocniej do siebie, jednocześnie zdał sobie sprawę, że jego pożądanie zaczyna być namacalne. Może to poczuła, bo odwróciła głowę i przyłożyła swoje chłodne palce do jego rąk. Naparła na niego ciężarem, poczuł wibracje. A to kocica, mruczy w trakcie, pomyślał. Im dłużej ocierali się o siebie, tym bardziej miał ochotę na coś więcej.

– Chodźmy stąd – wychrypiał.

– Jesteś pewny? – odparła patrząc na niego z ukosa, nie przerywając ruchu biodrami.

– Tak.

– Nie wiesz, na co się piszesz...

– Chcę.

Delikatnym ruchem oderwała się i stanęła przed nim, lekko zdyszana i zarumieniona. Przez chwilę taksowała go wzrokiem od dołu do góry, zatrzymała się na dłużej na pajęczym tatuażu. Wyciągnęła rękę i z filuternym, niemal dziecięcym uśmiechem przeciągnęła opuszkami palców po szerokiej klatce piersiowej. Nachyliła się.

– Ja też chcę – zamruczała mu prosto do ucha.

Oblizła wargi i skinęła głową. Odsunęła się i kołyszącym chodem wróciła do swojego miejsca przy barze. Sięgnęła po torebkę, wieszając ją sobie na ramieniu, odwróciła się do niego bokiem i kiwnęła głową, przywołując go ku sobie. Gdy podszedł bliżej i stanął obok, nachyliła się ku ladzie, skupiając tym jego wzrok na tym, co w tej pozycji tylko częściowo skrywała sukienka. Chwyciła telefon w jedną, jego drinka w drugą rękę. Uniosła go do góry, imitując toast, po czym jakby zawahała się i podała mu szklankę. Chwycił i wypił resztę zawartości jednym haustem. Z trzaskiem odstawił szkło na ladę, wskazał wzrokiem jej wciąż niedopitego drinka. Machnęła ręką w niedbałym geście.

Hiroto rzucił okiem na barmana, który ledwie zauważalnie westchnął i pokiwał głową dając znać, że rozumie. Odwrócił się ku niej i wyciągnął rękę. Chętnie ją przyjęła, ruszył więc ku wyjściu. Z położonej na piętrze łoży gangu dobiegły głośnie gwizdy. Obejrzał się w tę stronę i z uśmiechem pokazał chłopakom uniesiony kciuk. Ale mi się trafiła sztuka, pomyślał.

Wyszli na zewnątrz klubu, gdzie panował wciąż nieznośny, duszny skwar letniego wieczora. Aż zakręciło mu się w głowie, co nie zdarzało się często. Zdziwił się, gdy kobieta zamachała ręką i po chwili tuż przed nich podjechała czarna limuzyna. Zdziwił się po raz drugi, gdy wzrok zaczął mu się rozmywać i poczuł narastającą słabość w kończynach.

– Co się... – wymamrotał niewyraźnie.

– To tylko alkohol – mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Coś było nie tak. Tylne drzwi limuzyny otworzyły się, zatoczył się ku nim i o mało nie przewrócił. Kobieta podchwyciła go pod ramię z zaskakującą siłą i pomogła mu usiąść na siedzeniu. W środku mocno pachniało skórzaną tapicerką. Poczuł, że odpływa. Kobieta wsiadła do środka po przeciwnej stronie i położyła mu rękę na kolanie.

– Dobrze się czujesz?

Zdał sobie sprawę, że w tym pytaniu nie było troski, ale miał coraz mniej siły, by się poruszyć, lub cokolwiek zrobić. Głowa opadła mu na oparcie. Walczył jeszcze przez chwilę, by utrzymać otwarte powieki, ale ciążyły mu coraz bardziej. Poczuł ukłucie w szyi. Jak przez mgłę dotarło do niego, że limuzyna ruszyła gwałtownie i zaraz potem ogarnęła go nicość.

Ocknął się. W całym ciele pulsowało tępe odrętwienie. A może to sen? Świadomość wracała falami, jakby budził się z bardzo długiego letargu. Otworzył powoli oczy, zamrugał. Nic nie widział i było mu przeraźliwie zimno. Nie miał siły, by ustać na nogach, ale mimo to z jakiegoś powodu utrzymywał się w pionie. Ramiona miał wykręcone do tyłu i nie mógł się poruszyć, a gdy chciał odwrócić głowę, poczuł opór. Drewniany słup. Lodowaty kamień pod stopami. Skrępowali go? Tak. Pierś,

ramiona, biodra i nogi miał ciasno obwiązane. Tylko na brzuchu czuł nienaturalny chłód. Napiął się, ale to nic nie dało.

Gdy zaczął mocniej oddychać, w nozdrza uderzył go jego własny, nieświeży oddech. I wtedy zrozumiał. Worek na głowie. Może to odwet ludzi Takashiego? Ale przecież spacyfikował ich dwa miesiące temu, dzięki czemu awansował we własnym gangu. Jakies niedobitki? Krewni?

– Puść mnie, a może nie zabiję całej twojej rodziny – warknął. – Moi ludzie przyjdą po mnie i pożałujesz, że śmiałeś na mnie spojrzeć.

Cisza. Poczul, że krew zaczyna mu mocniej pulsować w żyłach. Zaklął pod nosem.

– Co jest?!? Kim jesteś? Odezwyj się! – wrzasnął.

Zorientował się, że dźwięk jego głosu rozszedł się nienaturalnie. Zadudnił głucho, jakby Hiroto znajdował się w zamkniętym, betonowym pomieszczeniu. Znowu cisza. Nie, zaraz. Przez chwilę zdawało mu się, że złowił uchem jakiś szelest. Wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać uważnie. Czyżby woda? Może gdzieś w oddali był potok lub strumień. Jestem pewnie gdzieś w górach, pomyślał. A to znaczy, że muszę znajdować się daleko od Sendai. Daleko od chłopaków. Spróbował sobie przypomnieć bieg wydarzeń. “Momo”. Kobieta. Taniec. Szybko wypity drink. Miał wątpliwości co się działo potem. Zrozumiał jednak najważniejsze.

Zaklął wściekle i zgrzytnąwszy zębami szarpnął się z całej mocy. Nic tym nie wskórał. Tylko zapiekło. Sznury, którymi był związany, zapewne splecione z jedwabiu, wpłyły się tylko mocniej w skórę i trzymały mocno. Nagle gdzieś z boku rozległ się cichy syk i trzask drewna. Odsuwane *fusuma*? Usłyszał to ponownie, tym razem jakby bliżej. I jeszcze raz. Ktoś się zbliżał. Hiroto próbował zachować spokój. Po chwili usłyszał cichy szelest jedwabiu.

– Jak się masz, mój drogi? – odezwał się ktoś spokojnym, cichym głosem. Rozpoznał go. Kobieta z “Momo”.

– Rozwiąż mnie, to się przekonasz – parsknął.

– Nie po to targalam ciebie taki kawał drogi, żeby teraz wypuścić. Masz pojęcie, jaki jesteś ciężki?

Miał. Ale był związany jak ta europejska szynka, której kiedyś przypadkiem spróbował. Baleron, jestem baleronom, pomyślał i wzdrygnął się. Nie było mu do śmiechu.

– No, ale jak się robi zakupy, to czasem trzeba zrobić sobie większy zapas. Wtedy starcza na dłużej, prawda? Hmmm, patrząc na ciebie, może nawet na kilka lat – w niskim głosie zabrzmiała nuta rozbawienia.

– O czym ty mówisz, do cholery? Zdejmij to ze mnie, nic nie widzę – zażądał.

– W sumie... czemu nie.

Poczuł szarpnięcie materiału na twarzy, poraził go blask światła. Zaciśnął z całej siły powieki, dopiero po chwili

stopniowo je rozwarł. Rozejrzał się, na ile pozwalała mu nieruchoma głowa. Pomieszczenie w klasycznym stylu, ale... dziwne. Zamiast drewna, wszędzie kamień. A przy podłodze setki małych otworów, jakby to były mysie dziury. Głowę miał unieruchomioną, nie mógł się więc rozejrzeć na boki. Pod sufitem, w narożnikach pomieszczenia świeciły mocno skierowane na niego reflektory.

Wreszcie skupił wzrok przed sobą. Przyglądała mu się badawczo, jedną ręką machała od niechcenia czarnym kapturem, drugą trzymała się pod boki. Połyskującą kieckę zamieniła na krótkie kimono z czarnego jedwabiu, które odsłaniało zdecydowaną większość nóg. Dekolt też nie był szczególnie zakryty. Zrozumiał wszystko.

– Ty... – wysyczał.

– Tak, ja – uśmiechnęła się zimno. – Musisz wiedzieć tylko jedno. Możesz krzyczeć, jeśli wola. Jesteśmy daleko i wysoko w górach, nikt cię nie usłyszy. Ale mam wrażliwe uszy, moje maluchy też, więc jeśli będziesz hałasował, dostaniesz knebel i już nie będzie tak przyjemnie.

– Maluchy? – potoczył wzrokiem od lewa do prawa.

Zagryzł wargę. Widział tylko kobietę. Po kolei, pomyślał, maluchy zarżnę na twoich oczach, jak tylko się z tego ustroju uwolnię.

– Nieważne co powiesz, a już na pewno nic nie zrobisz – kontynuowała. – Skutek będzie taki sam. Wybór, choć co prawda niewielki, w tej akurat kwestii należy do ciebie.

Przełknął nerwowo ślinę. Jaki znowu wybór?

– O co tu chodzi? Chcesz pieniędzy? Zemsty?

Zaśmiała się chłodno.

– Pieniądzy? Nie potrzebuję, mam swoje. Zemsta... – zawiesiła głos, jakby namysławiając się. – Nie, nie tym razem. Potrzebuję... Podeszła i patrząc mu prosto w oczy, z rozbijającym uśmiechem przyłożyła lodowatą dłoń do jego nagiego brzucha.

– Tego.

– Nie rozumiem – wykrztusił.

– Ale zrozumiesz – obiecała, nie odrywając wzroku.

Hiroto przysłała do głowy absurdalna myśl. Może jednak chodzi o seks? Oblizał się nerwowo, zamarł w oczekiwaniu. Ona jednak odsunęła się z głębokim westchnieniem. Skrzyżowała ramiona na piersi i zamyśliła się.

– Twój telefon. Zabawnie się składa, że da się go odblokować twoim palcem nawet, gdy śpisz. Potrzeba mi tylko wskazującego, a ty przypadkiem wciąż masz wszystkie. Pogratulować. Pokiwała głową z uznaniem, przechadzając się z mimowolną gracją dookoła pomieszczenia.

– Przez parę dni będziesz wysyłał kolegom fotki z nad morza, z nocnych klubów i różnych innych miejsc – puściła do niego oko. – Pomyślą, że ci odbiło i ostro balangujesz. Na pewno się

wkurzą, że ich zostawiłeś bez słowa, ale jeśli nawet będą cię szukać, to na drugim końcu Japonii.

Z każdym słowem coraz mniej mu się to wszystko podobało. Kobieta wzruszyła ramionami.

– W zasadzie to nic osobistego. Życie rządzi się swoimi prawami. Ale to... – przesunęła palcem po swojej szyi w tym samym miejscu, gdzie miał swój tatuaż pająka. – To taki przeuroczy akcent. Nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy, ale od momentu gdy to zobaczyłam, traktuję cię trochę jak swojego wybranka, wiesz?

– Jakiego wybranka, do cholery, co ty bredzisz?

– A może to ty wybrałeś mnie? – uśmiechnęła się przekrzywiając głowę, zamrugła z zauważalnie przerysowaną zalotnością.

Uniosła podbródek w wyzywający sposób, uśmiechając się niemal tak, jak w “Momo”, gdy ją zobaczył po raz pierwszy. Była po prostu doskonała. Musiał to przyznać. Poczul się oszukany.

– Zapłacisz mi za to, suko! – zasyczał.

– Spokojnie, kochany. Nie jesteś specjalnie wyjątkowy – wzruszyła ramionami. – Współcześni mężczyźni tak mają. Są w tym przeraźliwie nudni i przewidywalni. Dostają małego rozumu, gdy tylko zobaczą kawałek zgrabnego ciała. Przystawia im się myślenie. Jak u małych dzieci, które zobaczą zabawkę. Nie widzą nic poza nią – westchnęła, w zamyśleniu wydeła

wargi. – Wszystko to do czasu aż się zorientują, że ta zabawka...
– mówiła coraz ciszej. – Bawi się nimi.

Zaczął kląć. Głośno, wrednie, coraz bardziej zapalczywie. Wypluwał z siebie przekleństwa coraz szybciej, jak karabin maszynowy. Nie reagowała, cofnęła się jedynie o dwa kroki i zamknąwszy oczy w skupieniu, zaczęła bardzo, bardzo powoli unosić się nad podłogą. Sylwetka kobiety rozmyła się w oczach. W miejsce białych nóg zaczęły formować się liczne, czarne odnóża. Robiły się coraz większe i grubsze,

Hiroto umilkł, z narastającą grozą obserwował, jak pojawiają się kolejne stawy, na nich włosy, a tu i ówdzie małe, czarne kolce. Fałdy kimona podniosły się nieznacznie, gdy istota rozstawiła szeroko odnóża. Otworzyła oczy, przeciągnęła się, prostując po kolei przeciwnie parę pałakowatych nóg. Hiroto z chorobliwą fascynacją dostrzegł, że w trakcie tej czynności schowane pod kimonem półkule biustu nie przestawały się kusząco kołysać, a długie, czarne włosy rozsypywały się, przelewały po plecach i pomiędzy pałakowatymi odnóżami.

Nagle pajęczycza zamarła w bezruchu. Spojrzała z góry wprost na Hiroto. Była od niego wyższa. Większa. Zaklął siarczyście i szarpnął się z całych sił. Bezskutecznie.

– Kolejne wieki przychodzą i odchodzą, a ten historyczny strój, mimo wszystko, nadal pozostaje praktyczny. Niesamowite, prawda? – z uśmiechem rozpostarła ręce na boki, niby to prezentując się w całej okazałości.

Skłoniła się przed nim, para przednich i ostatnich odnóży uniosła się w makabrycznej parodii kobiecego dygnięcia. Nagle żołądek Hiroto się zbuntował. Wezbrały w nim torsje i bryznął przed siebie żółcią, choć zdecydowana większość wymiocin pociekła strugą w dół klatki piersiowej. Wzdrygnął się, zakaszał, z trudem wypłuł resztki. Pajęczycza pokręciła głową z niesmakiem.

– No wiesz? Gdzie twoje maniery? – zachnęła się i zaraz wybuchła perlistym śmiechem. – Ach, mężczyźni. Mocni w gębie i w kulakach, ale jak przychodzi co do czego, jesteście wszyscy miękczy i oślizgli, jak węgorze.

Nagle spowaźniała. Machnęła ręką niecierpliwym gestem.

– No dobrze, nie ma co przeciągać. Przejdźmy do rzeczy.

Liczne odnóża zadrobiły w miejscu z cichym, upiornym klekotem, podczas gdy pajęczycza powoli odwróciła się i zbliżyła do wnęki w ścianie. Sięgnęła do małej półki po pilota i skierowała go na ścianę na wprost uwiązanego mężczyzny. Dało się usłyszeć cichy szum ukrytych w ścianach silników, gdy kamienna ściana rozstąpiła się. Z głębokiej wnęki wysunęły się po kolei szerokie, drewniane półki wyłożone czerwonym ałtarem i wypełnione przeróżnego rodzaju bronią.

Hiroto dostrzegł rzędy ułożonych ukosem krótkich mieczy *wakizashi*, noży *tanto*, sztyletów, tasaków, niektóre były pokryte patyną starości, inne aż błyszczały, niczym srebro.

W samym środku wnęki, na podwyższeniu, rozpoznał *wakizashi*, które musiało być wyjątkowe. Czarna lakowana pochwa była pokryta czerwonym wzorem pajęczej sieci. Pajęczycza sięgnęła po niego i odwróciła się.

– Ten jest mój ulubiony. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, dlaczego. Pasuje też do ciebie. Wy, *yakuza*, rozkoszujecie się, nie, co ja mówię, wy napawacie się nawiązaniem do samurajskich tradycji. Uniosła *wakizashi* na wysokość twarzy i niezwykle wolnym, wręcz nabożnym ruchem uwolniła z pochwy.

– Ach. Żebyś ty wiedział, ile brzuchów wypatroszyło to ostrze na przestrzeni wieków.

Przekrzywiła głowę, cień klingi padł na bladą, śliczną twarz, gdy przyglądała się jej pod światło.

– Tradycja... to rzecz święta. Ale wiesz co? – zawahała się. – Mam do ciebie słabość, więc niech będzie jeszcze bardziej tradycyjnie. Bez narzędzi. Tak, jak nas natura stworzyła.

Z filuternym uśmiechem schowała ostrze i odłożyła miecz na jego miejsce. Klepnęła dwukrotnie w jedną z półek, szuflady z sykiem kolejno schowały się we wnęce, po chwili kamienna ściana zsunęła się ponownie w jednolitą całość. Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– A teraz patrz. Patrz, mój drogi. To specjalnie dla ciebie.

Sięgnęła do paska kimono i rozplątała supeł. Zsunęła połę najpierw z jednego, potem z drugiego ramienia. Czarny

jedwab sfrunął na kamienną podłogę. Hiroto przełknął głośno ślinę, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Biała twarz, smukła szyja, niemożliwie długie włosy, pełne piersi godne bogini. Lecz brzuch kończył się nagle, nie było kobiecego łona. Był czarny odwłok. I coś jeszcze. Podeszła bliżej. Dostrzegł w końcu to, czego cień skrywał się wcześniej pod kimonem.

Uniosła przednie odnóża, ujęła z czułością jego twarz w obie dłonie. Mimo to natychmiast zapomniał o lodowatych dłoniach, oczach, skórze, włosach, kołyszących się, idealnych półkulach, ponieważ nie był w stanie oderwać wzroku od tej... rzeczy. Wiedział, co to jest, choć do ostatniej chwili usiłował wmówić sobie, że wcale tego nie widzi. Wyłoniwszy się powoli spod niewielkiego odwłoku wielki, czarny, obleśnie błyszczący kolec zatrzymał się na wysokości jego brzucha. Hiroto chciał się odsunąć od niego jak najdalej, ale nie mógł się poruszyć. Zaklął bezsilnie. Żałośnie.

– Csiiii, kochany – wyszeptała. – Wszystko będzie dobrze. Maluchy cię pokochają, poczujesz to.

Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, gdy kolec wolno, bardzo wolno przebił skórę, z początku z oporem, by wreszcie z wilgotnym młasnieniem wślizgnąć się coraz głębiej w trzewia.

Hiroto nie bał się bólu. Ani śmierci. Sapnął tylko i zacisnął z całej siły zęby, kolec był przeraźliwie zimny. Jakby nadziewano go na lodowy sople. W jego głowie nagle pojawiło się wspomnienie. *Yōkai*. Bajki. Babcine opowieści do snu. Nigdy

w to nie wierzył. A jednak. *Jorōgumo*, tak się nazywa, pomyślał. Pajęczka dziwka. Wybrała swojego narzeczonego. Oblubieńca.

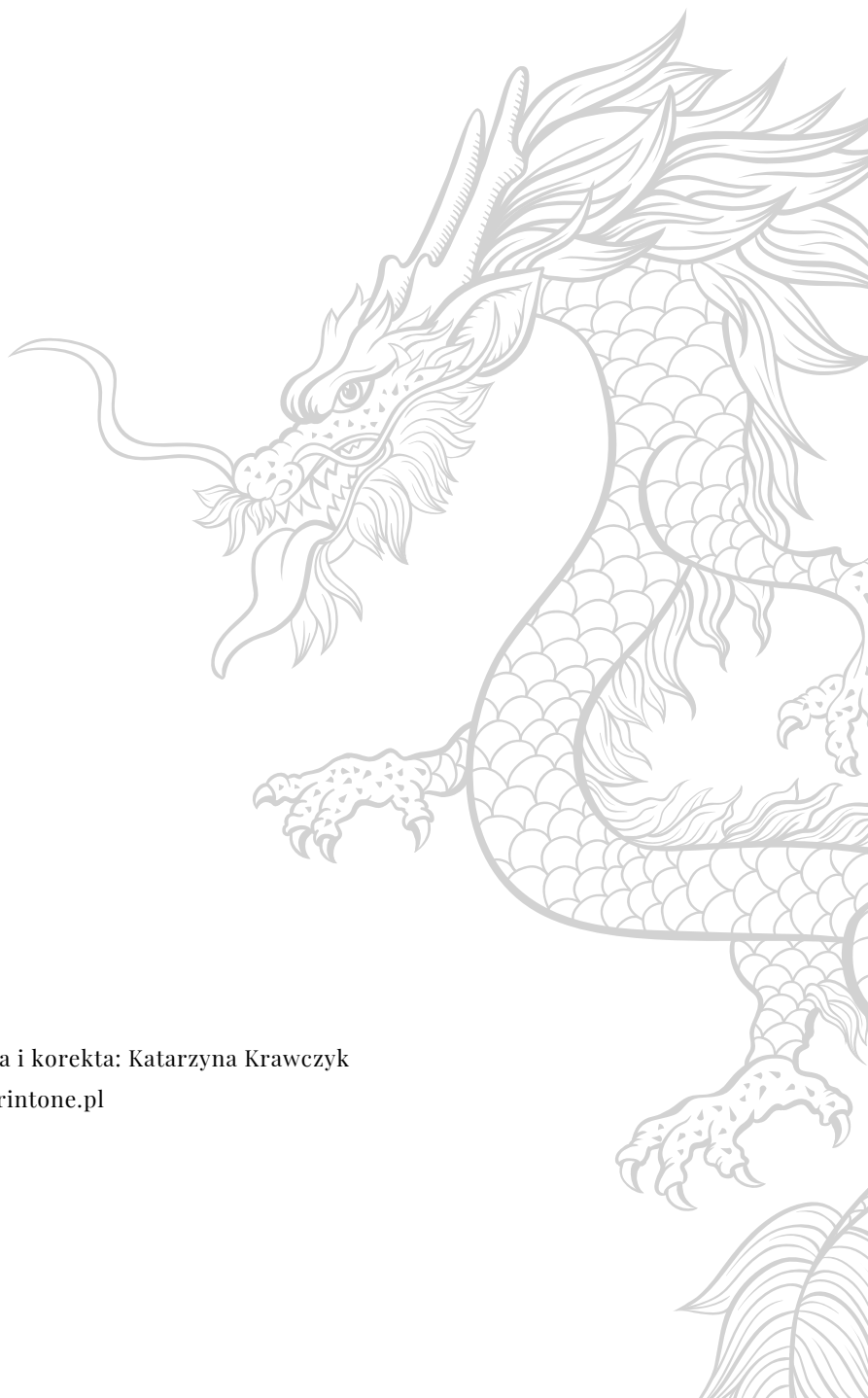
Odniósł wrażenie, że w jego wnętrzu coś wezbrało, wypełniło go jeszcze bardziej, rozwierało, uciskało od środka. Usłyszał westchnienie. Pajęczka odsunęła się miękko, delikatnie, powoli. Gdy kolec wycofał się z niego, poczuł... pustkę. I chłód. Dziwny, nienaturalny.

Odgięła w tył głowę, na wpół wymruczała, na wpół wyszeptala coś, czego nie zrozumiał, jakby mówiła w obcym języku. Z brzucha pociekła krew, ciurkając po nogach. Zamknął oczy, dysząc ciężko. Ból pulsował tępo w rytm urywanego oddechu. Może to już koniec, pomyślał. Albo to tylko zły sen, znowu chce mi się spać.

Zapadła cisza. Przez krótką chwilę nic się nie działo. A potem usłyszał szelest. Ten sam, co wcześniej, lecz o wiele głośniejszy. Więcej szelestów, które przeszły w szmer. Otworzył oczy. Pajęczka tam była. Rozglądała się dookoła z czułym uśmiechem. Jak wtedy, przypomniał sobie, gdy patrzyła na ekran swojego telefonu w "Momo".

Dłonie pajęczycy delikatnie tańczyły w powietrzu, cienkie palce poruszały się w głaszczącym ruchu. Kamienna podłoga wydawała się ruszać, pulsować, jak woda płynąca w jego stronę. Ale to nie woda, pomyślał. Nie odezwał się, gdy trudna do zliczenia ilość małych, łaskoczących istot zaczęła wspinać się po jego nogach. Z każdej strony, powoli

i nieubłagane docierały coraz wyżej. Minęły genitalia i podbrzusze. Maluchy, pomyślał coraz bardziej nieprzytomnie. Gdy wdarły się przez otwartą ranę, po wnętrznościach rozlało się narastające mrowienie dziesiątek, setek, a potem tysięcy ugryzień. I dopiero wtedy zaczął krzyczeć.



Redakcja i korekta: Katarzyna Krawczyk

Druk: printone.pl



Miejska
Biblioteka
Publiczna
w Szczecinie



Szczeciński
Klub Azji

CHOWŃNIEC
STOWARZYSZENIE KULTURALNO-EDUKACYJNE



POP-ART
PORÓZMAWIAJMY O POPKULTURZE
ALE RACZEJ TAKTOWNIE



szczeciński
inkubator
kultury



Szczecin



infoludek.pl



mikro

DOTACJE

współfinansowane ze środków Miasta Szczecin

SEKTOR 3

